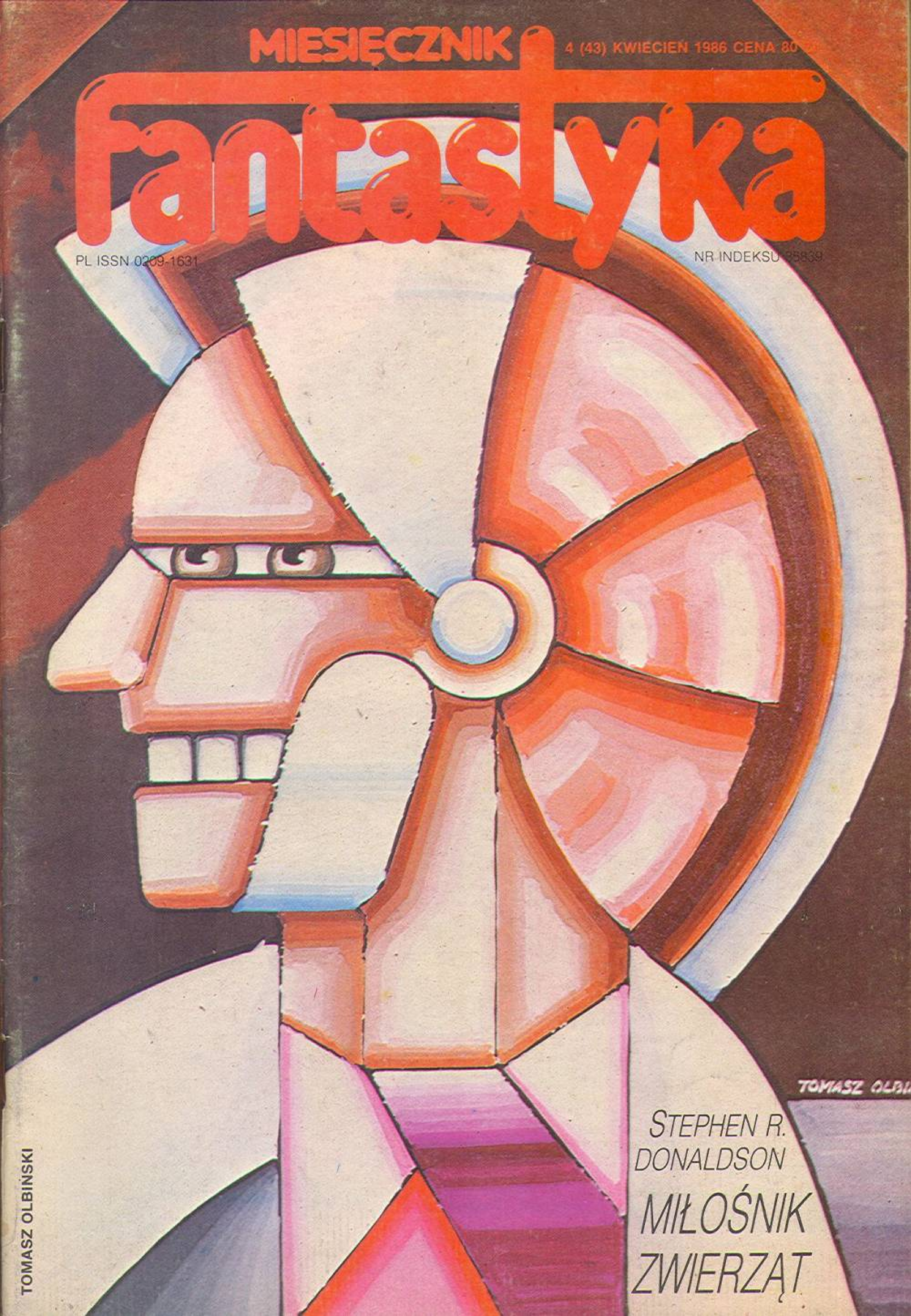
MIESIĘCZNIK 4 (43) KWIECIEN 1986 CENA 80

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



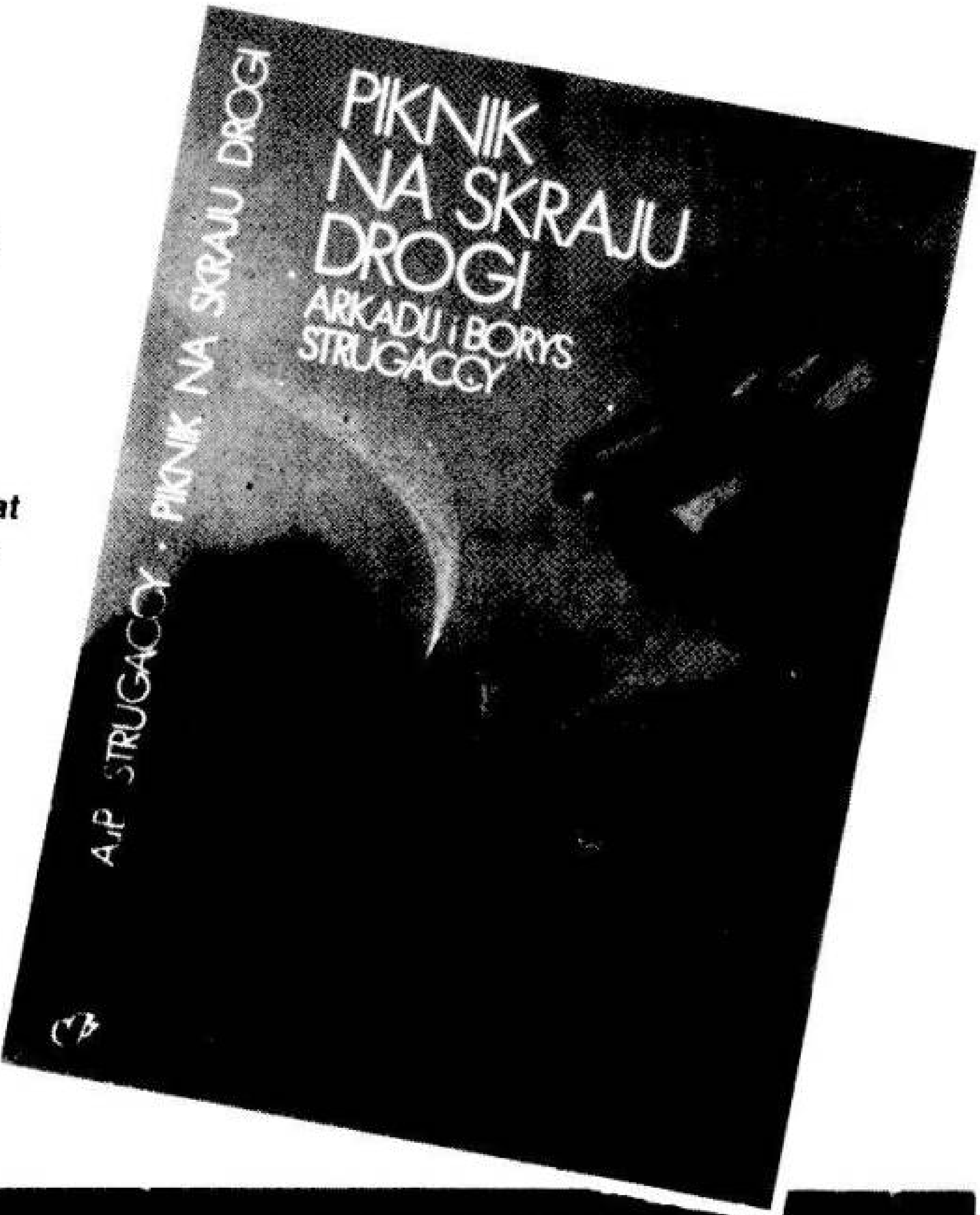
STEPHEN R. DONALDSON

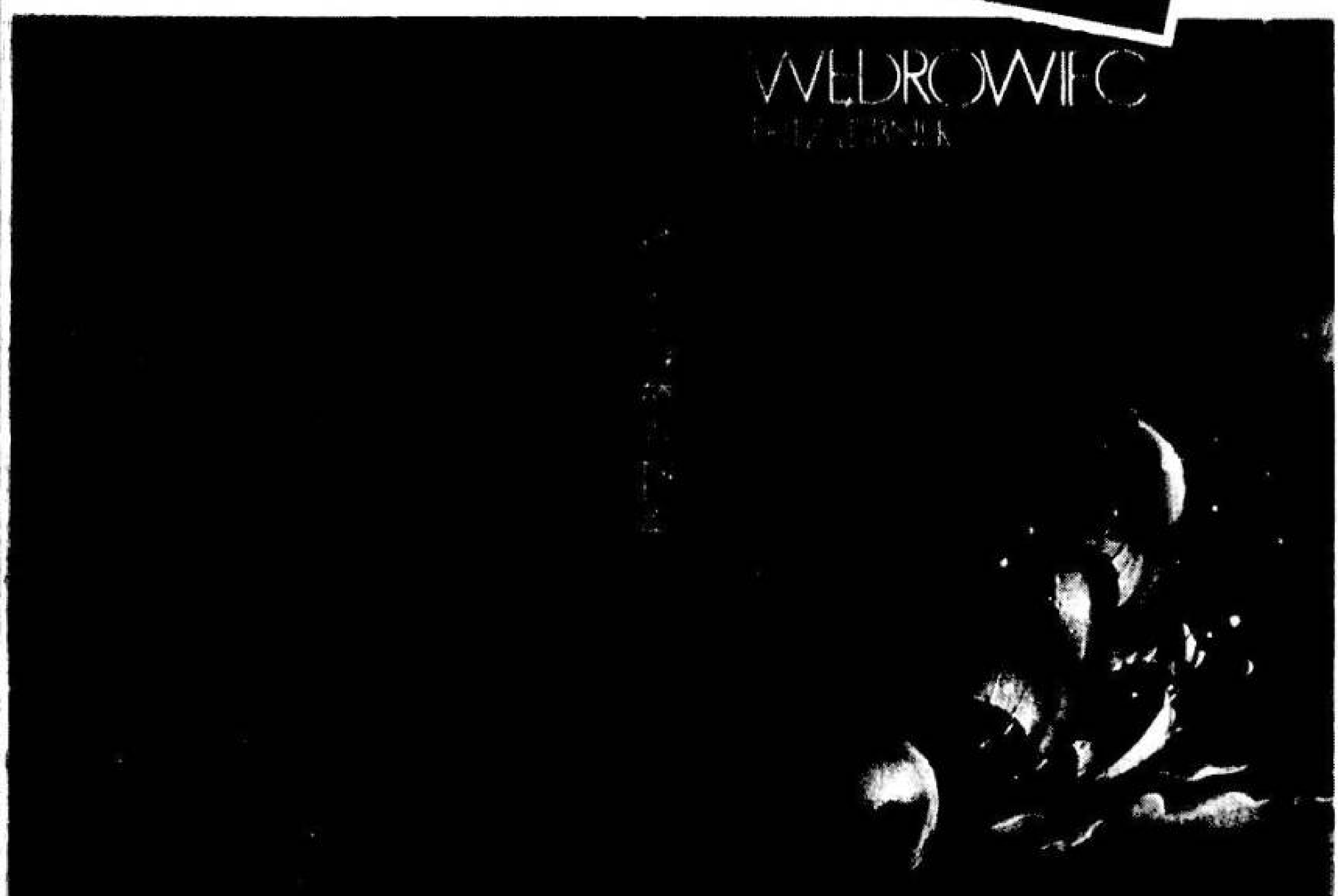
MIŁOŚNIK ZWIERZĄT

TOMASZ OLBIŃSKI

GALERIA NIE ZATWIERDZONO

Dlaczego jedne okładki odrzuca się w wyniku dyskusji redakcyjnej, a inne drukuje? Czemu spośród tych wydrukowanych niektóre tylko cieszą się powodzeniem wśród Czytelników, pozostałe zaś przyjmowane są z niechęcią? Oto temat do dyskusji, którą ma zainicjować nasz przegląd prac nie zatwierdzonych do publikacji oraz wypowiedzi redaktorów „Fantastyki". Prosimy o opinie i wyjaśnienie. (A.H.)





Wojciech Nowaczyk



52 „Science fiction za życia" – tak brzmiał tytuł eseju Andrzeja Urbańczyka, który zamieściliśmy w „Fantastyce" nr 4/85. Tym razem inżynier, pisarz i żeglarz w jednej osobie ujawnia swoje marzenia, pasje i plany życiowe w rozmowie, którą przeprowadził z nim Andrzej Niewiadowski. Ponadto: „Mięso" i „Postęp geometryczny" (str. 48 i 51) – opowiadania autorstwa Andrzeja Urbańczyka.

...3...2...1...



Dawniej byłby to temat wspaniałej powieści science fiction. Dawniej, to znaczy sto lat temu, ale także i za czasów pierwszych thrillerów Lema. Nasza dotychczasowa wiedza wydawała się niespójna, rozproszona, wręcz dziwaczna. Materia, z której zbudowane jest wszystko, co nas otacza – blisko i daleko, a także i my sami – raz odkrywana jest przez uczonych fizyków i matematyków jako porcjowana, kwantowa. Manifestująca się coraz to nowymi cegiełkami w magicznych urządzeniach współczesnej fizyki. Podobnie z energią, bywa także kwantowa, porcjowana, ale można ją również „nakryć" jako falową. Pisarze wykorzystywali błyskotliwe zjawiska czterowymiarowości wszechświata do demonstrowania różnych pętli czasowych, wehikułów czasu. Słowem świat wydawał się na tyle dziwny i pełen niespodzianek, że jego zjawiska stawały się kanwą czy sztafażem przygodowo-intelektualnych romansów.

Science fiction służyła i jeszcze zresztą służy w takim układzie do zadawania ostatecznych pytań o rodowody nasze i wszechświata, o losy, o to co można z teraźniejszości wysnuć na przyszłość. I znowu niebywała okazja. Matematycy i fizycy – to odkrycie ostatnich kilku lat – twierdzą, że nareszcie udało im się (wprawdzie jedynie teoretycznie) uogólnić wszystkie dotychczasowe spekulacje na temat budowy i funkcjonowania wszechświata. „Teoria wszystko wyjaśniająca" to teoria „sprężynowa", doskonale wiążąca kwantowość z falowością, zjawiska materialno-energetyczno-czasowe z grawitacyjnymi.

W czasie wielkiego wybuchu, podczas którego powstały kształty obecnego wszechświata, doszło, jak przypuszcza się, tylko do częściowego „uruchomienia" wszelkich jego sprężyn. Przestrzeń czterowymiarowa odwinęła się jak kawałek dywanu, w pozostałym zawiniątku kryjąc następnych (podobno) aż sześć wymiarów.

W takim kontekście nagle staje się oczywisty obraz platońskiej jaskini, w której ludzie obserwują jedynie cienie prawdziwego świata. Matematycznie udaje się potwierdzić to, co wydawało się li tylko spekulacją rozumu i wyobraźni. Od dawien dawna filozofowie przypuszczali, że nasz ludzki świat jest uboższy, i to znacznie, od faktycznych kształtów i funkcji prawdziwego wszechświata. Ale dzisiaj stworzona z tego kanwa romansu przyjęta zostałaby jak powrót do staroci, jak naiwne wykorzystywanie nauki i techniki w science fiction.

Toż właśnie niedawno zalała nas fala listów krytykujących nasze wydanie retro „Fantastyki". Dlatego m.in., że autorzy sprzed lat wykorzystywali w swej świętej naiwności cuda natury i techniki jako tło dziwacznych opowieści. Któż śmie dziś czytać Wellsa, Lasswitza czy Verne'a, kto powraca do Żuławskiego, nawet do niego. Kto sięga po „Astronautów" Lema, jeśli po tym wszystkim nadszedł cały potop nowej fantastyki?

Nie powstanie więc na pewno powieść o rewolucyjnej teorii matematycznej, odmieniającej w naszych czasach obraz wszechświata. Byłaby taka powieść niemodna. Dziecinna, naiwna, anachroniczna? Ale przecież przynajmniej miałaby ona, ta powieść w dawnym stylu, ta klasyczna science fiction, jakiś ładunek wiedzy, nauki. Podczas, gdy to, co dzisiaj piszą młodzi, jest bez porównania prymitywniejsze. Tak, tak, gdy się dobrze wczytacie, moi drodzy, w to, co tworzy młoda generacja science fiction, czy raczej młoda generacja fantastów, uciekająca od nauki i porównacie z tym, co było 100 lat temu, to dojrzycie oprócz zawichrowań wyobraźni, – ubóstwo wiedzy, naiwność, czasem wręcz karykaturalną, infantylizm. Przykre to zarzuty. Pisarstwo staje się rzeczą łatwą, gdy się jako tako opanuje sztukę samego tylko pisania kulkowym, gładko po papierze jadącym instrumentem, zwanym długopisem, czy też na maszynie. Wiedzą o tym dobrze redaktorzy naszego pisma: na nasz konkurs przychodzą setki i tysiące tekstów, większość niestety to chały. Zjawiska te mogą smucić zarówno jak cieszyć. Cieszyć choćby dlatego, że grafomanie, że snobizmy kulturowe, to motor postępu, to również – powiedzmy poprawniej – motor postępu czytelnictwa, znawstwa sztuki itd. Nie ulega wątpliwości, że publiczność literacko-artystyczna składa się w dużym procencie właśnie ze snobów. Więc zjawiska grafomanii nie należałoby właściwie potępiać w czambuł. Czasem się je nawet i hołubi.

Ale tego, co dzieje się w fantastyce, tych wyostrzonych w pewnych tylko kierunkach gustów miłośników SF nie da się łatwo wytłumaczyć, nie da się ich porównać ze stosunkiem współczesnego młodego człowieka do innych dziedzin kultury, do innych zjawisk kultury masowej. Obserwuję na przykład reakcję młodych widzów podczas odbioru filmów przedwojennych, zwłaszcza melodramatów czy nawet kiczów, które jeden za drugim powstawały w wytwórniach typu Klangfilm. Te rzeczy dziś się podobają w przeciwieństwie do wielu współczesnych, obecnie produkowanych obrazów. Młodzież często-gęsto lepiej zna nazwiska dawnych aktorek i aktorów niż dzisiejszych gwiazd. Dzieje się więc całkiem inaczej, niż w przypadku percepcji starej fantastyki.

Charakterystyczna dla obrazu dzisiejszej publiczności literatury fantastycznej jest jej niechęć do wszystkiego, co mogłoby zakłócić wyimaginowaną „czystość" tego gatunku piśmiennictwa, czy także filmów na tym piśmiennictwie opartych. Poezja – won, eseistyka niepotrzebna, krytyka – tylko jednostronna, bijąca w to, co może nie wydawać się SF. Starocie precz. Nawet nie przyjmuje się fantasy, bajki nie są wśród naszych fanów en vogue. Bez komentarzy! Po prostu tak to wygląda i już! Sondaże informują nas na szczęście, że oprócz miłośników, zatwardziałych w swoich poglądach o „czystości" SF, czytają nas ludzie, mnóstwo ludzi przeróżnych zawodów: od profesorów uniwersytetu po robotników. Dla nich warto demonstrować tę różnorodność, to bogactwo stylów i form fantastyki krajowej i światowej. O takie bogactwo przecież usilnie się staramy. Proszę wobec tego żeglować raczej z nami, po n a s z e j orbicie, przyjaciele i przeciwnicy.

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI Fantastyka

00-640 WARSZAWA, ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki, nauki).

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Łatała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Wiktor Malski, Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (p.o. sekr. red.), Anna Szulika, Anna Tabaczyńska (dział nauki), Darosław J. Toruń, Marek Zalejski.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy i Propagandy, tel. 25-35-36.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Oddano do składu 27 stycznia 1986 r.

Druk i oprawa: P.Z. Graf. RSW Łódź [illegible]

NR INDEKSU 35839

PL ISSN 0209-1631

LĄDOWANIE XXXVIII

Nowa porcja listów. Zastanawia, że większość na temat retro. Wybrałem jeden z nich, ponieważ podchodzi szerzej do zagadnień redagowania „Fantastyki”. Od niego więc zacznę dzisiejszą korespondencję z równoczesnymi komentarzami i odpowiedziami.

Monotematyczne mijają się z celem

„Fantastyka” jest jak dotąd jedynym, wysokonakładowym pismem tego rodzaju i dlatego też uważam, że monotematyczne numery mijają się z celem. Numer ze smokami jakoś przetrawiłem, ostatniego „pożółkłego” – już nie. Duże brawa za dobór powieści i większość opowiadań. Zasada niedrukowania tytułów, wydanych wcześniej, jak najbardziej chwalebna. Sprawa grafiki. Gdyby „Fantastyka” była drukowana na dobrym papierze, nie miałbym nic przeciwko niej. Ale obecnie mija się z celem. Bibliografia – duże brawa. Szkoda, że to tak się ciągnie. Czy nie można podwoić objętościowo? Serdecznie pozdrawiam całą Redakcję, życząc bombowych numerów. Mam 33 lata, wykształcenie wyższe, techniczne, SF interesuję się od 20 lat. Kolekcjonuję wydawnictwa z tej dziedziny i biorę udział w Ruchu Miłośników. Nawiążę kontakt z kolekcjonerem wydawnictw SF. Posiadam kilkadziesiąt tytułów podwójnych na wymianę. ***Jan Karolczyk,*** *Uczniowska 18/85, 43-100 TYCHY.*

Myślę, że pan Karolczyk utrafił w sedno. Numery fantasy, monotematyczne, jak i ten retro – były krytykowane nie za jakość tekstów, lecz za monotonię, jednorodność. Myślę, że to dla redakcji wskazówka. Poza tym miłośnicy przywykli do bogactwa tematów w „Fantastyce” i drażni ich każde tematyczne zawężenie.

Poezja to chyba niewypał

Poezja w „Fantastyce” to chyba niewypał. Nie mam nic przeciwko poezji jako takiej, ale SF to przede wszystkim powieść, opowiadanie, nowela czy też wreszcie film, o którym tak mało piszecie. Dobór powieści natomiast wspaniały. Opowiadań, poza nielicznymi wyjątkami, również (zarówno polskich, jak i zagranicznych). Tak trzymajcie dalej. Poszukuję „Fantastyki” 1 i 3 z 1982 r., 1(4), 2(5), 3(6), 6(9) z 1983 r., 5(32) z 1985 r. Posiadam do wymiany lub odstąpienia 8(11), 10(13), 11-12(14-15) i wiele innych. ***Stanisław Wnuk,*** *ul. 28 Czerwca 1956 nr 130 m 2, 61-525 POZNAŃ.*

Nad poezją na łamach „Fantastyki” odbywają się dyskusje na każdym spotkaniu redakcyjnym. Postanowiliśmy drukować ją wtedy tylko, gdy będzie naprawdę pasowała do naszego profilu i to mniej więcej raz na dwa miesiące. Słowem, będziemy drukować poezję bez względu na dąsy licznych miłośników „czystości” gatunku. Każda dobra znajdzie swój kącik u nas.

Mam dla Was nieśmiałą propozycję. Porozmawiajcie ze Zdzisławem Beksińskim, a może wydać Wam się uda jego obrazy. Nie w numerach, lecz na plakatach właśnie. Następnie, wszystko co do tej pory w Waszej „Galerii” zostało wydane może być rzucone na poster i Wasze okładki w tej formie. Ciepłej Wigilii, pachnącej choinki, cichej kolędy i celnego Nowego Roku. ***Włodzimierz Ogórowski,*** *Staffa 6/53, ŁÓDŹ.*

Dziękuję za list, będący próbą eseju o naszej kulturze, a jeśli idzie o propozycje, które pozwoliłem sobie opublikować to istotnie tak postępujemy, jak Pan radzi. Zwracamy się do wybitnych plastyków i próbujemy namawiać ich do uczestnictwa zarówno w naszych numerach, jak i w plakatach czy posterach. Niestety, efekty są z wielu powodów niezadowalające. Po pierwsze w numerze nawet niezła plastyka (np. włoska) wychodzi nie najlepiej. Postery zaś kiszą się niezmiernie długo w naszej drukarni, tak długo, że tak my, jak i Czytelnicy tracą cierpliwość, oczekując ich pojawienia się na rynku. Nie znaczy to, że ręce nam opadną i ustąpimy przeciwnościom. Ani nam się śni.

PS. Wszystkim, którzy dawno po Świętach Wielkanocnych przeczytają te listy z okresu wigilijnego uświadomi się w pełni jak długo (około 4 miesięcy) redaktorzy „Fantastyki” i jej Czytelnicy muszą czekać na konkretne efekty.

Nie jesteśmy już dziećmi

Chciałam pogratulować dobrej zawartości ostatniego numeru. Dziwi mnie fakt, że to czasopismo ma tak „delikatny charakter”, a przecież główny wpływ na charakter „Fantastyki” mają mężczyźni. Dlaczego wobec tego brakuje trochę brutalności, krwiożerczych walk, potworów i seksu (i co z tego, że Wasze czasopismo czytuje młodzież?) Myślę, że my, młodzież, nie jesteśmy tak naprawdę już dziećmi. Przecież człowiek mający naście lat wie już dość dużo o sprawach intymnych, choć jego opiekunowie wcale go o to nie posądzają. Nie można więc nas zgorszyć takimi opowiastkami jak „Houston, Houston”. Zachowujecie się dokładnie jak babki z XVIII wieku. Mam małą propozycję dla was... Co myślicie o zorganizowaniu zjazdu czytelników „Fantastyki”. Przecież tych zagorzałych nie jest tak dużo. ***Agata Pyć*** *z Łodzi, uczennica liceum ogólnokształcącego, lat 16.*

Bardzo jest ciekawy ten głos młodej Damy. Nas krępuje zawsze wzgląd na statystykę, według której czytają nas zarówno dzieci, jak i dorośli. Chcemy służyć wszystkim Czytelnikom, ale balibyśmy się urządzać ich zjazd. Według naszego bowiem rozeznania (nie pi razy oko) stawiłoby się na miejsce takiego zjazdu około pół miliona osób, a może i więcej. Gdzie takie miejsce w ogóle znaleźć?

Jestem mieszkańcem Brzezinki-Mysłowic (woj. katowickie). W mojej miejscowości jest 5 kiosków Ruchu. Do każdego przychodzi jeden, wyjątkowo dwa numery „Fantastyki”, które i tak wędrują do teczek. W tej chwili brakuje mi trzech pierwszych numerów i 9(12). Ale miarka się przebrała, kiedy to, będąc na bazarze w Warszawie (bo tam pracuję), kupiłem 1(4) z roku 1983 za bagatelne 1100 złotych! Pani z okienka pocztowego poradziła mi, żeby napisać do Was z prośbą o poinformowanie czy istnieje jeszcze jakaś szansa prenumeraty na ten rok. ***Czesław Mirski,*** *ul. Boczna 10/71, 41-404 MYSŁOWICE 4.*

Stawia mnie pan w bardzo przykrym położeniu. Bo jako stałemu i zagorzałemu Czytelnikowi nieba bym chętnie przychylił, niestety nie mam, ani nikt w redakcji nie ma, sposobu ani wpływu na sprawy prenumeraty czy wysokości nakładu. Takich listów jaki Pan napisał, otrzymujemy setki, grube setki i nic poradzić nie potrafimy. Nie w naszej kompetencji sprawy prenumeraty czy kolportażu. Redakcja z tymi sprawami nic wspólnego nie ma. Nie dysponuje również jakimś zapasem „wolnych numerów”, którymi mogłaby likwidować luki powstałe z powodu niedostatków nakładu pisma i mniejszych lub większych błędów w jego dystrybucji. Proszę więc wszystkich, którzy skarżą się na to, że nie mogą „Fantastyki” dostać, aby do nas żalu nie mieli.

Redaktor

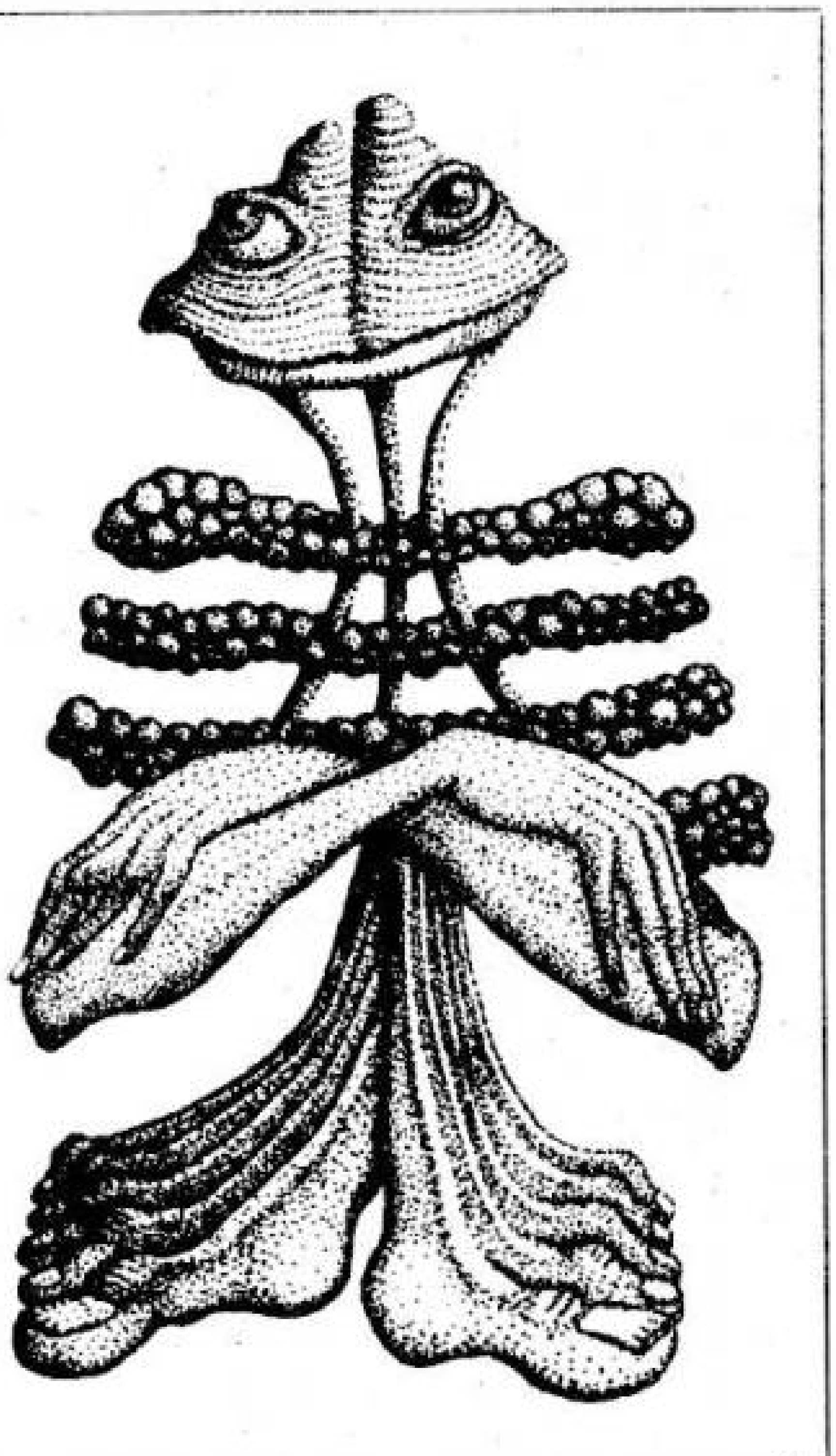


Zbigniew Latała

I Stałem akurat przed klatką Elizabeth, kiedy brzęczenie za prawym uchem powiedziało mi, że inspektor Morganstark chce się ze mną zobaczyć. Byłem z lekka zdziwiony, ale nie dałem tego po sobie poznać. Tak zostałem wyszkolony: pewnych rzeczy nie należy dawać po sobie poznać. Przesunąłem językiem jeden z maleńkich włączników umieszczonych za moimi trzonowymi zębami i powiedziałem:

– Odebrałem. Będę za pół godziny. – Musiałem mówić głośno, żeby mnie słyszały odbiorniki i magnetofony w Centrali. Radiostacja nadawczo-odbiorcza, którą mi wszczepiono w zgrubienie za uchem nie była na tyle czuła, żeby pochwycić mój głos gdybym szeptał (monitory traciłyby cholernie dużo czasu na słuchanie mojego oddechu i odgłosów przełykania). Ale poza mną nie było w pobliżu nikogo, mogłem się nie martwić, że mnie ktoś usłyszy.

Po potwierdzeniu wezwania stałem jeszcze kilka minut przed klatką Elizabeth. Nie to, żebym miał coś przeciwko temu, że mnie



Łukasz Ługowski

MIŁOŚNIK ZWIERZĄT

Stephen R. Donaldson ***(Animal Lover)***

wzywają, mimo że był to mój wolny dzień. Tak samo zresztą nie mogę powiedzieć, żebym się tu szczególnie dobrze bawił. Nie lubię ogrodów zoologicznych. Nie dlatego, żeby to było nieprzyjemne miejsce – przynajmniej dla ludzi: czyste ścieżki, zdroje wody pitnej, tablice z opisami okazów. Ale dla zwierząt...

Właśnie, weźmy na przykład taką Elizabeth. Kiedy ją tu przywiozłem, parę miesięcy temu, była jednym z najpiękniejszych kuguarów, jakie widziałem w życiu. Miała bystre oczy, właściwe tylko autentycznym myśliwym, delikatny pysk i absolutnie wspaniałe wąsy. Ale teraz oczy jej przygasły, stały się rozlatane, jakby ich nie mogła na niczym skupić. Krok, dawniej tak sprężysty, zrobił się rozlazły, czasem nawet ocierała sobie łapy, nie podnosząc ich dostatecznie wysoko. Pielęgniarze przycięli jej krótko wąsy, prawdopodobnie dlatego, że niektóre wielkie koty w ogrodach zoologicznych wtykają pyski między pręty klatek, a różne skurwysyny potrafią je za te wąsy ciągnąć, żeby pokazać, jacy są odważni. W tej klatce Elizabeth była po prostu jeszcze jednym żałosnym, skazanym na zagładę stworzeniem.

Nasuwa się więc pytanie, dlaczego ją tam umieściłem. Mój Boże, a co miałem robić? Zostawić ją i skazać na śmierć głodową, kiedy była jeszcze małym kociakiem? Oddać hodowcom, żeby po dorośnięciu przeszła przez to wszystko, co wykończyło jej matkę? Trzymać ją w mieszkaniu, aż zrobi się taka wielka i niebezpieczna, że mi skoczy do gardła? A może miałem ją puścić ot, tak sobie, nie umiejącą polować, w okolicy pełnej ludzi, którzy by ją bardzo szybko dopadli z granatami?

Nie, zoo stanowiło jedyne miejsce – z którego zresztą nie byłem zadowolony.

Jako dziecko mówiłem zawsze, że kiedyś, jak będę bogaty, zbuduję prawdziwe zoo. Takie zoo, jakie bywały trzydzieści czy czterdzieści lat temu, gdzie zwierzęta żyły, jak to się mówiło, w naturalnym środowisku. Ale już teraz wiem, że nigdy nie będę bogaty. A tych starych, dobrych ogrodów zoologicznych też już nie ma. Zostały zamienione na rezerwaty myśliwskie, kiedy wzrosło zapotrzebowanie na „sport". Obecnie do ogrodów zoologicznych trafiają jedynie zwierzęta zbyt słabe, żeby mogły polować, albo z natury rzeczy niegroźne. Z wyjątkami w rodzaju Elizabeth, które zdarzają się od czasu do czasu.

Przypuszczam, że nie odszedłem od klatki tak zaraz z tego samego powodu, dla którego w ogóle odwiedzałem Elizabeth i Emily, i Johna. Miałem nadzieję na jakiś znak z jej strony, świadczący, że mnie poznała. Słaba szansa. Była przecież kuguarem, a więc istotą zbyt mało wrażliwą, żeby wiedzieć, co to wdzięczność. Zresztą atmosfera ogrodu zoologicznego nie sprzyja rozbudzaniu uczuć u zwierząt drapieżnych. Nawet Emily, kojot, zapomniała mnie w końcu. A John, łysy orzeł, jest za głupi na jakiekolwiek uczucia. Robił wrażenie, jakby zapomniał wszystko, cokolwiek w życiu wiedział. Nie, uczuciowy z tego całego towarzystwa byłem tylko ja. I dlatego spóźniłem się do Biura.

Ale nie o tym myślałem, kiedy wreszcie tam przyszedłem. Myślałem o swojej pracy. Pod wpływem wizyty w zoo zawsze spoglądałem na pokój, w którym siedzieli wszyscy agenci specjalni i inspektorzy z naszego wydziału świeżymi oczyma. Był rok 2011, ludzie spacerowali sobie po Marsie, budowano stacje ultrakrótkofalowe do przesyłu energii słonecznej, marihuana i wyścigi samochodowe nabrały takiego znaczenia, że doczekały się subsydiów rządowych – ale pokoje, w których mężczyźni i kobiety tacy jak ja wykonywali swoją pracę papierkową w dalszym ciągu przypominały posterunki policji ze starych, oglądanych w dzieciństwie filmów.

Nie było okien. Kurz i pety w kątach tworzyły niemal skamieliny. Biurka (zawalone papierami, które robiły wrażenie, jakby spadły z sufitu) stały tak blisko siebie, że czuliśmy, jak się pocimy przy pracy – bo mamy dość sporządzania raportów, bo nam się chce rzygać na myśl, że nie jesteśmy w stanie zrobić najmniejszego wyłomu w poziomie przestępczości albo dlatego, że się boimy. Albo dlatego, że jesteśmy różni. Ten pokój był jak jedna wielka klatka. Nawet identyfikator w klapie mojej marynarki informujący: *Agent Specjalny Sam Browne,* bardziej przypominał tabliczkę z zoo niż cokolwiek innego.

Nie pracowałem tutaj tak bardzo długo, jeśli ten czas mierzyć w latach, ale dostatecznie długo, żebym był zadowolony za każdym razem, kiedy inspektor Morganstark wysyłał mnie w teren. Jedyna zmiana, jaka zaszła w atmosferze Biura w ciągu ubiegłych czterdziestu lat, polegała na tym, że teraz wszystko było bardziej ponure. Agenci specjalni nie zajmowali się przestępstwami pospolitymi, jak prostytucja, hazard czy zaginięcia, ponieważ mieli zbyt dużo roboty z porwaniami, terroryzmem, morderstwami, wojnami gangów. No i pracowaliśmy w pojedynkę, bo było nas za mało.

Prawdziwe zmiany były ukryte. Sąsiedni pokój, jeszcze większy od naszego, był po sufit zawalony komputerami i programatorami. A w następnym pomieszczeniu znajdowały się nadajniki i magnetofony, które kontrolowały poczynania agentów w terenie. Bo i agenci specjalni się zmienili.

Ale filozofia (czy też fizjologia, w zależności od punktu widzenia) jest jak uczucie – a ja już byłem spóźniony. Zanim zdążyłem podejść do swojego biurka, inspektor dostrzegł mnie i zawołał przez cały pokój:

– Browne! – Ponieważ najwyraźniej nie miał ochoty czekać, więc ignorując stertę nowych papierów na swoim biurku podszedłem prosto do niego.

Zamknąłem drzwi i stałem czekając, aż się zdecyduje, czy mnie objechać, czy nie. Nie to, żebym miał coś przeciwko objechaniu, broń Boże. Lubiłem inspektora Morganstarka, nawet wtedy, kiedy się na mnie złościł. Był mały, z cofającą się linią włosów, a w ciągu pracy w Biurze jego oczy wyblakły i nabrały wyrazu zmęczenia. Zawsze robił wrażenie – i chyba słusznie –

znękanego. Był jedynym inspektorem w naszym Wydziale na tyle ludzkim, czy może na tyle upartym, że zdarzało mu się ignorować komputery. Czasem polegał po prostu na swoim nosie, ale bywało, że ten nos przysparzał mu kłopotów. Lubiłem go za to. Warto było znosić jego humory, żeby tylko z nim pracować.

Siedział z łokciami na biurku, trzymając oburącz segregator, jakby w obawie, że mu się wyrwie. Jak na standardy Biura był to dość cienki segregator - trudno wyłączyć komputery, jak już się je raz uruchomi. Nie spojrzał na mnie, co zwykle stanowi zły znak, ale nie miał wściekłej miny. Mówiła raczej: „coś-tu-jest-nie-w-porządku-i-bardzo-mi-się-to-nie-podoba". Nagle zapragnąłem, żeby mi powierzył tę sprawę. Skorzystałem więc z okazji i usiadłem po drugiej stronie biurka. Próbowałem promieniować pewnością siebie - ale nie miałem jej zbyt wiele. Po dwóch latach pracy w charakterze agenta specjalnego w dalszym ciągu byłem za popychle u inspektora Morganstarka. Jak do tej pory nie powierzył mi jeszcze zadania, które by nie miało ściśle rutynowego charakteru.

Po chwili odłożył segregator i spojrzał na mnie. Ale i w jego oczach nie było złości. Tylko troska. Założył ręce za głowę i oparł się wygodnie w fotelu, a następnie powiedział:

- Byłeś w zoo?

I to był kolejny powód, dla którego lubiłem inspektora. Traktował moich podopiecznych poważnie. Nie czułem się wtedy jedynie sprzętem.

- Tak - odparłem. Żeby się wydać bardziej kompetentny, nie uśmiechnąłem się.

- Ile ich teraz masz?

- Trójkę. Parę miesięcy temu przywiozłem Elizabeth.

- No i jak ona się miewa?

Wzruszyłem ramionami.

- Tak sobie. Zwykle jak się je zamknie w klatce, niewiele im potrzeba, żeby oklapły.

Badał mnie wzrokiem jeszcze przez chwilę. Potem powiedział:

- Dlatego chcę właśnie tobie powierzyć tę sprawę. Bo znasz się na zwierzętach. I na polowaniu. Nie wyciągniesz pochopnie fałszywych wniosków.

No cóż, nie byłem myśliwym, ale wiedziałem, o co mu chodzi. Znałem dobrze rezerwaty myśliwskie. Stamtąd właśnie wziąłem Johna, Emily i Elizabeth. Takie hobby. Ilekroć mam okazję (na przykład kiedy jestem na urlopie), odwiedzam rezerwaty. Płacę za wstęp jak inni i - ryzykuję jak inni. Ale nigdy nie biorę ze sobą broni - nie chodzę tam zabijać. Poszukuję młodych - jak Elizabeth - skazanych praktycznie na śmierć po zastrzeleniu czy złapaniu w potrzask matki. Przemycam takich malców na zewnątrz, hoduję, jak długo mogę, a potem oddaję do zoo.

Czasami nie znajdę ich w porę, a czasem znajdę już okaleczone przez jakiś niecelny strzał czy sidła. Te dobijam. Jak powiedziałem, jestem uczuciowy.

Ale nie wiedziałem, co inspektor miał na myśli mówiąc o pochopnym wyciąganiu fałszywych wniosków. Zrobiłem pytającą minę i czekałem.

- Słyszałeś kiedyś o Rezerwacie Łowieckim Sharon's Point? - zapytał.

- Nie, przecież jest tyle tych rezerwatów... Są, zaraz po wyścigach najbardziej popularne...

Przerwał mi w pół słowa. Nachylił się i oskarżycielsko wymierzył palec w segregator.

- Tam giną ludzie.

Nie odezwałem się na to słowem. We wszystkich rezerwatach łowieckich ginęli ludzie. Po to one były. Od dwudziestu lat, od kiedy przestępczość stała się w tym kraju problemem numer jeden, rząd przeznaczył na to kupę pieniędzy. Naprawdę ogromne sumy. Na „egzekwowanie prawa", i więzienia oczywiście. Na narkotyki, jak marihuana, które działają uspokajająco. Ale również na wszelkie urządzenia, umożliwiające ludziom wyładowanie agresji w sposób nie powodujący kolizji z prawem.

Jak na przykład wyścigi samochodowe. Wobec subsydiów rządowych praktycznie nie ma osoby - czy to mężczyzny, czy kobiety - która by nie mogła sobie pozwolić na zrobienie podrasowanym wozem kilku rund po torze wyścigowym. Zgodnie z tym, co twierdzą socjologowie, możliwość zrobienia czegoś gwałtownego, co się łączy z ryzykiem życia, ma dla człowieka ogromne znaczenie. Aby osiągnąć pożądaną katharsis, brutalność i ryzyko muszą być rzeczywiste. Z całym tym światowym przeludnieniem i presją ekonomiczną, której ludzkość podlega, musi istnieć jakaś klapa bezpieczeństwa. Coś, co powstrzyma przestępczość, ku której ludzie mogliby się zwrócić ze zwykłego znudzenia, frustracji czy skłonności do perwersji.

Po to są rezerwaty łowieckie. Po to zapełnia się zamknięte dzikie ostępy wszelkiego rodzaju niebezpieczną zwierzyną, a potem wpuszcza tam myśliwych, samotnych oczywiście - i niech zabijają co się da, usiłując przy tym ocalić własne życie. Każdy, kto lubi widok krwi może wziąć broń i zmierzyć się z najróżniejszymi wielkimi kotami, wilkami, antylopami gnu, niedźwiedziami grizzly i tym podobnymi.

Ten sport jest niemal tak popularny, jak wyścigi samochodowe. Ludzie lubią złudzenie „zabijaj albo zostań zabity". Mordują zwierzęta tak szybko, jak hodowcy je dostarczają. (Niektórzy używają nawet zatrutych strzał i kul dum-dum. Inni próbują przemycać do rezerwatów broń laserową, czego się zresztą surowo zabrania. Prywatnym osobom nie wolno posiadać laserów). Wszystko to jest wysoce terapeutyczne. I obrzydliwe. Przypadki niedobicia i okaleczenia zwierząt przewyższają celne strzały w stosunku dwadzieścia do jednego i jak dla mnie ginie o wiele za mało ludzi. Ale uważam, że mimo wszystko lepsze to niż wojna. Przynajmniej nie próbujemy robić tych rzeczy z Chińczykami.

Inspektor powiedział:

- Myślisz na pewno: brawo lwy i tygrysy.

Wzruszyłem ramionami.

- Sharon's Point musi się cieszyć wielkim powodzeniem.

- Tego nie wiem - odparł cierpko. - Oni nie są subsydiowani przez władze federalne i nie muszą się rozliczać. Dostaję tylko świadectwa zgonów. - Tym razem dotknął segregatora czubkami palców, jakby to było coś bardzo delikatnego albo niebezpiecznego. - Od chwili otwarcia Sharon's Point, czyli od dwudziestu miesięcy, zginęło czterdzieści pięć osób.

Zupełnie bezwiednie powiedziałem:

- O kurwa! - przez co oczywiście nie wydałem się bardziej kompetentny. Ale byłem zdziwiony. Czterdzieści pięć osób! Znałem rezerwaty, w których tyle nie zginęło przez pięć lat. Większość myśliwych nie lubi narażać się aż do tego stopnia.

- I jest coraz gorzej - podjął inspektor Morganstark. - Dziesięć osób w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy. Piętnaście przez następne pięć. I dwadzieścia w ciągu ostatnich pięciu.

- Mają wielkie powodzenie - mruknąłem.

- I to jest dziwne - odparł inspektor - ponieważ nie prowadzą żadnej reklamy.

- Czyżby polegali tylko na informacji ustnej? - To by wskazywało na kilka rzeczy, ale przede wszystkim nasunęło mi się: - A co oni mają takiego szczególnego?

- To znaczy poza czterdziestoma pięcioma zabitymi? - burknął inspektor. - Jest na nich więcej zażaleń niż na jakikolwiek rezerwat w kraju. - Nie miało to wielkiego sensu, ale inspektor wyjaśnił: - Chodzi o skargi rodzin. Nie zwracają im ciał.

No cóż, to rzeczywiście było coś szczególnego - na swój sposób. Jeszcze nie słyszałem o rezerwacie, który by nie zwracał ciał najbliższym.

- A co się z nimi dzieje?

- Kremują je. W Sharon's Point. Rodziny skarżą się, że małżonkowie muszą podpisywać zgodę, zanim myśliwi zostaną tam wpuszczeni. Nie każdemu ten zwyczaj odpowiada. Ale przede wszystkim nie odpowiada im to, że ciała mężów czy żon są palone natychmiast. Tak, że ci małżonkowie nie mają nawet okazji ich zobaczyć. Dostają jedynie zawiadomienie i świadectwo zgonu. - Spojrzał na mnie ostro. - Nie ma w tym nadużycia. Wszystkie zgody zostały podpisane z góry.

Zastanawiałem się przez chwilę, po czym spytałem wymijająco:

- Co to byli za ludzie?

Inspektor posępnie zmarszczył czoło.

- Najlepsi. Większość z nich nie powinna była zginąć. - Wyjął wydruk komputerowy z segregatora i rzucił mi przez biurko. - Zobacz.

Wydruk zawierał komputerowe dane dotyczące czterdziestu pięciu zmarłych. Wszyscy byli zamożni, ale tylko 26,67 % doszło do swoich pieniędzy samodzielnie; 73,33 % odziedziczyło je albo zyskało przez małżeństwo. Przed 82,2 % rysowała się wspaniała finansowa kariera, 91,1% stanowili doświadczeni myśliwi, a z tego 65,9 % cieszyło się opinią szczególnie sprawnych. 84,4 % wiele podróżowało po świecie w poszukiwaniu „zwierzyny" - im bardziej niebezpieczna, tym lepsza.

- Może i zwierzęta też są doświadczone - powiedziałem.

Inspektor nie roześmiał się. Czytałem dalej.

Na dole kartki znalazłem interesującą informację: 75,56 % znało przynajmniej pięć osób z tej listy; 0,00 % nie znało nikogo.

Zwróciłem inspektorowi wydruk.

- Z pewnością informacja ustna. Na zasadzie klubu. - W rezerwacie łowieckim Sharon's Point działo się coś ciekawego i bardzo chciałem się dowiedzieć, co to takiego. Usiłując nadać swojemu głosowi obojętny ton spytałem:

- A co zaleca komputer?

Inspektor spojrzał w sufit.

– Żeby o całej sprawie zapomnieć. Ta cholerna maszyna nie rozumie nawet, po co zadaję sobie trud pytając ją o cokolwiek. Żadnego nadużycia nie ma. A śmiertelność jest bez znaczenia. Kiedy zwróciłem się po raz drugi, odesłał mnie do innego komputera.

Obserwowałem Morganstarka.

– Ale pan nie zapomni?

Wyrzucił w górę ręce.

– Ja? Miałbym zapomnieć? Czy ja wyglądam na człowieka, który ma aż tyle zdrowego rozsądku? Wiesz doskonale, że nie zapomnę.

– A dlaczego?

Pytanie wydawało mi się zupełnie uzasadnione, ale inspektor zbył je machnięciem ręki.

– Krótko mówiąc – podjął już spokojniejszym tonem – powierzam tę sprawę tobie. Chciałbym, żebyś tam był już jutro.

Zacząłem coś mówić, ale mnie powstrzymał. Patrzył mi prosto w oczy, a ja wiedziałem, że zamierza powiedzieć coś bardzo dla siebie ważnego.

– Powierzam ci tę sprawę – rzekł – ponieważ się o ciebie martwię. Nie dlatego, że jesteś zielony, a sprawa jest trywialna. Bo ona wcale nie jest trywialna. Ja to czuję – o tu. – Położył rękę na wypukłości czaszki za prawym uchem, jak gdyby jego przeczucia pochodziły z wmontowanej tam radiostacji. Po czym westchnął. – Ale to nie wszystko. Wiem po prostu, że gdybym się mylił, nie zrobisz z tego afery. Że dlatego tylko, że giną ludzie, nie będziesz mi się stawiał, żeby doprowadzić do zamknięcia Sharon's Point. Nie będziesz ich oskarżał z tej jedynej przyczyny, że mają za wysoki współczynnik zgonów. Że będziesz się cieszył w imieniu zwierząt.

A do tego wszystkiego – ciągnął tak, że nie miałem możliwości mu przerwać – chcę, żebyś się tym zajął, ponieważ uważam, że jest ci to potrzebne. Nie muszę ci chyba mówić, że nie leży ci rola agenta specjalnego. Nie czujesz się dobrze z tą całą wyszukaną aparaturą, w którą musieliśmy cię wyposażyć. Wszystkie testy na przystosowanie, jakim zostałeś poddany, wskazują na głęboko zakorzenioną niemożność zaakceptowania własnego ja. Tobie potrzebna jest sprawa, która ci pozwoli odnaleźć siebie.

– Inspektorze – odparłem – jestem już duży. Jestem tu z własnej i nieprzymuszonej woli. Pan mnie nie posyła tam jedynie po to, żeby mi ułatwić przystosowanie. Dlaczego pan mi nie powie, z jakiego powodu postanowił pan pominąć komputer?

Wpatrywał się we mnie, tak jakbym mu zaproponował coś nienormalnego. Ale ja znałem to spojrzenie. Znaczyło ono, że jest zły i o krok od przyznania się do tego przed nami obydwoma po raz pierwszy. Nagle wziął segregator i ze złością popchnął go w moją stronę.

– Ostatnia pozycja na liście zmarłych to Nick Kolcsz. Był agentem specjalnym.

Agent specjalny. To mi coś niecoś wyjaśniło, ale nie wszystko. Nie znałem Kolcsza. Miał pieniądze, ale ta informacja mi nie wystarczała. Wystawiłem humor inspektora na kolejną próbę.

– A co on tam robił?

Zerwał się na równe nogi, żeby mu było łatwiej krzyczeć:

– A skąd ja mam wiedzieć?! – Jak wszyscy porządni ludzie w Biurze, przeżywał śmierć agenta bardzo osobiście. – Był na urlopie! I miał wyłączony ten cholerny komunikator! – Usiadł gwałtownie. Po chwili złość mu przeszła i był po prostu tylko zmęczony. – Przypuszczam, że wybrał się tam na polowanie, jak wszyscy inni. Wiesz doskonale, że nie kontrolujemy agentów na urlopie. Nawet agentom potrzebna jest od czasu do czasu jakaś prywatność. Nie wiedzieliśmy nawet, że on nie żyje, dopóki nie wpłynęła skarga jego żony, który nie pokazali ciała.

Nie chodzi mi o dezawuowanie resortu bezpieczeństwa, o ten cały metal w jego prochach. Tak naprawdę niepokoi mnie – teraz w jego wygaszonych oczach pojawiło się coś w rodzaju strachu – żeśmy mu przecież nie wyłączyli źródła zasilania. Ale tego się nigdy nie robi – nawet na okres urlopu. Powinien być bezpieczny. Dzikie słonie nie powinny mu były zrobić krzywdy.

Wiedziałem, o co mu chodzi. Nick Kolcsz był cyborgiem. Jak ja. To, co go zabiło, musiało być jeszcze bardziej niebezpieczne.

II

No cóż – tak, cyborgiem. Ale to sprawa przereklamowana.

Ludziom się niesłusznie wydaje, że agent specjalny jest w jakiś sposób „super". Bierze się to z dawnych filmów, w których cyborgi były zawsze superszybkie i supersilne. I wyposażone we wszelką możliwą broń. I miały wbudowane komputery, które załatwiały za nie takie sprawy jak myślenie. Te cyborgi niewiele się różniły od robotów.

Może kiedyś do tego dojdzie. Ale dziś nikt jeszcze nie dysponuje odpowiednią techniką. To znaczy w zakresie medycyny. Z wielu powodów w ciągu ostatnich dwudziestu lat medycyna zrobiła niewielki postęp. Wobec kłopotów z przeludnieniem nauka nastawiona na „ratowanie życia" nie ma już takiego zastosowania. A poza tym na skutek rozruchów genetycznych z roku 1989 pozamykano wiele ośrodków badawczych.

Nie, moje jedyne wyposażenie to: radiostacja nadawczo-odbiorcza wbudowana w zgrubienie za prawym uchem, żebym mógł być stale w kontakcie z Centralą, cienkie, praktycznie nic nie ważące plastenowe rozpórki wzdłuż nóg, rąk i kręgosłupa, tak że bardzo trudno mi coś złamać (przynajmniej teoretycznie), i zasilacz jądrowy wszczepiony w klatkę piersiową, tak, że jego osłona chroni zarazem i serce. I właśnie to źródło energii zasila mój nadajnik, jak również naddźwiękowy eksploder umieszczony wewnątrz lewej dłoni.

Ma to i swoje złe strony. Nie bardzo mogę zginać pierwsze stawy tej ręki, co oczywiście upośledza jej sprawność. Eksploder jest pokryty błoną lateksową (do złudzenia przypominającą skórę), która się spala przy każdym użyciu, dlatego zawsze muszę nosić zapasową. Ale ma to i swoje dobre strony – w pewnym sensie. Mogę na przykład zabić człowieka z odległości dwudziestu pięciu metrów, a ogłuszyć z pięćdziesięciu; potrafię też wyrwać dziurę w betonowej ścianie – o ile znajdę się odpowiednio blisko.

To właśnie te sprawy inspektor miał na myśli mówiąc o moim nieprzystosowaniu. Nie jestem w stanie przyzwyczaić się do tego, że mógłbym pozabijać wszystkich swoich przyjaciół jedynie naciskając językiem w określony sposób jeden z zębów trzonowych. Dlatego staram się nie mieć zbyt wielu przyjaciół.

Tak czy siak, jeśli chodziło o tę właśnie sprawę, fakt że byłem cyborgiem, nie stanowił dla mnie zbytniej pociechy. Jako jedyne zabezpieczenie miałem bowiem dokładnie to samo wyposażenie, które nie uratowało Nicka Kolcsza. A on miał jeszcze coś, co go zresztą też nie uratowało: wiedział, w co się ładuje. Był doświadczonym myśliwym i znał trzy osoby z listy ofiar. (Musiał też znać niektórych spośród tych, co przeżyli, a przynajmniej słyszeć o nich od innych. Bo i skąd by wiedział, że jest to miejsce niebezpieczne?) Może właśnie po to udał się do Sharon's Point – żeby na własną rękę próbować wyjaśnić, jak zginęli tamci ludzie.

Niestety, nie znaczyło to bynajmniej, że mogę iść do jednego z jego przyjaciół i zapytać, co wiedział Kolcsz. Ludzie, którzy korzystają (o ile „korzyść" jest tu właściwym słowem) z instytucji ekskluzywnych nie mają powodów ufać obcym, takim jak ja. A poza tym agentowi specjalnemu z pewnością nie ujawniliby niczego, co było nielegalne. Nie wyszłoby to na dobre ani im, ani Sharon's Point.

Ale nie uśmiechało mi się leźć w to, co zabiło Kolcsza bez jakichś bardziej szczegółowych danych. Dlatego rozpocząłem poszukiwania.

Pewne informacje uzyskałem sprawdzając rejestrację rezerwatu, niewiele mi to jednak dało. Rejestracja oznaczała jedynie, że inspektor federalny zatwierdził wyposażenie Sharon's Point. A to dotyczy jedynie dwóch spraw: ogrodzenia i urządzeń medycznych.

Każdy rezerwat łowiecki odpowiada za to, żeby zwierzęta nie wydostawały się poza jego obręb, musi też utrzymywać niewielką klinikę, w której mogliby się leczyć poszkodowani klienci (kto by się przejmował okaleczonymi zwierzętami). Otóż inspektor stwierdził, że Sharon's Point spełnia te warunki. Że wzdłuż całego obwodu (w przybliżeniu 133 km) rezerwat jest odpowiednio ogrodzony, a na urządzenia składają się: dobrze wyposażona sala operacyjna i apteka, szpital dla zwierząt (co mnie zdumiało) oraz krematorium – rzekomo dla likwidowania zwierząt zbyt poważnie okaleczonych, żeby je można było wyleczyć.

Pozostałe informacje były skąpe. Sam rezerwat obejmował około 1100 kilometrów kwadratowych lasów, bagien, wzgórz i łąk. Właścicielem i dyrektorem był niejaki Fritz Ushre. Personel składał się z jednego chirurga (niejakiego dra Avida Paracelsa) i kilku opiekunów zwierząt.

Ale jednego wyraźnie brakowało: nazwiska hodowcy. Większość rezerwatów łowieckich zaopatruje się w zwierzęta w jednej z trzech czy czterech wielkich firm hodowlanych, z którą związane są kontraktem. W dokumencie rejestracyjnym Sharon's Point nie było na ten temat ani słowa. Nie wspomniano nawet o jakimkolwiek dostawcy zwierząt. I z tej właśnie przyczyny pomyślałem sobie, że ludziom, którzy tam jeździli, nie chodziło o polowanie na zwierzęta.

Czyżby zatem ludzie polowali na ludzi? To nielegalne jak cholera. Ale tłumaczyłoby wysoką śmiertelność. Same lwy i pawiany (nawet rozwścieczone pawiany w stadach) nie zabiją czterdziestu pięciu myśliwych w ekskluzywnym rezerwacie w ciągu dwudziestu miesięcy. Zaczynałem rozumieć, dlaczego w tej sprawie inspektor wolał pominąć komputer.

GALERIA

NIE ZATWIERDZONO

Okładka książki fantastycznej w Polsce – temat na długą powieść, pisaną przez wielu autorów, pełną waśni, krzyżujących się oskarżeń i lamentów nad rozlanym mlekiem.

MÓWI KRYTYK

OKŁADKI – MIĘDZY KLUCZEM I WYTRYCHEM!

Przez długie lata – jeśli nie liczyć twórczości Daniela Mroza – nie wykształciła się u nas satysfakcjonująca szkoła polskiej okładki książki fantastycznej. W olbrzymiej większości króluje w tej dziedzinie przypadek, łatwizna, brak wyobraźni i utrzymujący się przez lata monopol grafików, których brak nosa do fantastyki jest dla wszystkich – prócz wydawcy – oczywisty.

Okładka książki fantastycznej u nas ma z reguły bardzo słaby związek z treścią książki. Powstające w pośpiechu, bez niezbędnej lektury prozy, okładki – pożal się Boże – symboliczne, okładki liternicze, nawet nie próbują nawiązywać dialogu z wizjami światów kreowanych przez pisarzy. Kształt plastyczny wielu okładek sugeruje to wyraźnie: ich autorzy po pierwsze – nie lubią, po drugie – nie rozumieją fantastyki.

Okładki mogłyby być kreacją – małymi plastycznymi dziełkami zainspirowanymi fabularnym wątkiem bądź intelektualnym przesłaniem fantastycznej prozy. Nie muszą to być obrazki hiperrealistyczne w stylu „zachodnim". Mogłyby komentować tę prozę, spierać się z nią, nawet z niej drwić. Mogłyby brać na siebie rolę prezentera, wręcz klucza do niektórych skomplikowanych fantastycznych wizji czy światów. Często okładki nie próbują być nawet wytrychem.

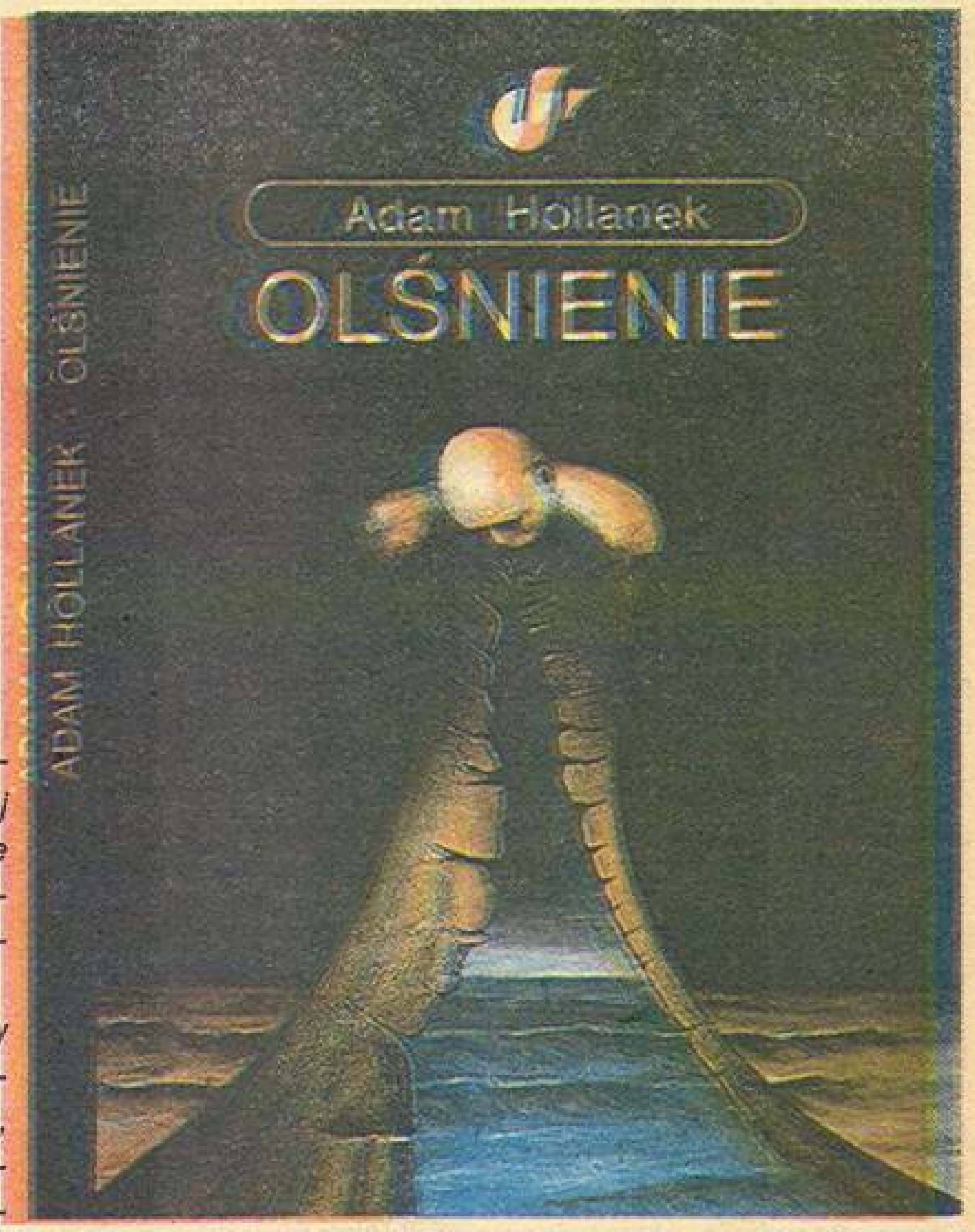
Dlaczego tak się dzieje? Kto zawinił? Wydawcy czy plastycy? Mamy za niskie stawki czy za kiepskich artystów? A może wydawcy są za mało wybredni, może nie zwracają się do tych plastyków, do których trzeba i z lenistwa kwalifikują do druku rzeczy niewydarzone. Więc – nie umiemy? Nie chcemy?... Może nie musimy?

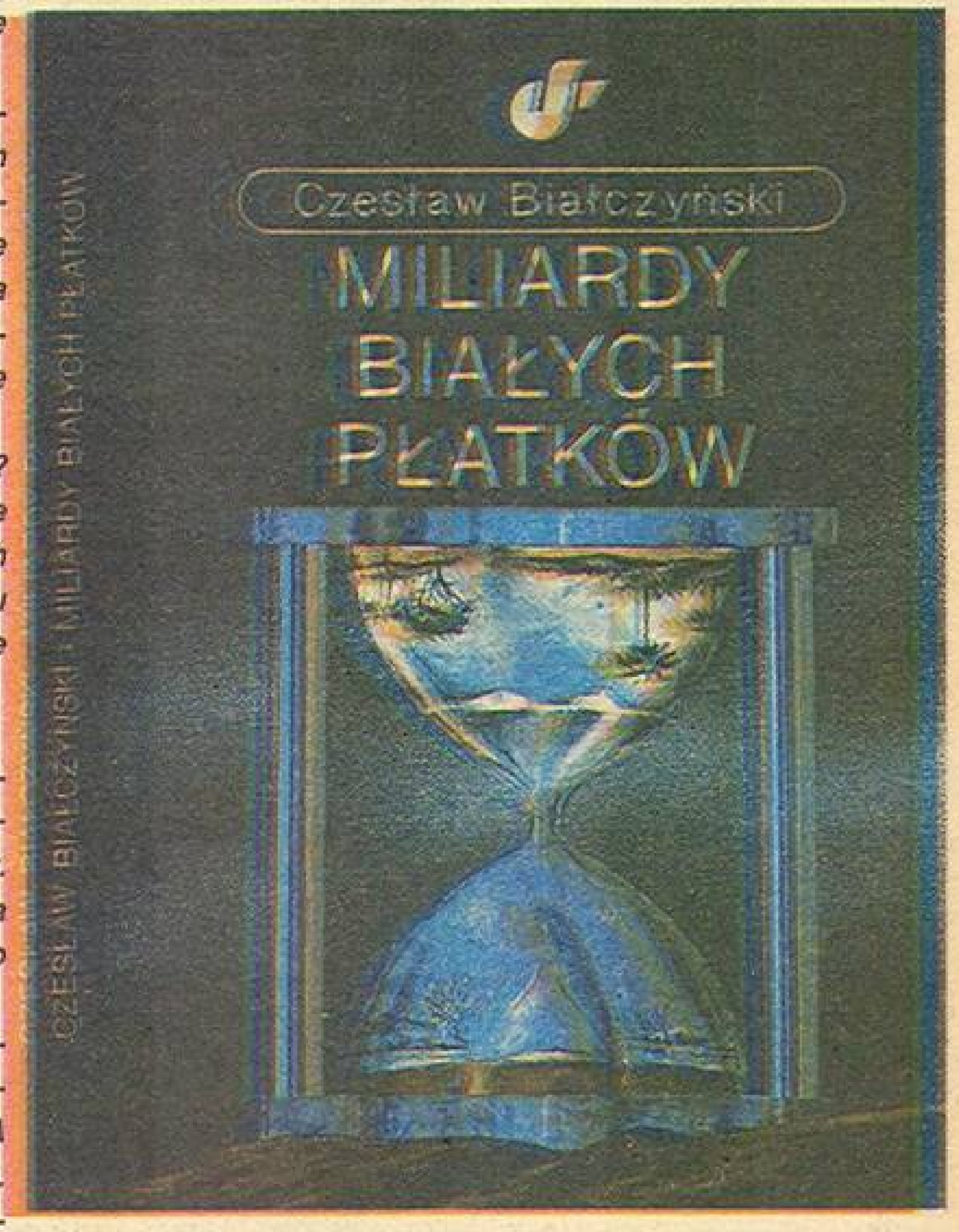
Czy w ogóle możemy coś zmienić?

„Fantastyka" sama startuje w tej konkurencji. Od października 82 przedstawiliśmy Państwu 43 okładki pisma, około dwudziestu okładek do powieści, setki grafik, obrazów, posterów. Nie powinniśmy chyba w „Fantastyce" zaczynać od sądzenia polskiej okładki i szerzej, polskiej plastyki fantastycznej, bo sami występujemy w roli podsądnych.

Możemy zadawać pytania – Państwu i sobie. Możemy rozpocząć dyskusję. Myśleliśmy długo, jak zasygnalizować i jak zilustrować problem – przecież okładki jakie są, każdy widzi... A jakie m o g ł y b y być? Rzeczywiście, o tym już wie mało kto. Dlatego postanowiliśmy przedstawić Państwu kilka okładek potencjalnych, okładek możliwych.

Oto odrzucone przez niektóre oficyny wydawnicze okładki Romana Kirylenki, Wiktora Żwikiewicza i Andrzeja Pągowskiego. Nie krytykujemy na razie decyzji edytorów, być może były one zasadne, być może nie. Pokazujemy możliwości, które nie zostały zrealizowane. (mp)





Roman Kirilenko

ciąg dalszy na stronach 15,18,47,50

Poszedłem do komputerów i poprosiłem o wydruk dotyczący świadectw zgonu. Wszystkie były podpisane: „Dr med. Avid Paracels". Wszystkie podawały „normalne" dla rezerwatów łowieckich przyczyny śmierci (wykrwawienie z ran albo śmierć na miejscu), ale nigdy nie wspominano rodzaju zwierząt.

I to mnie właśnie niepokoiło. Tym razem poprosiłem o pełne komputerowe dane dotyczące Fritza Ushre'a i Avida Paracelsa.

Akta Ushre'a były skromne. Poza wiekiem, stanem cywilnym i grupą krwi, zawierały jedynie pobieżne podsumowanie jego dotychczasowej kariery zawodowej. A więc najpierw dwadzieścia lat nie budzącej najmniejszych zastrzeżeń pracy inżyniera w różnych firmach elektronicznych. Potem odziedziczył kawałek ziemi. Natychmiast rzucił pracę i w dwa lata później otworzył Sharon's Point. Obecnie (według danych z banku) był w trakcie stawania się człowiekiem bogatym. To mi nie powiedziało prawie nic. I tak wiedziałem, że Sharon's Point cieszy się wielkim powodzeniem.

Ale co innego akta Avida Paracelsa, dra fil., dra med. Te były pełne informacji. Swego czasu musiał uzyskać zezwolenie wysoko postawionych czynników z bezpieki na prowadzenie jakichś badań, więc Biuro przebadało go dosłownie od stóp do głów, ujawniając nieprzebrane masy danych, w większości bez znaczenia, ale nie zajęło mi wiele czasu dobranie się do prawdziwych specjałów. W wyniku czego mógłbym (jak mawiała moja matka) nie wyjrzeć zza kartek do końca życia. Avid Paracels był jedną z ofiar rozruchów genetycznych 1989 r.

A oto jak, z grubsza biorąc, wyglądały sprawy. Otóż w roku 1989 jedna z gazet opublikowała wiadomość, że zespół biologów (z udziałem znakomitego Avida Paracelsa) korzystający z silnego poparcia władz federalnych, dokonał przełomowego odkrycia w dziedzinie badań nad, jak to nazwali, rekombinującym kwasem nukleinowym; dla takich ciemniaków jak ja – w dziedzinie inżynierii genetycznej. Opanowali mianowicie technikę hodowli zwierząt ze zmienionymi genami. W owym czasie rozpoczynali właśnie eksperymenty na ludzkich embrionach. Ich celem, jak podała gazeta, były próby dokonania „drobnych ulepszeń" w istotach ludzkich – jak „kocie" oczy, na przykład, czy chwytne palce u nóg.

Cóż więc z tego wynikło? Wynikły z tego rozruchy, które same w sobie nie były niczym niezwykłym. W roku 1989 przestępczość wszelkiego rodzaju, nie mówiąc o niepokojach społecznych, stały się największym zagrożeniem dla kraju, ale władze w dalszym ciągu jeszcze nie zdawały sobie w pełni sprawy z problemu. Tak więc rozruchy i inne akty gwałtu wybuchały z lada przyczyny: z powodu podniesienia cen paliwa, żywności czy opłat za mieszkania. Innymi słowy (według oceny socjologów), poziom agresji publicznej osiągnął krytyczną wysokość. Ludzie nie mieli żadnego godziwego ujścia dla złości i dlatego z byle powodu dostawali małpiego rozumu.

A ten artykuł wywołał rozruchy wprost piramidalne. Było wiele krzyku na temat „świętości ludzkiego życia", ale przypuszczam, że głównie chodziło o to, iż idea „wyższej istoty ludzkiej" stanowiła dla większości zagrożenie. Atakowano na ulicach uczonych i kongresmenów. Trzy budynki publiczne (w tym – Bóg jeden wie dlaczego – poczta) zostały kompletnie zniszczone. Zniszczono siedem osiedli mieszkaniowych. Splądrowano i zburzono sto trzydzieści siedem sklepów. Kompletnie zniszczony został również program badań nad rekombinującym kwasem nukleinowym. A przy okazji kilka karier. Bo tym razem rozruchów nie dało się stłumić. Z rąk policji (agentów specjalnych) musiałoby zginąć zbyt wielu ludzi. Tak więc sam prezydent przystąpił do uspokajania ludzi, co w konsekwencji doprowadziło do naszej obecnej polityki rozładowywania agresji.

Avid Paracels był właśnie jednym z tych, którzy przypłacili to karierą. Uważam, że miał dużo szczęścia, iż nie stracił dostępu do komputerów, a tym samym do informacji z dziedziny medycyny.

No cóż, niczego to wszystko właściwie nie dowodziło, ale w każdym razie wzbudziło moją ciekawość. Wiadomo, że ludzie, którzy tracą pozycję bywają niepewni z punktu widzenia prawa. Udając się więc do Sharon's Point miałem już przynajmniej punkt zahaczenia. Przy odrobinie szczęścia może nawet nie musiałbym udawać, że przyjechałem na polowanie.

Kiedy więc wychodziłem z Biura, żeby załatwić sprawy związane z wyjazdem i pieniędzmi, czułem się tak, jakbym już wszystko wiedział (co powinno być dla mnie wystarczającym ostrzeżeniem, że się ładuję w kłopoty). Ale to uczucie nie trwało długo. Już po drodze bowiem doznałem przebłysku – jak gdyby iluminacji. Skończywszy więc z księgowością poszedłem do komputerów i poprosiłem o informację na temat wszelkich nie wyjaśnionych zbrodni, jakie wydarzyły się w rejonie Sharon's Point. Pod wpływem tej informacji moja tak zwana pewność siebie została zachwiana.

Sharon's Point leży w odległości zaledwie 80 km od Arsenału Procureton, gdzie są potężne składy starej amunicji (głównie z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych). Otóż dwa lata temu ktoś włamał się do Procureton (Bóg jeden wie, w jaki sposób) i uszczknął sobie parę drobiazgów, jak na przykład pięćdziesiąt karabinów M-16 (i do tego pięć tysięcy załadowanych magazynków), sto pistoletów automatycznych magnum kalibru 22 (z kolejnymi pięcioma tysiącami magazynków), pięćset granatów ręcznych i ponad pięćset min przeciwpiechotnych różnych typów. Dosyć, żeby uzbroić niezłą bandę.

Ale to się nie trzymało kupy. Każda banda w tych czasach – organizacja terrorystyczna czy gang, która chciałaby posłużyć się tak przestarzałą bronią jak M-16, zostałaby rozniesiona w pył w przeciągu kilku minut przez gliniarzy uzbrojonych w działka laserowe. Ale kto inny połaszczyłby się na coś takiego?

Przed pójściem do domu spędziłem godzinę na strzelnicy ćwicząc z eksploderem. Chciałem się upewnić, że działa.

Nazajutrz wczesnie rano poszedłem do Zaopatrzenia i pobrałem „szpanerskie" ciuchy i sprzęt myśliwski. A potem udałem się do zbrojowni i zafasowałem starego Winchestera kaliber 30-06, który w mojej ocenie wyglądał na strzelbę pasującą do „prawdziwego" (ekscentrycznego) sportowca: wymaga dość dużej sprawności i strzela zwykłymi, tradycyjnymi kulkami ołowianymi zamiast strzał ze środkiem usypiającym czy pocisków odłamkowych – że to niby daje szansę „zwierzynie". Następnie sprawdziłem magnetofony, żeby się upewnić, że „jestem w akcji". I dopiero wtedy wyruszyłem do Sharon's Point.

Wsiadłem w pochylnię Waszyngton – St. Louis (w rzeczywistości jest to wahadłowiec elektrostatyczny, ale mówi się o nim „pochylnia", ponieważ wczesne plany kojarzyły się jakiemuś romantykowi ze starymi pochylniami z północnego zachodu służącymi do spławiania bali), ale później musiałem wynająć samochód. Co było nawet stosowne, jako że miałem uchodzić za bogacza. Bo dziś jedynie bogacze mogą sobie pozwolić na samochód, no i agenci specjalni – do celów służbowych (przy tych cenach paliwa większość ludzi ogląda samochód od wewnątrz jedynie na koszt państwa). Ale nie była to dla mnie jakaś szczególna frajda. Niezależnie od tego, że, nie mając okazji jeździć, nie byłem zbyt dobrym kierowcą. W St. Louis lało jak z cebra, a ja musiałem przejechać 300 kilometrów przez wzgórza Missouri – zupełnie jakbym tę trasę przepłynął. Tak mnie to opóźniło, że do Sharon's Point dobiłem już po ciemku.

Zatrzymałem się na noc w miasteczku o tej samej nazwie, położonym w odległości jakichś 5 kilometrów od rezerwatu. Była to obskurna dziura, zbyt zapadła na to, żeby mogła być z jakichkolwiek względów interesująca. Ale miała jeden motel. Kiedy w strugach deszczu dobrnąłem przez błocko na miejsce i ociekający wodą wszedłem do holu, stwierdziłem, że ten jedyny przybytek radzi sobie nie najgorzej. Wytwornością nie ustępował innym motelom, które widziałem. I był drogi. Recepcjonistka nawet się nie zarumieniła podając mi cenę tysiąca dolarów za dobę.

A więc nie ulegało wątpliwości, że goście tego motelu nie wywodzili się ani spośród miejscowych, ani spośród turystów. Prawdopodobnie motel służył udającym się do i wracającym z rezerwatu myśliwym. To raczej ja mógłbym się zarumienić, gdybym nie był przygotowany na tego rodzaju sytuację. Ale wziąłem z Finansów specjalną kartę kredytową. Dzięki niej robiłem wrażenie człowieka bogatego, który nie musi mówić o pieniądzach. Zameldowałem się, jakby to była dla mnie rzecz powszednia. Recepcjonistka posłała mój bagaż do pokoju, a ja poszedłem do baru.

Miałem nadzieję, że spotkam jednego czy dwóch myśliwych. Ale poza barmanem nie było nikogo. Usadowiłem się więc na wysokim stołku i usiłowałem wybadać stopień rozmowności barmana.

Był dość znaczny. Facet pewnie nie miał zbyt wielu okazji do pogadania. Prawdopodobnie ludzie, dla których zapłacenie tysiąca dolarów za dobę w hotelu nie stanowi problemu nie zjawiali się tak często. Jak już raz zaczął, myślałem, że nie zdołam go powstrzymać przed powiedzeniem mi dosłownie wszystkiego, co wie.

Nie było tego zresztą wiele więcej, niż sam wiedziałem – przynajmniej co się tyczyło rezerwatu. A więc ludzie, którzy tam przyjeżdżali, byli nadziani. I lubili się rzucać. Lubili się napić zarówno przed polowaniem, jak i po. Ale mniej więcej połowa nie zatrzymywała się w drodze powrotnej, żeby opić sukces. Po chwili zapytałem barmana o trofea tych, którzy się zatrzymywali.

– To dziwne – odparł – ale oni nie mają żadnych trofeów. Nawet nic nie opowiadają. Sam kiedyś polowałem jako młody chłopak, ale jeszcze nie spotkałem człowieka, który by się nie

lubił pochwalić zdobyczą. Widziałem dorosłych mężczyzn, którzy z ustrzelenia królika robili wielką sprawę. Ale nie tutaj. Oczywiście – uśmiechnął się – nigdy nie polowałem w miejscu tak kosztownym jak Sharon's Point.

Ale ja nie myślałem w tej chwili o pieniądzach. Myślałem o czterdziestu pięciu ciałach. A to było coś, czym by się nawet najbogatszy myśliwy nie pochwalił. Bo te trofea były najprawdopodobniej podziurawione kulami.

III

Obiecałem sobie, że wyjaśnię sprawę tych „trofeów". W ten czy inny sposób. Nie dlatego, żebym był pewny siebie. Wtedy nie wiedziałem chyba jeszcze, co to znaczy. Nie, po prostu pewność siebie przestała się liczyć. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby się tym przejmować. Sprawa była zbyt poważna.

Kiedy się upewniłem, że jestem jedynym gościem w motelu, machnąłem ręką na dalsze próby zdobycia informacji. Nie było rady – pozostawało mi jedynie jechać do samego rezerwatu i blefując zdobywać odpowiedzi na pytania. Niezbyt miła perspektywa. Położyłem się do łóżka, ale zanim zasnąłem, jeszcze długo wsłuchiwałem się w deszcz.

Rano padało w dalszym ciągu, ale nie uznałem deszczu za powód do odkładania tego, co miałem załatwić. Spędziłem więc dłuższą chwilę w łazience; puściłem prysznic, żeby zagłuszyć swój głos, kiedy mówiłem do magnetofonów w Centrali (via przekaźniki mikrofalowe w St. Louis, Indianapolis, Pittsburghu i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze). Potem zjadłem śniadanie, a następnie... zmokłem do suchej nitki biegnąc do samochodu.

Do rezerwatu jechałem bardzo wolno z powodu deszczu. Droga wiła się to w górę, to w dół, pomiędzy ciemnymi ścianami drzew, które jak gdyby na mnie czyhały; nie widziałem poza nimi dosłownie nic, dopóki mój samochód nie zaczął się wspinać długim zboczem w kierunku zabudowań Sharon's Point.

Siedziały przycupnięte pod szczytem poprzecznego pasma wzgórz, które zasłaniało przed ludzkim wzrokiem wszystko, co się znajdowało za nim. Na wprost przed sobą miałem duży, przysadzisty budynek, mieszczący najprawdopodobniej biura i urządzenia medyczne. Na prawo długi barak, zajmowany, jak sądzę, przez personel doglądający zwierząt. Na lewo znajdowało się lądowisko. Stały tam trzy poduszkowce w kształcie pączków, z otwartymi kabinami. (Większość rezerwatów łowieckich posługuje się poduszkowcami do sprawdzania stanu ogrodzeń czy poszukiwania zaginionych myśliwych). Były przykryte styrenowymi płachtami dla ochrony przed deszczem.

Za tym wszystkim, równolegle do pasma wzgórz, niby zapowiedź czegoś groźnego, ciągnęło się ogrodzenie. Na tle czarnych chmur i deszczu wydawało się szare i ponure. Stalowa siatka wznosząca się na wysokość co najmniej pięciu metrów, zagięta była do wewnątrz i miejscami najeżona groźnie drutem kolczastym, żeby uniemożliwić zwierzętom ucieczkę górą. Ale mimo to nie czułem się bezpieczny. Obojętne, co znajdowało się tam wewnątrz – zabiło jednak czterdzieści pięć osób. Pięciometrowej wysokości ogrodzenie było więc albo niewystarczające, albo w ogóle nie miało znaczenia.

Bardziej ze względu na siebie niż na inspektora Morganstarka powiedziałem do swojego nadajnika: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wstępujecie". Następnie pojechałem do przysadzistego budynku, zaparkowałem, jak mogłem najbliżej drzwi z napisem „Biuro" i puściłem się biegiem w deszcz, jakbym się już nie mógł doczekać, kiedy wreszcie sam, z gołymi rękami, stawię czoła Sharon's Point.

Wpadłem do biura, zamknąłem za sobą drzwi i mało nie runąłem na twarz; głowę przeszył mi ból przenikliwy jak stalowe ostrze, jak świder drążący gdzieś za prawym uchem. Przez chwilę byłem ślepy i głuchy i miałem miękkie kolana.

Ból pochodził ze zgrubienia za uchem, jakby nastąpiło sprzężenie zwrotne w moim radionadajniku.

Poczułem się tak, jakby jeden z monitorów w Centrali chciał mnie zabić. Wiedziałem, że to nie to, ale akurat w tym momencie mało mnie obchodziło wyjaśnianie tej kwestii. Przesunąłem językiem włącznik, żeby przerwać transmisję. Już-już miałem upaść, ale wysunąłem jedną nogę i gwałtownie złapałem równowagę.

Koniec. Ból ustał. Po prostu.

Byłem ogłupiały z poczucia ulgi. Dzwoniło mi jeszcze w uszach, co utrudniało utrzymanie równowagi. Upłynęło kilka sekund, nim pozbierałem się na tyle, żeby się rozejrzeć dokoła. Nie myśląc – po prostu patrząc.

Znalazłem się w surowym wnętrzu biurowym, bez żadnych ozdób, nawet bez jakichkolwiek zasłon w oknach, które by izolowały od wilgoci na zewnątrz. Stałem tak blisko długiego kontuaru, że prawie sięgałem do niego ręką.

Za kontuarem tkwił mężczyzna. Był wysoki i tłusty; nie tyle zatuczony, co jak gdyby obrzmiały, jakby się stale opychał usiłując zaspokoić jakiś dziwny apetyt. Jego twarz, jego szczwane, złośliwe oczy przywodziły na myśl dzika; patrzył na mnie, jakby się zastanawiał, w które miejsce wbić kły. Ale jego głos zabrzmiał łagodnie i uprzejmie, kiedy się odezwał.

– Jak pan się czuje? – zapytał. – Co się stało?

Nagle mój umysł zaskoczył.

Sprzężenie zwrotne. Coś spowodowało sprzężenie zwrotne w moim nadajniku. Jakieś elektroniczne urządzenie zagłuszające. Władze używały zagłuszaczy dla potrzeb bezpieczeństwa. Ochrona tajnych narad. Zabezpieczenie przed ludźmi takimi jak ja. Sharon's Point używało ekranowania zabezpieczającego. Co chcieli ukryć?

Ale to była dalsza sprawa. Miałem pilniejszy problem. Grubas obserwował mnie, kiedy włączało się urządzenie zagłuszające. Widział moją reakcję. Zorientuje się, że mam wbudowany w czaszkę nadajnik. Chyba, że coś zrobię. I to szybko.

Nawet nie mrugnął.

– Co się stało?

Byłem cały mokry. Ręce mi się trzęsły. Ale patrząc mu prosto w oczy odparłem:

– To przejdzie. Za chwilę wszystko będzie w porządku.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej uprzejmego niż jego pytanie:

– Ale co się panu stało?

– Po prostu skurcz – odrzekłem bez wahania. – Przychodzi i odchodzi. Guz mózgu. Nieoperacyjny. Mam przed sobą pół roku życia. Dlatego tu jestem.

– Aha – odpowiedział nawet nie drgnąwszy. – Dlatego pan jest tutaj. – Pulchne łapy złożył na brzuchu. – Rozumiem. – Jeśli mnie nawet podejrzewał to w najmniejszym stopniu się z tym nie zdradził. – Rozumiem doskonale.

– Nie lubię szpitali – powiedziałem stanowczo, po prostu żeby pokazać, że całkowicie odzyskałem panowanie nad sobą.

– To naturalne – zgodził się ze mną. – Znalazł się pan we właściwym miejscu, panie...

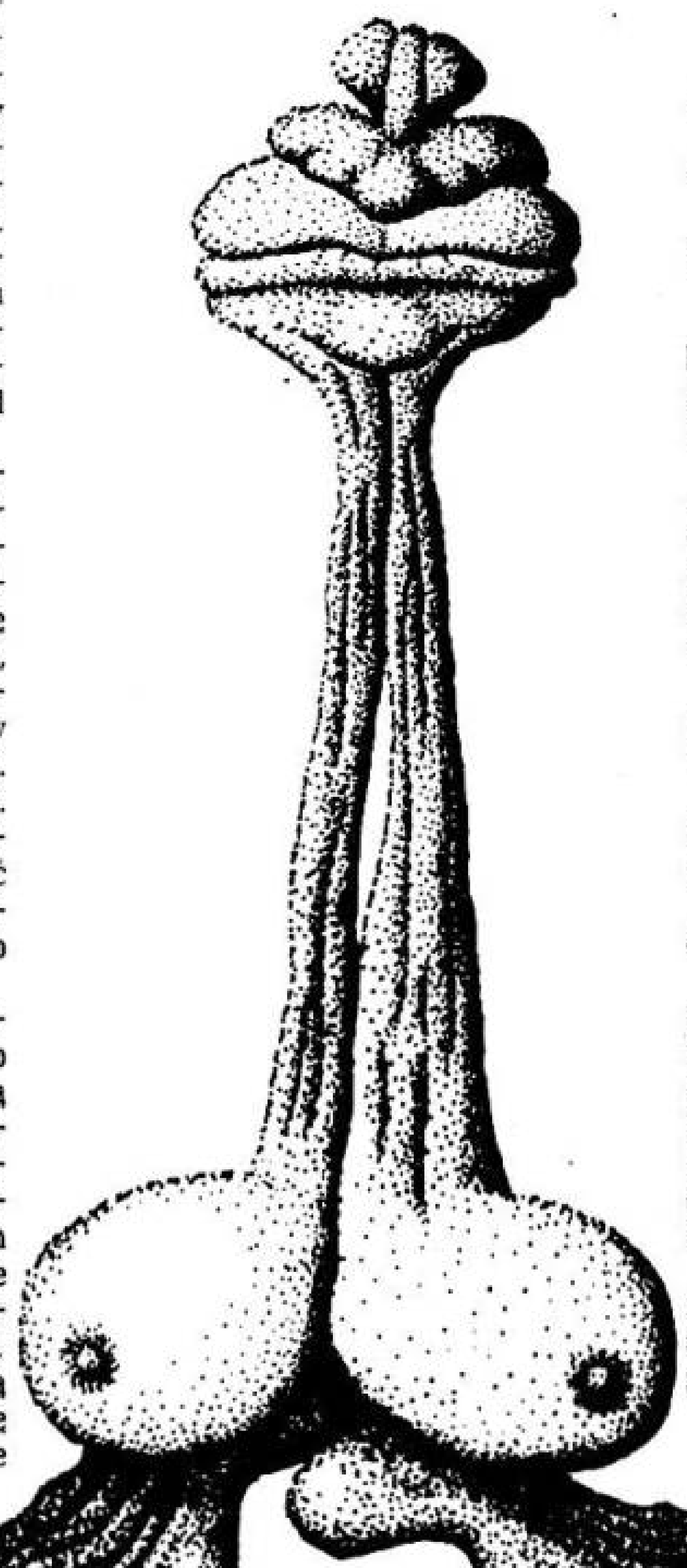
– Browne – podpowiedziałem. – Jestem Sam Browne.

– Panie Browne. – Ze skinieniem głowy zakodował w pamięci moje nazwisko. Odniosłem niemiłe wrażenie, że nigdy go nie zapomni. – Znajdzie pan tutaj to, czego pan poszukuje. – Po raz pierwszy zauważyłem, że mrugnął. Po czym zapytał: – Skąd pan się o nas dowiedział, panie Browne?

Byłem przygotowany na to pytanie. Wymieniłem parę nazwisk z listy ofiar tutejszego rezerwatu, po czym dodałem bez ogródek:

– Mam przyjemność z panem Ushre.

Znów skinął głową.



Łukasz Ługowski

– Jestem Fritz Ushre. – Powiedział to w taki sposób, jakby mówił: „Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych". – Cienia skrępowania.

Usiłując mu w tym dorównać rzuciłem:

– Czy mógłby mi pan powiedzieć coś więcej?

Jego świńskie oczka nawet nie mrugnęły, ale nie odpowiedział mi wprost. Zamiast tego poinformował mnie:

– Panie Browne, mamy zwyczaj pobierać od naszych klientów opłatę z góry. Standardowa stawka obejmuje tydzień polowania. Czterdzieści tysięcy dolarów.

Muszę powiedzieć, że naprawdę podziwiałem jego zimną krew. Był w tym znacznie lepszy ode mnie. Czułem, jak moja twarz, zanim zdołałem nad nią zapanować, reaguje na tę informację. Czterdzieści! Tyle wyszło z mojego zgrywania bogacza. Dobrze, że powstrzymałem się przed głośnym przekleciem samego siebie.

– Prowadzimy kosztowną działalność – powiedział. Był gładki jak stal nierdzewna. – Nasze urządzenia są na najwyższym poziomie. I mamy własną hodowlę zwierząt. W ten sposób jesteśmy w stanie zagwarantować wysoki poziom naszej oferty. Ale i z tych też względów musimy utrzymywać oprócz służby lekarskiej – weterynaryjną. Ponieważ nie jesteśmy subsydiowani przez władze federalne i nie podlegamy ich kontroli – jego słowa w niczym nie przypominały groźby – nie możemy sobie pozwolić na rozrzutność.

Mógł spokojnie ciągnąć dalej, nie usprawiedliwiając się, tylko taktownie usiłując się mnie pozbyć, ale uciąłem krótko:

– Lepiej pokażcie, że trzymacie ten standard – powiedziałem tak twardo, jak tylko było mnie na to stać. – Jeszcze nie wiem, na co wyrzucam tyle pieniędzy. – Jednocześnie wyjąłem moją kartę kredytową i położyłem ją na stole z energicznym trzaśnięciem.

– Gwarantuję, że będzie pan zadowolony. – Ushre przyjrzał się szybko karcie i zapytał: – Czy jeden tydzień wystarczy, panie Browne?

– Na początek wystarczy.

– Rozumiem – rzekł, jakby mnie rzeczywiście rozumiał do końca. Następnie odwrócił się na chwilę wrzucając jednocześnie moją kartę kredytową do komputera księgującego. Komputer potwierdził mój kredyt i wydrukował pokwitowanie, które Ushre przedstawił mi do zatwierdzenia. Zaraz po tym, jak zostawiłem odcisk palca na tabliczce identyfikacyjnej, Ushre zwrócił mi kartę kredytową, a pokwitowanie włożył do komputera.

Przez cały czas rozglądałem się usiłując od niechcenia (przynajmniej miałem nadzieję, że tak to wyglądało) wypatrzeć urządzenie zagłuszające. Ale go nie znalazłem. Prawdę powiedziawszy, nie robiłem zbyt wielkich postępów w swoim dochodzeniu. Wiedziałem, że jeśli w miarę szybko nie zacznę się posuwać do przodu, będę miał poważne kłopoty z wytłumaczeniem się przed naszymi Finansami z rachunku na czterdzieści tysięcy dolarów, nie mówiąc już o utrzymaniu się przy życiu.

Kiedy więc Ushre odwrócił się do mnie przodem, powiedziałem:

– Nie chciałbym zaczynać podczas deszczu. Zgłoszę się jutro. Ale skoro już tu jestem, to chętnie obejrzałbym sobie urządzenia. – Nie było to wiele, ale było to najlepsze, co mogłem w tej sytuacji zrobić nie zdradzając się, że tak naprawdę to nie znałem tych dwóch osób, na które się powołałem. Powinienem przynajmniej wiedzieć, co robię; nie mogłem spytać wprost, jakie mają zwierzęta. Czy może... nie mają.

Ushre położył przede mną na komputerze plik papierów i znów powiedział:

– Rozumiem. – Od tego, w jaki sposób to mówił, przeszły mnie ciarki. – Jak już pan wypełni te formularze, poproszę doktora Paracelsa, żeby pana oprowadził po terenie.

Odparłem:

– W porządku. – I zacząłem wypełniać formularze. Nie przejmowałem się specjalnie tym, co podpisywałem. Z wyjątkiem dokumentu dotyczącego kremacji mego ciała, były to standardowe zgody, na podstawie których Sharon's Point miało nie odpowiadać za nic, co mogłoby mi się przytrafić. Formularz związany z pozbywaniem się moich zwłok przeczytałem ze szczególną uwagą, ale nie dowiedziałem się niczego, czego bym do tej pory nie wiedział. Kiedy skończyłem, wszedł do biura doktor Avid Paracels.

Podczas prezentacji przyjrzałem mu się dokładnie. Poznanie takiego człowieka byłoby dla mnie interesujące zawsze, ale w tym momencie byłem go szczególnie ciekaw. Wiedziałem o nim więcej niż o Ushre'em, co oznaczało, że to on stanowił dla mnie klucz do Sharon's Point. Był wysoki i szczupły, a przy Ushre'em wydawał się wręcz wychudzony. Mizerny i przygarbiony, robił wrażenie człowieka wyniszczonego długą serią osobistych dramatów. Wyglądał na starszego ode mnie o trzydzieści lat z okładem. Cerę miał szarą, jakby był śmiertelnie chory, a skórę naciągniętą między kośćmi policzkowymi a szczęką, jakby jej brakowało na całą czaszkę. Oczy, prawie cały czas ukryte pod gęstymi, krzaczastymi brwiami, mignęły mi martwo, jakby były plastenowe. Pomyślałbym, że mam do czynienia z trupem – gdyby nie to, że stał i że miał na sobie biały kitel. I gdyby na mój widok nie oblizał ust. Dosłownie samym czubkiem języka objechał wargi dokoła – nie tak, jakby był głodny, tylko jakby się w sposób zupełnie abstrakcyjny zastanawiał, czy okazałbym się smakowity. Ten nieznaczny różowy ruch w szarej twarzy przejął mnie nagłym chłodem. Przez sekundę wydawało mi się, że wiem, co on naprawdę myśli. Zastanawiał się, jak mnie wykorzysta. I jak będę umierał. Może zresztą w innym porządku.

– Doktor Paracels – powiedziałem. Ciekaw byłem, czy on albo Ushre wiedzą, że po plecach cieknie mi strużka potu.

– Nie pokażę panu naszej hodowli – rzekł w sposób tak opryskliwy, że aż mnie zdumiał. – Ani kliniki zwierzęcej. – Skomląca nuta w jego głosie zabrzmiała, jakby była niemal rozmyślna, jakby usiłował nadać swemu głosowi patetyczne brzmienie.

– Nigdy nie pokazujemy naszym klientom tych urządzeń – dodał gładko Ushre. – Nasza oferta zawiera element niespodzianki. – Ponownie mrugnął. Sporadyczność tego gestu podkreślała tylko chytrość i złośliwość jego oczu. – Uważamy, że to uatrakcyjnia ten sport. Większość naszych klientów jest tego samego zdania.

– Ale może pan obejrzeć moją klinikę – dodał zniecierpliwiony Paracels. – Proszę tędy. – I nie czekając na mnie odwrócił się i wyszedł z biura wewnętrznymi schodami.

Ushre nie spuszczał wzroku z mojej twarzy.

– Doktor Paracels to świetny chirurg. Wielkie szczęście, że go tu mamy.

Wzruszyłem ramionami. Wobec tego, co w tym momencie czułem, nie pozostawało mi nic innego. Następnie udałem się za świetnym chirurgiem.

Drzwi wychodziły na szeroki korytarz biegnący wzdłuż całego budynku. Mignął mi na moment Paracels przechodzący przez podwójne drzwi na końcu korytarza, ale po drodze kusiło wiele innych. Mogły one prowadzić do kartoteki Ushre'a, a jego dokumenty mogły mi powiedzieć o Sharon's Point wszystko. Ale nie był to odpowiedni moment, by podejmować jakiekolwiek ryzyko. Gdyby mnie Ushre na tym złapał, nie wytłumaczyłbym się, że zabłądziłem tu przez przypadek – zakładając, że znalazłbym kartotekę. Ruszyłem więc prosto ku podwójnym drzwiom i wszedłem do kliniki.

W inspektoracie do spraw rezerwatów mieli rację: Sharon's Point było wspaniale wyposażone – kilka pokoi zabiegowych i szpitalnych (z rentgenem, butlami tlenowymi i urządzeniami okulistycznymi), kilka łóżek, apteka, która robiła wrażenie bardziej niż wystarczającej (może nawet o wiele bardziej), no i sala operacyjna na poziomie tej, w której zrobiono ze mnie cyborga.

Tutaj właśnie dogoniłem Paracelsa. Swoim jęczącym głosem (czyżby rzeczywiście tak bardzo się nad sobą litował?) scharakteryzował mi z grubsza obiekt. Uznał, że interesuje mnie, jak może tutaj sam wykonywać sprawnie operacje, i mówił głównie o tym.

Miał rzeczywiście świetny sprzęt, ale moją uwagę przykuł lancet laserowy. (Nie spytałem Paracelsa, czy ma na niego pozwole-

Stephen R. DONALDSON

Młody autor amerykański, który od razu na początku kariery zdobył wielkie uznanie czytelników i krytyki wielotomowymi „Kronikami Thomasa Covenanta" (The Chronicles of Thomas Covenant). Tytułowy bohater, współczesny Amerykanin dotknięty trądem staje się wyrzutkiem społeczeństwa w swoim miasteczku i zostaje w cudowny sposób przerzucony w inny świat, gdzie okazuje się wyczekiwanym mitycznym bohaterem-wybawcą, a brak dwóch amputowanych palców jest zapowiedzianym przez wyrocznie znakiem. Jest to więc przykład fantastyki bohaterskiej na wysokim poziomie, z dobrą psychologią, bogatym tłem społecznym, uczuleniem na problematykę moralną i religijną. Donaldson wystąpił z tym typem fantastyki akurat, kiedy pojawiło się na nią zapotrzebowanie. Sam mówi o swoim sukcesie tak:

„Według mnie to wszystko kwestia szczęścia. Znalazłem się po prostu w odpowiednim czasie i we właściwym miejscu. Pisarstwo jest rzeczą osobistą, a powodzenie jest zjawiskiem publicznym i związek między nimi jest często przypadkowy. Wiem, że wykonałem kawał pracy i jestem z niej dumny. Ale wiem też, że jest wielu ogromnie utalentowanych ludzi w tej dziedzinie, którzy nie osiągnęli podobnego powodzenia. Miałem po prostu wyjątkowe szczęście".

Donaldson ukończył dalszy ciąg przygód swojego bohatera (Second Chronicles of Thomas Covenant). W roku 1984 wydał tom opowiadań (Daughter of Regals), na jesieni bieżącego roku ukaże się oczekiwana powieść fantastyczna „Zwierciadło jej snów" (The Mirror of Her Dreams). Wydaje również kryminały pod pseudonimem R e e d S t e p h e n s.

L. J.

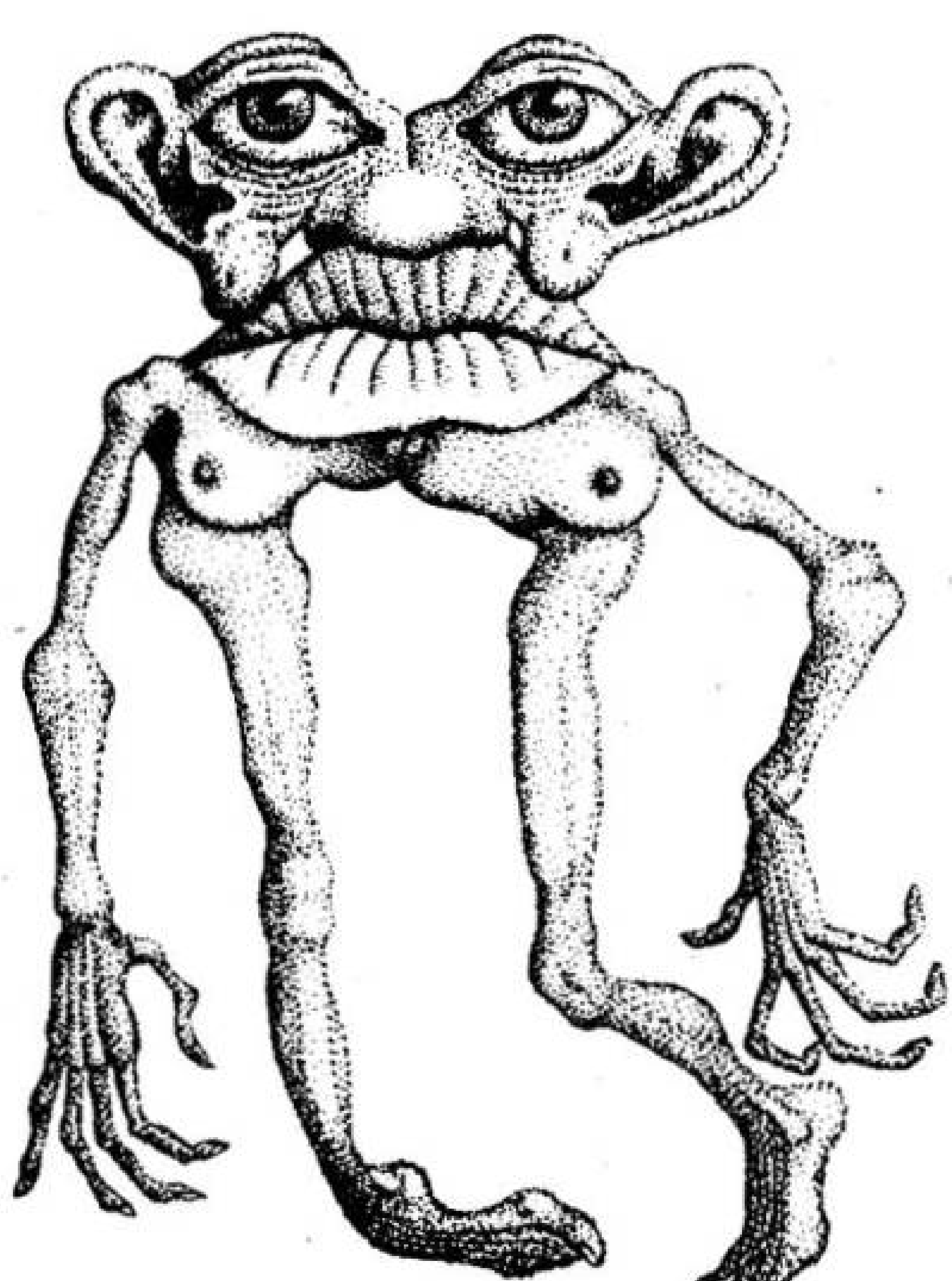
nie. Licencja wisiała na ścianie). Nie był to przyrząd powszechnie używany, a w tak małej klinice wręcz zaskakujący. Lancet laserowy to narzędzie wysoce specjalistyczne. Obecnie stosowane jedynie w chirurgii ocznej i do wykonywania lobotomii. I produkowania cyborgów. Ale w przeszłości, jakieś dwadzieścia dwa lata temu, używano go w inżynierii genetycznej.

Przeszedł mnie dreszcz zgrozy. Było w tym wszystkim coś złowrogiego. Najniewinniej, jak tylko potrafiłem, zadałem Paracelsowi najbardziej perfidne pytanie:

– Czy zdarza się panu ratować tu ludzkie życie, doktorze? – To wystarczyło, żeby jego głos stracił swoją jękliwą nutę. W jednej chwili stał się tak zjadliwy, że czekałem, kiedy na ustach Paracelsa pojawi się piana.

– A co? Ma pan takie miękkie serduszko? – syknął. – Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, są przygotowani, że mogą zginąć. Robię dla nich wszystko to, co mógłby zrobić każdy inny lekarz. A pan sobie wyobraża, że te urządzenia tutaj to dla przyjemności?

Ze zdumieniem stwierdziłem, że mu wierzę. Wierzyłem mu, że robi wszystko, żeby ratować każde życie, które dogasało na tym stole operacyjnym. Był w końcu przecież lekarzem, prawda? Jeżeli nawet zabijał ludzi, to robił to w jakiś inny sposób.



Łukasz Ługowski

IV

No cóż, może byłem naiwny. Jeszcze nie wiedziałem. Ale sądziłem, że dowiedziałem się już wszystkiego, co Paracels i Ushre byli gotowi wyjawić mi z własnej woli. Zapewniłem ich, że stawię się jutro skoro świt, i pożegnałem się.

Deszcz padał już mniejszy, więc nie zmokłem tak bardzo w drodze do samochodu, co jednak nie poprawiło zbytnio mojego samopoczucia. Nie miałem wątpliwości: przewyższali mnie o klasę. Ushre i Paracels praktycznie nie zdradzili się z niczym. Wciskali mi po prostu zgrabne i w miarę prawdopodobne historyjki na upozorowanie rzeczy dziwnych, jak klinika dla zwierząt i niezależność rezerwatu od zwykłych hodowców. W gruncie rzeczy wyjaśnili mi wszystko, poza swoim obyczajem palenia zwłok zabitych myśliwych – a tej sprawy nie mogłem ruszyć nie zdradzając przed nimi swojej niewiedzy. Niewykluczone nawet, że mnie rozszyfrowali. Zaś moją jedyną zdobyczą był zimny pot. Odczuwałem dziwną pokusę, by użyć eksplodera; żeby zrównać z ziemią cały ten budynek, łącznie z kliniką i ze wszystkim. Kiedy uruchomiłem z powrotem swoją radiostację, miałem ochotę powiedzieć inspektorowi Morganstarkowi, żeby mnie odwołał i przysłał na moje miejsce kogoś przytomniejszego.

Ale dałem spokój. Przeciwnie, zachowałem się, jak przystało na dobrego agenta specjalnego. Przez całą drogę do miasta mówiłem do magnetofonów w Centrali relacjonując całą historię. Jeżeli nie miałem innych osiągnięć, to przynajmniej ustaliłem, że Sharon's Point stosuje ekranowanie zabezpieczające. Co znaczyło, że jednak inspektor miał nosa.

Nie ulegało to dla mnie wątpliwości. Wokół rezerwatu był smród. Ushre i Paracels, każdy na swój sposób, robili wrażenie ludożerców. Wyraźnie łaknęli krwi. I to ludzkiej. Coś w mojej podświadomości wołało wielkim głosem, że w Sharon's Point rolę „zwierzyny" odgrywają ludzie o zmienionym zapisie genetycznym. Nic dziwnego, że Paracels wyglądał tak niezdrowo. Doktor medycyny konał w nim pogwałcony całkowicie.

Tak więc nie powiedziałem inspektorowi Morganstarkowi, żeby mnie odwołał. Zrobiłem to, czego po mnie oczekiwano. Wróciłem do motelu i zachowywałem się jak człowiek bogaty, który nie może się doczekać polowania. Poszedłem do łóżka zaraz po kolacji, żeby dobrze wypocząć. Zamówiłem w recepcji budzenie na szóstą. Puściwszy prysznic poinformowałem Centralę, co zamierzam zrobić.

O północy, kiedy po raz pierwszy od dwóch dni wiatr przegnał chmury, wylazłem przez okno i poszedłem do rezerwatu na piechotę.

Nie mogę powiedzieć, żebym był szczególnie obciążony sprzętem. Zostawiłem w motelu i Winchestera, i wytworne akcesoria myśliwskie. Ale nie sądziłem, żeby mi się przydały. Ostatecznie byłem cyborgiem. Miałem latarkę punktową, skromny zestaw wytrychów elektromagnetycznych i „łamigłówek". Miałem dobre poczucie kierunku. I nie bałem się ciemności.

No i nie rozstawałem się ze swoim osobistym talizmanem. Był nim stary nóż myśliwski Gerbera, który należał kiedyś do mojego ojca, specjalnie wyważony do rzucania (w czym zresztą i tak byłem lepszy niż w strzelaniu). Nóż ten miał ostrze przy rękojeści ząbkowane, dzięki czemu nadawał się do przecinania takich rzeczy jak liny. Brałem go na wszystkie wyprawy do rezerwatów łowieckich i nie jeden raz uratował mi życie. Używałem go też do dobijania biednych zwierzaków, okrutnie okaleczonych przez sidła czy niecelne strzały. Obecnie miałem go pod ubraniem z tyłu w pasie. Czułem się z nim jakoś pewniej.

Zamierzałem właśnie zakraść się i rzucić okiem na parę rzeczy. Jak na przykład klinika weterynaryjna doktora Paracelsa czy boksy hodowlane. No i kartoteka Ushre'a. Nie miałem ochoty wkroczyć po prostu rano do rezerwatu i brutalnie nadziać się na to wszystko, co mnie tam czekało. Wolałem podjąć ryzyko po ciemku.

Dotarłem do rezerwatu mniej więcej po godzinie i przycupnąłem w krzakach przy drodze, żeby się zastanowić, co dalej. Wszystkie światła w barakach i w budynku biurowym były pogaszone, ale w pobliżu lądowiska i poduszkowca płonęła jaskraworóżowo lampa freonowa. Kusiło mnie, żeby ją zgasić – czułbym się bezpieczniej. Ale oczywiście równałoby się to rozgłoszeniu po całym Sharon's Point, że tu jestem, więc dałem spokój.

Postanowiłem darować sobie i baraki. Być może nie mieszkali tu opiekunowie zwierząt, może doktor Paracels trzymał tu same zwierzęta. Gdyby jednak mieszkali tam ludzie, to wyglądałoby bardzo głupio, gdybym się włamał. Lepiej nie ryzykować.

Skupiłem się więc na budynku biurowym. Pod osłoną cienia baraków przekradłem się na tyły, tak że znalazłem się między budynkiem a ogrodzeniem. Tam właśnie, w miejscu gdzie spodziewałem się znaleźć urządzenia weterynaryjne, zobaczyłem drzwi, które pasowały do moich wyobrażeń. Chciałem rzucić okiem na tę klinikę. Niezależnie od tego, co mówił Ushre, wyglądało mi to na wymarzone miejsce do eksperymentowania ze „zwierzyną". Wyłączyłem językiem mój nadajnik, żeby się znów nie nadziać na urządzenie zagłuszające i zacząłem się przymierzać do otwierania drzwi bez uruchomienia jakichkolwiek alarmów.

Jeden z moich wytrychów otworzył zamek bez trudności. Ale nie uchyliłem drzwi szerzej jak na kilka centymetrów. W świetle latarki punktowej korytarz, który się przede mną rozciągał, wyglądał zupełnie niewinnie, ale nie miałem do niego zaufania. Wziąłem wytrych i włożyłem go z powrotem, żeby zareagował na wykrywacze pola magnetycznego (obecnie najczęściej stosowany system zabezpieczający). Następnie wsunąłem wytrych przez szparę w drzwiach. Gdyby się natknął na pole czujnika, poczułbym opór powietrza, zanim uruchomiłbym alarm (przynajmniej teoretycznie).

Czy technika nie jest czymś wspaniałym (powiedział cyborg)? Mój wytrych nie napotkał na żaden opór. Oddychałem głęboko z minutę czy dwie, zanim otworzyłem drzwi na tyle szeroko, że mogłem wejść do środka. Następnie zamknąłem drzwi za sobą i oparłem się o nie.

Obszukałem korytarz promieniem latarki, ale nie dowiedziałem się niczego poza tym, że mam do wyboru kilkoro drzwi. Trzymając przed sobą wytrych jak coś w rodzaju różdżki czarodziejskiej zacząłem się posuwać, przygotowany na to, że wytrych stanie mi nagle w ręku dęba i że dokoła rozszaleje się piekło.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Podszedłem do pierwszych z brzegu drzwi i otworzyłem je. Oczom moim ukazał się sprzęt do czyszczenia podłóg – miotły elektrostatyczne i Bóg wie co jeszcze. Noc była chłodna, w budynku panował chłód – ale ja się pociłem.

Kolejne drzwi prowadziły do magazynu bielizny i do łazienki.

Zagryzłem zęby, żeby nie mówić głośno. Opowiadanie się Centrali z tego, co robię stało się już nawykiem.

Dopiero następne drzwi były tymi, o które mi chodziło. Znalazłem się w obszernym pomieszczeniu, gdzie śmierdziało jak w laboratorium.

I tu, zamknąwszy za sobą drzwi, stałem dłuższą chwilę bez ruchu, żeby się upewnić, że nie robię żadnego hałasu. Rozszerzyłem promień latarki i omiotłem nim pokój dokoła.

Było to ponad wszelką wątpliwość laboratorium. W tej części stały cztery duże, zastawione sprzętem stoły: palnikami, mikroskopami i wszelkiego rodzaju aparatami ze szkłoliny – z których przynajmniej połowa nie była mi znana. Nie potrafiłem nazwać ani odczynników chemicznych zgromadzonych na półkach na ścianie, ani preparatów w słoikach w przeciwległym końcu pomieszczenia. (Po co do diabła wszystko to było Paracelsowi?) Ale jedną rzecz poznałem natychmiast: skalpel laserowy. Tak wyszukany, że tamten, z którym się zetknąłem na sali operacyjnej, wydał mi się dziecinną zabawką.

Na ten widok poczułem głęboko w piersi drżenie.

Ale to była tylko połowa pomieszczenia. Drugą połowę stanowiło co innego. Kiedy skończyłem z oglądaniem sprzętu laboratoryjnego, skierowałem światło w drugi koniec i wtedy dostrzegłem krematorium.

Piec był wbudowany w ścianę jak gigantyczny sterylizator, ale ja wiedziałem, z czym mam do czynienia. Widywałem już przedtem krematoria. Tyle, że to było po prostu największe, z jakim się dotychczas zetknąłem. Wydawało się wystarczająco duże, żeby pomieścić niedźwiedzia. Dziwne – w rezerwatach łowieckich nie trzymano zwykle tak wielkich zwierząt, były zbyt kosztowne.

Ale niemal natychmiast dostrzegłem coś jeszcze dziwniejszego. Przed piecem krematoryjnym stały nosze na kółkach przypominające wózek szpitalny. Na noszach leżały zwłoki przykryte prześcieradłem. Z miejsca, w którym stałem, wyglądały na zwłoki mężczyzny.

Nie podbiegłem do nich – przede wszystkim starałem się zlokalizować wszystkie drzwi do laboratorium. Znalazłem cztery – usytuowane parami naprzeciwko siebie w dwóch przeciwległych krańcach pomieszczenia. Niezależnie więc od tego, jak bym się ustawił, zawsze przynajmniej jedne drzwi miałbym za sobą.

Ale na to nic nie mogłem poradzić. Podszedłem do drzwi znajdujących się naprzeciwko mnie i przyłożywszy do nich ucho przez dłuższą chwilę nasłuchiwałem, co się dzieje po tamtej stronie. Następnie powtórzyłem to przy pozostałych dwojgu drzwiach. Ale jedynym dźwiękiem, jaki słyszałem, było walenie mego własnego serca. Jeśli Sharon's Point zamiast wykrywaczy pola magnetycznego używało urządzeń alarmowych reagujących na dźwięk, to niewykluczone, że znajduję się w nie lada kłopocie.

Ale nie usłyszałem nic. Mimo to podchodząc do wózka nerwy miałem napięte jak postronki. Chyba nawet wstrzymałem oddech.

Pod prześcieradłem znalazłem zwłoki mężczyzny. Był nagi, a w jego piersi widziałem jasno jak na dłoni dziury po kulach. I to wiele. Zbyt wiele. Wyglądał tak, jakby się znalazł pod ostrzałem karabinów maszynowych. Ale musiało się to stać już jakiś czas temu. Skóra była zimna, ciało sztywne i ani śladu krwi.

Teraz już wiedziałem, po co Ushremu i Paracelsowi krematorium. Oczywiście nie mogli odsyłać rodzinom zwłok w takim stanie.

Przez chwilę stałem bezczynnie myśląc: a jednak miałem rację – w Sharon's Point zamiast zwierząt używają ludzi – tutaj ludzie polują na ludzi.

Nagle w laboratorium zapłonęły wszystkie światła, a ja, zaskoczony, niemal zemdlałem z przerażenia.

W drzwiach, którymi wszedłem, stał Avid Paracels. W dalszym ciągu jeszcze trzymał rękę na wyłączniku światła. Wyglądał tak, jakby się w ogóle nie kładł. Miał na sobie swój biały kitel, jakby to, że o pierwszej w nocy jest w swoim laboratorium, było czymś najnaturalniejszym w świecie. Może zresztą było. W każdym razie w tym świetle wyglądał bardziej namacalnie, jeszcze groźniej.

Ale nie robił wrażenia zdziwionego. To nie on. Patrzył wprost na mnie, jakbyśmy się obaj stawili na umówione spotkanie.

Przez parę pierwszych uderzeń serca nie mogłem myśleć o niczym innym, jak tylko: no cóż, tyle co do techniki. Muszą mieć jakiś inny system alarmowy.

Paracels odezwał się pierwszy. Jego piskliwy, starczy głos był wyraźnie pełen zadowolenia.

– Ushre od razu się na panu poznał – powiedział. – Wiedzieliśmy, że przyjdzie pan tu w nocy. Pan przyjechał do Sharon's Point prowadzić dochodzenie.

O dziwo, po tym jego oświadczeniu poczułem się lepiej. Mimo wszystko mój wytrych mnie nie zawiódł. W dalszym ciągu mogłem polegać na swoim sprzęcie. Może nawet byłem lepiej przystosowany do roli cyborga niż sądziłem. Paracels był wyraźnie nie uzbrojony, a ja bądź co bądź miałem eksploder. I w żaden żywy sposób nie mógł mi uniemożliwić użycia go. Mój puls wyraźnie wracał do normy.

– No i co dalej? – spytałem. Pozwalałem sobie nawet na pewną brawurę. Po agentach specjalnych się tego oczekuje. – Zamierza pan mnie zabić?

Nastrój Paracelsa zmieniał się z sekundy na sekundę. Znów był zjadliwy.

– Na to pytanie odpowiedziałem już dziś rano – uciął. – Jestem lekarzem. Nie pozbawiam życia.

Wzruszyłem ramionami i wskazałem wózek.

– To dla niego z pewnością prawdziwa łaska. – Chciałem sprowokować tego świetnego lekarza.

Ale on jak gdyby mnie nie słyszał. Znów był rad z siebie.

– Doskonały okaz – rzekł z uśmieszkiem. – Jego geny powinny się przydać.

– On nie żyje – odparłem. – Jaki pożytek z martwych genów?

Paracels niemal się uśmiechnął.

– Miejscami jeszcze nie jest martwy – odpowiedział. – Nie wiedział pan o tym? Niektóre jego części będą żyły jeszcze przez dwa dni. A potem go spalimy. – Ukazał się czubek jego języka zakreślając wokół ust zgrabną obwódkę śliny.

Prawdopodobnie to powinno mnie było ostrzec. Ale ja się na nim skoncentrowałem w niewłaściwy sposób. Obserwowałem go, jakby był jedynym, którego należało się obawiać. Zupełnie nie słyszałem, jak otworzyły się drzwi za mną. Pochwyciłem jedynie ostatni szybki krok. W tym momencie dostałem w tył głowy czymś, co przerwało mój kontakt ze światłem.

V

Co świadczy o tym, że być cyborgiem to jeszcze nie wszystko. Kłopot zaczyna się bowiem w chwili kiedy cyborg przystosowuje się do tego, czym jest. Przestaje polegać na sobie, a zaczyna polegać na swoim wyposażeniu. I dlatego znalazłszy się w sytuacji, która wymagała czegoś więcej niż eksploder, jest bezradny.

Jeszcze dwa lata temu nie było człowieka ani zwierzęcia, które mogłoby się do mnie podkraść od tyłu. Rezerwaty łowieckie nauczyły mnie czujności. Zwierzęta nie wiedzą, że jestem po ich stronie, a bywają głodne. Musiałem dobrze uważać na siebie, żeby nie stracić życia. Ale to już należało do przeszłości. Obecnie byłem Samem Browne, agentem specjalnym – cyborgiem – mięsem armatnim. Właściwie mogłem się spokojnie uważać za trupa.

Miałem związane z tyłu ręce, leżałem twarzą w czymś, co przed zaschnięciem musiało być błotem i powoli smażyłem się na słońcu. Kiedy zdołałem odwrócić głowę na tyle, żeby otworzyć oczy, zobaczyłem jedynie zarośla w odległości kilku centymetrów od mojego nosa. Musiało upłynąć sporo czasu, zanim zebrałem siły, by skoncentrować wzrok i unieść głowę. Wtedy stwierdziłem, że leżę na drodze biegnącej przez obszar porośnięty niskimi krzewami. Za krzewami były drzewa.

Dokoła mnie unosił się słaby odór krwi. Mojej. Pochodzącej z tyłu głowy. Bolała mnie jak jasna cholera.

Z powrotem położyłem twarz w błocie. Kląłbym z pewnością, gdybym miał na to siłę. Wiedziałem, co się stało.

Ushre i Paracels związali mnie i rzucili gdzieś w środku swego rezerwatu. Śmierdzącego krwią. Nie zamierzali mnie zabić – nie, to nie oni. Miałem być ich kolejnym zmarłym myśliwym.

Cóż, przynajmniej się przekonamy, kto tu na kogo (albo na co) poluje.

Minęło kilka minut, zanim znalazłem w sobie dość energii, żeby sprawdzić, czy i nogi mam związane. Nie miałem. Fair play. Byłem ciekaw, czy zawdzięczałem to Ushre'owi, czy Paracelsowi.

Tym ciosem zrobili mi wodę z mózgu. O jego sile mogłem wnosić z bólu. Całe wieki zastanawiałem się, komu zawdzięczam to, że mam nie związane nogi. Zastanawiałem się, zamiast na nie stanąć. Zamiast się rozejrzeć za jakąś wodą do zmycia krwi. Pomyśleć o ratowaniu życia. Znów minęło wiele czasu, zanim przypomniałem sobie, że mam w czaszce nadajnik. Mogłem przecież wezwać pomoc.

Tyle, że to by musiało potrwać. Prawdopodobnie pomoc i tak by nie zdążyła mnie uratować. Ale przynajmniej mogłem ją wezwać. To by gwarantowało, że Sharon's Point zostanie zamknięte. A dla Ushre'a i Paracelsa – za morderstwo pierwszego stopnia – murowaną karę śmierci. Przynajmniej mogłem ich wezwać.

Mój język przypominał w ustach gąbkę, ale skupiłem się maksymalnie i zdołałem znaleźć włącznik nadajnika. Następnie próbowałem coś powiedzieć. Ale z tym nie poszło mi tak gładko. Musiałem kilka razy przełknąć, żeby zebrać ilość śliny niezbędną do wydania dźwięku. Wreszcie jednak mi się to udało. Wypowiedziałem głośno jedno z przyjętych w Centrali haseł alarmowych.

Cisza.

A przecież coś się powinno zacząć dziać. To słowo powinno było włączyć automatyczne monitory w pokoju nagrań. Monitory z kolei powinny postawić dyżurkę w stan pogotowia. Natychmiast. Inspektor Morganstark (czy kto tam jest akurat w dyżurce) powinien stawić się biegiem. I zacząć do mnie mówić (no więc dobrze, nie dosłownie mówić – moje urządzenia nie odbierają głosów. Tylko modulowane brzęczenie. Ale ja to brzęczenie umiem odczytywać). Mój odbiornik powinien brzęczeć.

Ale nie brzęczał.

Czekałem, ale on nadal nie brzęczał. Powtórzyłem hasło jeszcze raz – i znów nic. Wypowiedziałem wszystkie znane mi hasła – z tym samym skutkiem. Zacząłem kląć aż do utraty tchu.

Nic.

To mnie przekonało (kiedy odzyskałem siły na tyle, że znów mogłem myśleć), że moja radiostacja nie działa. Wspaniale. Być może na skutek ciosu w głowę została zniszczona. Albo może...

Upewniłem się, że moja prawa ręka znajduje się za lewą. A następnie przesunąłem językiem włącznik, który miał uruchomić eksploder.

Znów nic.

Wykręcając prawą rękę zbadałem palcami wnętrze lewej dłoni. Eksploder był nie tknięty. Błona maskująca znajdowała się na miejscu. Powinien działać.

Mogłem się spokojnie pożegnać z życiem.

Te skurwysyny (najprawdopodobniej Ushre, inżynier elektronik) zorientowały się, jak wyłączyć zasilanie. I wyłączyli mnie.

Muszę powiedzieć, że poczułem się dość paskudnie. Ushre i Paracels już jednego agenta specjalnego spalili. Prawdopodobnie stąd pochodziły ich informacje. Zasilacz Kolcsza przecież by się nie roztopił. Mając go w ręku Ushre mógł z łatwością skonstruować magnetyczny wyłącznik. Wystarczyło jedynie eksperymentować aż do skutku.

Niezrozumiałe było tylko moje samopoczucie. Leżałem oto – unieszkodliwiony cyborg – twarzą do ziemi, z rękami związanymi z tyłu, w rezerwacie łowieckim, w którym wykończono już czterdziestu pięciu facetów – nawet czterdziestu sześciu, licząc tego, który leżał w laboratorium Paracelsa – i nagle poczułem, że wiem, co robić. Zupełnie jakbym nie był wyłączony, poczułem, że wraca mi życie, że mięśnie odzyskują siłę, że umysł mi się rozjaśnia. Jeszcze chwila i będę gotów wstać.

Postanowiłem, że Ushre i Paracels za to zapłacą.

Łobuzy byli tak cholernie pewni siebie, że nie zadali sobie nawet trudu, żeby mnie przeszukać. Miałem więc przy sobie nóż. Czułem go z tyłu – pod rękami.

Ciekawe, co oni sobie wyobrażali, że zrobi Centrala, jak monitory wykryją, że mój nadajnik nie działa. Że będą siedzieli sobie spokojnie na tyłku i czekali, a Sharon's Point będzie dalej prowadziło swój wesoły proceder?

Ruszyłem się, zacząłem wstawać. Powinienem to zrobić już dawno. A zresztą może nie miałoby to żadnego znaczenia. Teraz już z pewnością nie miało. Zanim bowiem zdołałem się podnieść na kolana, było już za późno. Znalazłem się w kłopocie.

I to poważnym.

W odległości jakiegoś metra ode mnie pojawił się na ścieżce królik, który wychynął z zarośli – a w każdym razie stworzenie, które wyglądało na królika. Zwykłego, długouchego królika. Samca – samce są znacznie większe od samic. Ale nagle stwierdziłem, że właściwie ten królik nie jest podobny do królika. Miał zbyt potężne szczęki: jak gdyby psie. Przednie łapy też miał za szerokie i za silne.

Co do diabła?

W pysku zwierzę trzymało granat ręczny, który niosło za kółko od zawleczki. Nie traciło czasu. Położyło granat na ścieżce i oparło na nim łapy, a następnie z szarpnięciem głowy wyciągnęło zawleczkę. Po czym dało nura w krzaki.

A ja po prostu klęcząc gapiłem się na to diabelstwo. Przez długi czas nie mogłem się zdobyć na nic innego, jak tylko na to, żeby gapiąc się myśleć: żywy granat. Wzięli go z Arsenału Procureton.

Gdzieś w mojej podświadomości odezwał się rozpaczliwy krzyk: Wywal go, ty durniu!

Ruszyłem się. Zerwałem się na nogi, zrobiłem krok w kierunku granatu i kopnąłem go, a następnie rzuciłem się do ucieczki. Nie traciłem czasu na sprawdzenie, dokąd prowadzi ścieżka. Zrobiłem ze dwa kroki w zarośla i padłem na ziemię. Jakiekolwiek schronienie było lepsze niż żadne.

Lądowanie miałem twarde, ale było mi wszystko jedno. W sekundę po moim zetknięciu z ziemią granat eksplodował. Rozległ się odgłos kruszenia, jakby taranem rozwalano beton. Odłamki żelaza śmigały w lesie we wszystkich kierunkach.

Żaden z nich jednak nie trafił we mnie.

Ale nie koniec na tym. Nastąpiły dalsze eksplozje. Linia wybuchów zaczynała się w miejscu, gdzie został zdetonowany granat, i biegła w górę ścieżki. Czwarty przypadł tak blisko, że wstrząs obrócił mnie i obsypał ziemią. Zanim kanonada ustała, zanotowałem jeszcze trzy wybuchy.

Po czym zapanowała grobowa cisza.

Nie ruszałem się przez dłuższy czas. Leżałem w miejscu, udając martwego, a nawet pogrzebanego. Nie chciałem ryzykować w najmniejszym nawet stopniu, dopóki nie miałem pewności, że mój zapach został całkowicie zdominowany przez unoszący się w powietrzu swąd prochu. Dopiero wtedy podciągnąłem z tyłu koszulę do góry i wydobyłem nóż.

Uwolnienie rąk nie było proste, ale piłka na ostrzu mego noża okazała się pomocna i skończyło się zaledwie niewielkim skaleczeniem. Mając wolne ręce dźwignąłem się na czworaki. Czas jakiś nasłuchiwałem bardzo intensywnie, usiłując przypomnieć sobie, jak to przed dwoma laty, zanim jeszcze uzależniłem się w tym stopniu od mojej aparatury, potrafiłem robić użytek ze słuchu.

Miałem szczęście. Był niewielki wiatr, który wiał w poprzek ścieżki, co znaczyło, że żadne stworzenie znajdujące się pod wiatr i tak nie może mnie poczuć, a z wiatrem... w powietrzu unosiło się zbyt dużo prochu, żeby mój zapach mnie zdradził. Byłem więc kryty, przynajmniej w pewnym stopniu.

Wyczołgałem się do przodu, żeby rzucić okiem na ścieżkę.

Szereg płytkich kraterów, oddalonych jeden od drugiego o jakieś sześć metrów, wyjaśnił mi wszystko. Miny przeciwpiechotne. Kilka min, połączonych drutem i zakopanych na ścieżce. Granat odpalił jedną, a reszta poszła od niej. Najbliższa zabiłaby mnie z pewnością, gdyby nie była zakopana tak głęboko. Szczęśliwie główna siła wybuchu poszła w górę, a nie na boki.

Otarłem pot z czoła i leżąc dalej myślałem.

Królik, który nie był królikiem. Genetycznie zmieniony królik wyposażony w broń z Arsenału Procureton.

Nic dziwnego, że Ushre i Paracels sami hodowali zwierzęta – geny tych zwierząt musiały być zmieniane w embrionalnym stadium rozwoju. I krematorium. Nic dziwnego, że pomieszczenia hodowlane utrzymywali w tajemnicy. Nic też dziwnego, że pobierali tak słone opłaty. I że dbali o ekskluzywność klienteli.

Nic dziwnego, że chcieli mnie zgładzić.

Nagle ich pewność siebie przestała mnie dziwić.

Nie myślałem nawet o ruszaniu się z miejsca. Nie byłem jeszcze gotów. Potrzebowałem więcej informacji. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że te króliki nie są jedynymi zwierzętami w rezerwacie łowieckim Sharon's Point. Spodziewałem się również, że seria wybuchów sprowadzi do mnie inne.

Moje podejrzenia potwierdziły się wcześniej niż przypuszczałem. Ledwie zdążyłem się ukryć w krzakach, kiedy usłyszałem na ścieżce ciche stąpanie ciężkich łap. Niemal jednocześnie przebiegły dwa psy. A przynajmniej coś, co powinno być psami. Były to duże, brązowe boksery i na pierwszy rzut oka jedyną niezwykłą rzeczą, która mnie w nich uderzyła, były zarzucone na grzbiety torby.

Psy zatrzymały się przy najdalszej wyrwie i dzięki temu mogłem im się przyjrzeć. Otóż ich barki były dziwnie szerokie i płaskie, a zamiast przednich łap miały jak gdyby szympansie ręce, tyle że z potężnymi pazurami.

Zrzuciły torby, otworzyły je nosami i wyjęły około sześciu min.

Pracując zespołowo, z zadziwiającą sprawnością, umieściły w starych kraterach nowe miny. Połączyły je przewodem, który z kolei doprowadziły do płaskiego, szarego pudełka z przełącznikiem. Następnie ukryły przewody i pudełko w zaroślach przy ścieżce (szczęśliwie po przeciwnej stronie niż ja się znajdowałem – nie miałem specjalnej ochoty na starcie z nimi). Na koniec zasypały kratery, ubijając ziemię tak, że jedynie bardzo nieznaczna zmiana barwy zdradzała te miejsca. Po zakończeniu tych czynności jedno ze stworzeń uzbroiło miny.

W chwilę potem psy, baraszkując, biegły przez las. Tarzając się i skacząc oddalały się ku odległej linii drzew.

Piętnaście minut temu usiłowały mnie zabić. Przed chwilą zakończyły zastawianie pułapki na kogoś innego. Teraz – oddawały się igraszkom.

Ale to przecież nie ich wina. Były tylko psami. Wyposażonymi w zmienione grzbiety i w ręce, być może nawet w nowe mózgi (zastawianie min wydało mi się zadaniem zbyt trudnym dla zwykłych bokserów) – w końcu jednak tylko psami. Nie zdawały sobie sprawy z tego, co robią.

Sprawę zdawali sobie Ushre i Paracels.

Nagle znudziła mi się ciągła czujność. Byłem wściekły i nie zamierzałem tu dłużej sterczeć. Mój zmysł orientacji powiedział mi, że psy poszły w tym samym kierunku, w którym i ja zamierzałem pójść: w stronę frontowej bramy rezerwatu. Kiedy straciłem je z oczu, podniosłem się na tyle, że przykucnąłem. Zbadałem dokładnie otoczenie, żeby się upewnić, czy nie ma nikogo w okolicy. Następnie dałem nura na drugą stronę ścieżki, wywinąłem kozła, jednym skokiem poderwałem się na nogi i zacząłem biec. Tą samą drogą co psy. Skoro one nie wyleciały w powietrze, miałem nadzieję, że i ja nie wylecę. Posuwałem się pod wiatr, jedynie więc hałas mógł mnie zdradzić. A hałasu robiłem niewiele.

W ciągu dwóch minut znalazłem się wśród drzew, ukryty pod starym, spróchniałym balem.

W cieniu było znacznie chłodniej, przez chwilę więc odpoczywałem od żaru słonecznego, próbując przyzwyczaić wzrok do mniej jaskrawego światła. I słuchając. Początkowo słyszałem niewiele – tak byłem zdyszany – ale już wkrótce mój słuch przystosował się do szumu wiatru i lasu. Wtedy odprężyłem się na tyle, że wreszcie byłem w stanie zdać sobie dokładnie sprawę z tego, co zamierzam zrobić.

A zamierzałem dobrać się Ushre'owi i Paracelsowi do skóry.

Pięknie. Takie miałem w każdym razie plany. Był tylko jeden problem: jak utrzymać się przy życiu. Do tego bowiem musiałem mieć wodę. Żeby zmyć krew. Bo jeżeli sam czułem ją bez trudu, to tym bardziej czuło ją każde zwierzę w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Zacząłem szukać drzewa, na tyle wysokiego, żebym ogarnął z niego wzrokiem okolicę ponad lasem.

Z powodu ostrożności, jaką musiałem zachować, zajęło mi to pół godziny, ale w końcu znalazłem: wysoki, prosty jesion. Wprawdzie mniej więcej do wysokości sześciu metrów był on łysy, ale pobliskie drzewo przewróciło się na niego i uwięzło w jego najniższych gałęziach. Ryzykując skręceniem karku i nie zastanawiając się zbytnio nad tym, co robię wdrapałem się jakoś po tym drzewie na jesion.

Wkrótce się przekonałem, że mając lewą rękę nie w pełni chwytną nie wlezę tak wysoko, jakbym chciał. Kiedy się jednak wspiąłem najwyżej jak mogłem, dopisało mi szczęście.

Dostrzegłem strumień. Odległy o parę kilometrów, za łąką i jeszcze jedną linią drzew, wił się pomiędzy mną a bramą frontową. Robił wrażenie dokładnie tego, o co mi chodziło. Pod warunkiem, że się do niego dostanę.

Ale nie traciłem czasu na martwienie się swoją sytuacją. Poświęciłem minutę na utrwalenie sobie w pamięci terenu. Po czym zacząłem złazić z drzewa.

Słuch musiał mi się poprawić. Nie byłem nawet jeszcze w połowie drogi do ziemi (której nie widziałem z powodu gęstych gałęzi i listowia), kiedy usłyszałem, że coś się do mnie zbliża.

Sądząc po odgłosie, to coś musiało się nie spieszyć; po prostu lazło sobie pomiędzy drzewami. Ale było już blisko. Za blisko.

Usiadłem okrakiem na gałęzi, tyłem do pnia, oparłem się rękami o drzewo przede mną i zamarłem. W tej pozycji nie mógłbym sięgnąć po nóż, ale i tak nie miałem tego w planie. Nie wyobrażałem sobie, żebym mógł na drzewie podejmować jakąś walkę.

Ledwie się zdążyłem usadowić, kiedy o trzy sekundy później w górze na sąsiednim drzewie rozległo się coś w rodzaju młócenia i w odległości jakichś czterech metrów ode mnie, na tej samej gałęzi wylądowała małpa.

Był to normalny wyjec – oczywiście normalny jak na Sharon's Point. Z masywnym, szarym tułowiem i czarną jak węgiel twarzą o głęboko osadzonych, pałających oczach – małpa robiła wrażenie znacznie większej i silniejszej od szympansa. Miała charakterystyczne szerokie, proste ramiona i nadmiernie szerokie dłonie. A na grzbiecie plecak.

I do tego za uchwyt nad lufą trzymała M-16.

Nie tropiła mnie jednak. Po prostu sobie łaziła. Samotnie. Wyjce żyją w stadach, więc prawdopodobnie instynktownie i bezmyślnie poszukiwała towarzystwa, nie wiedząc nawet czego szuka. Mogłaby równie dobrze mnie przegapić i pójść sobie dalej.

Ale kiedy skoczyła na gałąź, przesunąłem się pod wpływem wstrząsu. Zaledwie o kilka centymetrów – ale to wystarczyło. Mój ruch zwrócił jej uwagę. Powinienem zamknąć oczy, ale było już na to za późno. Wyjec wiedział, że mam oczy; wiedział, że żyję. W ciągu jakichś pięciu sekund dotrze do niego, że śmierdzę krwią.

Ujął oburącz M-16, oparł kolbę o ramię i zagiął palec na spuście.

Patrzyłem na małpę nawet nie drgnąwszy.

Bo i co mi pozostało? Nie mogłem do niej sięgnąć, ale nawet gdybym mógł, to i tak nie byłbym na tyle szybki, żeby ją powstrzymać od pociągnięcia za spust. Podziurawiłaby mnie jak rzeszoto, zanim bym jej dotknął. Miałem ochotę ją prosić: nie strzelaj. Nie stanowię dla ciebie żadnego zagrożenia. Ale przecież by nie zrozumiała. Była tylko małpą. Po prostu by mnie zastrzeliła.

Byłem tak przerażony i wściekły, że mógłbym zrobić jakieś głupstwo. Ale nie zrobiłem. Gapiłem się tylko bez ruchu.

Wyjec był wyraźnie ciekawy. Trzymał broń wycelowaną w moją pierś, ale nie strzelał. Nie widziałem w jego twarzy ani chytrości, ani złośliwości. Zbliżył się do mnie powoli. Chciał się przekonać, co to takiego.

Za chwilę poczuje moją krew, ale ja mogłem tylko czekać. Musiałem dopuścić go do siebie bliżej.

Posuwał się stale. Odległość między nami zmniejszyła się z czterech do trzech metrów. Do dwóch. Miałem wrażenie, że zacznę krzyczeć. Wylot lufy był na wysokości mojej piersi. Jedyne, co mogłem w tej sytuacji zrobić, to zamiast patrzeć na czarny otwór, nie spuszczać wzroku z wyjca.

Metr.

Bardzo, bardzo wolno zamknąłem oczy. Patrz, wyjcu. Nie jestem dla ciebie groźny. Nawet się nie boję. Zasypiam. Jak ty możesz się mnie bać?

Ale on musiał się mnie bać. Musiał poczuć zapach mojej krwi. Odliczyłem dwa uderzenia serca z zamkniętymi oczami. A następnie poruszyłem się.

Prawą nogą wsparty o pień, zamachnąłem się gwałtownie lewą i wymierzyłem małpie kopniaka. Poczułem w kolanie mocne szarpnięcie.

Dokładnie w tej chwili wyjec zaczął strzelać. Usłyszałem gwałtowne metaliczne szczekanie automatu, usłyszałem, jak walą po liściach pociski kalibru 222. Ale wyjec musiał stracić równowagę; w tym pierwszym ułamku sekundy żaden pocisk mnie nie trafił.

Siła mego kopniaka zachwiała jednak i moją równowagą – spadłem.

Leciałem z trzaskiem w deszczu liści, a za mną jak rój szerszeni – ogień z M-16.

W trzy czy cztery metry później oberwałem twardą gałęzią przez piersi. Dostrzegłem ją jednak w porę i zawisłem na niej w momencie, kiedy mnie uderzyła. Szarpnięcie niemal wyrwało mi ramiona.

Przestałem oddychać – dosłownie mnie zatkało. Ale się nie przejmowałem. Wykręciłem szyję, żeby zobaczyć, co porabia małpa.

Siedziała dokładnie nade mną na swojej gałęzi i gapiła się w moją stronę. Z tego miejsca nie mogła chybić.

Ale nie strzelała. Powoli, jakby miała Bóg wie ile czasu, usuwała ze swojej spluwy pusty magazynek. Następnie wyrzuciła go i sięgnęła do plecaka po nowy.

Gdybym miał pistolet albo chociaż eksploder, zabiłbym ją bez trudu. Ale wyjec nawet nie wiedział, że jest w niebezpieczeństwie, że eksponując się w ten sposób ryzykuje życiem.

Nie czekałem, aż skończy swoje przygotowania. Zamiast tego zwiesiłem nogi z gałęzi i puściłem się.

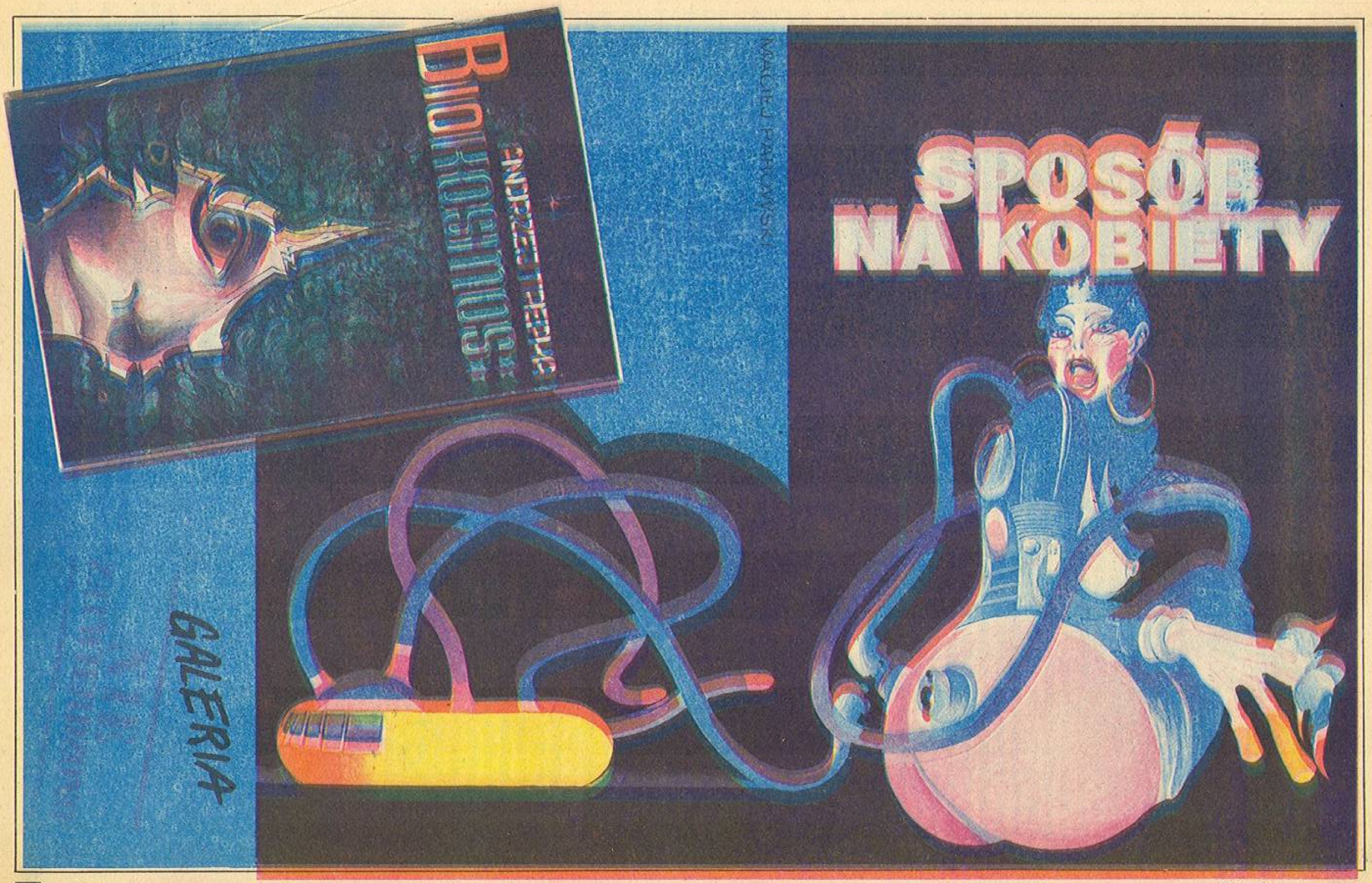
Tym razem miałem szczęście. Na sekundę. Wylądowałem nogami dokładnie na innej gałęzi. Złapałem w ten sposób równowagę, ale nie zamierzałem się tu zatrzymywać. Szybko dałem krok na następną gałąź i skoczyłem na jeszcze następną.

I na tym się moje szczęście skończyło. Zachwiałem się i spadłem. Prawdopodobnie złamałbym nogę, gdyby nie moje plastenowe wzmocnienia wzdłuż kości. Ale i tym nie miałem czasu się przejmować. Znajdowałem się teraz nie więcej niż jakieś dziesięć metrów od ziemi. Od skręcenia karku dzieliła mnie tylko jedna gałąź, i to praktycznie nieosiągalna.

Niezupełnie. Trzymałem na niej obie ręce.

Ale lewą miałem nie w pełni chwytną. A prawa nie wytrzymała mojego ciężaru. Runąłem na plecy u stóp drzewa.

To nie było tak, że mnie od upadku po prostu zatkało. Ja sobie w ogóle nie mogłem przypomnieć, że kiedykolwiek oddychałem. Ale wstrząs nie zrobił mi dobrze na głowę. Na chwilę oślepłem, a w uszach miałem nie ustający łomot, jak gdyby jedynym dźwiękiem, jaki do mnie docierał, jaki miałem słyszeć na zawsze, był odgłos mojego upadku. Miałem uczucie, że padłem z impetem wystarczającym, żeby się wbić w ziemię. Ale zwalczyłem to uczucie. Chciałem powietrza. Chciałem widzieć.



Wiktor Zwikiewicz

Wyjec miał mnie już najprawdopodobniej na muszce.

Starałem się opanować.

Najpierw odzyskałem wzrok. Wydawało mi się, że trwało to godziny, a pewnie nie trwało więcej niż pięć sekund. Zamierzałem spojrzeć w górę, na drzewo, żeby ustalić, gdzie jest małpa, kiedy coś innego przyciągnęło moją uwagę: jakiś kaszel.

Ale nie mój. Ja w ogóle nie oddychałem. Odgłos dochodził z lewej strony.

Nawet nie musiałem bardzo odwracać głowy, żeby spojrzeć w tamtym kierunku. Nie przedstawiało to żadnego problemu. Ale natychmiast tego pożałowałem.

Zobaczyłem brunatnego niedźwiedzia. Dużego brunatnego niedźwiedzia. Musiał być w odległości jakichś dziesięciu metrów ode mnie; stał na czterech łapach, ale wydawał mi się ogromny. Za ogromny. Nie mogłem przecież z czymś takim walczyć. Ba - nie mogłem nawet oddychać.

Niedźwiedź gapił się na mnie. Musiał widzieć, jak spadam. Teraz zastanawiał się, co robić. Prawdopodobnie wahał się między rozszarpaniem mi gardła a odgryzieniem twarzy. Jeżeli do tej pory nie zrobił ani jednego, ani drugiego, to dlatego, że się nie ruszałem.

Ale nie mogłem tak dłużej wytrzymać. Nie dawałem rady. Dusiłem się bez powietrza. Pierś ściskał mi skurcz będący wynikiem zatrucia dwutlenkiem węgla; drgnąłem. Kiedy wreszcie zaczerpnąłem tchu, wydałem świst, którego nie byłem w stanie opanować. I który powiedział niedźwiedziowi o mnie wszystko. Z rykiem, zdolnym wprawić mnie w panikę, gdyby nie to, że i tak byłem już bardziej martwy niż żywy, stanął na tylnych łapach i wtedy miałem okazję zobaczyć, co zrobił z nim Paracels.

Zamiast przednich łap niedźwiedź miał ręce. Paracels wyraźnie cenił sobie ręce. Przydawały się zwierzętom do operowania bronią. Ręce niedźwiedzia były tak ludzkie, że chyba doktor musiał je wziąć od jednego ze zmarłych myśliwych. Robiły wrażenie za małych dla tak wielkiego zwierzęcia. Nie wyobrażałem sobie, jak może na nich chodzić. Ale oczywiście dla niedźwiedzia nie przedstawiało to specjalnego problemu. Były one wystarczająco duże jak na to, o czym myślał Paracels.

Na brzuchu niedźwiedź miał futrzastą torbę jak kangur. Kiedy stanął na dwóch łapach, wsadził do tej kieszeni obie ręce. Kiedy je wyjął, trzymał w nich parę automatów Magnum kaliber 22.

Zamierzał odstrzelić mi głowę.

A ja nie mogłem nic na to poradzić. Ale myślałem. Bo nie chciałem zginąć. Byłem na to zbyt wściekły.

Obojętne, co zamierzałem zrobić, miałem tylko pół sekundy. Niedźwiedź nie odbezpieczył swoich automatów. Naciśnięcie spustu do tego stopnia, żeby oddać pierwszy strzał, zajmie mu pół sekundy - a i tak ten strzał nie będzie celny. Potem siła odrzutu automatycznie odwiedzie kurki i będzie mógł strzelać szybciej i celniej.

Poderwałem się na nogi i skoczyłem do tyłu tak, żeby znaleźć się za drzewem.

Okazałem się jednak nie dość szybki. Zanim przybrałem pozycję pionową, niedźwiedź zdążył strzelić. Ale pierwsze strzały oddawał bezładnie, a poza tym ja już byłem w ruchu. Kiedy szarpnąłem się do tyłu, jeden z pocisków zadrasnął mi pierś. Zaraz potem znalazłem się za drzewem. Kilka kul wgryzło się w pień, zbyt szybko, żebym mógł je policzyć. W każdej spluwie niedźwiedź miał dziesięć nabojów. Wiedziałem, że jestem unieruchomiony do chwili, kiedy będzie musiał załadować broń.

Zanim jednak miałem czas się zastanowić, co dalej, tym razem wyjec otworzył ogień.

Siedział nade mną, na suchym, opartym o jesion drzewie. Musiał tam już być, kiedy zacząłem się przesuwać. W deszczu pocisków wycelował w to, co było dla niego najbardziej niebezpieczne. Cholernie mało brakowało, żeby przeciął niedźwiedzia na pół.

Nic mu w tym nie przeszkadzało, a i cel był nieruchomy. W ciągu trzech sekund władował niedźwiedziowi w bebechy cały magazynek.

Ale dalej nie ruszał się z miejsca. Robił wrażenie całkowicie obłaskawionego, jak małpa w zoo. Trudno było sobie wyobrazić coś łagodniejszego niż ten wyjec, kiedy tak siedząc na drzewie wyjmował i wyrzucał pusty magazynek, by zaraz potem sięgnąć do plecaka po świeży.

Ale był to jego koniec. Podmuch przewrócił do tyłu niedźwiedzia, który siedział teraz na ziemi z tylnymi łapami wyciągniętymi przed siebie, bardzo ludzki w tej pozie. Wykrwawiał się na śmierć; w ciągu dziesięciu sekund miał już nie żyć. Ale niedźwiedzie to uparte i krwiożercze zwierzęta, a ten nie stanowił wyjątku. Zanim skonał, uniósł swoje spluwy i sprzątnął wyjca.

Nie miałem czasu gratulować sobie tego, że przeżyłem. Cała ta strzelanina z pewnością ściągnie inne zwierzęta, a ja się nie czułem na siłach stawić im czoło. Krwawiłem z draśnięcia na piersi, z tyłu głowy i kilku innych ran i zadrapań. A te miejsca, które nie krwawiły, były zbyt potłuczone na to, żebym miał z nich pożytek. Odwróciłem się i najciszej, jak tylko mogłem, powlokłem się w kierunku strumienia.

Ale nie zaszedłem daleko. Nastał czas reakcji - musiałem poszukać jak najlepszego ukrycia i po prostu poddać się atakowi torsji. Rzygałem ze złości.

Zaczynałem pojmować jasno system rezerwatu. Ich zwierzęta nie były niczym innym, jak tylko mięsem armatnim. Bardzo niebezpiecznym, a zarazem obłaskawionym na tyle, że nie potrafiły uciekać. Tak: zwierzęta były obłaskawione. Dzięki specjalnej tresurze.

Zmiany genetyczne to mało. Należało jeszcze nauczyć je używania ich dziwnych nowych organów. A następnie obchodzenia się z bronią, no i wreszcie tego, żeby jej nie używały przeciwko treserom ani przeciwko sobie nawzajem. Ta utarczka pomiędzy niedźwiedziem a wyjcem była przypadkowa; niedźwiedź przypadkiem strzelił z tak bliska do małpy. Trzeba było nauczyć te nieszczęsne stworzenia, żeby się nie atakowały przy byle okazji. Paracels najprawdopodobniej wyposażył je w podrasowane mózgi, ale reszta była kwestią treningu. Gdyby nie odpowiednia tresura, pewnie by się wymordowały. Psy i króliki, niedźwiedzie i psy nie mają zwyczaju przechodzić koło siebie obojętnie.

Paracels jedną ręką dawał im broń, miny i granaty, drugą zaś pozbawiał je odruchu ucieczki, instynktu samozachowawczego, a nawet umiejętności żerowania. Były bardziej bezbronne niż cyborg z wyłączonym zasilaniem. Były niebezpieczne, ale zarazem upośledzone. Prawdopodobnie Paracels, Ushre czy ktorykolwiek z dozorców mógł bezpiecznie przejść cały rezerwat wzdłuż i wszerz.

I to mnie doprowadzało do szału.

Ktoś musi tym skurwysynom dać nauczkę. Postanowiłem, że tym kimś będę ja.

I już teraz wiedziałem jak. Bo zrozumiałem, co się tu dzieje. Wiedziałem, na jakich zasadach działa rezerwat; wiedziałem, jak się stąd wydostać. Sharon's Point było pod wieloma względami tworem nienaturalnym. Może uda mi się tę okoliczność w jakiś sposób wykorzystać. O ile oczywiście znajdę to, o co mi chodzi.

Tylko że muszę próbować natychmiast. Minęło już południe, a ja powinienem przed wieczorem znaleźć to, czego szukałem. I zanim wytropi mnie jakieś zwierzę. Cuchnąłem przecież krwią.

Mięśnie miałem słabe, ale zmusiłem je do działania. Pocąc się i drżąc na całym ciele usiłowałem przekraść się do strumienia tak, żeby się nie zdradzić.

Nie było to łatwe, ale po tym, co przeszedłem, nic nie mogło być łatwe. Przez chwilę wypatrywałem śladów - ale nawet i to przedstawiało poważny problem. Po deszczu w rozmokłym gruncie nie brakło śladów, ale miałem kłopot ze skoncentrowaniem wzroku na tyle, żeby je dostrzec. Pod wpływem potu wszystkie zadrapania i rany paliły mnie żywym ogniem.

Ale jedynym naprawdę ciężkim zadaniem było przebycie łąki. Bałem się min. I królików z granatami. Musiałem skradać się nisko przy ziemi i wybierać drogę bardzo ostrożnie. No i strzec się miejsc gołych czy porośniętych zbyt rzadką trawą (a trawa porastająca miny miała prawo być rzadka), ale i zbyt gęstą (mogły się w niej ukrywać króliki). Przez moment myślałem, że nie dam rady.

Za chwilę jednak przestało to zależeć ode mnie. Znów zostałem zaatakowany. W ostatniej chwili ostrzegł mnie słuch: usłyszałem, jak coś przecina kierunek wiatru. Padłem na bok i zaraz potem w miejscu, gdzie była moja głowa, śmignął jastrząb. Nie mogłem mu się dobrze przyjrzeć, ale jego szpony miały w sobie coś dziwnego. Bardziej przypominały kły niż pazury.

Jastrząb z zatrutymi szponami?

Krążył przez chwilę nade mną, po czym zawisł w powietrzu szykując się do następnego nurka - nie miałem chwili do stracenia. Królik z granatem pewnie nie trafi do ruchomego celu, a co do min, to też lepiej być w biegu - przynajmniej tak sobie tłumaczyłem. Puściłem się więc jak szalony ku linii drzew dzielącej mnie od strumienia.

Następne pikowanie jastrzębia okazało się jeszcze bardziej niebezpieczne. Źle je oceniłem. Gdybym się nie potknął, już by mnie miał. Odtąd starałem się być ostrożniejszy. Nie dopuściłem go do siebie bliżej jak na odległość metra.

Wreszcie dopadłem drzew. Zatrzymałem się, żeby zaczerpnąć tchu; zawiedziony jastrząb odleciał poszczekując.

Kiedy wreszcie zebrałem siły na tyle, by ruszyć dalej przejrzałem dokładnie teren w poszukiwaniu zwierząt. Ale nie zauważyłem żadnego. Na ziemi jednak dostrzegłem coś, co wyglądało na ślady jelenia. Nawet nie próbowałem się domyślać, jakich zmian

mógł Paracels dokonać w jeleniu. Nie chciałem wiedzieć. Podobne tropy, nieliczne zresztą, widziałem w lesie; napotkane obecnie zbliżały się do mnie od lewej strony i oddalały w prawo, z biegiem rzeczułki.

I to właśnie chciałem wiedzieć. Jeśli się myliłem, oznaczało to mój koniec.

Nie czekałem długo, tyle tylko, żeby znaleźć odpowiednie miejsce, i wszedłem do strumienia. W pobliżu było niewielkie rozlewisko, gdzie prawie całkowicie skryłem się pod wodą.

Spędziłem tak przeszło pół godziny. Po prostu leżałem w wodzie, z której wystawała mi jedynie twarz, usiłując odzyskać siły. A następnie nożem poprzecinałem ubranie wszędzie tam, gdzie byłem poraniony. Ale nie użyłem szmat jako bandaży; miałem inne plany. Kiedy już moje skaleczenia obmyły się i przestały krwawić, wychynąłem częściowo z wody i zacząłem oblepiać się mułem.

Nie chciałem wyglądać jak człowiek i nade wszystko cuchnąć krwią; chciałem przypominać z wyglądu muł i śmierdzieć mułem. A błocko przy brzegach było do moich celów idealne: gęste, czarne i szybko wysychało. Kiedy skończyłem, moje oczy, usta i dłonie były jedynymi miejscami bez kamuflażu.

Nie był on idealny, ale najlepszy, na jaki mogłem się zdobyć. No i liczyłem, że zaschnięte błoto powstrzyma krwawienie, przynajmniej na jakiś czas. Jak tylko uznałem, że jestem gotów, ruszyłem brzegiem z prądem strumienia.

Szczęście dopisywało mi w dalszym ciągu. Żaden stwór nie wyszedł za mną z lasu. Ratowało mnie krwawe spotkanie niedźwiedzia z małpą; nie czując ludzkiej krwi, zwierzęta nie wpadły na mój trop. Ale i bez tego byłem w nielichych tarapatach: ledwie trzymałem się na nogach, a czas uciekał. Wiedziałem, że jeszcze przed wieczorem muszę znaleźć to, czego szukałem. Zanim zwierzęta ściągną nad strumień do wodopoju. Zanim zaczną żerować.

Nie miałem pojęcia ani jak daleko mam iść, ani czy obrałem właściwy kierunek. No i niezbyt pewnie się czułem w otwartym terenie. Dlatego dokonałem szalonego wysiłku, żeby jak najprędzej zostawić za sobą łąkę. Jednak w miejscu, gdzie rzeczka znów ginęła w gęstwinie leśnej należało zachować jeszcze większą ostrożność. Powinienem być wdzięczny, że moja droga nie biegnie przez bagna, ale nie byłem do tego zdolny. Zanadto pochłaniało mnie wypatrywanie niebezpieczeństw przy jednoczesnym posuwaniu się do przodu. Albo zadawałem sobie gwałt, żeby zachowywać czujność, albo żeby się w ogóle posuwać naprzód. Ale to, czego szukałem, znalazłem w samą porę. Przynajmniej raz się nie pomyliłem. Było tam, gdzie być powinno. Na polanie wśród drzew. Las dokoła rósł gęsty i wysoki, kryjąc miejsce widoczne praktycznie tylko z lotu ptaka. (Paracels i Ushre z pewnością nie byliby zadowoleni, gdyby ich myśliwi robili to, co ja). Wzdłuż jednej krawędzi polany płynął strumień, którego dno zostało wyrównane. Tak, żeby mogły lądować na nim poduszkowce.

Poza terenem samego lądowiska polana była dosłownie pokryta wszelkiego rodzaju korytami do karmienia zwierzyny.

Prawdopodobnie w rezerwacie było więcej takich miejsc. Bez nich Sharon's Point nie mogłoby istnieć. Przyuczanie zwierząt, żeby nie polowały na siebie nawzajem nie na wiele by się zdało, gdyby były głodne. Dlatego Ushre i Paracels musieli swoich podopiecznych żywić. I to regularnie. W takich właśnie miejscach jak to.

Pozostawało jeszcze pytanie, kiedy przyleci poduszkowiec. A przylecieć musiał – większość karmników była pusta. Jeśli jednak zjawi się późno, jeśli do tej pory polana zapełni się zwierzętami, będę zgubiony.

Wiedziałem, że z samego zamartwiania się tym problemem nic dobrego mi nie przyjdzie. Obszedłem polanę dokoła aż do miejsca, w którym linia lasu zbliżała się do lądowiska. Wybrałem drzewo, którego kora kolorem najbardziej przypominała pokrywające mnie błocko i usiadłem pod tym drzewem usiłując odpocząć.

Z odpoczynku niewiele wyszło, ale dopisało mi tym razem szczęście, pozwalając ocalić skórę. Było jeszcze z piętnaście minut do zachodu słońca, kiedy usłyszałem w oddali furkot potężnego wirnika poduszkowca.

Siedziałem bez ruchu. Moje szczęście nie było jednak takie wielkie: na polanie już się zaczęły pojawiać zwierzęta. Duży kozioł pił wodę ze strumienia, a na brzegu jednego z koryt siedział jastrząb. Kątem oka dostrzegłem też dwa boksery (prawdopodobnie te same, co poprzednio), które czekały z wywieszonymi ozorami, nie dalej jak dwanaście metrów na lewo ode mnie. W swoim ukryciu byłem praktycznie niewidoczny, gdybym się jednak poruszył oznaczałoby to moją zgubę.

Tyle tylko, że tych zwierząt nie było wiele. Jeszcze. Niemalże westchnąłem głośno z ulgą, kiedy poduszkowiec zszedł lotem ślizgowym nad wierzchołki drzew, a następnie wyrównał z wdziękiem i usiadł na lądowisku.

Teraz czas działał na moją korzyść. Wszystkie zwierzęta w tym rejonie rezerwatu musiały usłyszeć nadlatującą maszynę i większość z nich była już z pewnością w drodze na kolację. Ale przecież nie mogłem ot tak po prostu podbiec do poduszkowca i poprosić o podwiezienie. Gdyby mnie nawet facet sam nie zastrzelił, to by odleciał pozostawiając mnie na pastwę zwierząt. Wziąłem się więc w garść i ani drgnąłem.

Ale opiekunowi zwierząt najwyraźniej się nie spieszyło.

Obserwując, jak się porusza w kabinie dostrzegłem, że jest ubrany w gruby szary kombinezon. Prawdopodobnie wszyscy dozorcy – tak samo jak Ushre i Paracels, kiedy pracowali przy zwierzętach – chodzili w tych samych uniformach. Stanowiły one dobrą ochronę, a poza tym zwierzęta już je poznawały. Co więcej, te kombinezony miały pewnie charakterystyczny zapach, który nauczyły się kojarzyć z jedzeniem i z przyjaciółmi. A zatem człowiek ten musiał się czuć dość bezpieczny; wiedział, że nie zostanie zaatakowany.

Wreszcie zaczął wywalać na ziemię worki i tobołki z karmą: siano i ziarno dla jeleni, żarcie dla psów, owoce dla małp, itd. Kiedy z tym skończył, wyskoczył z poduszkowca, żeby powysypywać to wszystko do koryt.

A ja czekałem dalej. Czekałem aż do momentu, w którym psy wybiegły na polanę. Aż jastrząb porwał kawał mięsa i odleciał. Czekałem, aż dozorca odszedł z workiem ziarna do koryta położonego najdalej od maszyny (a zarazem ode mnie). Wtedy puściłem się biegiem. Kozioł zobaczył mnie pierwszy i odskoczył. Psy mnie jeszcze nie widziały. Ani człowiek. Człowiek patrzył na kozła. Zanim mnie dostrzegły psy, byłem w połowie drogi do poduszkowca.

Od tej chwili zaczął się wyścig. Ja miałem rozpęd i przewagę na starcie, boksery szybkość. Nie traciły czasu nawet na szczekanie, po prostu puściły się za mną w pogoń.

Były dla mnie za szybkie, nie miałem szans. Na dystansie ostatnich trzech metrów znalazły się między mną i maszyną. Ten bliższy rzucił się na mnie natychmiast; drugi już go dopadał.

Zrobiłem unik i musnąłem psa ramieniem. Słyszałem koło siebie kłapnięcie jego kłów – chybione.

Drugiego psa walnąłem bokiem lewej pięści, jak mogłem najmocniej. Siła mojego ciosu zachwiała i mną, ale psa musiałem ogłuszyć, bo padł i nie kwapił się wstawać.

Widziałem to kątem oka. Ledwie odzyskałem równowagę, a już znów gnałem do poduszkowca. Znajdował się nie dalej niż jakieś trzy kroki ode mnie. Ale pierwszego psa słyszałem tuż-tuż. Dałem susa i... upadłem.

Bokser przeleciał nade mną i walnął w pękaty bok maszyny. W dwie sekundy później siedziałem już w kabinie.

Dozorca wystartował z opóźnieniem, ale nie tracił czasu. Kiedy znalazłem się w środku, dzieliło nas nie więcej jak pięć metrów. Umiałem prowadzić poduszkowiec, a on mi jeszcze ułatwił zadanie zostawiając go na biegu jałowym. Pozostało mi jedynie zwiększyć obroty wirnika i uszczelnić fartuch, zanim się uniosę. Ale dokładnie w chwili startu mężczyzna skoczył i uchwycił się kabiny. Poderwałem go w górę.

Szarpnięcie usunęło mu grunt spod nóg i zawisł na rękach. Żeby się upewnić, że nic mu nie grozi, przejechałem dłonią po rękawie jego kombinezonu i powąchałem rękę. Pachniała kreozotem.

Wyrównałem na wysokości jakichś trzech metrów. Zanim zdołał wciągnąć się do środka, kilka razy walnąłem go po kłykciach swoją ciężką lewą dłonią. Runął na ziemię z dość dużym impetem.

Ale w sekundę później stał już na nogach i wrzeszczał do mnie:

– Stop! Wracaj! – W jego głowie była nuta rozpaczy. – Nie wiesz, co robisz!

– Nic ci się nie stanie! – Krzyknąłem w odpowiedzi. – Do jutra rana stąd wyjdziesz. Tylko uważaj na miny!

– Nie! – zawołał i było w tym tyle przerażenia, że o mało po niego nie wróciłem. – Nie znasz Ushre'a! Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny! To szaleniec!

Ale uznałem, że mam zupełnie nie najgorsze pojęcie o tym, do czego może być zdolny Fritz Ushre. Dlatego mnie nie zdziwiło, że ktoś go uważa za szaleńca – nawet jeśli jest to jego pracownik. Ale mnie ten człowiek nie był potrzebny do szczęścia. Przeciwnie – tylko by mi przeszkadzał.

Zostawiłem go więc, uniosłem się ponad wierzchołki drzew i skierowałem poduszkowiec ku głównej bramie. Miałem zamiar oddać Ushre'owi i Paracelsowi to, co im byłem winien.

GALERIA

VI

Ale nie pozwalałem sobie na rozpamiętywanie tej sprawy. I tak byłem wystarczająco wściekły. Bałem się, że ze złości stracę czujność. A chciałem być spokojny, szybki i precyzyjny w działaniu. Bardziej niebezpieczny niż wszystko, co kiedykolwiek stworzył czy też wymarzył sobie Paracels. Bo to, co przedsięwziąłem, było na tyle ważne, że nie pozostawiało miejsca na błąd.

A przynajmniej ważne dla mnie. Prawdopodobnie nikogo na całym świecie poza mną (i Morganstarkiem) ni cholery nie obchodziło, co się dzieje w Sharon's Point, jak długo ich zwierzęta nie wydostawały się poza obręb rezerwatu. Ale od tego są właśnie agenci specjalni: mają się troszczyć o takie rzeczy; po to, żeby inni nie musieli.

Ale niczego nie potrzebowałem sobie wmawiać; doskonale wiedziałem, co do mnie należy. Jedynym naprawdę poważnym problemem był mój własny cholerny stan. W głowie mi się kręciło z głodu, byłem otumaniony ze zmęczenia i słaby z bólu i dlatego kiepsko mi szło prowadzenie poduszkowca: zarówno utrzymanie go w poziomie, jak i na kursie.

Ciemności też mi nie pomagały. Słońce zaszło zaraz potem, jak opuściłem polanę, a kiedy byłem mniej więcej w połowie drogi do głównej bramy, zapadła noc. Powinienem być zadowolony – mogłem przynajmniej liczyć na to, że pod jej osłoną nikt nie zauważy mojego kiepskiego pilotażu. W tym momencie jednak nie potrafiłem być zadowolony z niczego. W ciemnościach musiałem lecieć według instrumentów, a nie szło mi to najlepiej. Z kierunkiem dawałem sobie jakoś radę (w pewnym stopniu oczywiście), a wysokość miałem wystarczającą, żeby przelecieć nad wzgórzami. Ale mała zielona tarcza oznaczająca sztuczny horyzont żyła swoim własnym życiem; nie chciała się uspokoić nawet na tyle, żebym mógł ją ustawić. Przez całą drogę zataczałem się jak pijany.

W końcu udało się. Nie trafiłem idealnie (kiedy wreszcie dostrzegłem jaskraworóżowe światło lampy freonowej na lądowisku, okazało się, że jest ono opętany kawał drogi w lewo), ale zupełnie znośnie. Obniżałem lot, aż się znalazłem dokładnie nad samą lampą, ale zanim posadziłem maszynę na ziemi, przez kilka minut obserwowałem teren.

Nie powinienem był chyba tam w ogóle lądować. Należało lecieć dalej aż do miejsca, z którego mógłbym nawiązać łączność z Centralą i poprosić o pomoc. Ale bałem się, że Ushre i Paracels mi uciekną. Gdyby poduszkowiec nie wrócił, zorientowaliby się, że coś jest nie w porządku i zanim Centrala zdążyłaby cokolwiek w tej sprawie zrobić, już by ich nie było. Pościg trwałby wiele dni, a ja bym stracił sam finał swojej misji. Nie chciałem do tego dopuścić.

Zanim więc wylądowałem, dobrze zbadałem teren pod sobą. Oba pozostałe poduszkowce były na miejscu (widocznie miały krótsze trasy), ale nikogo koło nich nie zauważyłem – przynajmniej na tyle, na ile mogłem to stwierdzić od razu. Większość okien w barakach była oświetlona, ale w budynku biurowym panowały ciemności, z wyjątkiem pomieszczenia frontowego i skrzydła zajmowanego przez laboratorium.

Ushre i Paracels.

Jeśli pozostaną tam, gdzie są w tej chwili, mogę tam wejść, zabrać ich do poduszkowca i sam dostarczyć do St. Louis. O ile uda mi się wziąć ich przez zaskoczenie. I nie napatoczę się na nikogo po drodze. I nie rozwalę się usiłując zrobić te 300 km do St. Louis.

Ale nie zaprzątałem sobie tym głowy. Posadziłem na ziemi maszynę najłagodniej, jak tylko umiałem i wrzuciłem luz. Zanim jeszcze wirnik zdążył zwolnić obroty, wyskoczyłem z kabiny i co sił w nogach ruszyłem w stronę głównego biura.

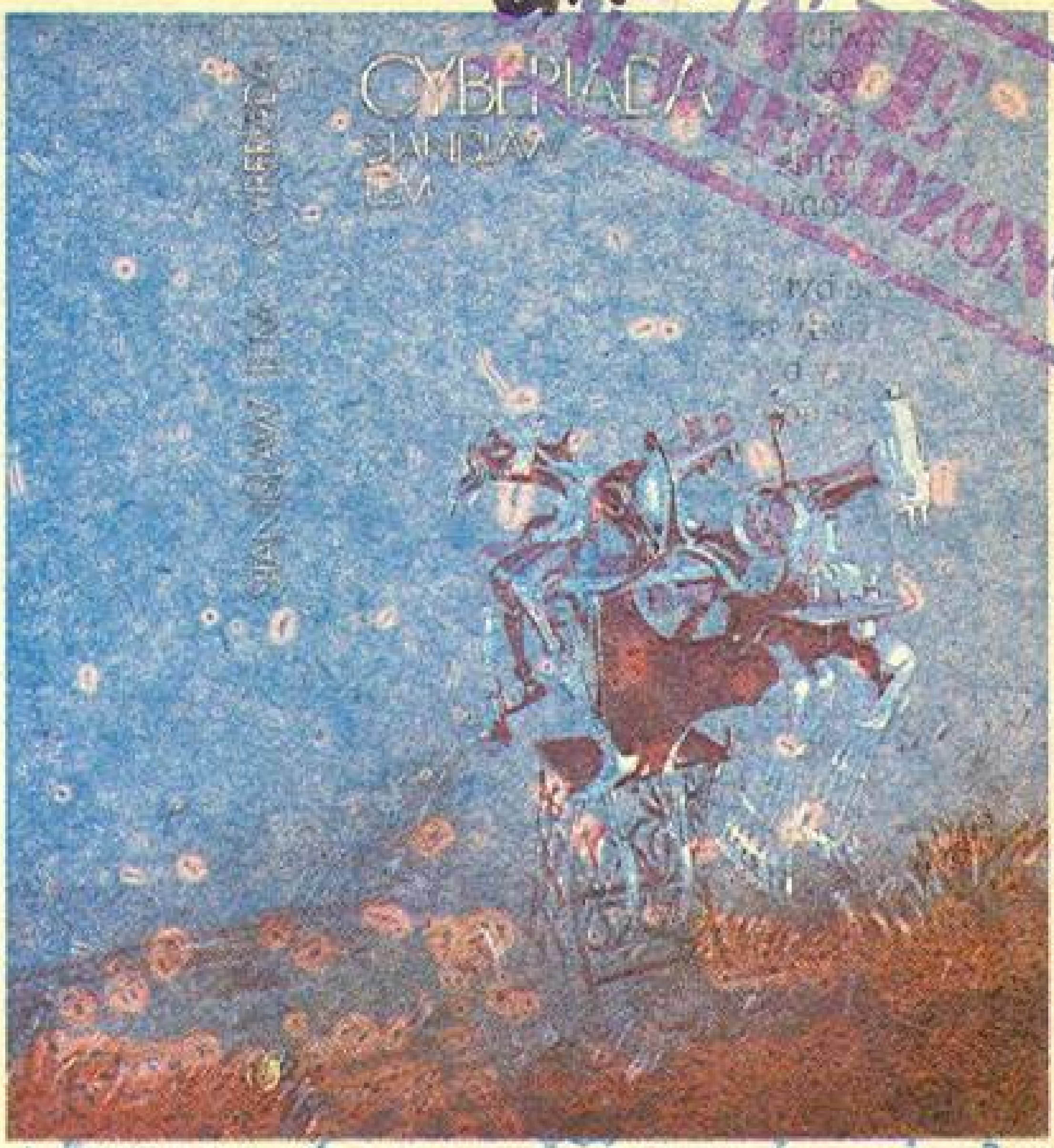
Szarpnąłem za drzwi, wpadłem do środka i zatrzasnąłem drzwi za sobą.

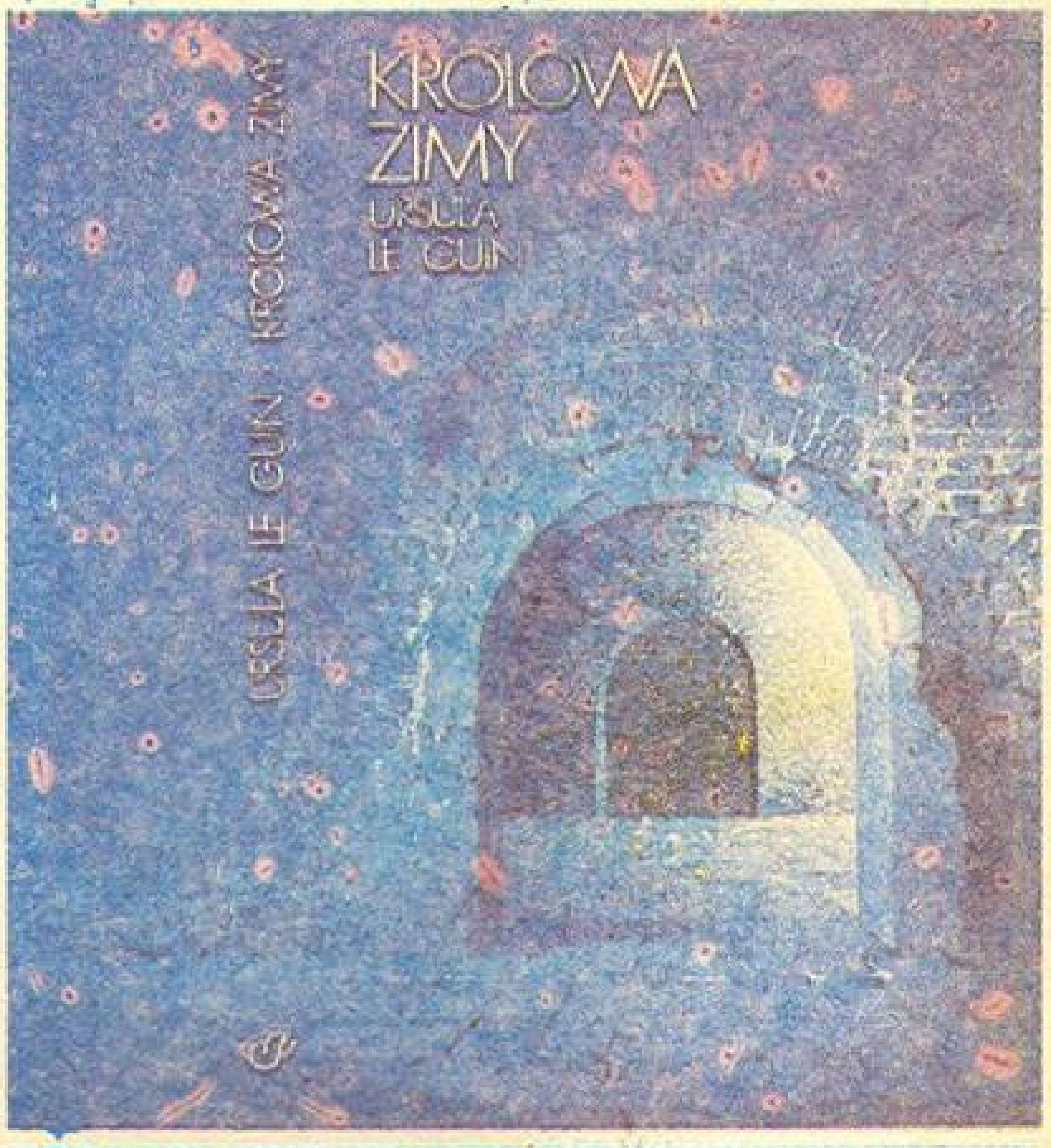
Zatrzymałem się.

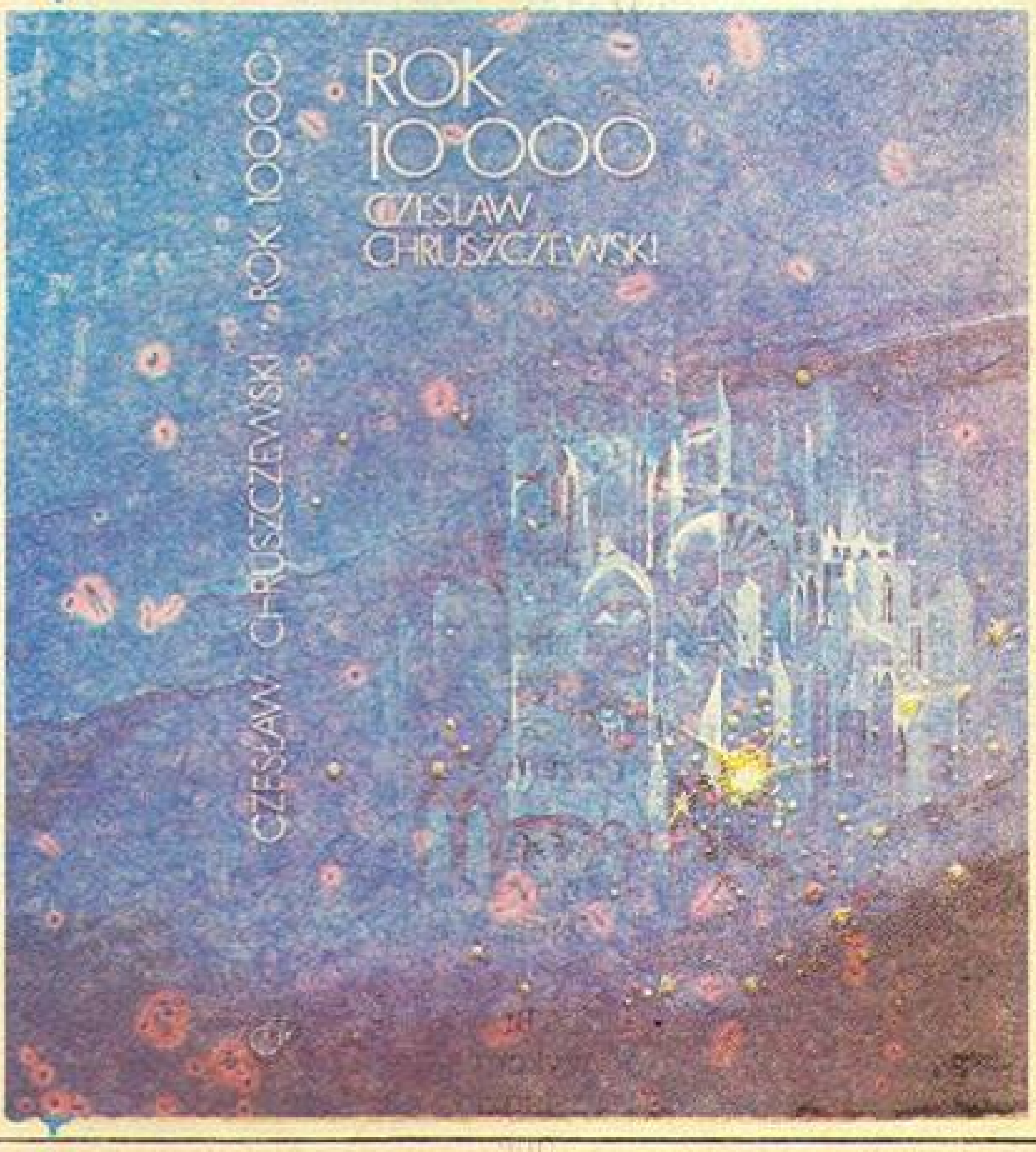
Fritz Ushre stał za pulpitem. Musiał coś robić z komputerem księgującym, ponieważ miał przed sobą konsolę. Był biały jak ściana i wpatrywał się we mnie swymi świńskimi oczkami, jakbym właśnie w tej chwili wstał z martwych. Nie drgnął nawet – robił wrażenie porażonego ze zdumienia i strachu.

– Fritz Ushre – powiedziałem ze specyficznym, moim własnym rodzajem złośliwości – jest pan aresztowany pod zarzutem morderstwa, usiłowania morderstwa i spisku. A następnie, ponieważ sprawiało mi to przyjemność dodałem: – Ma pan prawo odmówić odpowiedzi na pytania. Gdyby się pan jednak zdecydował, to proszę pamiętać: cokolwiek pan powie, może być użyte przeciwko panu. Ma pan też prawo do adwokata. Gdyby pan sobie nie mógł pozwolić...

Ale on nie słuchał. Na jego twarzy widziałem ślady walki, która nie miała nic wspólnego z tym, co mówiłem. Przynajmniej raz







był zbyt zdziwiony na to, żeby okazać przebiegłość, zbyt przegrany na złośliwość. Usiłował odzyskać zimną krew, ale mu to nie wychodziło. Próbował znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, sposób pozbycia się mnie, ratowania własnej skóry, ale nie widział żadnego. Był to koniec Sharon's Point i Fritz Ushre zdawał sobie z tego sprawę.

A może nie był to koniec? Może istniało jakieś wyjście z sytuacji...? Nagle ślady tamtej walki znikły. Spojrzał mi w oczy, a wyraz jego twarzy był w swojej szczerości straszliwszy niż wszystko, z czym się do tej pory przede mną zdradził. Wyrażał głód. I radość.

Ushre spuścił wzrok. I sięgnął do czegoś, co znajdowało się pod pulpitem.

Ale ja już działałem – już go zdążyłem zaatakować. Uchwyciłem się rękami krawędzi pulpitu, wyrzuciłem nogi ponad nim i obydwoma obcasami walnąłem go prosto w piersi.

Poleciał na ścianę, odbił się i padł na kolana. Runąłem obok niego. Ale zanim zdążył zrobić najmniejszy ruch, byłem już na nogach. Niemal w tej samej chwili wyciągnąłem nóż i czubek ostrza przycisnąłem mu do tłustej szyi.

– Tylko piśnij – powiedziałem dysząc – a zarżnę cię tu jak wieprza.

Zachowywał się tak, jakby mnie nie słyszał. Dusił się z braku powietrza. I jednocześnie śmiał się.

Odwróciłem się błyskawicznie w stronę pulpitu, żeby zobaczyć, do czego sięgał.

Przez chwilę nie mogłem się zorientować. Na półce, z boku, leżała spluwa, ale przecież nie o to mu chodziło, nie sięgał w tamtą stronę.

I nagle – zobaczyłem. Małą, szarą skrzynkę wbudowaną w pulpit nie opodal miejsca, w którym stał. Nic wielkiego – po prostu duży, czerwony guzik i małe, czerwone światełko. I to małe, czerwone światełko się paliło.

Właśnie w tym momencie uświadomiłem sobie, że coś słyszę. Dźwięk tak wysoki, że prawie niesłyszalny. Ostry i przejmujący.

Już kiedyś coś takiego słyszałem, ale początkowo nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. A potem sobie przypomniałem.

Był to świst zwierzęcy.

Tak wysoki, że niemal nieuchwytny dla człowieka, ale prawdopodobnie nie było w promieniu 10 km zwierzęcia, które by go nie słyszało. Albo nie wiedziało, co on znaczy.

Odłożyłem nóż i złapałem M-16. Nie miałem czasu na skrupuły; odbezpieczyłem broń i wycelowałem w głowę Ushre'a.

– Odwołaj to – powiedziałem.

Teraz śmiał się – po prostu. Śmiał się cicho.

– Tego się nie da odwołać. Jak już zostało puszczone w ruch, nic tego nie powstrzyma.

Z powrotem wziąłem nóż, wyszarpnąłem skrzynkę spod pulpitu, poprzecinałem przewody. Miał rację. Czerwone światełko zgasło, ale dźwięk nie ustał.

– Jak to działa?.

Dosłownie trząsł się z powstrzymywanej wesołości.

– Zgadnij.

Szturchnąłem go lufą M-16.

– Jak to działa?!

Nie przestawał się trząść. Ale odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć. Oczy mu płonęły, były dzikie, szalone.

– Nie zastrzelisz mnie. – Niemal chichotał. – Nie jesteś tego rodzaju typem.

No cóż, co do tego też miał rację. Nawet mi do głowy nie przyszło, żebym mógł go zabić. Zależało mi na informacjach. Dokonałem wielkiego wysiłku, żeby mój głos zabrzmiał spokojnie.

– Powiedz mi to. Nie mogę tego uciszyć. Zgoda. Dlaczego?

– Ach – westchnął. Spodobał mu się ten pomysł. – Mogę wstać?

Pozwoliłem mu podnieść się.

– O, tak jest dużo lepiej – powiedział. – Dziękuję, panie Browne.

Teraz już gdybym nawet chciał, nie zdołałbym go powstrzymać przed wyjaśnieniem mi tego wszystkiego. Zbyt wielką mu tu sprawiało przyjemność. Był opętany z radości. Jakiś potężny głód, z którego istnienia może nawet nie zdawał sobie sprawy, mi·:! zostać zaspokojony.

– Doktor Paracels może być stary i niezrównoważony – powiedział – ale jest na swój sposób bystry. I kocha się w zemście. Swoją technikę genetyczną rozwinął w tym stopniu, że panuje dokładnie nad wszystkim.

Jak pan zapewne wie, panie Browne, wszystkie zwierzęta można uwarunkować tak, by wykonywały określone czynności na określone sygnały – nawet te ludzkie zwierzęta. Im bardziej złożony mózg, tym bardziej złożone czynności, do jakich może być uwarunkowany – ale zarazem tym bardziej złożony i trudniejszy sam proces warunkowania. U stworzeń ludzkich bywa często tak trudny, że wręcz niemożliwy.

Tak lubował się w tym, co mówił, że dosłownie się ślinił. Miałem ochotę krzyczeć z rozczarowania, ale powściągnąłem ten impuls. Musiałem wysłuchać tego, co mówił, koniecznie musiałem wysłuchać wszystkiego do końca.

– Stary mściwy Paracels, daj mu Boże zdrowie, opanował sztukę zwiększania pojemności zwierzęcego mózgu w tym stopniu, że osiągnął zadowalający poziom warunkowania nie zwiększając jednocześnie tej pojemności tak, by uczyniła ona warunkowanie nadmiernie trudnym. Stworzyło to podstawę dla tresury naszych zwierząt. Ale nie tylko. Służy jeszcze jednemu celowi.

Otóż każde z naszych zwierząt jest nastrojone na odbiór tego dźwięku. – Wykonał radosny gest w powietrzu. – Każde zostało tak uwarunkowane, żeby w pewien określony sposób na ten dźwięk reagować. Agresją, panie Browne! – Ushre dosłownie pękał ze śmiechu. – Ale nie skierowaną ku sobie nawzajem. O, nie, to by się na nic nie zdało. Zostały uwarunkowane tak, żeby atakować ludzi, panie Browne, żeby przyjść do źródła dźwięku i atakować.

Nawet nasi treserzy nie są przed nimi bezpieczni. Warunkowanie, które stosujemy, jest ponad wszelką tresurą. Bezpieczni jesteśmy tylko doktor Paracels i ja. Wszystkie zwierzęta mają zakodowane nasze głosy, tak że rozpoznają je nawet w najdzikszym ferworze. I usłuchają nas, pani Browne. Usłuchają!

Trząsłem się tak samo jak on, choć z innych przyczyn.

– No i co z tego? – spytałem. – I tak nie mogą się przedostać przez ogrodzenie.

– Przez ogrodzenie?! – Ushre był w ekstazie. – Idioto! Brama jest otwarta! Otworzyła się automatycznie, kiedy nacisnąłem guzik.

Wreszcie zrozumiałem, czego się tak przestraszył facet, na którego się natknąłem w rezerwacie. Ushre wypuszczał zwierzęta. Wypuszczał je, żeby sterroryzować całą okolicę, żeby w trakcie polowania zginęło Bóg wie ile ludzi. Czy też w trakcie ucieczki. Albo po prostu w domach podczas codziennych zajęć.

Pomyślałem, że muszę te zwierzęta powstrzymać.

Za pomocą jedynie M-16? Nikła szansa!

Ale przynajmniej powinienem spróbować. Byłem przecież w końcu agentem specjalnym. Należało to do moich obowiązków. Podpisałem takie zobowiązanie z własnej, nieprzymuszonej woli.

Wparłem mocno lufę spluwy Ushremu w brzuch. Zgiął się w pół. Złapałem go za kołnierz i poderwałem mu głowę do góry.

– Posłuchaj mnie – powiedziałem bardzo cicho. – Nigdy nie byłem facetem, który by potrafił zabijać z zimną krwią, ale teraz jestem. Jestem wystarczająco wściekły, żeby to zrobić. No, ruszaj się!

Zdołałem go przekonać. Kiedy go popchnąłem, poszedł tam, gdzie chciałem. W kierunku drzwi frontowych. Otworzył je i wyszliśmy razem w ciemność nocy.

W świetle padającym od lądowiska widziałem wyraźnie główną bramę. Miał absolutną rację. Stała otworem.

Było za późno na to, żebym mógł ją zamknąć. Ciemna rzeka zwierząt wylewała się już na zewnątrz. Najeżona bronią. Nie spieszyły się, nie hałasowały, nie wchodziły sobie w drogę. Z każdą sekundą zza grzbietu wzgórza waliło ich coraz więcej, jakby się chciały z prywatnego piekła Fritza Ushre'a wydostać na wolność. W ciemności wydawały się niezliczone. W oszołomieniu nie mogłem uwierzyć, że Ushre i Paracels zdołali zaprogramować – każde z osobna – takie ilości bezbronnych stworzeń. Ale oczywiście pracowali nad tym od lat. Kiedy otworzyli Sharon's Point dla ludzi, cały zwierzostan musiał być już niemal gotowy. A od tej pory mieli jeszcze dwadzieścia miesięcy na to, żeby dokonywać zmian w starych i hodować nowe zwierzęta.

Trzeba było działać szybko. Pozostał mi jeszcze tylko jeden manewr; gdyby mnie zawiódł, stałbym się pierwszą pozycją na długiej liście ofiar.

Popchnąłem Ushre'a energicznie do przodu, tak że się potknął. Na czoło wylewającego się stada. Pomiędzy zwierzęta, a drogę.

Zanim jeszcze spróbował ucieczki, dopadłem go, złapałem za łokieć i wsadziłem mu pod żebra M-16.

– A teraz, panie Ushre – wycedziłem przez zęby – każe im pan wracać. Wracać przez bramę. One pana posłuchają. – Kiedy nie odpowiedział, dałem mu mocnego kuksańca. – No, prędzej!

Pomysł był niezły. W każdym razie wart próby. Mogła się ona nawet powieść – gdybym panował nad Ushrem. Ale on wymykał się spod jakiejkolwiek kontroli. Był w tej chwili żądny krwi, kompletnie szalony.

– Kazać im wracać?! – wykrzyknął ze śmiechem. – Pan chyba żartuje! – W jego słowach była krew – krew i władza. – Te zwierzęta są moje! Moje! Rządzi nimi moja wola! Cały kraj skąpię we

krwi! Zniszczę ciebie i wszystkich takich, jak ty! Ja cię nauczę, na czym polega prawdziwe polowanie, panie Browne! – W jego ustach moje nazwisko zabrzmiało jak najgorsza obelga. – Ja cię nauczę, co znaczy śmierć!

– Ty pójdziesz pierwszy! – krzyknąłem usiłując przebić się przez jego szaleństwo. – Bo cię rozwalę na miejscu!

– Nie rozwalisz!

Był szybszy niż przypuszczałem. Znacznie szybszy. Jednym ruchem potężnego ramienia zwalił mnie z nóg.

– Zabić go! – wrzasnął do zwierząt. Wymachiwał pięściami, jakby dyrygował jakąś krwawą orkiestrą. – Pozabijajcie ich wszystkich!

– Jedna z małp znajdujących się w pobliżu u czoła tłumu wypaliła i nagle rozpętało się całe piekło Ushre'a.

Wszystkie zwierzęta, które miały przed sobą jakąś wolną przestrzeń, zaczęły strzelać jednocześnie. Powietrze rozdzierał ogień M-16 i Magnum 22; kule świstały dziko we wszystkich kierunkach. Noc wypełniły grzmoty i śmierć. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie zostałem trafiony.

Nagle zrozumiałem.

Przed frontem czarnego tłumu napierających zwierząt krzyżowały się dwa cienkie promienie czerwonego światła. Zwierzęta nie strzelały do mnie; one odpowiadały ogniem na te promienie.

Działa laserowe!

Zauważyłem jedno z nich w lesie w pewnej odległości od lądowiska. Drugie ziało ogniem z okna baraku.

Ogień z dział laserowych roznosił zwierzęta na strzępy. Ciało i krew nie oprą się broni laserowej, niezależnie od genów. Małpy i niedźwiedzie raziły promienie gradem ołowiu, ale teraz wchodziły sobie nawzajem w drogę, tak że większość pocisków padała chaotycznie. A ludzie operujący działami byli bezpieczni. Wyglądało to na zwykłą jatkę. Bo zwierzęta nie mogły uciekać. Nie potrafiły. Tak zostały uwarunkowane. Przypominały mi psa domowego, który nawet nie próbuje unikać gniewu swego pana. Tyle że one zamiast kulić się – strzelały.

Wynik starcia nie był pewny. Zwierzęta ginęły dziesiątkami, ale wystarczyłoby im kilka granatów ręcznych czy może parę min odpowiednio rozmieszczonych, żeby skończyć z działami laserowymi. Zresztą psom nie trzeba było mówić, co mają robić. Właśnie usiłowały przedrzeć się przez ogień z minami w pyskach. Kiedy lasery brały cel na psy, inne zwierzęta miały czas rozproszyć się i wyjść spoza ich bezpośredniego zasięgu.

Zapowiadało się na długą, krwawą bitwę. A ja leżałem w błocie w samym środku tego piekła. Nie miałem pojęcia, jak ja to przeżyję.

Nie wiem, jak przeżył to Ushre do tej chwili. Stał, nie uchylając się nawet przed kulami. Ale nic się go nie imało. Musiała go chronić charyzma jego szaleństwa. Wrzeszcząc i śmiejąc się rwał ku poduszkowcowi. W chwilę później siedział już w maszynie, którą mu tak poręcznie zostawiłem na biegu jałowym.

Chciałem za nim biec, ale nie miałem szansy. Zanim się zdołałem ruszyć, zobaczyłem gramolącego się koło mnie królika, który dosłownie walnął mnie w twarz odbezpieczonym granatem.

Nie zastanawiałem się ani chwili. Nie miałem nawet czasu zadać sobie pytania, co robić. Więcej – nie chciałem zadawać sobie takiego pytania. Wszystkie te psy, jelenie i króliki i Bóg jeden wie co jeszcze, szły na rzeź, a ja sam miałem już lekkiego bzika.

Porwałem granat i rzuciłem. Patrzyłem, jak ląduje w kabinie koło Ushre'a. I rozrywa go na strzępy.

Poduszkowiec stanąłby w płomieniach, gdyby nie wbudowana w niego dokładnie taka sama bateria, z jakiej ja w tej chwili nie miałem żadnego pożytku.

Odwróciłem się po prostu tyłem do tej sceny.

W chwilę później zobaczyłem pędzącego ku mnie od strony baraków mężczyznę. Lawirował jak szalony i w biegu strzelał przed siebie z eksplodera. Po czym wylądował koło mnie na brzuchu.

Morganstark.

– Nic ci się nie stało? – zapytał zdyszany. Musiał przestać strzelać, żeby coś powiedzieć, ale zaraz potem zaczął znowu.

– Nic! – krzyknąłem w odpowiedzi, tak żeby mnie usłyszał. – Skąd się wziąłeś?

– Twój nadajnik nawalił! – odkrzyknął. – A ty myślałeś, że ja będę siedział z założonymi rękami i czekał na twój akt zgonu? – Wypalił kilka razy, po czym dodał: – Mamy tam w barakach związanych treserów, ale jednego brakuje. Kogo teraz rozwaliłeś?

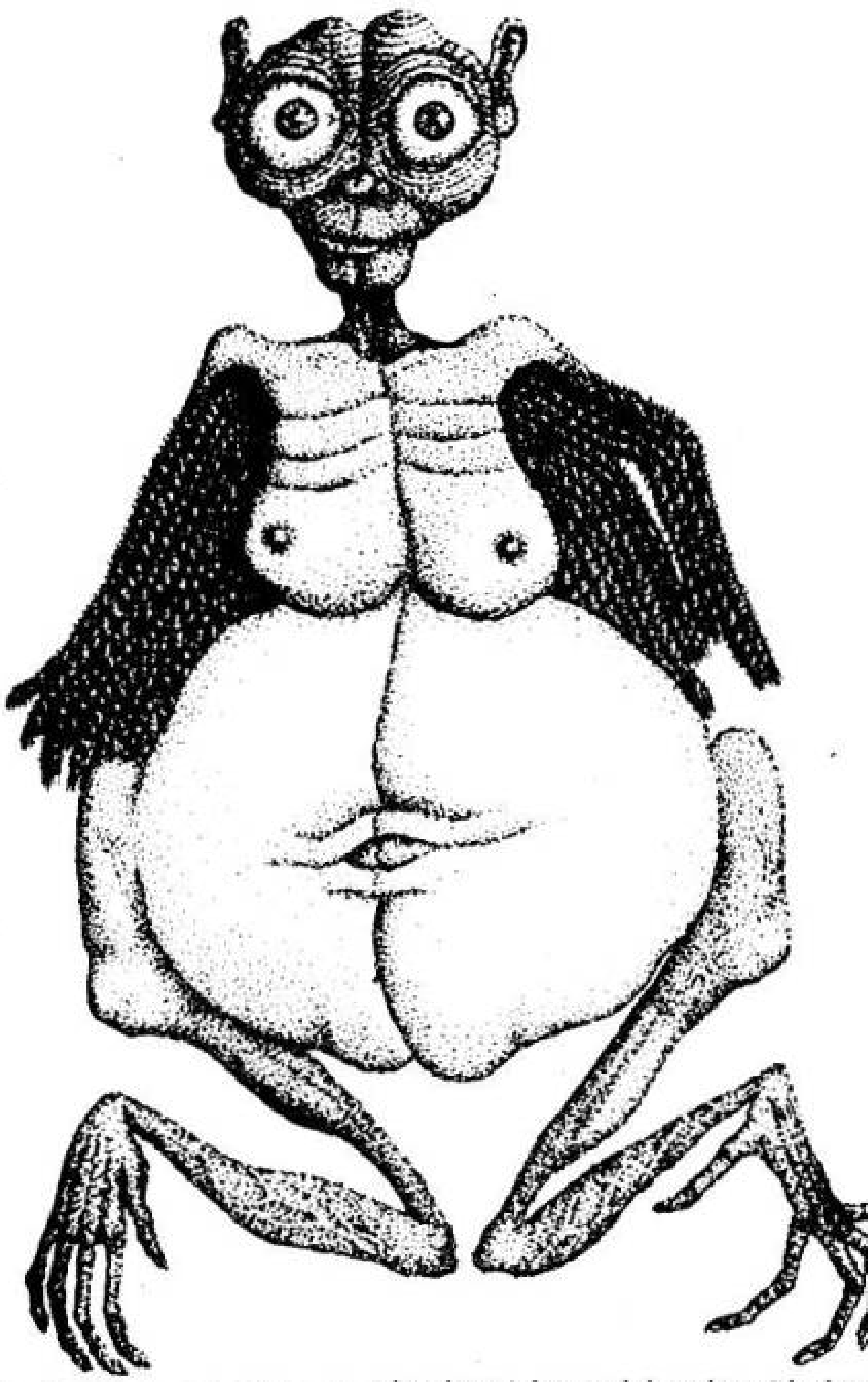
Nie powiedziałem mu. Nie miałem czasu. Bałem się, że mi ucieknie Paracels.

Miałem ochotę raczej powiedzieć Morganstarkowi, żeby skończył z tym zabijaniem. Dostawałem szału patrząc, jak giną zwierzęta. Ale nie odezwałem się słowem. Co innego mógł zrobić Morganstark? Pozwolić tym wspaniałym dziełom Paracelsa rozleźć się po okolicy i siać spustoszenie? Nie, będę musiał żyć splamiony ich krwią. Była to tak samo moja wina, jak i innych. Gdybym dobrze wywiązał się ze swojego zadania, Ushre nigdy by nie nacisnął tego guzika. Gdybym go zabił na miejscu. Albo w ogóle nie dopuścił do naszego spotkania. Czy wreszcie gdybym tamtemu facetowi w rezerwacie pozwolił powiedzieć, czego tak się bał.

– Zamykaj tę bramę! – wrzasnąłem do Morganstarka. – Idę po Paracelsa!

Nie miał nawet możliwości mnie powstrzymać. W jednej chwili byłem na nogach i robiąc uniki biegłem w stronę budynku biurowego.

Wziąłem ze sobą M-16. Uznałem, że czas najwyższy, żeby jedną z tych zabawek obrócić przeciwko doktorowi Avidowi Paracelsowi.


Łukasz Ługowski

VII

Nie wiem, jak tego dokazałem. Biegłem szybko, nisko pochylony – niełatwo mnie było dostrzec, a tym trudniej trafić. Miałem przed sobą nie więcej jak jakieś dwadzieścia metrów do pokonania. Ale dokoła mnie szalał ogień. I świstały kule. Morganstark i jego ludzie odpowiadali na nie laserami i eksploderami. Widać nie jednego Ushre'a chroniła charyzma. W pięć sekund później dałem nura przez otwarte drzwi nie ponosząc najmniejszego szwanku. Ostatecznie nic nowego.

Wewnątrz budynku nie zwolniłem. Nie ulegało wątpliwości, że Paracels wie, co się dzieje – musiał co najmniej słyszeć hałas. A zatem i planować jakąś ucieczkę. Moim zadaniem było udaremnienie mu tego planu, zanim się wydostanie na zewnątrz. On jeden mógł teraz powstrzymać rzeź.

Najprawdopodobniej jednak się spóźniłem – miał wystarczająco dużo czasu, żeby zniknąć; nocą wśród tych wzgórz nie było to takie trudne. Biegłem korytarzem jak szalony kierując się w stronę sali operacyjnej – jakbym nie był wyczerpany, obolały i chory, jakbym nie znał uczucia strachu. Wpadłem do kliniki, przeszukałem ją. Ale Paracelsa tam nie było. Szedłem dalej, wypatrując przejścia do skrzydła laboratoryjnego.

Po przebyciu paru korytarzy trafiłem na właściwy kierunek. Ale znalazłem się w jednym z tych pomieszczeń, gdzie miałem do wyboru kilkoro drzwi i zielonego pojęcia, które są właściwe. Znów. Ale teraz działałem instynktownie, co byłoby niemożliwe, gdybym się zaczął zastanawiać. Wiedziałem, w której części bu-

dynku się znajduję i orientowałem się z grubsza, gdzie może być laboratorium. Podszedłem prosto do jednych z wielu drzwi i zatrzymałem się. Ostrożnie dotknąłem gałki.

Drzwi nie były zamknięte. Otworzyłem je szeroko i wpadłem do środka. Był.

Wszedłem przez drzwi najbliższe pieca krematoryjnego. Dzieliła nas cała długość pomieszczenia - Paracels stał po drugiej stronie koło stołów laboratoryjnych. Robił wrażenie, jakby się od wczoraj wieczora nawet nie przebrał, jakby nie było w nim dość życia na podjęcie takiego wysiłku. W jasnych, białych światłach wyglądał jak śmierć. Z takim wyglądem nie powinien mieć nawet siły na to, żeby być na nogach. A jednak był. Krzątał się. Nie spieszył się specjalnie. Ale i nie tracił czasu. Pakował sprzęt laboratoryjny do dużej czarnej torby.

Rzucił na mnie okiem, kiedy wszedłem, ale nie przerwał pakowania. Ładował do torby wszystko, co mógł zmieścić.

Prawym łokciem przyciskałem M-16, jednocześnie lewą ręką celując; na spuście trzymałem palec wskazujący - nie była to pozycja najwygodniejsza do strzelania, ale z tej odległości trudno chybić.

– Trwa jatka – powiedziałem. Głos mi drżał, ale nie mogłem nic na to poradzić. – I ty ją powstrzymasz. Powiesz im, jak wyłączyć ten cholerny świst. A potem wyjdziesz ze mną i każesz zwierzętom wracać do rezerwatu.

Paracels znów na mnie spojrzał, ale nie przerwał swoich czynności.

– No, jazda, już!

Niemal się uśmiechnął.

– Bo jak nie, to co? – Za każdym razem kiedy się z nim spotykałem, miał jak gdyby inny głos. Teraz jego słowa zabrzmiały spokojnie, pewnie, jakby Paracels ostatecznie osiągnął sukces, ku któremu zmierzał od lat, jakby sobie ze mnie szydził.

– Bo jak nie – syknąłem tak, żeby odczuł mój gniew – to cię wywlokę, żeby cię same zabiły.

– Nie sądzę. – W najmniejszym nawet stopniu nie zachwiałem jego spokojem. Zdumiał mnie nawet tym, co powiedział za chwilę: – Ale i tak zamierzałem część tego zrobić. Nie chciałbym, żeby zginęło zbyt wiele moich zwierząt. – Podszedł do przeciwległej ściany i pstryknął czymś, co przypominało wyłącznik światła. W jednej chwili przejmujący świst urwał się.

A potem Paracels rzeczywiście się uśmiechnął; był to grymas, którego musiał się nauczyć od Ushre'a.

– Ushre prawdopodobnie ci powiedział, że tego nie można wyłączyć. I ty mu uwierzyłeś. – Potrząsnął głową. – On chciał, żeby tak było. Ale ja go zmusiłem do umieszczenia wyłącznika tutaj. Ushre nie jest specjalnie dalekowzroczny.

– Nie był – sprostowałem, sam nie wiem dlaczego. Nie miałem ochoty na żadną szermierkę słowną z doktorem Avidem Paracelsem. Ale kiedy świst ustał, coś się we mnie zmieniło. Przestałem się gorączkować. Teraz potok zwierząt zostanie zahamowany i Morganstark będzie mógł zamknąć bramę. Tylko patrzeć, jak skończy się jatka. Nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony. Wszystko mnie bolało.

I coś jeszcze. Coś, co mi nie pasowało do dobrego doktora. Trzymałem wycelowany w niego M-16. Nie miał powodów do takiej pewności siebie. Powiedziałem:

– On nie żyje. Zabiłem go. – Chciałem zachwiać jego spokojem.

Nic z tego. Działo się coś, czego nie pojmowałem. Co czyniło go odpornym na wszystkie moje wysiłki. Cała jego reakcja ograniczyła się do tego, że wzruszył ramionami i rzekł:

– Nie dziwi mnie to specjalnie, Ushre nie był człowiekiem zrównoważonym.

Powiedział to z takim spokojem, że miałem ochotę do niego strzelić. Ale nie strzeliłem. Nie chciałem go zabijać. Chciałem go skłonić do mówienia. Wymagało to ode mnie wielkiego wysiłku, ale zapytałem go tonem tak obojętnym, na jaki mnie tylko było stać:

– Czy zdawałeś sobie sprawę, w co się ładujesz przystępując z nim do spółki?

– Czy sobie zdawałem sprawę? – parsknął. – Liczyłem na to. Wiedziałem, że sobie z nim poradzę. Był dla mnie idealnym partnerem. Zapewnił mi dokładnie to, o co mi chodziło: to znaczy możliwość prowadzenia pewnych badań. – Na moment w jego oczach pojawiło się coś jak gdyby iskierka życia. – No i spłacenia kilku długów.

– Rozruchy genetyczne – powiedziałem. – Straciłeś wtedy pracę.

– Pracę! Straciłem karierę! – Nagle wpadł w szał, ogarnęła go wściekłość. – Straciłem całą przyszłość! Życie! Miałem przed sobą osiągnięcia, których nie jesteś w stanie sobie nawet wyobrazić. Rekombinujący kwas nukleinowy to był tylko początek, zaledwie pierwszy krok. Do dziś miałbym już opracowaną syntezę genów. Produkowałbym nadludzi! Pomyśl tylko. Geniusze, którzy potrafiliby przyzwoicie rządzić krajem. Na tyle mądrzy, że poradziliby sobie z prędkością światła. Tak mądrzy, że tworzyliby życie. Całe pokolenie ludzi odpornych na choroby. Ludzie zdolni przystosować się do wszelkich zmian w sposobie odżywiania i klimacie, jakie niesie przyszłość. Astronauci, którzy by nie potrzebowali skafandrów! I ja bym to wszystko mógł zrobić!

– Ale wybuchły rozruchy – powiedziałem cicho.

– Powinny były zostać stłumione. Władze powinny strzelać do każdego, kto się stawiał. To, nad czym ja pracowałem, było zbyt ważne. Ale nie strzelały. Winą za rozruchy obarczono mnie. Uznali, że pogwałciłem „świętość życia". Zostałem odsunięty od wszystkiego i skompromitowany. Za nic w świecie nie mogłem uzyskać dotacji.

– Dlatego jesteś żądny zemsty – powiedziałem. – Mów, Paracels, mów. Powiedz mi wszystko, co chciałbym wiedzieć.

– Odwetu. – Delektował się brzmieniem tego słowa. – Jak skończę, będą mnie błagali, żebym raczył przyjąć wszystko, czego zapragnę.

Usiłowałem naprowadzić go na pożądany temat.

– Jak zamierzasz to osiągnąć? Do tej pory po prostu zabiłeś iluś tam myśliwych. Nie jest to najlepszy sposób na obalenie rządu.

– Ach – znów się uśmiechnął. – Ale to dopiero początek. Za jakieś dwie minuty stąd wyjdę. Nie znajdą mnie. Nie wpadną na pomysł, gdzie mnie szukać. Do czasu, kiedy się dowiedzą, będę gotów.

Potrząsnąłem głową.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie rozumiesz! – Tryumfował. – Cały dzień spędziłeś w moim rezerwacie i w dalszym ciągu nic nie rozumiesz. Bo nie jesteś w stanie zrozumieć.

Bałem się, że w tym momencie przestanie mówić, ale nie przestał, przepełniało go poczucie zwycięstwa.

– Powiedz mi, cyborgu. – Słowo „cyborg" wymówił z zaciekłością. – Czy nie zauważyłeś przypadkiem, że wszystkie zwierzęta, które widziałeś, to samce?

Bezmyślnie skinąłem głową. Nie miałem zielonego pojęcia, do czego zmierza.

– To są wyłącznie samce. Ushre chciał, żebym używał i samic, chciał, żeby zwierzęta się rozmnażały. Ale ja mu wmówiłem, że osobniki, które hoduję, są sterylne, że zaszczepianie im obcych genów czyni je bezpłodnymi. I jeszcze mu powiedziałem, że samce bez samic będą bardziej agresywne. Już ja mam na niego sposoby. I on mi wierzy.

Ach, wszyscy jesteście durnie! Ja planowałem wcześniej. Zwierzęta, które ja hoduję, wcale nie są bezpłodne. Prawdę powiedziawszy, są genetycznie dominujące. Większość z nich w trzech przypadkach na cztery jest zdolna do reprodukcji.

Zrobił pauzę retoryczną dla większego efektu.

– Obecnie wszystkie zwierzęta w moich boksach hodowlanych to samice. Mam ich setki. Ten budynek łączy z rezerwatem tunel. Zamierzam zabrać te samice i iść z nimi do rezerwatu. Nikt nie będzie podejrzewał – nikomu do głowy nie przyjdzie, że mogłem zrobić coś podobnego. Nikt mnie tam nie będzie szukał. A jak już zamknę bramę, zostanie mi dość czasu. Nie będą wiedzieli, co zrobić z moimi zwierzętami. Zwolennicy humanitaryzmu będą je chcieli ratować, prawdopodobnie nawet żywić. Naukowcy zaczną je studiować. Nikt ich nie będzie chciał po prostu wytępić. A nawet gdyby, to i tak nie będą wiedzieli, jak się do tego zabrać. A czas będzie płynął. Czas na rozmnażanie. Na rozmnażanie, cyborgu! Bardzo szybko będę miał całą armię. I wtedy zobaczycie moją zemstę, przy której rozruchy genetyczne wydadzą się wam dziecinną igraszką!

A więc to tak: dlatego tak tryumfował. I ten jego plan mógł się powieść, przynajmniej na razie. Prawdopodobnie nie zmieniłby biegu historii, ale z pewnością byłoby to coś bardziej znaczącego niż zabicie czterdziestu sześciu myśliwych.

Tak mocno ściskałem spluwę, że aż mi się ręce trzęsły. Ale głos miałem spokojny. Nie pozostało we mnie ani cienia wątpliwości.

– Tylko że najpierw musiałbyś zabić mnie.

– Jestem lekarzem – powiedział. Patrzył wprost na mnie. – Ja nie będę cię musiał zabijać.

Koniuszkiem języka nieznacznie oblizał wargi.

Po raz drugi o mało mnie nie załatwił. Ostrzegł mnie tylko instynkt. Nic nie słyszałem za sobą, nie miałem pojęcia, że jestem w niebezpieczeństwie. Ale poruszyłem się. Obróciłem w miejscu, razem ze spluwą.

Nie spieprzyłbym sprawy lepiej, nawet gdybym ćwiczył całymi tygodniami. Przez obrót władowałem lufę M-16 w łapę wielką jak moja twarz. Czarne włochate paluchy, silne jak całe moje ramię, złapały broń i wyrwały mi ją z ręki. Druga łapa walnęła

mnie przez piers z taką siłą, że mało nie wywinąłem kozła w powietrzu. Kiedy upadłem na podłogę, przejechałem jeszcze kawałek, zanim zatrzymałem się na nodze najbliższego stołu.

Pozbierałem się z podłogi, ale musiałem się przytrzymać stołu, żeby nie upaść. We łbie mi się kołowało, pokój tańczył ze mną jak skurwysyn. Przez chwilę nie mogłem skupić wzroku na jednym punkcie.

– Nazywam go Cerberem – wyjaśnił z uśmiechem Paracels. – Jest ze mną od dawna.

Cerber. Zabawne. Z wysiłkiem, który mało nie rozsadził mi czaszki, skierowałem gałki oczne na tego stwora.

– To moje ostatnie dzieło, zanim mnie wyrzucili. Kiedy widziałem, na co się zanosi, postawiłem wszystko na ten jeden ostatni eksperyment. Wziąłem ze sobą embrion i sam zbudowałem dla niego inkubatory. Wychowałem go na własnych rękach.

To ten stwór musiał mnie uderzyć, kiedy tu byłem ostatnim razem. Myślałem, że Ushre, ale to musiało być to. Wszystko odbyło się za cicho i zbyt szybko jak na Ushre'a.

W zasadzie był to goryl. Miał kły, czarną sierść, małpią twarz, długie ramiona. Ale nie przypominał żadnego z goryli, z jakimi się do tej pory zetknąłem. Przede wszystkim miał ponad dwa metry wzrostu.

– Widzisz ulepszenia, które poczyniłem – ciągnął Paracels. Przypuszczam, że nie mógł przerwać. To było silniejsze od niego. – Ma naturalną postawę pionową – przystosowałem jego kręgosłup, biodra, nogi. Uda i łydki ma dłuższe niż normalnie, co sprawia, że jest szybszy i bardziej zwinny w terenie.

Ale ja zrobiłem znacznie więcej. – W tym, jak mówił, przypominał teraz Ushre'a. – Zmieniając mu budowę mózgu, wyposażyłem go w wyższą inteligencję, szybszy refleks, większą bystrość, zdolność wykonywania tego, do czego został przyuczony. A poza tym jest nieprawdopodobnie silny.

Tego doświadczyłem na własnej skórze. Patrzyłem oto, jak mi przed samym nosem ta cholerna małpa wyrwała z ręki M-16 i walnęła nim o ścianę. Rozwalając go przy tej okazji. I wybijając dziurę w betonie.

– W pewnym sensie to szkoda, żeśmy cię wyłączyli, cyborgu. Walka mogłaby się okazać interesująca: sztuczny człowiek przeciwko udoskonalonemu zwierzęciu. Ale oczywiście wynik byłby taki sam. Cerber jest wystarczająco szybki, żeby uniknąć twojego eksplodera i wystarczająco silny, żeby mu się oprzeć. On jest czymś więcej niż zwierzęciem. A ty czymś mniej niż istotą ludzką.

Cerber szedł na mnie powoli. W jego oczach tyle było złośliwości, że dałbym głowę, że zbliżał się tak wolno po to tylko, żeby wzmóc we mnie uczucie strachu. Wycofywałem się tak, by dzieliły nas ze dwa stoły. Ale i Paracels nie tkwił w miejscu, nie pozwalał mi się do siebie zbliżyć. Miałem ochotę krzyknąć: Morganstark! Ale przecież wiedziałem, że Morganstark mnie nie uratuje, w dalszym ciągu słyszałem strzelaninę. Nie przyjdzie tu za mną, dopóki nie zakończy sprawy na zewnątrz i brama nie zostanie zamknięta. Nie mógł ryzykować wypuszczenia części tych zwierząt.

Paracels obserwował mnie uradowany.

– Tego właśnie nie jestem w stanie zrozumieć, cyborgu. – Miałem ochotę wrzasnąć, żeby się zamknął, ale on złośliwie ciągnął dalej: – Nie mogę mianowicie pojąć, dlaczego społeczeństwo toleruje, a nawet popiera mechaniczne monstra takie jak ty, a nie może się pogodzić z udoskonaleniami biologicznymi w rodzaju Cerbera. Dlaczego biologia ma być taka nietykalna? Badania nad rekombinującym kwasem nukleinowym kryją w sobie nieograniczone możliwości. A ty jesteś tylko bronią. I to nie najlepszą.

Nie mogłem tego dłużej znosić. Musiałem jakoś zareagować.

– Jest jedna różnica – warknąłem. – Ja mogłem wybierać. Nikt mi tego nie zrobił w embrionalnym okresie mojego życia.

Paracels roześmiał się.

Broń! – potrzebna mi była jakaś broń. Nie wyobrażam sobie, żebym wywarł na tym stworze jakiekolwiek wrażenie z samym tylko nożem. Obszukiwałem wzrokiem pokój, patrzyłem po stołach i pod stołami, jednocześnie cały czas się wycofując. Ale nie mogłem nic znaleźć. Poza sprzętem laboratoryjnym. Większość przedmiotów była za ciężka, żebym mógł je choćby unieść. A wobec tych wszystkich chemikaliów czułem się bezradny. Nie znałem się na nich zupełnie.

Paracels jak gdyby nie mógł się uspokoić.

Cholera jasna, Browne, od czego masz głowę?!

Tak, mam! Nareszcie!

Ushre wyłączył moją baterię. A to znaczyło, że zbudował specjalne urządzenie magnetyczne. Jeśli to urządzenie jest tu w dalszym ciągu, to mogę się włączyć z powrotem.

Zacząłem się rozpaczliwie za nim rozglądać.

Wiedziałem, czego szukać. Generatora pola, czegoś nie większego niż pięść. Nie musiał być mocny, musiał być **specjalny**; chodziło o ściśle określony impuls magnetyczny, dostrojony właśnie do mojej baterii. Ten generator powinien mieć trzy anteny przypominające maleńkie ząbki ustawione blisko siebie również w ściśle określony sposób. A w jaki – wiedziałem.

Ale małpa Paracelsa nie dawała mi czasu na dokładne poszukiwania. Nie zbliżała się już do mnie powoli. Utrzymywanie między nami dystansu przynajmniej dwóch stołów wymagało ode mnie pełnego skupienia.

W każdej chwili mogła na mnie skoczyć i byłby to koniec. Niewykluczone zresztą, że generator znajdował się gdzieś indziej.

Sięgnąłem po nóż. Tak czy siak, zamierzałem załatwić Paracelsa, a przynajmniej zająć się nim, zanim ten stwór mnie wykończy.

Ale w tym momencie dostrzegłem to, czego szukałem.

Leżało na stole dokładnie przed gorylem.

– No dobra, Cerberze – powiedział Paracels – Nie będziemy się dłużej bawić. Zabijaj go – już!

Małpa rzuciła się na mnie przez stoły tak szybko, że ledwie to zauważyłem.

Ale Paracels mnie ostrzegł. Już byłem w ruchu. Kiedy goryl atakował mnie górą, zdążyłem zrobić unik i schować się pod stół. Wyskoczyłem dokładnie koło tego, o który mi chodziło i sięgnąłem do generatora. Z nadmiernego pośpiechu jednak zmitrężyłem sekundę nie mogąc na niego trafić. Jeszcze moment i już miałem go pod prawą ręką, znalazłem włącznik, nacisnąłem. Pozostało mi teraz jedynie dotknąć ząbkami generatora do piersi.

Nagle małpa dosłownie spadła na mnie i przestałem cokolwiek widzieć. Początkowo myślałem, że mi przetrąciła kręgosłup – pod łopatkami przeszył mnie stalowy pręt bólu. Ale po chwili pojaśniało mi w oczach i tuż przed twarzą zobaczyłem zęby goryla. Trzymał mnie w ramionach. Miażdżył w uścisku.

Lewą rękę miałem wolną. Ale prawą przyciskało do mnie włochate cielsko. Nie mogłem unieść generatora.

Z tej pozycji nie byłem w stanie sięgnąć do oczu goryla, więc po prostu władowałem mu lewą rękę do pyska pchając ją coraz głębiej, do gardła.

Małpa zaczęła się dusić, ale już po chwili próbowała mi tę rękę odgryźć.

Słyszałem trzask łamanych kości, a potem metaliczny dźwięk, jakby poszedł mój eksploder.

Ale duszący się goryl zwolnił nieco uścisk – odrobinę, dosłownie o kilka milimetrów. To mi jednak wystarczyło. Nie miałem nic do stracenia. Podciągnąłem generator pomiędzy nami, w górę, bliżej środka mojej piersi.

Małpa miała cały pysk we krwi. Chciałem krzyczeć, ale nie mogłem – język uwiązł mi pomiędzy włącznikami umieszczonymi na zębach. Ciągnąłem, ciągnąłem w górę resztkami sił.

I wtedy ząbki dotknęły mojego mostka.

Eksploder był zniszczony. Ale wypalił. Rozwalając łeb goryla na miazgę. Razem z prawie całą moją ręką. Leżałem na małpie. Miałem ochotę nie ruszać się, leżeć tak dalej, wesprzeć głowę i zasnąć, ale nie było na to czasu.

Nie wykonałem do końca swojego zadania. Został mi jeszcze Paracels do załatwienia.

Zdołałem jakoś dźwignąć się na nogi.

Doktor był. Stał przy jednym ze stołów manipulując przy jakiejś aparaturze. Długo się w niego wpatrywałem, zanim dotarło do mnie, że usiłuje coś zrobić z chirurgicznym nożem laserowym. Że chce go wyjąć z oprawy i skierować na mnie.

Z jego ust wydobywało się jakieś dziwne pochlipywanie. Jak gdyby płakał.

Nie wzruszyło mnie to. Nic mnie już nie wzruszało. Wyzbyłem się wszelkich uczuć. Wyjąłem nóż i rzuciłem w niego. Patrzyłem, jak wchodzi mu w szyję do połowy ostrza.

Dopiero wtedy usiadłem. Z najwyższym wysiłkiem zdjąłem pasek i użyłem go jako opaski krępującej na lewe ramię. Miałem wrażenie, że to próżny trud, ale go jednak podjąłem.

W jakiś czas potem (a może to było zaraz, nie wiem) do laboratorium wtargnął Morganstark. Najpierw powiedział:

– Zamknęliśmy bramę. To je powstrzyma, przynajmniej przez chwilę. – Ale potem: – Jezus, Maria, co z tobą?!

Dokoła mnie zrobił się ruch. Po czym Morganstark dodał:

– No, jest w tym wszystkim jedna pociecha. – (Czyżby sprawdzał moją opaskę? Nie, usiłował mi jakoś zabandażować zmasakrowaną rękę). – Nawet jeśli zostaniesz bez dłoni, wbudują ci laser w przedramię. Wstawią między kości, mocno, solidnie. Będziesz jak nowy. A nawet lepszy. Zrobią z ciebie najpotężniejszego agenta specjalnego w całym wydziale.

– Niech mnie w dupę pocałują – odparłem. Prawdopodobnie traciłem przytomność. – Niech mnie w dupę...

Przełożyła **Zofia Uhrynowska-Hanasz**

– Minister obrony, minister rolnictwa, zarządca prowincji Malteno i parę niższych rangą osób.
– Pana z nimi nie będzie?
Przez jego twarz przebiegł blady, bardzo blady uśmiech:
– Nie, kolego. Ja wtedy będę miał inne zajęcia.
– Orientuję się, co pan ma na myśli, pułkowniku. Niech pan uważa, żeby nie popełnić błędu. Spróbuję przeprowadzić operację dwudziestego dziewiątego przed godziną dziesiątą. Gdyby się wtedy nie udało, kiedy będzie następna okazja?
– Tego samego dnia późnym wieczorem, kiedy konwój prezydenta będzie wracać do stolicy. Trasa będzie ta sama.
– W jaki sposób będzie zabezpieczona droga?
– W mieście łańcuch policji będzie dość gęsty. Pomogą też żołnierze. Można mówić niemal o kordonie. Rzecz jasna, poza miastem ich czujność zmniejszy się.
– Rozumiem. I jeszcze coś, Negades. Co pan powie o dzisiejszym posunięciu Ramireza?
– Myśli pan o porozumieniu z prezydentem Veruzzy? Bardzo mnie to zaskoczyło... Ale nie mam jeszcze informacji.
Wiedziałem, że nie powie już nic więcej. Oczywiście myślał już tylko o przejęciu władzy.
– No więc niech pan to zrobi sprawnie, Negades. Nie wątpię, że zawczasu wprowadził pan swoich zwolenników do wszystkich wyższych urzędów, tak więc sprawa nie będzie trudna. Jestem przekonany, że pojutrze będzie pan prezydentem Boliwarii!... – z tym większą przyjemnością mogłem mu to obiecać, że przecież wiedziałem, iż taka była rzeczywistość.
Negadesa dręczyło coś jeszcze:
– Jaki będzie los Ramireza?
– Niech się pan tym nie przejmuje, pułkowniku. Powiedziałem już: wyłączymy Ramireza z dalszych wydarzeń, nie będzie się pan musiał więcej z nim liczyć.
Z pewnością myślał, że podziurawimy Gallego Ramireza jak sito. Nie chciałem go rozczarować, więc milczałem. Ale coś jeszcze przyszło mi do głowy:
– Proszę powiedzieć, dlaczego swego czasu wysłał pan tych sześciu policjantów do dawnego mieszkania cukiernika Ramireza?
– Mieliśmy oczekiwać na jakichś zagranicznych agentów – powiedział z ironicznym uśmiechem. Sądził, że już wszystko rozumie...
– Ale skąd się pan dowiedział, że jeden lub kilku takich agentów przybędzie?
Po chwili wahania Negades potwierdził moje przypuszczenia:
– Sam prezydent Ramirez wydał taki rozkaz już w pierwszej godzinie swoich rządów.
– Rozumiem – przełknąłem ślinę. – Dziękuję za informację, pułkowniku. A teraz proszę już iść.
Patrzyłem za nim, kiedy przechodził przez plac. Jego kroki ucichły. Los Ramireza i Boliwarii był przesądzony.

Rozdział 3

Szef powiedział wyraźnie: wiele zależy od wykonania tego zadania. Lecz w tym momencie zrozumiałem coś jeszcze: GALPOL nie udostępnił mi wszystkich informacji. A może w momencie mojego wyjazdu nie wiedzieli, że łamiący czas uciekinier – pod nazwiskiem Gallego Ramirez – został w tym państwie dyktatorem? W GALPOL-u są historycy, fachowcy, którzy w swych analizach i raportach na temat sprawy Kilyosa na pewno napisali, że jak świadczą ocalałe fotografie i filmy, przybyły z przyszłości hochsztapler trafił w tym kraju zwanym Boliwarią na stołek prezydencki... Jednocześnie podejrzewałem, że nie mogło to być celowe przemilczenie. Musiało się zdarzyć coś innego. Na przykład to, że specjaliści w pośpiechu przejrzeli nieliczne ocalałe materiały i nie przyszło im do głowy, by porównać zdjęcie Kilyosa z podobiznami ówczesnych znanych polityków i wyższych urzędników państwowych. Albo też – nie mogłem tego wykluczyć – w XXXI wieku nigdzie już nie było zdjęcia XX-wiecznego dyktatora tego małego kraju.

Jeżeli się dobrze nad tym zastanowić, to chyba jednak nie chodziło o to, żeby mi przysporzyć kłopotu. Nie leżałoby to przecież w interesie GALPOL-u. Jak powiedział Lorenzo, Kilyos zaledwie przed tygodniem objął urząd prezydencki. Jeżeli Barax i ja wypełnimy swoją misję i w ciągu kilku dni zabierzemy z powrotem w przyszłość tego człowieka, który bezprawnie przedostał się w XX wiek – ile dowodów zostanie na to, że Kilyos w ogóle tu był? Z pewnością niewiele. Możliwe nawet, że gdy w roku 3044 historycy spojrzą w historię tego małego latynoamerykańskiego kraju, nie znajdą żadnych śladów krótkiego, trwającego tydzień czy dwa intermezza.

Jeżeli Kilyos – pod nazwiskiem Gallego Ramirez – został prezydentem, lecz jego „panowanie" nie pozostawi niemal żadnych śladów w dziejach – to znaczy, że nasza misja się powiodła. Jeżeli jednak nie potrafilibyśmy go szybko zabrać z tej epoki, spowodowałoby to na pewno wiele szkód, które miałyby poważne konsekwencje dla historii. Możliwe nawet, że nie tylko na tym kontynencie, lecz także na całym świecie, przecież Kilyos dysponuje ważnymi wynalazkami, które znacznie wyprzedzają epokę.

★

Barax stał jak zwykle spokojnie, nie patrzył nawet na zdjęcie dyktatora. Lorenzo obserwował policjantów. Wreszcie pojawił się jakiś oficer i dał nam znak: – Wsiadać do samochodu.

Pierwszy wsiadł Barax. Za nim Lorenzo. Wraz ze mną do środka weszło także dwóch strażników. Mroczna przestrzeń między rozgrzanymi, metalowymi ścianami była przecięta kratą, nam kazano usiąść na drewnianych ławkach znajdujących się z tyłu. Obaj strażnicy usiedli z przodu. Zanim zamknięto drzwi, zauważyłem że oficer siada koło kierowcy.

Zatrzaśnięto drzwi. Ogarnął nas półmrok, jedynie przez dwa wąskie, zasłonięte drucianą siatką okna wpadało trochę światła.
– W Boliwar dostaniecie za swoje – powiedział jeden ze strażników spoglądając na nas i złośliwie się uśmiechnął. – W centralnym więzieniu nie będą się z wami cackać. Jeszcze będziecie żałować, żeście przyszli na ten świat.

Niespecjalnie się przejmowałem ich pogróżkami, lecz przypadkiem spojrzałem na Lorenza. W jego wzroku czaiło się przerażenie. Co tam robią z więźniami, skoro to miejsce cieszy się tak złą sławą, przebiegło mi przez myśl.

Silnik zawarczał i samochód ruszył w kierunku stolicy. Jednostajny warkot, wstrząsy i ciepło sprawiły, że strażnicy pogrążyli się w półśnie. Lorenzo siedział naprzeciw nas.
Barax z wyciągniętymi do przodu nogami łapał równowagę na zakrętach. Oparłem się plecami o ciepłą, metalową ścianę.
W pewnym momencie Lorenzo odezwał się:
– Zaraz będziemy na miejscu.
Barax zrozumiał moje spojrzenie:
– Najpierw strażników?
– Oczywiście. Później kajdanki.

Barax rozpiął koszulę na piersi. Znoszonej marynarki i tak nie był w stanie zapiąć, był na to zbyt potężny. Pochylił się do przodu, zaś ja przycisnąłem się do ściany, żeby mu nie przeszkadzać.

Lorenzo nic nie zauważył. Co prawda ja też nie. Promień był niewidzialny, leżał w paśmie, którego oko ludzkie nie rejestrowało. Głowy strażników natychmiast opadły, wyglądało na to, że teraz już naprawdę śpią. Jednakże nie był to sen, tylko oszołomienie. Przyjdą do siebie dopiero po paru godzinach.

– Lorenzo, usiądź tutaj – szybko poleciłem brodaczowi. Coś musiało być w moim głosie, bo natychmiast posłuchał. – Podaj ręce mojemu koledze, ale patrz na mnie!...

Przez kilka sekund siedział w niewygodnej pozycji, z wykręconą szyją – nic z tego nie rozumiał. Nie czuł też co się dzieje wokół jego nadgarstków. Barax zniszczył kajdanki przez zburzenie krystalicznej struktury metalu – i był na tyle przezorny, że nie pokazał Lorenzowi rezultatu. Zdjęte stalowe obręcze schował do kieszeni. Lorenzo był tak zdumiony, że w pierwszej chwili nie mógł wydobyć głosu. Gdy wreszcie jąkając się zaczął mówić, Barax i mnie uwolnił od kajdanek.

– Ale... jak... jak.. jak to zrobiliście? A jeżeli strażnicy się obudzą?

– Patrz na nich, powiesz, jeżeli się poruszą.

W ten sposób znowu odwróciłem jego uwagę: ześlizgnął się z siedzenia i patrzył na nieprzytomnych policjantów, nie zauważył więc, że za jego plecami Barax przy pomocy kilku zręcznych ruchów wyłamuje zamek tylnych drzwi i otwiera je. W tym czasie samochód bez przerwy mknął szosą. Okolica po obu stronach była równinna, lecz nie bezludna: pojawiły się niskie budynki i drogi dojazdowe. Wzdłuż szosy biegła linia wysokiego napięcia i błyszczące w popołudniowym słońcu tory kolejowe. Lorenzo słysząc hałas, odwrócił się.

– Coś takiego!... – znowu się zdziwił, lecz nie odzywał się już więcej, po prostu zaniemówił ze zdumienia.

– Zatrzymaj samochód – rozkazałem. Barax nie zawahał się ani na chwilę. Jego mózg w ciągu ułamka sekundy wybrał najlepszy a zarazem najbezpieczniejszy dla nas sposób zatrzymania pojazdu. Swego czasu, zanim po raz pierwszy wyruszył ze mną w przeszłość, zapoznano go z dawnymi środkami lokomocji, z zasadami ich działania, a nawet ze sposobem prowadzenia. Poza tym Barax potrafił prześwietlić metalowe części samochodu. Chyba i tym razem tak zrobił – po czym prawą ręką wykonał kilka dziwnych ruchów. Silnik samochodu od razu zaczął prychać. Sądzę, że zagęścił paliwo do tego stopnia, że przestało ono dopływać do silnika. Pojazd zaczął zwalniać...

Zatrzymaliśmy się na skraju drogi. Z przodu dobiegły nas krzyki. Barax zapiął koszulę i pierwszy wyskoczył przez tylne drzwi. Lorenzo i ja natychmiast skoczyliśmy za nim. Moje buty stuknęły o czarny, twardy asfalt. Rozejrzałem się. Niedaleko szosy dostrzegłem rząd willi i wijącą się drogę otoczoną z obu stron gęstymi drzewami.

– Tam!...

Pobiegliśmy. Miałem nadzieję, że Barax starannie wykonał swoją pracę i obezwładnił kierowcę oraz siedzącego obok niego oficera. Nie musieliśmy się obawiać policjantów, lecz ruch na drodze był spory i należało się spodziewać, że lokalne władze szybko zostaną zaalarmowane...

Biegliśmy więc ile sił w nogach.

Lorenzo tak był podniecony naszą ucieczką, że biegł niewiarygodnie prędko. Ja też bez kłopotu utrzymywałem tempo. O Baraxie nie warto mówić – biegł jak maszyna.

Pokonaliśmy już chyba kilometr, gdy wreszcie dałem im znak – zwolnijcie. Gdzieniegdzie w przydomowych ogródkach bawiły się dzieci, rozebrany mężczyzna strzygł trawnik. Wiele osób ze zdziwieniem obserwowało naszą małą grupkę.

– Zwracamy na siebie uwagę – powiedział Lorenzo dysząc. – Tam jest przecznica, chodu!

Ostatniego słowa co prawda nie zrozumiałem, lecz sytuacja była jednoznaczna. Pobiegliśmy za brodaczem. Wpadliśmy między drzewa, to musiał być park. Pies bokser szczerząc zęby naprężył smycz, jego właściciel ze zdziwieniem patrzył na trzech biegnących mężczyzn. Minąwszy rząd straganów zatrzymaliśmy się, żeby odpocząć.

– Niech pan przyjdzie jutro na obiad. O dwunastej – szepnęła cicho.

– Przyjdę – obiecałem. Flora wsiadła do samochodu i odjechała. Odwróciłem się, bo już od dłuższej chwili czułem, że Barax stoi gdzieś niedaleko. Zza grubego słupa z ogłoszeniami obserwował nasze pożegnanie.

– Wszystko w porządku? – zapytałem tak oficjalnym tonem, na jaki tylko było mnie stać.

– U mnie tak – odpowiedział; przysiągłbym, że tego ironicznego tonu nauczył się ode mnie, i to nie tak dawno.

– Jeżeli sugerujesz, że z powodu jednej kobiety straciłem swą zdolność oceny i analizowania...

– Sugeruję.

– ... to w takim razie proszę cię, odczep się ode mnie. Dla mnie ta sprawa jest poważna i nie chcę na ten temat dyskutować!

Jeszcze przez chwilę staliśmy milcząc w skłębionym tłumie, po czym Barax odezwał się:

– Za dwadzieścia dziesiąta.

Szybko wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy w stronę kościoła Nuestra Señora.

*

Poza mną przed olbrzymim budynkiem nie było nikogo. Światła ledwo się jarzyły, nawet zawieszone na ścianie elektryczne lampy sprawiały wrażenie, jakby się bały nocy – rzucały na plac niewielkie, blade kręgi. Byłem zaskoczony pustką panującą w tej okolicy. W powietrzu miasta czaiło się napięcie, dochodzący z daleka szum ostrzegał przed nieznanym niebezpieczeństwem. Możliwe jednak, że tak tylko mi się wydawało – wszak znałem przyszłość i wiedziałem z grubsza, co zdarzy się w tym mieście za miesiąc i później...

Negades nie spóźnił się nawet o sekundę. Gdy na wieży wybiła dziesiąta, pojawił się na skraju placu, rozejrzał się, po czym zdecydowanym krokiem podszedł bliżej. Czekałem na niego w półcieniu pod arkadami.

– Dobry wieczór, pułkowniku.

– Dobry wieczór, Medina.

– Źle pan wygląda, Negades – widziałem jak blada i zmęczona jest jego twarz, a jednocześnie czułem promieniujące z jego mózgu napięcie. – Niech się pan wyśpi dzisiejszej nocy. Siły będą panu potrzebne.

Nie zdziwił się już, że czytam w jego myślach.

– Przejdźmy do rzeczy – zaproponował ponurym tonem.

– Ma pan rację. Posłuchajmy, czego się pan dowiedział.

Przełknął ślinę i zawahał się. To była ostatnia chwila, kiedy się jeszcze mógł wycofać. Jednakże jego ambicja była silniejsza. Pragnął władzy – a tego, kto dąży do jej zdobycia nic nie zatrzyma.

– Jutro przed południem prezydent przyjmuje delegacje partii parlamentarnych, zaś po południu przyjedzie do niego około jedenastu delegacji z różnych prowincji. Wieczorem w programie jest odpoczynek.

– A więc przez cały dzień nie ruszy się z pałacu.

– Tak jest. Wasze plany mogą zostać pomyślnie zrealizowane pojutrze...

– Niech pan mówi, pułkowniku.

– Dwudziestego dziewiątego przed południem prezydent odwiedzi jedną z prowincji. Godzina wyjazdu: dziewiąta dwadzieścia. Trasa: śródmieście – park Tiziano – Avenida de la Paz – południowa autostrada. Punktem docelowym jest stolica prowincji Malteno, sto dziesięć kilometrów od Boliwar.

– Eskorta?

– Prawdopodobnie cztery samochody prezydenckie, cztery samochody obstawy i kilka innych pojazdów. Wszystkie samochody prezydenckie to czarne Impale.

– W którym samochodzie będzie siedział Ramirez?

– O tym zawsze decyduje szef ochrony, bezpośrednio przed wyruszeniem. Wcześniej nikt tego nie wie, nawet prezydent.

– Kto z nim wyjeżdża?

na kilka przyjęć w ministerstwie spraw zagranicznych. Możliwe, że uda mi się wtedy zamienić parę słów z prezydentem.

„Do tego już chyba nie dojdzie" pomyślałem.

– Chciałby się pan spotkać z Ramirezem? – zapytała.

– Tak. Pojawiła się możliwość zawarcia większego kontraktu, ale ze względu na rozmiar sprawy potrzebne jest już specjalne pozwolenie. Zwykłą łapówką nie da się niczego osiągnąć. Pomyślałem, że gdybym mógł się spotkać z prezydentem, może udałoby mi się uzyskać od niego pozwolenie na eksport.

– Sądzi pan, że znam tak wpływowe osoby, że mogłabym skontaktować pana z Ramirezem? – jej spojrzenie na chwilę zachmurzyło się. Dobrze wiedziałem o czym myśli. Wziąłem ją za rękę.

– Nie, Floro. Nie dlatego chciałem się z panią spotkać. Pani mnie całkowicie oczarowała. Do tego stopnia, że nawet wylewam przed panią swe zawodowe żale... Proszę wybaczyć, więcej się to nie powtórzy.

Jej twarz się rozpogodziła i – być może po to, by zapomnieć o tej nieprzyjemnej chwili – zaczęła mówić:

– A jeżeli już mowa o prezydencie... Słyszał pan, co zrobił dzisiaj?

– Nie czytałem gazet – potrząsnąłem głową. Jednocześnie w głębi mózgu poczułem uspokajający sygnał. Barax stoi na straży niedaleko stąd i wszystko jest w porządku.

– Dziś rano z Veruzzy przyjechała delegacja rządowa. Wie pan, Veruzza jest ościennym państwem, nieco większym niż Boliwaria i nasze kontakty z nimi są tradycyjnie złe. Chodzi o jakiś konflikt graniczny ciągnący się od stu pięćdziesięciu lat... Ja się na tym nie znam, mój mąż z pewnością wygłosiłby panu na poczekaniu cały wykład o tej sprawie. No więc istota rzeczy leży w tym, że pojawiła się szansa poprawy stosunków. Od pierwszej chwili Ramirez miał zamiar zawrzeć z Veruzzą pokój i dlatego zaprosił prezydenta tego kraju. Przyjechał on dziś rano i niech pan sobie wyobrazi, że już w południe razem z Ramirezem ogłosili, że oba państwa zostaną połączone.

– Tak? – zapytałem obojętnie. Florze wydawało się, że nie jestem w stanie pojąć doniosłości sprawy:

– Nie rozumie pan, Medina? To wielka rzecz! Dotychczas Boliwaria i Veruzza przeprowadziły dwadzieścia jeden wojen i praktycznie rzecz biorąc, zawsze były sobie wrogie. A teraz ten Ramirez, który wygląda jak... jak...

– Podmiejski cukiernik.

– No tak, nie można zaprzeczyć. A jednak ten właśnie człowiek okazuje się geniuszem dyplomacji, señor! W ciągu dwóch godzin osiągnął więcej niż inni prezydenci w ciągu stu lat! Przekonał przywódców Veruzzy, żeby przerwali ten stan wrogości, a nawet by połączyli oba kraje!

– Chwileczkę – przerwałem jej. – Gdzie to miało miejsce?

– W letniej rezydencji prezydenta, na skraju miasta.

– A więc nie w pałacu prezydenckim?

– Nie. Ramirez przyjął delegację w pałacu letnim, po czym wrócił po południu do miasta, widziałam go w dzienniku telewizyjnym.

Kelnerzy przynieśli lody, lecz ja wciąż jeszcze rozmyślałem o tym, co usłyszałem. Nie ukrywam, że byłem zaskoczony. W jaki sposób cukiernik Ramirez osiągnął tak szybki i spektakularny sukces? A może... sprawa ta była zasługą Lippa Kilyosa? Jedno było pewne: dziwne pertraktacje odbyły się i zakończyły się zdumiewającym rezultatem.

Po kolacji odprowadziłem Florę do samochodu. Długo żegnaliśmy się na rzęsiście oświetlonym chodniku. Wiedziałem, że jest jeszcze za wcześnie na to, by ją prosić, by pozwoliła się odprowadzić do domu.

– Kiedy będę mógł panią znowu zobaczyć? – spytałem.

– Jest pan pewien, że chce mnie pan zobaczyć? – zapytała przekornie.

– Niczego nie jestem bardziej pewien – odparłem i rzeczywiście to czułem. Z nikim jeszcze nie związałem się na stałe i teraz, patrząc w ciemne oczy Flory, miałem wrażenie, jakby otwierał się przede mną wszechświat – kosmos pełen niebezpieczeństw i czekających na odkrycie światów...

– Musimy dotrzeć do śródmieścia – dyszał Lorenzo. – W tej okolicy szybko nas złapią.

– Nie znasz tej dzielnicy?

– Nie, nigdy tu nie byłem. Ale w śródmieściu mieszka prawie milion ludzi, tam możemy zniknąć bez śladu! Policja nigdy nas nie znajdzie.

Barax nagle wyszedł na jezdnię. Zbliżał się zielony samochód, prowadziła go kobieta, w wieku około trzydziestu lat. Zapiszczały hamulce. Mój towarzysz po prostu zastąpił jej drogę. Z miejsca pojąłem zamiar Baraxa, szturchnąłem Lorenza.

– Wsiadamy!

Usiadłem z przodu, na miejscu koło kobiety. Miała jasnobrązowe włosy, pomalowane na czerwono usta i gniewnie błyszczące spojrzenie.

– Co panowie sobie wyobrażają?!

Miałem już dość stosowania przemocy. Uśmiechnąłem się do niej. W międzyczasie Barax usadowił się na tylnym siedzeniu, koło Lorenza.

– Jesteśmy pani bardzo wdzięczni, że się pani nad nami zlitowała. Sądziliśmy już, że nie dotrzemy do śródmieścia. Jesteśmy cudzoziemcami i bezskutecznie czekaliśmy tu na taksówkę...

Miałem nadzieję, że Lorenzo w porę zorientuje się i nie odezwie się ani słowem. Moja wymowa sprawiła, że to co mówiłem było bardziej wiarygodne. Barax milczał – na razie. Lecz wiedziałem, że czujnie spogląda na wszystkie strony obserwując też kobietę.

– Ale ja... ja właściwie nie jechałam do śródmieścia. – Kobieta była trochę zmieszana. Uśmiech jakby przywarł do jej twarzy:

– Jestem pewny, że nie porzuci nas pani w biedzie, señora. Widzę po oczach, że jest pani uczynną osobą.

To poskutkowało. Dodała gazu i samochód zerwał się z miejsca.

★

Zbliżaliśmy się już do centrum szeroką, dwupasmową drogą, gdy na drugim pasie, wyjąc syrenami przemknęły w stronę przedmieścia policyjne samochody. Kobieta prowadziła szybko i sprawnie. A ja mówiłem. Rozpływałem się nad urokami Boliwar, miasta, które widziałem po raz pierwszy. Możliwe, że naprawdę było ładne – lecz my widzieliśmy dotychczas jedynie morze domów i ruchliwe ulice, nic innego. Od kobiety dowiedzieliśmy się tylko tyle, że ma na imię Florencja, lecz woli, by się do niej zwracać – Flora. Gdy na nią patrzyłem, czułem się coraz dziwniej. Nie, wtedy jeszcze nie wiedziałem, co czuję. Patrzyłem na jej usta, oczy, ręce, uda. Ruchy miała wyważone, wydawało się, że jej ręka w niezwykły sposób tańczy na gałce biegów. Czasami spoglądała w bok, początkowo jedynie na krótką chwilę, jej uśmiech był nerwowy, obcy. Ja tymczasem odprężyłem się.

Gdy zaczęła wypytywać się, czym się zajmujemy, jako pierwsze przyszło mi na myśl słowo – handlowiec. O ile wiem, był to wówczas dość często spotykany zawód, więc go wymieniłem.

– I co panów tu sprowadza? – zapytała. Wyrażenie to zdziwiło mnie, lecz szybko pojąłem, co znaczy. Spodoba się szefowi, pomyślałem. Zmuszony byłem improwizować dalej:

– Zajmujemy się kwiatami. Próbujemy w pani kraju znaleźć eksporterów, u których moglibyśmy zamówić większą partię – byłem niezmiernie dumny ze swojej pomysłowości. Chyba jej imię zasugerowało mojej podświadomości słowo „kwiat".

Flora wzięła zakręt, jechaliśmy teraz między coraz wyższymi domami. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżamy się już do centrum miasta.

– Stroje panów nie wzbudzają raczej zaufania... Proszę się nie gniewać, ale gdybym ja była wielkim handlowcem, nie pertraktowałabym z cudzoziemcami, którzy przychodzą do mojego biura w podartych marynarkach z wiszącymi guzikami, w dodatku, gdy ich koszule nie są pierwszej świeżości...

Pomyślałem, że to mogła zauważyć tylko kobieta. Nasze ubrania istotnie solidnie ucierpiały w wyniku nocnej bijatyki, aresztu, a potem ucieczki z samochodu i biegu.

*

Nigdy nie traktowałem poważnie tekstów przebojów. Cóż to znaczy „zakochać się w kimś od pierwszego wejrzenia"? Zawsze myślałem, że to bzdura. Lecz Flora mnie oszołomiła. Nie potrafiłem z niej spuścić wzroku. Równocześnie musiałem też myśleć o naszym bezpieczeństwie.

– Chciałbym jeszcze kiedyś panią gdzieś spotkać – powiedziałem. Jednakże Flora w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła. Na pewno dobrze wiedziała, co się ze mną dzieje. Jeżeli sądziłem, że da mi adres lub numer telefonu – to się myliłem. Była piękna. Podobała mi się, bardzo.

Na rogu dostrzegłem kwiaciarza. Byliśmy na bardzo ruchliwej ulicy. Szybko podjąłem decyzję:

– Droga Floro, niech pani będzie tak dobra i zatrzyma się.

Porwałem ze straganu jeden bukiet. Moi towarzysze wysiedli. Nie znałem nazwy jaskrawoczerwonych kwiatów, mógł to być jakiś rodzaj goździków. Wsunąłem bukiet do samochodu.

– Dziękujemy, że nas pani przywiozła. Możliwe, że jednak się spotkamy – powiedziałem z tajemniczym uśmiechem. Zatrzasnąłem drzwi, a ona pomachała ręką i odjechała.

– Zanotowałem numer rejestracyjny pojazdu – powiedział Barax. Przez sekundę ogłupiały gapiłem się na niego, lecz on kontynuował z typową mu flegmą. – Słyszałem, że chciałbyś spotkać właścicielkę pojazdu.

– Do licha z tymi konstruktorami! – wybuchnąłem. – Wyposażyli cię w zbyt wiele urządzeń, Barax!

– Tylko w te, które będą nam potrzebne – odpowiedział spokojnie.

– Rozdzielmy się i to natychmiast – nerwowo powiedział Lorenzo. – Policja szuka trzech mężczyzn, zaraz wpadnie na nasz ślad.

– Zgól sobie brodę – poradziłem.

– Idę do swoich przyjaciół. Jutro w południe spotkamy się w kościele Nuestra Señora. – Zniknął w tłumie. Jego głowa pojawiła się jeszcze nad schodami prowadzącymi pod ziemię. Napis głosił, że jest to zejście do metra.

Barax logicznie usystematyzował czekające nas zadania:

– Zanim zapadnie noc musimy znaleźć jakiś nocleg, dla ciebie także kolację. Jutro rano kupimy nowe ubrania i przeprowadzimy rozpoznanie terenu.

Wiedziałem, że ma rację. Na chybił-trafił ruszyliśmy przed siebie. W kiosku kupiłem szczegółową mapę miasta, potem zjadłem kolację w samoobsługowej restauracji. Podczas gdy jadłem, Barax stał przy wejściu, tak żeby mieć mnie na oku. Jedzenie było chłodne i mdłe.

Znalezienie noclegu nie było prostą sprawą. Wiedziałem, że w hotelach nie mamy szans, bo nie posiadamy dokumentów, które zostały na komendzie w Lorii. Tak więc musieliśmy liczyć na prywatne domy. Przez jakiś czas przechadzaliśmy się, obserwowaliśmy obcy, hałaśliwy ruch na ulicach. Później przyszedł mi do głowy pomysł i kupiłem popołudniową gazetę. Wśród drobnych ogłoszeń wkrótce natrafiłem na ogłoszenia o mieszkaniach. Rozmieniłem pieniądze i poszukaliśmy budki telefonicznej. Po chwili zmagań zrozumiałem zasadę działania prymitywnego automatu, udało mi się nawet zatelefonować. Mieszkanie nie było jeszcze wynajęte, właściciel zrozumiał, że chodzi o cudzoziemców i chętnie się zgodził. Wyjaśnił jak mamy dojść. Było to dość daleko od śródmieścia, wsiedliśmy w taksówkę, lecz dla zachowania ostrożności wysiedliśmy o dwie ulice wcześniej.

Gdy dojechaliśmy na miejsce już się ściemniało. Na mrocznym niebie rysowały się sylwetki czteropiętrowych bloków. Zapaliły się uliczne latarnie.

– Co za prymitywne lampy – mruknął Barax przy wejściu – do diabła, one dają tyle samo ciepła, co światła...

Wiedziałem, że ma rację; za pomocą swoich urządzeń nawet z daleka mógł wyczuć ilość wypromieniowanego ciepła. Lecz mnie w tej chwili bardziej interesowało nasze przyszłe mieszkanie.

Na trzecim piętrze zadzwoniliśmy do masywnych drewnianych drzwi. Otworzył je niesłychanie gruby jegomość. Na jego śniadej spoconej twarzy pojawił się uśmiech. Mówił sepleniąc. Wskazał drzwi, za którymi znajdował się obszerny pokój z małą wnęką kuchenną i łazienką. Barax wnikliwie obejrzał mieszkanie, zaś ja w tym czasie pertraktowałem z właścicielem. By rozwiać jego ewentualne podejrze-

– Bądź ostrożny – powiedział. Tak jak w czasie wszystkich innych wspólnych ekspedycji, Barax myślał jedynie o moim bezpieczeństwie. Nasze zadania nie były jednakowe. Ja miałem przywieźć z powrotem w trzydziesty pierwszy wiek Lippa Kiloysa, zaś Barax musiał przede wszystkim zważać na moje bezpieczeństwo.

– Zapewne usiądziemy w jakiejś restauracji. Niezależnie od rozwoju sytuacji idź za nami.

– Pamiętaj, że masz też spotkanie z pułkownikiem Negadesem.

– Będzie na to dość czasu.

– Żebyś tylko nie zapomniał o całym świecie.

– No, no Barax!... Cieszę się, że dbasz o moją moralność. Czy o to także prosił cię GALPOL?

Przed godziną ósmą spacerowałem przed kawiarnią „Calvados". Miejsce to wywoływało we mnie nieprzyjemne skojarzenia, lecz kiedy proponowałem Florze spotkanie przypomniała mi się jedynie ta nazwa. Przed oświetlonymi wystawami mrowiło się mnóstwo ludzi. Gdzieś w pobliżu grała uliczna orkiestra. Ulicami przelewały się strumienie samochodów, migały kinowe reklamy, uliczni sprzedawcy oferowali swe towary. Przez chwilę ogarnęło mnie dziwne uczucie: przypomniał mi się letni wieczór sprzed dwudziestu lat. Czekałem na jakąś dziewczynę w swym rodzinnym mieście. Tak samo mijali mnie ludzie, czułem zapach rozgrzanego asfaltu, nawet światła i muzyka wydawały się takie same. Nie pamiętam już, czy dziewczyna przyszła na spotkanie, pozostało mi jedynie wspomnienie pełnego emocji oczekiwania i pożądania, które tak bardzo przypominały moje uczucia dzisiejszego wieczoru...

Flora spóźniła się piętnaście minut. Gdy pojawiła się na chodniku, zalała mnie fala gorąca. Była piękna. Miała na sobie śnieżnobiałą sukienkę, brązowy pasek i buty w tym samym kolorze. Włosy miękko spływały jej na ramiona.

– O, pan Medina... – uśmiechnęła się.

– Dobry wieczór pani. Jaki szczęśliwy przypadek. – Ja także grałem narzuconą rolę.

– Wierzy pan w przypadki?

– Tylko wtedy, gdy przynoszą szczęście. Tak jak ten dzisiejszy! – Roześmieliśmy się, dwoje rozbawionych krasnoludków w ludzkim lesie, w dzikiej obcej puszczy.

Ruszyliśmy w stronę parku. Tu, w wąskich asfaltowych alejkach słyszeliśmy tylko szmer własnych kroków. Hałas miasta ustąpił miejsca przyjemnej ciszy.

Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Wiem jednak, o czym nawet nie wspomnieliśmy: o jej mężu, moim stanie cywilnym, pieniądzach, życiu handlowca, polityce... Można było przecież rozmawiać o tylu innych rzeczach, nawet w dwudziestym wieku.

Wtedy nie miałem już żadnych wątpliwości: zakochałem się we Florze. Podobało mi się wszystko, co mówiła albo robiła. Żywiłem nieśmiałą nadzieję, że i ja się jej podobam. W przeciwnym wypadku nie przyszłaby tu dziś wieczór...

Po spacerze poszliśmy na kolację do jednej z pobliskich restauracji. Półmrok rozjaśniały palące się na stołach świece. Złocisty płomień od czasu do czasu niespokojnie drżał w szklanych kloszach... Z głośników na ścianach płynęła cicha gitarowa muzyka.

Po zakąsce, pijąc znakomite wino, raptownie zmieniłem temat rozmowy.

– Droga Floro, co pani wie o prezydencie Ramirezie?

Zdziwiła się.

– Dotychczas unikaliśmy mówienia o polityce, señor Medina. O prezydencie?

– Chodzi mi o to jakim jest człowiekiem? Można z nim prowadzić interesy? – przyszło mi do głowy, że przez dyplomatyczne znajomości Flory uda mi się ewentualnie dotrzeć w pobliże Ramireza.

– Chce pan handlować z samym prezydentem? Nie za wysoko pan mierzy, señor Medina? – zaczęła się przekomarzać.

– Lubię mierzyć wysoko – odpowiedziałem tym samym tonem, lecz z moich oczu wyczytała chyba, że nie odnosi się to tylko do prezydenta.

Uśmiechnęła się i wróciła do tematu:

– Wciąż jeszcze wiemy o nim tak mało... Ponieważ nowego prezydenta zaprzysiężono niedawno, zgodnie więc ze zwyczajem boliwaryjscy dyplomaci służący za granicą zostaną wezwani do kraju i będą przedstawieni prezydentowi. Gdy wezwą z Afryki mojego męża, to z pewnością i ja zostanę zaproszona

- Czy oni są wszędzie?...
- Takie już są dyktatury - pochwaliłem się swoją wiedzą historyczną, choć sytuacja nie bardzo temu sprzyjała. - W państwach o takiej strukturze posiadający władzę mogą się opierać tylko na dwóch rzeczach: na kłamstwie i strachu. Kłamstwo pojawia się w nadbudowie ideologicznej, która jest oparta na fałszywych podstawach. Ponieważ dyktatury pod względem gospodarczym zawsze osiągają gorsze wyniki niż systemy demokratyczne - zresztą inaczej nie może być - przy pomocy pewnych teorii próbują upiększyć swą żałosną sytuację. Starają się dowieść światu zewnętrznemu i swoim obywatelom, że są oni wolni i w gruncie rzeczy wspaniale żyją... Ponieważ efekty ich starań są na ogół dość wątpliwie, więc w stałym pogotowiu trzymają drugą broń: strach. Dyktatury tylko wtedy mogą przetrwać, jeżeli obywatele boją się grup posiadających władze. Grupa panująca - może nią być królewski dwór, klika czy jakiekolwiek inne ugrupowanie - już w pierwszej minucie po objęciu władzy zaczyna tworzyć organa przemocy. Jest to najlepszy dowód na to, że nie mają zamiaru - także w przyszłości! - kierować krajem zgodnie z zasadami demokratycznymi. Członkowie organów przemocy otrzymują różnego rodzaju ulgi i nagrody, a jednocześnie nigdy nie są pociągani do odpowiedzialności za swe nadużycia. W ten sposób zapewnia się panowanie jedynej woli jedynej tylko grupy. Wszystko inne jest temu podporządkowane. Zwolennicy władzy tworzą niezbyt liczny, lecz silny obóz. Jego siła to aparat policyjno-wojskowy, który jest uzupełniony siecią donosicieli stanowiących „system wczesnego ostrzegania". Donosiciele powodowani takimi czy innymi interesami składają raporty o wszystkim co dzieje się w ich otoczeniu i o czym zebrali informacje. Ponieważ są wszędzie - przywództwo kraju jest na bieżąco informowane tak o nastrojach społeczeństwa, jak i o czynach - a nawet o zamiarach - poszczególnych osób i grup... Rzecz jasna obywatele wiedzą o istnieniu sieci donosicieli - oto korzyść jaką czerpie grupa panująca z tego „negatywnego sprzężenia zwrotnego" - i ogarnia ich strach. Tak więc grupa panująca może z łatwością ich podzielić i sprawować nad nimi władze... Takim donosicielem był też urzędnik biura podróży, z którym rozmawialiśmy.
- W związku z tym przypomina mi się - przerwał Barax - że jesteśmy w niebezpieczeństwie.
- Najpierw załatw sprawę samochodu - rozkazałem. Mój towarzysz odwrócił się w fotelu i uniósł rękę. Starałem się go zasłonić przed wzrokiem pozostałych pasażerów, którzy i tak nie zwracali na nas uwagi obserwując miasto. Agenci siedzieli tyłem do nas, jako że zajęliśmy miejsca w ostatnim rzędzie. Nikt nie zauważył małej dziurki, która powstała w tylnej szybie...

Jadący za nami samochód gwałtownie zwolnił, spod przykrywy silnika wydobył się czarny dym. Jechaliśmy jedną z szerokich arterii śródmieścia. Zapaliło się zielone światło, samochód policjantów rozpłynął się w oddali.
- A co z tymi? - pokazałem siedzących przed nami mężczyzn. Autobus wjeżdżał właśnie na plac Zwycięstwa, kwiaciarze oferowali swój towar, Japończycy robili zdjęcia z okien autobusu. Było słoneczne, ciepłe popołudnie, niebo rozpinało się nad miastem niczym bladoniebieski klosz.
- Gaz - odpowiedział Barax beznamiętnie, to znaczy tak, jak zwykle. Nie sprzeciwiłem się - w tej sytuacji na pewno lepiej będzie uniknąć większej sensacji. Zastanowiło mnie także, czy o tej akcji wie pułkownik Negades. Pokiwałem głową:
- Rób swoje, Barax.

Z jednego z niezliczonych zakamarków swojego ciała wyjął chustkę przesyconą Flubestanem i podał mi. Przyłożyłem ją do nosa, zaś Barax kilkoma - wyglądającymi być może dziwnie - ruchami rozpylił w powietrzu bezwonny gaz usypiający. Oddychałem przez chustkę, chemiczna substancja zneutralizowała wpływ gazu. Siedzące obok nas dwie starsze Amerykanki oraz Japończyk od razu zasnęli, głowy opadły im na piersi. Znajdujący się w następnych rzędach również szybko zapadali w sen.

Wstaliśmy i podeszliśmy do kierowcy:
- Czy mógłby się pan tu zatrzymać, musimy wysiąść.
- Tak jest, proszę panów - grzecznie odrzekł kierowca.

Gdy zatrzasnęliśmy drzwi autobusu, wszyscy pasażerowie i kierowca byli już nieprzytomni.

*

- Na wszelki wypadek bądź jednak w pobliżu - powiedziałem do Baraxa za dziesięć ósma. Mój towarzysz z nieruchomą twarzą obserwował okolice.

nia zapłaciłem z góry za dwa tygodnie i dopiero później oświadczyłem, że nasze bagaże, w których były paszporty zaginęły w samolocie (o ile wiem dość często się to zdarzało w dwudziestym wieku).
- W ambasadzie przygotowują w tej chwili duplikaty - mówiłem. - Jest nadzieja, że w ciągu paru dni będą gotowe i wtedy będziemy mogli załatwić formalności.

Pomimo naszego dość niechlujnego wyglądu moja przemowa, akcent, a przede wszystkim pieniądze, wywarły na właścicielu domu odpowiednie wrażenie. Zgodził się na wszystko i odszedł. Miałem więc nadzieję, że znaleźliśmy kryjówkę - przynajmniej na kilka pierwszych dni.

Gdy rano obudziłem się, Barax stał koło mojego łóżka.
- Obudziłeś się? - zażartowałem.
- Umyj się i weźmy się do roboty - rzekł ponuro.
- Nie zaszkodziłoby coś przełknąć - zaryzykowałem stwierdzenie. Wiedziałem, że aluzje do jedzenia często wyprowadzają go z równowagi.
- Musimy przygotować operację, Roy - powiedział z wyrzutem.
- W porządku, Barax. Już idę, wyjmij tymczasem mapę.

Przejrzeliśmy także gazetę z poprzedniego dnia. Znalazłem w niej przydatną informację: dziś o godzinie 14.30 prezydent odwiedzi parlament i wygłosi przed posłami przemówienie.
- Zobaczymy, gdzie jest ten parlament.
- Trzeba wypożyczyć samochód - odpowiedział Barax, na pozór bez związku. Lecz i tym razem, jak zwykle, rozumieliśmy się.
- Kupimy także ubranie - kontynuowałem.
- Mamy mało czasu - stwierdził.
- Później zwiększymy tempo działania - odpowiedziałem z pozorną beztroską. Jednakże myśli w mojej głowie pędziły jedna za drugą. Rzecz jasna, dzięki moim studiom historycznym wiedziałem, że głowy państw były na ogół pilnie strzeżone i osoby postronne miały do nich dostęp jedynie w bardzo rzadkich wypadkach. Lecz jednocześnie przypomniałem sobie, że dokonywano też przeciwko nim zamachów i to dość często, a co więcej - z powodzeniem. Opis takiego wydarzenia znajdował się nawet w jednym z materiałów informacyjnych, które przeglądałem przed wyruszeniem. Źródło to podawało, że w latach 90-ych w Boliwar miał miejsce zamach, lecz nazwisko prezydenta, który padł ofiarą zostało pominięte. Tak więc cokolwiek byśmy planowali, sprawa nie była beznadziejna. Mamy szansę, by dostać w swe ręce pana Ramireza...

Po śniadaniu kupiliśmy nowe garnitury. Ze mną nie było problemu, mam typową sylwetkę. Jednakże Barax swymi niezwykle szerokimi barami wzbudził niemałą sensację, sprzedawcy obserwowali go z podejrzliwym zainteresowaniem. W zasłoniętej kotarą kabinie przebraliśmy się od stóp do głów i po zapłaceniu wyszliśmy na ulicę.

Kupiłem kilka gazet. Usiedliśmy w parku. Obok fontanny dzieci grały w piłkę. Słońce prażyło niemiłosiernie, powietrze zaczęło przypominać gorącą watę. Oblepiło moje płuca i skórę. Barax oczywiście był jak zwykle świeży i rześki. Gotowy do działania.
- Musimy porwać Kilyosa - oświadczył zdecydowanie. Mogliśmy spokojnie rozmawiać: w pobliżu naszej ocienionej ławki rzadko ktoś przechodził, a nawet jeżeli się trafiło kilku spacerowiczów, to i tak nie mogli zrozumieć naszego języka. Wszak w roku 1992 jeszcze nie istniał... Zdemaskować nas mógł tylko jeden człowiek - Lipp Kilyos. Niewielkie jednak było prawdopodobieństwo, że Ramirez-Kilyos będzie spacerował po parku niczym Harum al-Raszyd.
- No to wejdźmy i zabierzmy go - powiedziałem z przekąsem.
- Skąd? - zapytał natychmiast. Myślał bardzo logicznie.
- Prezydenci mieszkali na ogół w dobrze strzeżonych pałacach. Mnie z pewnością by zastrzelono, a w pojedynkę nawet ty chyba nie potrafiłbyś wykonać zadania.
- Może nie, a może tak - powiedział Barax. W swoich reakcjach niejednokrotnie upodabniał się do mnie. Przejął pewne moje cechy w ciągu ostatnich lat, gdy razem przemierzaliśmy Układ Słoneczny i ziemskie epoki.
- Tę wersję odrzucimy - powiedziałem zdecydowanie. - Musimy wkroczyć do akcji, gdy facet opuści

pałac. Wtedy mniej będzie wokół niego strażników i nasze szanse szybkiego, lecz skutecznego ataku zwiększą się.

– Dziś jedzie do parlamentu – przypomniał Barax.

– Tak, ale jeszcze nie znamy terenu. Najpierw opracujemy dobry plan, wszystko sprawdzimy, a później wybierzemy najlepszy termin i miejsce.

– Przydałby się ktoś, kto zna lepiej miejscowe stosunki. Jakiś tubylec.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ja nie potrafię się właściwie orientować?... – zezłościłem się. Jednakże Barax nie odpowiedział. W takich momentach zawsze zachowywał dyplomatyczne milczenie, jak gdyby przeczuwał nadciągającą burzę. I rzeczywiście ją przeczuwał – cała ta cholerna aparatura, którą nosił, ostrzegała go przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Barax był moim towarzyszem i podporą, lecz jego ironiczne uwagi znosiłem z trudem. Nieco dziwne było, że to właśnie z jego ust padło...

– Nic nie mówię. Myślę.

– Myślisz?... Ty?... – teraz ja kpiłem.

– Ja też mam mózg – odciął się Barax – i to nie byle jaki.

Miał rację, jego możliwości rozpoznawania i analizowania sytuacji znacznie przekraczały przeciętny poziom. Jednakże w tej chwili dysponowaliśmy zbyt małą ilością danych, by opracować konkretny plan. Dlatego też odnalazłem na mapie kościół Nuestra Señora.

– Zbliża się południe, chodźmy – wstałem.

– Dokąd?

– Zapomniałeś o Lorenzo?

– Ja nigdy o niczym nie zapominam – mruknął Barax.

*

Szybko odnaleźliśmy kościół. Wznosił się na skraju dużego placu, był piękny. Oglądałem go przez minutę – nie pasował do tej epoki, każda jego cegła reprezentowała architekturę przeszłości. Kamienie, okna zwieńczone szpiczastymi łukami, rzeźbiony portal. Do wejścia prowadziły długie, szerokie schody. Domyślałem się, że w środku jest bogato zdobiony. Dym świec, kadzidło, zapach starych ram obrazów i drewnianych ławek... W trzydziestym pierwszym wieku po tych przedmiotach nie pozostał już nawet ślad, nie mówiąc o tego rodzaju sakralnych instytucjach i budowlach. Ostatnie kościoły wybudowano na ziemi w XXII wieku, kiedy to przez jakiś czas wydawało się, że rozpowszechni się kult Kosmosa. Jednakże później szybko zanikli także kosmiczni wierni...

– Zaczekam na ciebie na zewnątrz – powiedział Barax.

Wiedziałem, że nie mówi tego przez delikatność, a po prostu kieruje nim rozwaga. Tak należało się zachowywać w przypadku spotkań o niewiadomym rezultacie w nieznanym miejscu. Spokojnie wszedłem przez drzwi – wiedziałem, że na Baraxa mogę liczyć w każdej sytuacji. Dla niego istniał tylko jeden problem, jeden program działania: chronić inspektora Medinę, swego dowódcę.

Wewnątrz kościoła panował mrok i cisza. O tej porze niewielu było tu ludzi. Moje kroki rozbrzmiewały echem na kamiennych płytach. Przez kolorowe szybki wąskich, wysokich okien, na kamienną posadzkę padały różnobarwne plamy światła.

Zza jednej z kolumn wyłonił się cień. Moje oczy przywykły już do półmroku i rozpoznałem nieco rozczochraną brodę. Podszedłem.

– Witaj, nieznajomy – powiedział Lorenzo. Zorientowałem się, że nie zna mojego imienia. Wyglądał na nieco zdenerwowanego, czułem promieniujący od niego niepokój. – Gdzie jest twój towarzysz?

– W pobliżu. Co robisz, gdzie się schowałeś?

– U przyjaciół. – Powiedział jedynie tyle, więc go nie naciskałem. Usiedliśmy na wąskiej, niewygodnej ławce i rozmawialiśmy szeptem.

– Wczoraj zawiadomiłem Estrellę i dziś rano przyjechała do mnie – oświadczył Lorenzo z uśmiechem. Nie wiem dlaczego, ale jego brodata twarz bardzo w tej chwili przypominała oblicze mężczyzny przedstawionego na jednym ze świętych malowideł. Tego, którego niezliczone dawne źródła nazywają Chrystusem. – Powiedziała mi, że pokazywaliście zdjęcie prezydenta Ramireza... Jesteście nienormalni!



- Głupota - machnął ręką. Znowu się zdziwiłem, że jego reakcje są tak naturalne. A on ciągnął dalej.

- Ty też wiesz, Roy, że ja nie mogę być ani pesymistą, ani optymistą. Po prostu miałem takie uczucie...

- Miałeś uczucie! - zakpiłem. W tym jednak momencie uśmiech na mojej twarzy gwałtownie zamarł. Szliśmy właśnie chodnikiem przed dużym domem towarowym. Stał tam jakiś fotograf i kierował w naszą stronę aparat. Pstryk - i obaj z Baraxem znaleźliśmy się na celuloidowej płytce.

- Zdjęcie - szepnąłem Baraxowi. Od razu wiedział co należy zrobić.

Nie dostrzegłem tryskającego promienia. Podobne do rentgenowskiego, lecz jednak inne promieniowanie zniszczyło film.

Uliczny fotograf nie wiedząc o tym, uśmiechając się podszedł do nas:

- Panowie, może fotografię, tanio sprzedaję.

- Dziękujemy, nie trzeba - i szybko odeszliśmy.

*

Godzinę później byliśmy w biurze turystyki. Wsiedliśmy do stojącego obok autobusu. W środku siedzieli już objuczeni kamerami Japończycy, Niemki w okularach, szczebioczący amerykańscy turyści, dwóch niezmiernie eleganckich Murzynów i kilku mężczyzn, najwyraźniej tutejszych. Facet o przebiegłym spojrzeniu pojawił się tylko na chwilę. Popatrzył po podróżnych, jego spojrzenie zatrzymało się na nas, później wysiadł. Kierowca zamknął drzwi i ruszyliśmy.

- Podejrzana sprawa - powiedział Barax, gdy po przejechaniu ruchliwych ulic dotarliśmy na plac przed pałacem. - Razem z nami jest dwudziestu sześciu pasażerów.

Wiedziałem, co ma na myśli:

- Ten śniady facet powiedział, że do pałacu może wejść dwadzieścia osób. Może kłamał, żeby wyłudzić pieniądze.

- I tą samą bajeczką uraczył jeszcze czterech cudzoziemców - skinął głową mój towarzysz.

Patrzyłem na ulice. W chwilę potem przystanęliśmy przed kutą z żelaza bramą pałacu prezydenckiego. Uzbrojeni strażnicy obserwowali nas z pewnym znudzeniem.

Niebawem znaleźliśmy się w pięknym parku. Autobus zatrzymał się przed wielkim drzewem. Czekała na nas młoda kobieta w okularach, przewodniczka.

Cztery skrzydła centralnego budynku otaczały małe podwórko, na którym rosło kilka drzew. Przewodniczka pokazała nam tylko dwa dolne piętra. W przestronnych, wysokich korytarzach ściany ozdabiały ręcznie malowane portrety dawnych prezydentów. Z wyjaśnień przewodniczki wynikało, że niekiedy organizuje się tu również przyjęcia dyplomatyczne. W jednym z narożnych pokoi - oświadczyła młoda kobieta - każdy kolejny prezydent odbiera od ambasadorów listy uwierzytelniające. Interesowało mnie gdzie znajdują się gabinet i sypialnia prezydenta... Nie należało jednak zanadto zwracać na siebie uwagi grupy, znaleźli się inni, którzy o to zapytali. Ciekawiło to zwłaszcza miejscowych. Przewodniczka z pewnym przejęciem odpowiedziała, że w ciągu dnia prezydent przebywa najczęściej na trzecim piętrze południowego skrzydła. Tam też naradza się ze swymi ministrami. Noce natomiast spędza w dobrze strzeżonym pomieszczeniu - nie potrafiła dać jednak odpowiedzi, gdzie się ono dokładnie znajduje.

Szliśmy dalej. Pozostałe części budynku nie zawierały już niespodzianek i nie zainteresowały nas. Barax zanotował w swoim mózgu obraz pokoi, schodów, wysokość pięter, wzajemną odległość okien i drzwi. Wiedziałem, że w dowolnej chwili może odtworzyć plan ogromnego budynku. Jeżeli nie uda nam się „schwytać" prezydenta Ramireza gdzieś poza pałacem, z pewnością będziemy zmuszeni przyjść po niego tutaj.

Spacer nie trwał nawet godziny, kobieta w okularach odprowadziła nas z powrotem do stojącego w parku autobusu. „Zanotuj też, gdzie biegną przewody elektryczne!" - poleciłem Baraxowi. Wsiedliśmy do pojazdu. Uwagę moją zwrócił fakt, że kilku silnych mężczyzn cały czas idzie za nami. Usiedli na fotelach przed nami. Barax siedział nieruchomo. Autobus wytoczył się przed bramę i ruszył w stronę muzeum. Obejrzałem się do tyłu: naszym śladem jechał czarny samochód.

- Widzisz? - zapytałem w naszym języku.

- Skądże znowu - zapewniłem go pospiesznie. - Tylko przyjechaliśmy z zagranicy ze specjalnym zadaniem. Musimy aresztować prezydenta Ramireza.

Lorenzo szeroko otworzył oczy:

- Aresztować Ramireza?... Wy jednak jesteście stuknięci.

Nie rozumiałem słowa „stuknięty", lecz ton głosu Lorenza nie pozostawiał wątpliwości, co młody człowiek o nas myśli.

- Szybko zapomniałeś, w jaki sposób wczoraj uwolniliśmy się z więźniarki - przypomniałem mu. Zaczął się przede mną zarysowywać śmiały, zakrojony na dużą skalę plan. - Barax, mój towarzysz, potrafi robić takie rzeczy, w obliczu których tutejsza policja będzie bezradna.

- To prawda. Sam widziałem. Nie wiem, jak on to zrobił, ale te triki były pierwszorzędne...

„I nigdy nie poznasz ich wyjaśnienia", pomyślałem. Nie mogliśmy popełnić następnego złamania czasu, żyjący tu ludzie nie mogli się dowiedzieć, jak duże są nasze możliwości. Wystarczyło już to, co zrobił dotychczas Kilyos. I to, co zrobi w następnych dniach. Niejasno się domyślałem, że od chwili, gdy Kilyos stał się głową państwa, jego wpływ może okazać się niebezpieczny. Boliwaria jest, co prawda, małym krajem, ale...

Gdybym tylko mógł wiedzieć, co planuje ten stuknięty podróżnik w czasie. Z pewnością bowiem wykombinował (to też jeden z ówczesnych zwrotów językowych) coś chytrego. Albo odkryjemy jego plan, albo nie - lecz jeśli wszystko pójdzie gładko, zabierzemy go stąd, zanim zrealizuje swe tragiczne w skutkach projekty. W XXXI wieku będzie mógł opowiedzieć, co uknuł - relację tę wygłosi przed specjalnym sądem...

Na razie jednak wszystko to było odległe, niepewne, mgliste.

- Czego wy właściwie chcecie? - zapytałem.

- My?...

- Front.

Lorenzo niespokojnie rozejrzał się:

- Pst!... Nie tak głośno. Nawet ściany mają uszy...

Ucieszyłem się. Szef będzie zadowolony, kiedy przekażę mu to nowe powiedzonko. Tak, nawet ściany... mają... uszy... Delektowałem się tym zdaniem i niemal widziałem ścianę naszpikowaną mikroskopijnymi urządzeniami podsłuchowymi...

- Niebawem wybuchnie rewolucja - szepnął Lorenzo z gorączkowym ożywieniem. - Ludzie nie są już w stanie dłużej tego wytrzymać. Partyzanci są nawet w Boliwar. Władza oczywiście się boi...

Obawiałem się, nie bez podstaw, że Lorenzo znowu wygłosi wykład polityczny. Szybko wtrąciłem.:

- Jak Ramirez doszedł do władzy? Kim jest właściwie ten człowiek?

- Mało o nim wiemy. Gallego Ramirez był cukiernikiem w podmiejskiej dzielnicy.

- To znaczy, że... od dawna go tu znano?

- Oczywiście, przecież mieszka w Boliwar od czterdziestu lat.

Słuchałem go jak skamieniały. Czyżbyśmy się jednak pomylili? Czyżby Kilyos i Ramirez nie byli tą samą osobą? Lorenzo mówił dalej:

- Jedni mówią, że nigdy nie zajmował się polityką, inni przysięgają, że już od lat po cichu przygotowywał dla siebie grunt. Powiadają też, że wszystkie pieniądze poświęcił na przekupienie urzędników państwowych. A ostatnio jakby oszalał. Wygłaszał improwizowane mowy do swoich klientów, wiesz, miał własny sklep. Zwrócił nawet na siebie uwagę tajnej policji. Kilka razy zagrozili mu, że jeżeli nie przestanie agitować, to go zamkną. Ale i to nie poskutkowało. Kiedy policjanci przyszli tam, by go aresztować, przeciągnął ich na swoją stronę. W krótkim czasie odniósł poważne sukcesy. Przyłączało się do niego coraz więcej urzędników, policjantów, oficerów wojska. Wtedy już i rząd zaczął się niepokoić, lecz zanim się zdążyli poruszyć, Ramirez wykonał ostateczne posunięcie: na czele trzystu żołnierzy oraz policjantów zajął parlament i wezwał obradujących posłów, by udzielili dymisji dotychczasowemu prezydentowi i mianowali na to miejsce jego. Przejął władzę bez przelania jednej kropli krwi.

- Kimże więc jest ten cukiernik? Prorokiem, złotoustym trybunem ludowym, czarodziejem? - zapytałem nieco bezradny.

– Moim zdaniem żadnym z nich – odpowiedział Lorenzo. – Słuchałem przez radio jego „mowy tronowej". Nie powiedział nic ciekawego ani nowego ponad to, co zwykli mówić w takich wypadkach dyktatorzy. Że trzeba obalić dawny, zbrodniczy system, wypędzić skorumpowanych urzędników, zmniejszyć podatki i przywrócić demokrację...

– Chwileczkę, Lorenzo. Słyszałeś jego przemówienie... Czy Ramirez nie ma dziwnego akcentu? Nie mówi waszym językiem tak, jak cudzoziemcy?... Jak ja?

– Nie – zdecydowanie potrząsnął głową. – Mówi tak jak my. A zresztą jak miałby mówić. Wiele osób znało go od dziesiątków lat, głównie w dzielnicy Agrotà. To on, nie ma żadnych wątpliwości. Niski cukiernik w wieku około pięćdziesięciu lat, u którego miejscowi kupowali dawniej torty i lody...

– Ale co mu się stało, dlaczego zmienił się w polityka?

– Przedwczoraj w oświadczeniu transmitowanym przez telewizję powiedział, że odkrył sposób uczynienia z Boliwarii najbogatszego i najpotężniejszego państwa świata...

Informacje nie pasowały do siebie; wyglądało to tak jakbym próbował kręcić dwoma różnymi kółkami zębatymi. Przerwałem rozmyślania, jako że ważniejsze było w tej chwili zdobycie kilku danych:

– Lorenzo, gdzie mogę cię znaleźć?

– Wiesz, nie chcę zdradzać adresu...

– Rozumiem cię, ale możliwe, że będziemy się wzajemnie potrzebować. Powiedz przynajmniej, gdzie mogę zostawić dla ciebie wiadomość.

Po chwili wahania zdecydował się:

– W porcie rzecznym jest „Karczma pod marynarzem". Bufetowym jest wysoki, łysy facet. On przekaże wiadomość. – Lorenzo ponownie rozejrzał się i wstał. Nie zatrzymywałem go. Spacerowałem jeszcze parę minut po kościele i dopiero potem wyszedłem na skąpany oślepiającym blaskiem plac, gdzie oczekiwał mnie wierny Barax.

Po obiedzie chciałem wynająć w jednej z dużych wypożyczalni samochód, lecz okazało się, że także i to jest niemożliwe bez dokumentów. W okolicy kręcił się niski mężczyzna o nieprzyjemnej twarzy; gdy – nie załatwiwszy swej sprawy – wyszedłem, zbliżył się do mnie i poinformował mnie, że jeżeli zwrócę się do jego „szwagra", to bez żadnych papierów będę mógł dostać prawie nieużywany samochód. W zamian za banknot o znacznej wartości zdradził mi adres tego szwagra. Zatrzymaliśmy taksówkę. Szwagier okazał się mrukliwym osobnikiem o jeszcze mniej sympatycznym wyglądzie. Za jego małym podmiejskim domem krył się znakomicie funkcjonujący punkt handlu samochodami. Mogłem wybrać wóz dowolnego typu i rozmiaru – w dodatku niektóre z nich wyglądały na całkiem nowe. Nie miałem wątpliwości, że wszystkie pochodziły z kradzieży, zwłaszcza że pomocnik na moich oczach przyczepił do wybranego przeze mnie samochodu tablice rejestracyjne. Pouczył mnie, że jeżeli zatrzyma mnie policja, mam powiedzieć, że samochód wypożyczyłem w którymś z sąsiednich krajów. Wcisnął do kieszeni pieniądze i skinął mi dłonią na pożegnanie.

*

Wcześniej już w książce telefonicznej znalazłem adres cukiernika. Mieszkał przy ulicy Królowej, w domu pod numerem 88 – zanim stał się prezydentem...

Po upływie pół godziny zatrzymałem samochód w dzielnicy Agrota.

– Pójdę przodem, ty powoli ruszaj za mną.

– I tak nie puściłbym cię samego – mruknął Barax i wygramolił się z samochodu.

Wszedłem w bramę. Jakiś spłoszony kot uciekł przede mną, z okna piwnicy biło stęchłe powietrze. Klatka schodowa robiła wrażenie zniszczonej, zaniedbanej, moje kroki rozbrzmiewały echem. Na staroświeckiej tablicy widniała lista lokatorów z naderwanym rogiem. Obok słów „Ramirez cukiernik" widniała cyfra 2.

Na drugim piętrze panowała głucha cisza. Na ciemnobrunatnych, podwójnych drewnianych drzwiach wisiała mosiężna tabliczka z nazwiskiem Gallego Ramirez. Zapukałem. Spoza drzwi nie doszedł mnie żaden szmer. Nacisnąłem klamkę, drzwi były otwarte. Po krótkim wahaniu wszedłem do środka. Poczułem promieniowanie złej woli, lecz nikogo nie widziałem, bo w przedpokoju czy korytarzu było ciemno.

– Teraz wymyślisz jakiś pretekst – zawyrokował posępnie.

– Ten dom jest położony we wspaniałym miejscu. Będziemy go potrzebować. Ale w tym celu musimy się najpierw wkraść w łaski gospodyni.

– Tobie się to niewątpliwie uda. Jesteś na najlepszej drodze do celu – zauważył zgryźliwie. Musiałem przyznać, że w trakcie naszych wypraw w przeszłość Barax bardzo ładnie się rozwinął. Przynajmniej w niektórych dziedzinach. Jednakże nie poprzestałem na tym:

– Pomyśl tylko, ty wyjątkowy egzemplarzu! Jeżeli uda się nam porwać Kilyosa, to gdzie będziemy go trzymać? Może tu, w tym nieszczęsnym domu w śródmieściu? Do tego celu potrzebna jest podmiejska willa z ogrodem.

– Wiedziałem, że wymyślisz jakiś dobry pretekst – mruknął z niezadowoleniem.

*

Tego dnia wieczorem znowu połączyłem się z szefem. Gdy wspomniałem o Florze i jej idealnym domu, musiał wyczuć co się za tym kryje. Poprosił o dokładne dane Flory. Interesowało go też, kto jest jej mężem. W sprawie z Negadesem dał swe błogosławieństwo, lecz nakazał ostrożność.

*

Następnego dnia wyszliśmy na miasto dopiero w południe. Właściwie nie mieliśmy nic specjalnie do roboty, ale staraliśmy się zebrać jak najwięcej informacji. Przed biurem podróży zauważyłem plakat: pod dużym zdjęciem prezydenckiego pałacu ogłaszano, że codziennie są organizowane wycieczki do tego słynnego budynku, jak również do parlamentu i dawnego pałacu wicekróla, gdzie teraz mieści się muzeum. Natychmiast skręciliśmy i weszliśmy do chłodnego, klimatyzowanego pomieszczenia, w którym znajdowała się garstka chętnych. Za pulpitem stał śniadowłosy mężczyzna o przebiegłym spojrzeniu.

– Señores?...

– Chcieliśmy obejrzeć pałac prezydencki.

– Żałuję, señores. Możemy wysłać tylko jedną dwudziestoosobową grupę dziennie. Miejsca na dziś są zajęte.

– Cieszylibyśmy się, gdyby dzisiejsza grupa składała się wyjątkowo z dwudziestu dwóch osób. Bylibyśmy za to bardzo wdzięczni... – wyjąłem gruby plik banknotów. Mężczyzna jak zaczarowany wpatrywał się w pieniądze.

– Zobaczę, czy uda się coś dla panów zrobić – powiedział wyjmując gruby zeszyt. Udawał, że sprawdza listę, lecz czułem, że widok pieniędzy załatwił już sprawę.

– Być może uda się panów umieścić w grupie – powiedział wreszcie mężczyzna. – Autobus wyrusza sprzed biura za godzinę.

Położyłem przed nim kilka banknotów. Błyszczącymi oczami patrzył na nie nakrywając je jednocześnie ręką, po czym znów chytrze na nas spojrzał.

– Proszę panów, ze względów bezpieczeństwa musimy notować dane personalne turystów odwiedzających pałac prezydencki. Prosiłbym o paszporty...

Pochylając się bliżej, głęboko spojrzałem w jego czarne oczy i powoli, wyraźnie wycedziłem.

– Tu są nasze paszporty. Widzi pan? – pokazałem kolejny plik banknotów.

Roześmiał się.

– No dobrze – powiedział i schował pieniądze.

– A więc za godzinę przed biurem – pożegnałem się z nim uprzejmie. Barax kiwnął jedynie głową ale gdy znowu szliśmy chodnikiem, stwierdził.

– Nie podoba mi się ten facet. Coś niedobrego chodzi mu po głowie.

– Cieszę się, że i ty już używasz dawnych zwrotów.

– Nie żartuj. Czuję, że będą kłopoty.

– Dawniej takich jak ty nazywano pesymistami – zaoponowałem. Ja od urodzenia jestem optymistą. Wszyscy w GALPOL-u o tym wiedzą. Nawet Barax.


OCZYWIŚ-CIE, ŻE TAK. WSPOMNIAŁEM O TYM URZĘDNI-KOWI W POSEL-STWIE... CZEMU KRĘCISZ?
NAGLE!
!
?
NAWA-RZYŁEŚ PI-WA, TERAZ NAS BROŃ SKORO MASZ TAKĄ MOC!
!
BRENDA, TRZYMAJ GO TAK! SKON-TRUJĘ ICH Z ZEGARKA!
FUNKY, NIE TRZEBA. AUTOMAT GO ZAŁATWI...
...ALE I TAK JEST ZA PÓŹNO. NIC SIĘ NIE DA ZRO-BIĆ... ODWOŁUJĘ WSZYSTKO, CO CI POWIEDZIAŁEM. ODEŚLĘ WAS Z POWROTEM.
O CZYM TY MÓWISZ, DRI...?! DROLLU?
A JEŚLI? NIEMOŻLIWE... PRZECIEŻ GO POZNAJĘ! CHYBA...
TAM! EFEKT PANKRATZA! KTOŚ JESZ-CZE PRZY-LECIAŁ!
?
NIE TRA-CAJ MNIE, NIE POGANIAJ! TAK NIGDY NIE TRAFIĘ!
PATRZ RHOTAX! VISA-VIÑEGO Z DWOMA DROL-LAMI!... TO JE-GO ŚWIETLI-STOŚĆ!
TYMCZASEM W STEROWNI DOWO-DZENIA OPERA-CYJNEGO NA PLANECIE XA'GHU.
NIEDO-BRZE, JEDEN YARPS UWIĘZIŁ DRUGIEGO! TO WBREW WIEL-KIEJ ZASA-DZIE!
CICHO, JUŻ SĄ... WSZYSTKO PRZYGOTOWANE, YARPS LAAR UT-TANN!

DEMONSTRACJA MOCY




ZNOWU ?
UFFF, NARESZCIE !
YARPS LAAR' ZDECYDOWAŁ SIĘ JEDNAK ODSŁONIĆ WASZĄ POTĘGĘ !
PRZYPATRZCIE SIĘ, NIE MACIE ŻADNYCH SZANS! MUSICIE OPOWIEDZIEĆ, CO TU ZOBACZYLIŚCIE. ZARAZ WAS TELEPORTUJĘ...
NIESAMOWITE! CAŁA PLANETA TO JEDNA GIGANTYCZNA TWIERDZA !
...ALE PRZEDTEM PODAM WAM NASZE WARUNKI.
WARUNKI ?! PODSZYWASZ SIĘ POD DRITTA!... PODAJ NASZE STARE HASŁO Z DB4 RAZEM Z KONTEKSTEM! SZYBKO!
OCH, FUNKY! ŚMIESZNY JESTEŚ. W TAKIEJ CHWILI ?... NO... NIE PAMIĘTAM ?...
CO?! ZNOWU ŁŻESZ, KRĘTACZU! SPÓJRZ MI W OCZY !
...OCZY ?... – OCZY ?!! CO ONI UKRYWAJĄ POD TYMI GOGLAMI ?!


ZOSTAW! PUŚĆ MNIE, BO ZGINIESZ, KOVAL!
PRZYTRZYMAM GO, FUNKY!
SPOKOJNIE, KANALIO!
?
NIC Z TEGO??? YARPS DRITT ADR-ATTA MIAŁ RACJĘ. W NICH JEST ZA MAŁO ZŁA, KTÓRE MÓGŁBYM WZMOCNIĆ I OBRÓCIĆ PRZECIW NIM...
?! ...ZOBACZ, BRENDA!
TO TEŻ BYŁ KAMUFLAŻ!
NIE, DROLLU. NAJPIERW POWIESZ, A JA SIĘ ZASTANOWIĘ.
?
PORWALIŚCIE DRITTA! GDZIE ON JEST? MÓW, KARALUCHU...
JA NIE CHCIAŁEM! ZMUSILI MNIE! PROSZĘ ODDAĆ GOGLE, TO WSZYSTKO POWIEM.
© PAROWSKI, RODEK & POLCH '86

Nie zważał na naszą rozmowę, choć czuł, że pomiędzy Florą a mną coś się dzieje. Że rodzi się między nami jakieś niewypowiedziane napięcie...

- Transakcje handlowe? Dość dobrze. Dziś przeprowadziłem dwie dobrze zapowiadające się rozmowy - odrzekłem i sądzę, że nie skłamałem.

- A jak długo zostaniecie panowie w Boliwarii?

- Jeszcze nie wiemy - potem i ja okazałem zainteresowanie:

- Przepraszam panią za niedyskrecję... A pani mąż?

Flora uśmiechnęła się. Był to uśmiech dojrzałej kobiety, która szybko przejrzała moją grę. Wiedziała, że mi się podoba - nie kryłem tego. To była podstawa naszej znajomości, wszystko inne opierało się na tym. Fałszywa konwencja grzeczności, zwyczajów, umowności, pajęczyna słów i gestów. Stara, podniecająca, piękna gra.

- Mój mąż jest dyplomatą. Teraz pracuje jako ambasador, w którymś z tych małych, afrykańskich krajów... Ale niech pan mnie nie pyta, gdzie. Nigdy tego nie potrafię zapamiętać, Rwana, Malawi czy coś takiego...

Była wspaniała. Jak niegdyś mawiano: urocza. Podobała mi się coraz bardziej. Spojrzeliśmy na siebie, tym razem już nie przypadkowo. Z moich oczu mogła wyczytać, czego pragnę. Ja zaś ujrzałem w jej spojrzeniu, że... i ona nie ma nic przeciwko temu.

- Podobno szukamy kryjówki, do diabła! - wściekał się za mną Barax, rzecz jasna w naszym języku. - A ty się zachowujesz jak jakiś Casanova!

Słysząc to zapomniałem nawet o Florze.

- Coś powiedział? Casanova? Skąd znasz to imię?

- Ja też mam trochę ogólnego wykształcenia - odpowiedział obrażonym tonem. - Sądzisz, że swego czasu tylko w ciebie zaprogramowano tyle informacji?

- Można by dyskutować, w kogo zaprogramowano, a kto się nauczył z własnej woli - zdenerwowałem się. Flora uśmiechając się czekała. Twarz jej oświetlało słońce, jej skóra miała barwę mlecznej czekolady, którą kiedyś jadłem na początku dwudziestego wieku w Europie. Nie zwracała uwagi na Baraxa, choć domyślałem się, że wyczuwała jego niechęć do siebie. Z lekkim uśmiechem na ustach ruszyła dalej. W tym czasie kamerdyner nakrył na tarasie do podwieczorku. Wytłumaczyłem Baraxa bólem żołądka, więc poprosiliśmy tylko o dwa nakrycia. Flora jednak nalała mojemu towarzyszowi filiżankę kawy.

Rozmawialiśmy o przeróżnych rzeczach. Również i o tym, jak niedobre wynajęliśmy mieszkanie. Flora nieoczekiwanie powiedziała:

- Gdybyście mieli zamiar spotkać się z jakimś poważnym kontrahentem, nie zabierajcie go do restauracji. Mój dom jest do waszej dyspozycji, drogi panie Medina. Proszę tylko wcześniej zadzwonić. Oto numer telefonu: 516-82-84.

Spojrzałem na Baraxa, który zrozumiał ten znak. Numer wrył się w jego pamięć. Z tego punktu widzenia Barax był lepszy od notesu. Do danych, które w nim zakodowałem, miałem dostęp tylko ja sam, nikt inny. Nawet szef. Szczególna więź, która nas łączyła... no, dajmy teraz temu spokój.

- Skorzystam z pani wspaniałomyślnej propozycji - powiedziałem z wdzięcznością. - Możliwe, że już niebawem. Droga Floro, czy nie wybiera się pani przypadkiem jutro do śródmieścia?

Uśmiechnęła się przebiegle.

- Dlaczego pan pyta?... A gdybym przypadkiem się tam znalazła?

- Znam kogoś, kto by się ogromnie ucieszył, gdyby koło ósmej wieczorem przypadkiem zauważył panią, powiedzmy przed kawiarnią „Calvados".

- Ach, tak? - roześmiała się Flora. Była cudowna. Ale nie obiecała niczego.

★

Tego wieczoru Barax znowu chciał mi wygłosić umoralniający wykład, ale już po pierwszym zdaniu uciszyłem go. Fakt, że to właśnie on ma mi wygłaszać kazanie, wydawał mi się nie do zniesienia.

- Barax, co ci się stało? Czyżby ci szef kazał mnie pilnować? Nie przeczę, że podoba mi się ta kobieta, ale nie tylko o to chodzi.

Później wydarzenia potoczyły się błyskawicznie...

Ktoś za moimi plecami zatrzasnął drzwi, przed moją twarzą błysnęło ostre, oślepiające, niebieskawe światło. Lampa błyskowa aparatu fotograficznego. Jednocześnie poczułem, że silne ręce chwytają mnie za ramiona. Próbowałem się uwolnić, lecz wtedy ktoś uderzył mnie z tyłu w potylicę, opadłem bezwładnie, ale nie straciłem przytomności.

„Barax, pomóż" - krzyknąłem nieomal.

Raptownie zapaliły się światła. To, co wziąłem za przedpokój, było obszernym pomieszczeniem. Zapewne to dawniej nazywano właśnie „holem". Pod ścianami stało kilka szaf, niski stolik, rosnąca w drewnianej skrzyni palma.

Było tu sześciu mężczyzn. Dwóch mnie trzymało, jeden stał przy drzwiach, pozostali przyglądali mi się. Czarne oczy, śniade twarze. Okrutne uśmiechy. Miałem uczucie, że to policjanci, tyle że akurat w tej chwili mają na sobie cywilne ubrania.

- Wpadliśmy w pułapkę?... - zapytał ten, który trzymał aparat fotograficzny. - Gadaj, kim jesteś i kto cię tu przysłał!

Nie miałem powodu, by milczeć. Zwłaszcza że Barax jeszcze tu nie dotarł. Musiałem mówić...

- To mieszkanie pana Ramireza, prawda?... Stąd rozpoczął swą pełną chwały drogę wielki prezydent narodu, Gallego Ramirez...

- Skończ te teksty, staruszku. Powiedz lepiej jak...

Nie mógł już dokończyć zdania, bo drzwi wyłamały się z potwornym trzaskiem, grzebiąc pod sobą stojącego na straży mężczyznę. Moi strażnicy w zaskoczeniu puścili mnie i odwrócili się. Obie ręce Baraxa uderzyły jednocześnie. Ofiary natychmiast opadły na podłogę. Zrozumiałem, że Barax zamiast użyć broni promienistej, gazowej czy laserowej znowu wybrał „rozgrzewkę" - jak sam to niejednokrotnie określał. Oczywiście, nikt nie jest doskonały, nawet Barax. Czasami jest już bardzo znudzony wszystkimi formami supernowoczesnej techniki, niemal nieograniczonymi możliwościami, jakie posiada i zamiast tego woli dawno sprawdzone, lecz prymitywne środki... Wszystko to jedynie błysnęło mi w głowie, nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo w tym momencie walczyłem już z ich dowódcą. Aparat fotograficzny upadł na podłogę. Mężczyzna próbował uderzyć mnie w szyję, lecz odparowałem cios i sam uderzyłem go w skroń. Kolejny przeciwnik wyciągnął pistolet. Udało mi się zasłonić ciałem fotografa - huknął strzał i moja ofiara dziwnie zwiotczała. Następnie Barax znalazł się w pobliżu strzelającego, chwycił go i po prostu rzucił nim o ścianę. Posypały się kawałki tynku i tanie obrazy; mężczyzna rozciągnął się na podłodze i już się nie poruszył.

Ostatni z nieznajomych próbował uciekać. Wyskoczył przez zrujnowane drzwi i rzucił się biegiem. Dopiero teraz zauważyłem, że mój towarzysz wyrwał drzwi razem z framugą. Na podłodze leżały cegły.

- Mam go złapać? - zapytał Barax spokojnie. Nie spieszył się. Ufał swoim niezwykłym możliwościom. Na rozkaz potrafił rozwijać szybkość przewyższającą ludzkie możliwości.

- Tak, ale nie przyprowadzaj go z powrotem. Ja też idę.

Barax zrozumiał o co mi chodzi. W chwili gdy rozpoczął pościg, uciekający mężczyzna dotarł już na sam dół klatki schodowej. Podniosłem aparat fotograficzny i pospiesznie opuściłem mieszkanie. Bolała mnie głowa, lecz cieszyłem się, że znowu udało mi się wyjść cało. Wyjąłem z aparatu film, schowałem go do kieszeni, a prymitywne urządzenie wrzuciłem do piwnicy przez cuchnące kotami okienko. Wyszedłem na ulicę.

Barax i nieznajomy mężczyzna stali przyciśnięci do siebie pod ścianą sąsiedniego domu. Z daleka wyglądało to tak, jakby obaj pochłonięci byli ożywioną rozmową, lecz wiedziałem, że tamten rozpaczliwie próbuje się oswobodzić ze stalowego uścisku mojego towarzysza.

- Nie... nie róbcie mi krzywdy... Ja nic nie zrobiłem... Puśćcie mnie, błagam.

- Zobaczymy - powiedziałem surowo. - Wsiadamy do samochodu.

Prowadziłem, Barax siedział z tyłu i mocno trzymał jeńca. Był to niski, chudy człowieczek. Szybko opuściliśmy tamtą okolicę i wyjechaliśmy na brzeg rzeki. Gdy zobaczyłem puste wybrzeże, przyszedł mi do głowy dobry pomysł. Zahamowałem, nie było tu nikogo. Wokół wznosiły się milczące budynki maga-

zynów. Po brudnoszarej wodzie rzeki płynęło kilka czarnych barek. Panował gorący zaduch. Czułem, jak po plecach spływają mi krople potu.

Barax przeszukał kieszenie faceta. Znalazł kajdanki, legitymację i trochę gotówki. W legitymacji nie było zdjęcia, zamiast tego na trójbarwnym, ukośnym pasku wydrukowano słowa: „Policja państwowa". Schwytany miał na imię Alberto.

- Karta się odwróciła, Alberto - powiedziałem, dumnie recytując nowo poznany zwrot językowy.
- Nic nie zrobiłem - zajęczał tamten w odpowiedzi.
- Opowiadaj, po co się czailiście w tamtym mieszkaniu!
- Po nic, po nic. My tylko czekaliśmy...

Nie musiałem dawać Baraxowi znaku. Jedną ręką chwycił mężczyznę za kolano.

- Nieee! - zawył tamten próbując się oswobodzić. Było to jednak niemożliwe.
- Nie denerwuj mojego przyjaciela. Nie zna się na żartach - upomniałem Alberta. - Powiedz na kogo czekaliście w mieszkaniu Ramireza.

Trupio blady tajniak zaczął mówić. Czasami przerywał, wtedy Barax podnosił jedynie rękę i Alberto szybko ciągnął dalej:

- Już od tygodnia mieszkaliśmy w byłym domu Ramireza i czekaliśmy. Wiedzieliśmy tylko, że ma się zjawić jakiś cudzoziemiec. A teraz przyszedł pan...
- Od kogo dostaliście rozkaz?
- Od szefa tajnej policji, pułkownika Negadesa.
- W porządku, Alberto. Zapamiętaj nazwisko - Medina.
- Zapamiętałem, Medina - powiedział przestraszony agent. - Ale kto to jest?
- To ja. Kiedy oprzytomniejesz, pójdź do pułkownika i przekaż mu moje pozdrowienia.

Dałem Baraxowi znak. Mój towarzysz delikatnie położył lewą rękę na głowie Alberta. Pod wpływem dawki promieniowania policjant bezwładnie rozciągnął się na siedzeniu.

- Wyrzuć go na jezdnię - włączyłem silnik.

Tego samego wieczora przy pomocy chronotelefonu nawiązałem łączność z szefem. Nie było to łatwe. Właśnie dlatego nie lubię używać tego aparatu i jeżeli tylko mogę, unikam tego. Wygląda jakby nie był wynalazkiem naszej nowoczesnej epoki: toporny, trudny w obsłudze i niepewny w działaniu. Upływa wiele czasu, zanim człowiek natrafi na odpowiednią długość fali elektromagnetycznej i pokona zakłócenia wynikające z różnicy czasu i zmienności ziemskiego pola magnetycznego. Kłopoty skończyły się w chwili, gdy udało mi się połączyć z centralną radiostacją GALPOL-u - tamci potrafili znaleźć szefa niezależnie od tego, gdzie w danej chwili przebywał.

- ...Roy?...
- Tak, proszę pana. Mamy kłopot. - Mogliśmy rozmawiać bardzo krótko, cieniutka linia, która łączyła nas biegnąc przez stulecia, mogła się w każdej chwili zerwać.
- Ramirez czy Kilyos? - zapytał. Ucieszyłem się - a więc i oni już wiedzą! Miałem nadzieję, że do tej pory wyśledzili wszystko, co mogli.
- Ramirez! - odpowiedziałem.
- Analizatory dopiero przed chwilą natrafiły na jego zdjęcie. Za krótko był prezydentem Boliwarii i dlatego zostało niewiele jego fotografii.
- A więc rzeczywiście istniał? Nie jest Kilyosem?
- Jeszcze nie wiemy. Jest bardzo prawdopodobne, że mają ze sobą wiele wspólnego, możliwe, że chodzi o jedną i tę samą osobę. Nie mamy dużo czasu inspektorze, spieszcie się, bo za parę dni nadciągnie Front!
- Wiem, Kilyos spodziewał się nas, zastawił pułapkę.
- Niech i pan się dostanie do aparatu państwowego, Roy. Majaczy mi w pamięci nazwisko. Pułkownik Negades... Dobrze pamiętam?
- Tak, proszę pana. Jest taki, dość wysoki rangą.
- Roy, podaję hasła: policja, Negades, pucz, władza tymczasowa.
- Niewątpliwie chodzi o niego.
- Mam nadzieję, Roy.

wiednią kryjówkę - ruszyłem przodem. Brama była otwarta. Dalej, na zadbanym trawniku, rosły ozdobne krzewy i drzewa. Pod jednym z większych drzew ustawiono białe ogrodowe krzesła.

Podczas gdy ja zachwycałem się ogrodem, Barax - to dla niego typowe! - odkrył pod trawą cienki kabel ukryty w plastykowej rurce. Biegł od bramy w stronę domu.

- Urządzenie sygnalizuje, że przeszliśmy przez bramę - powiedział. Z pewnością miał rację, bo kiedy dotarliśmy do piętrowego, białego domu, brązowe drewniane drzwi otworzyły się i pokazał się w nich mężczyzna w średnim wieku. Nie wyglądał jednak na właściciela domu.
- Panowie?...
- Buenos dias. Chcieliśmy się zobaczyć z panią Florencją Baderos.

Barax w milczeniu stał za mną i oglądał dom. Wiedziałem, że korzystając ze swych niezwykłych możliwości obserwuje, co się dzieje za ścianami. Mógł posługiwać się różnymi rodzajami promieniowania. Niezbyt grube, nowoczesne ściany nie stanowiły dla jego wzroku bariery. Trudności mogłyby mu sprawiać jedynie dawne, masywne ściany z kamienia lub mury z betonu o grubości przekraczającej jeden metr.

- Pani nie ma chwilowo w domu. Gdyby panowie zechcieli przyjść innym razem.
- Ona jest na piętrze, w rogu, w małym pomieszczeniu - powiedział Barax. Rzecz jasna w naszym języku, tak więc tylko ja mogłem go zrozumieć. Z najuprzejmiejszym uśmiechem, na jaki mnie było stać zwróciłem się do człowieka o pokrytej zmarszczkami twarzy.
- No, niech pan pobiegnie do narożnego pokoju i zakomunikuje pani Florze, że przyszedł Roy Medina. I niech pan doda, że tym razem przyszedłem bez kwiatów.

Mężczyzna szybko wycofał się, zaś my stojąc na niewielkim tarasie podziwialiśmy nadal ogród. Obok basenu czerwieniły się róże, wyłożone płaskimi kamieniami alejki wiły się pośród zielonego trawnika.

Otworzyły się drzwi i na progu zjawiła się Flora... Serce dziwnie mi zabiło. Nigdy jeszcze nie czułem czegoś takiego. Cieszyło mnie to nowe, nieznane uczucie - lecz jednocześnie trochę się go bałem.

- Witam panów - powiedziała miło.

Skłoniłem się w sposób podpatrzony na dawnych wideofilmach; kątem oka dostrzegłem, że Barax starannie powtórzył ten gest. Wspomniałem już, że bardzo łatwo się uczył...

- Kiedy przed kilkoma dniami rozstaliśmy się, powiedziałem pani, że się jeszcze spotkamy. I oto jesteśmy.
- A więc wytropiliście kim jestem i gdzie mieszkam! - roześmiała się Flora. - Przejdźmy się po ogrodzie. Panowie przecież zawodowo interesujecie się kwiatami.

Z jej tonu wyczułem, że nie bardzo wierzy w to, iż rzeczywiście jesteśmy sprzedawcami kwiatów.

- Jakie wiatry was tu przyniosły? - zapytała Flora.
- Wiatry?... - z opóźnieniem zrozumiałem pytanie. Ci ludzie z dwudziestego wieku stale używają takiego kwiecistego języka! - To oczywiście pani była tym wonnym, ciepłym, południowym wiatrem.

Roześmiała się jakby ją połaskotano.

- Miły komplement, drogi panie...
- Medina.
- ... drogi panie Medina. A może to żart?
- Niech Bóg broni - popisywałem się językiem przodków. Barax bez słowa szedł za mną po wąskiej ścieżce. Przeszliśmy obok basenu i ozdobnych trzcin. Potem weszliśmy pomiędzy nieznane mi kwiaty. Flora mówiła dalej.
- Właściwie domyślałam się, że panowie przyjdą.
- No proszę! Telepatia? - zapytałem zelektryzowany.
- O nie, to tylko kobieca intuicja - chytrze się uśmiechnęła. Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały, później szybko odwróciła głowę. Wówczas nie przyszło mi jakoś do głowy, że i ona jest częścią tego ogromnego morza przeszłości, które nas otacza. Że i ona jest... martwa. Już od około tysiąca lat.
- Jak idą transakcje handlowe? - zapytała. Staliśmy pod bardzo grubym, starym drzewem. Barax oparł się jedną ręką o pień. „Ma sto dziewięćdziesiąt lat" - szepnął. Oczywiście nie mówił o Florze, nawet o niej nie myślał, wolał za pomocą dostępnych mu środków „wejrzeć" w głąb drzewa i policzyć słoje.

– Jaką mam gwarancję, że mnie pan nie oszuka?

– Nie ma pan gwarancji, Negades. Może tylko tę, że nas nie interesują wasze rozgrywki wewnętrzne. Mnie i mojego kolegę przysłano tutaj wyłącznie w celu wykonania tylko jednego zadania, które przeprowadzimy z pana pomocą, pułkowniku, lub bez niej. Jeżeli dostarczy nam pan informacje, zapłacimy za to właśnie panu. Jeżeli się pan nie zgodzi, na pewno znajdziemy w rządzie człowieka, który będzie do tego skłonny... Przekonał się pan już o naszych możliwościach, a raczej skromnej ich części...

– W porządku, na kiedy mam dostarczyć informacje?

– Na wczoraj – odparłem prezentując moje dwudziestowieczne poczucie humoru.

– Jutro, późnym wieczorem – powiedział. Teraz naprawdę się zastanawiał. Zmarszczył czoło jak młody jamnik. – I niech pan więcej nie telefonuje do biura, Medina.

– Tylko w nadzwyczajnym wypadku... Jutro wieczorem o dziesiątej czekam na pana tu, przed kościołem – skinąłem głową. On też ukłonił się z wahaniem. Później odwrócił się na pięcie i odszedł. Gdy wyszedł od razu doszło do mnie pytanie zaniepokojonego Baraxa: „Roy, wszystko w porządku?"

„Tak" – odpowiedziałem i przez chwilę patrzyłem na jeden ze świętych obrazów. Obserwowałem twarz starego mężczyzny z białą brodą. Parę oczu, z których bił cudowny spokój. W ustach czułem gorzki smak. Powierzone mi przez szefa zadanie coraz mniej mi się podobało. Czułem się jak hiena cmentarna. Okradam groby i grzebiąc wokół zwłok dawno zmarłych ludzi, szukam poczerniałej biżuterii... Bo przecież ci ludzie wokół mnie są już od tysiąca lat martwi.

Spośród nich żyje tylko jeden: Lipp Kilyos.

*

Było już popołudnie, gdy wjechaliśmy do dzielnicy Juventud. Koło parku zatankowaliśmy benzynę – przenikliwy zapach źle oczyszczonej cieczy podrażnił czujniki Baraxa. Dzielnica willowa położona była na dwóch wzgórzach. Większość budynków stanowiły duże i ładne wille, działki były otoczone wysokimi drzewami i żywopłotami.

– Na pewno żyją tu bogaci ludzie – pouczyłem Baraxa. Nie powinienem był tego robić.

– Bogaci? – odpowiedział nieco niepewnie.

– Ci, którzy mają dużo pieniędzy...

– A jak je zdobyli? – zapytał beznamiętnie, lecz czułem już, że znowu skończy się to dyskusją.

– Pracą, pomysłowością, handlem, sprytem, nielegalnie... – wyliczałem możliwości.

– A inni? – spytał Barax.

– Nie ma tylu miejsc pracy, ilu jest sprawnych ludzi.

– W takim razie nie jest to dobrze urządzone.

– Wspaniale pracuje ten twój mózg – odpowiedziałem. – Oczywiście, że nie. Wiele rzeczy w tym świecie jest jeszcze złych.

– Mogliby je poprawić...

– Poprawią. Dlaczego się buntujesz? Po uszy tkwimy w przeszłości, a ty byś chciał, żeby wszystko funkcjonowało doskonale, jak u nas w XXXI. Opamiętaj się Barax, to jest dopiero XX wiek.

Zamyślił się. W międzyczasie trafiliśmy pod wskazany adres. Wąska asfaltowa droga wiła się pomiędzy zielonymi ogrodami. Na żelaznej kracie bramy zabłysła biała tabliczka: Algeciras 186.

– Stań trochę dalej.

Słychać było śpiew ptaków, lecz poza tym panowała cisza. Nie dochodził tu szum miasta. Wysiedliśmy.

– A właściwie do czego jest nam potrzebna ta kobieta? – zapytał Barax, zupełnie niepotrzebnie używając liczby mnogiej i zerknął na mnie.

Poczułem pokusę, by mu podać prawdziwy powód, ale sądzę, że nigdy by tego naprawdę nie zrozumiał. Paliło mnie pożądanie. Chciałem zobaczyć Florę. Słyszeć jej głos, widzieć jak się porusza, uśmiecha. Dla Baraxa musiałem znaleźć jakiś pretekst. Co prawda było w tym także ziarno prawdy:

– Nasze mieszkanie w śródmieściu może być w każdej chwili „spalone", a ten dom wygląda na odpo-

– Pójdę tym tropem.

– Zostawiam panu decyzję. Czy coś jeszcze?

– W tej chwili nie. Zgłoszę się później...

Rozdział 4

W porcie rzecznym szybko odnaleźliśmy „Karczmę pod marynarzem". Małe uliczki wychodziły w jednym miejscu na obszerny plac, przy betonowym nabrzeżu stały w rzędzie śmierdzące barki rybackie. Był czas sjesty, więc w okolicy było niewielu przechodniów.

– Jaki numer rejestracyjny miał samochód, którym jechaliśmy przedwczoraj? – zapytałem.

– BA 27441 – odpowiedział Barax bez żadnego zdziwienia.

Wyrwałem z notatnika kartkę i napisałem:

Lorenzo!

Proszę cię, zorientuj się, kto jest właścicielem samochodu z numerem rejestracyjnym BA 27441. Interesuje mnie też adres domowy. Jutro zgłoszę się po odpowiedź. Pozdrawiam.

Nieznajomy.

– Pani Flora ucieszy się – stwierdził Barax.

– Zaczekaj tu – powiedziałem i wszedłem do karczmy. Gdy otworzyłem drzwi przywitał mnie zaduch, mdlący odór alkoholu i hałas. Od razu zauważyłem rosłego, łysego bufeciarza, o którym mówił Lorenzo. Nie można go było nie dostrzec, przerastał o głowę nawet mnie. Przy stołach nakrytych kraciastymi obrusami było pełno. Kilka osób stało też pod ścianami trzymając w rękach szklanki.

Przycisnąłem się kontuaru i przywołałem bufetowego. Nie można powiedzieć, by się specjalnie spieszył. Przyjrzał mi się nieufnie. Pomyślałem, że w tych stronach nie bardzo lubią obcych.

– Szukam Lorenza – oświadczyłem.

– Nie znam żadnego Lorenza – odpowiedział krótko.

– W porządku. Zostawiam tu dla niego wiadomość. – Wyjąłem banknot i położyłem go na blacie razem z karteczką. – Jutro przyjdę po odpowiedź.

Patrzył na mnie wrogo. Oczywiście, jeżeli on także jest członkiem Frontu, to właśnie tak się musi zachowywać w stosunku do nieznajomych – uspokoiłem się i wróciłem do samochodu. Barax siedział nieruchomo i obserwował okolicę.

Pojechaliśmy do śródmieścia. W kilku słowach powiedziałem Baraxowi, jakie będzie nasze następne posunięcie. Na ulicach było wiele osób, jak zwykle w tej okolicy. Domy kąpały się w powodzi promieni słonecznych. Barax pokręcił głową.

– Roy, gra jest niebezpieczna.

– Duża stawka, więc i ryzyko duże. Zapomniałeś, że chodzi o ciężkie złamanie czasu?... Konsekwencje...

– Konsekwencje mogą być nieprzewidywalne – naśladował głos szefa. W tym także był niedościgniony.

Pomimo upału na głównym dworcu kolejowym w Boliwar było pełno ludzi. Barax został w samochodzie, na parkingu, lecz usadowił się tak, by mieć na oku wejście. W hali odszukałem aparat telefoniczny.

W książce telefonicznej znalazłem numer komendy głównej policji. Zgłosił się jakiś mężczyzna, któremu oświadczyłem kategorycznym tonem, że chcę rozmawiać z pułkownikiem Negadesem. Niezwłocznie przełączył mnie dalej.

– Słucham – powiedział inny mężczyzna.

– Proszę Negadesa.

– Kto prosi?

– Medina.

– Medina? Jakie jest pańskie imię, funkcja?

– Tyle wystarczy. Niech pan powie pułkownikowi, że szuka go Medina i niech mnie pan szybko połączy.

Zapadła pełna zdumienia cisza - prawdopodobnie nie tak zwykło się mówić na temat pułkownika. W końcu usłyszałem inny głos.
- Tu Negades. Kto mówi?

- Ten Medina, który wczoraj w mieszkaniu Ramireza załatwił wraz z kolegą pańskich nieudolnych ludzi, pułkowniku.

Sądząc po krótkiej ciszy, jaka zapadła, zdanie to trafiło chyba w dziesiątkę. Mężczyzna kontynuował już innym tonem:
- Czego pan sobie życzy?
- Spotkać się z panem.
- Chwileczkę! - na moment zapadła głucha cisza, po czym pułkownik ciągnął dalej. - Po co mielibyśmy się spotykać?
- O tym nie będziemy rozmawiali przez telefon.
- Chyba nie myśli pan poważnie, że będę pertraktował z nieznajomym. Przy mojej pozycji...

- Chodzi właśnie o pańską pozycję i karierę, pułkowniku. Nie chce pan błyskawicznie znaleźć się wyżej w hierarchii? Proszę się chwilę zastanowić. Za dziesięć minut znowu do pana zadzwonię - odłożyłem słuchawkę. Spokojnym krokiem opuściłem halę. Przed głównym wejściem z czarnego samochodu wyskoczyło dwóch umundurowanych policjantów. Gdy dotarłem do parkingu, Barax uruchomił już samochód. Z daleka, z włączonymi syrenami, zbliżało się jeszcze kilka wozów, w jednym z nich siedzieli cywile. Zanim policjanci otoczyli dworzec, mknęliśmy szeroką magistralą. Prowadził Barax.

Poprzedniej nocy utrwalił sobie w pamięci plan miasta, nie potrzebowaliśmy już więc papierowego egzemplarza. Pomimo dużego ruchu bez trudu dotarliśmy na plac Świętej Trójcy. Przystanęliśmy przy innej budce telefonicznej. Natychmiast nakręciłem numer Negadesa:
- Ej, ej pułkowniku - upomniałem go. - Stosuje pan takie wyświechtane chwyty?
Dyszał tylko. Spieszyłem się - nadal istniało ryzyko, że dowiedzą się skąd dzwonię.

- Tak więc sądzę, że mielibyśmy o czym rozmawiać. Dla własnego dobra niech pan przyjdzie za godzinę do kawiarni „Calvados" na placu Świętej Trójcy. W ręku będę miał „El Dia", po tym mnie pan pozna - szybko odłożyłem słuchawkę. Z budki telefonicznej widziałem szyld kawiarni „Calvados". Ponad wystawionymi na chodnik białymi stołami lekki wietrzyk poruszał baldachimem w niebiesko-czerwone pasy. Miejsce wyglądało bardzo spokojnie. Jednakże wiedziałem, że być może niedługo tę senną ciszę przerwie huk wystrzałów. Przy kontaktach z tajną policją człowiek może spodziewać się wszystkiego.

Samochód zaparkowaliśmy po drugiej stronie placu. Z tylnego siedzenia wziąłem numer „El Dia" z poprzedniego dnia. Przy wejściu do kawiarni nie dostrzegliśmy niczego podejrzanego. Barax usiadł wewnątrz, z gazetą w rękach, po czym nieudolnie, jak przystało na zagranicznego turystę, zamówił kawę. Ja tymczasem wszedłem na pięterko, gdzie byłem w tej chwili jedynym gościem. Usiadłem przy barierce, skąd mogłem widzieć siedzącego na dole Baraxa. Także zamówiłem kawę i - ponieważ od dzieciństwa lubię słodycze - kilka ciastek. Kelnerka była młoda i ładna. Przypominała mi Florę. Dziwne - przebiegło mi przez myśl - że kobiety we wszystkich czasach są jednakowo pociągające.

Weszli nowi goście. Najpierw dwóch młodych mężczyzn zajęło miejsca koło Baraxa - później jeszcze dwóch i jeszcze trzech. Potem starszy gość, ubrany co prawda po cywilnemu, ale o zdecydowanie wojskowej postawie, zajął miejsce między Baraxem a tylnym wejściem. Mój przyjaciel siedział przed pełną filiżanką kawy. Ktoś mógłby się zdziwić, dlaczego jej nie pije... w dodatku było oczywiste, że niespecjalnie go interesuje trzymany przez niego numer „El Dia".

O umówionej godzinie przed wejściem stanął czarny samochód. Słońce na zewnątrz żarzyło się oślepiającym blaskiem, stojące przy wejściu palmy w drewnianych skrzyniach smętnie opuszczały liście.

W drzwiach stanął mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Na jego brodzie widniała stara blizna. Miał żywe i inteligentne spojrzenie. Zauważyłem, że jeden z młodych ludzi odruchowo chce się zerwać z miejsca, by na widok dowódcy stanąć na baczność. Starszy pan o wojskowej postawie zagryzł wargi.

- Niech się pan nie jąka, kolego. Chodzi o pańską karierę. Jeżeli rzeczywiście chce pan zrealizować swoje śmiałe plany, to spotkanie leży także w pańskim interesie. Proszę natychmiast przyjść do kościoła Nuestra Señora. Ale tym razem niech pan będzie sam, pułkowniku! - odłożyłem słuchawkę.

*

Pułkownik kazał na siebie czekać dwadzieścia minut. Wszedł do kościoła niezbyt pewnie. Zauważył mnie od razu - nie chowałem się. Poprzez łukowate witraże wpadały niebieskie, czerwone, żółte i zielone promienie. Z tyłu, w ławkach klęczało jedynie kilka starych kobiet ze splecionymi rękami i pochylonymi głowami. Nagle poczułem się w tym otoczeniu jak świętokradca.
- Niech pan podejdzie, pułkowniku. Nieco wstrząsnęły panem wczorajsze wydarzenia?...
- Niech pan powie, Medina, jak to zrobiliście?
- Mamy nie znaną wam broń i jeżeli zachodzi potrzeba nie wahamy się jej użyć - odpowiedziałem tak uprzejmie jak tylko potrafiłem. Zacząłem nienawidzieć tego człowieka, ale wiedziałem, że jest nam potrzebny. Przynajmniej na razie.
- A teraz czego pan ode mnie chce?
- Kilku informacji. I oczywiście, pełnej dyskrecji - obserwowałem jego twarz. Wyrażała wahanie i strach, ale i chytrość. Sądziłem, że pułkownik szybko chwyci przynętę. Chciał władzy i już rozważał, jaką korzyść może mu przynieść nasza rozmowa.
- Słusznie pan rozumuje, pułkowniku. Niech pan nigdy nie zapomina o własnych korzyściach, byłoby to duże niedopatrzenie...

To go zupełnie zaskoczyło.
- Skąd pan wie o czym myślałem?
- Mam nadprzyrodzone zdolności - odpowiedziałem. Właściwie nie kłamałem. W porównaniu z ludźmi z końca dwudziestego wieku, my w trzydziestym pierwszym dysponowaliśmy dzięki psychologii takimi środkami, które tu mogły wydawać się nadprzyrodzone - nawet jeżeli były zupełnie naturalne i tak stare jak na przykład telepatia.
- Czego chcesz? - zapytał pułkownik z napięciem i przełknął ślinę.
- Wszelkich informacji o obecnym życiu prezydenta Ramireza. Szczególnie interesuje nas, co będzie robił w najbliższych dniach. Kiedy, gdzie i z kim się spotka? Kiedy, w jakim kierunku i w jaki sposób wyjedzie ze swego dobrze strzeżonego pałacu?
- A więc... zamach? - szepnął Negades. Dobrze wiedziałem, że ogarnie go podniecenie.
- No, no, kolego!... Tylko bez paniki. Co prawda bardzo pobieżnie znam wydarzenia ostatnich lat w Boliwarii, lecz wydaje mi się, że przeżył już pan kilka zamachów stanu i puczów...
- To prawda... Lecz nigdy dotąd nie byłem na takim stanowisku jak teraz.
- Tym lepiej. Stąd łatwiej skoczyć jeszcze wyżej.

Zastanowił się nad tym przez chwilę. Gdy podjął rozmowę, jego twarz przybrała znowu chytry wyraz.
- Co otrzymam... w zamian za informację?
- Inną informację. Taką, którą będą znać tylko trzy osoby w tym kraju. Ja, mój kolega i pan.
- To znaczy?
- Dowie się pan, kiedy zostanie wyłączony z gry Gallego Ramirez. Pułkowniku, jest pan szefem tajnych służb Boliwarii. Nie muszę panu tłumaczyć, jak ogromną wartość może mieć w pańskim ręku taka informacja.

Skinął głową, przez jego twarz przebiegł nerwowy uśmiech, który zaraz zniknął bez śladu.
- A czy pan mi ufa?
- Niespecjalnie - szczerze odpowiedziałem. - Ale potrzebuję pana... Jeżeli dobrze się pan zastanowi, to dojdzie pan do wniosku, że i pan mnie potrzebuje, pułkowniku. Gdyby mnie nie było i nie dokonałbym w krótkim czasie tego, co planuję, zmarnowałby pan swoje siły w zakulisowych walkach. A tak może się pan za jednym zamachem dostać na samą górę i tylko od pana będzie zależeć, jak silnie uchwyci pan władzę...

– Tego nie mogę obiecać.
– Trudno jest pertraktować na taki temat, sênor Medina. Dla kogo właściwie pan pracuje?
– „Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć", jak się pan przed chwilą wyraził, panie profesorze – odpowiedziałem. – Pozostańmy więc przy tym, że przybyłem z daleka. Powiedzmy z zagranicy. Ze względu na pewną dawną sprawę, naszych mocodawców interesuje wyłącznie osoba prezydenta Ramireza. Nie mamy nic wspólnego z wewnętrznymi sprawami Boliwarii i nie chcemy się mieszać w problemy waszego kraju. Sądzę natomiast, że zarówno wy, Front, jak i my, którzy polujemy na Ramireza, możemy z powodzeniem współpracować. Z naszej akcji i wy możecie wyciągnąć korzyści, panie profesorze.
– Brzmi to jak fragment scenariusza filmu przygodowego – uśmiechnął się mężczyzna z pewnym niedowierzaniem. Później odezwał się:
– Omówię to z naszymi przywódcami. Jeżeli i oni się zgodzą, pomożemy panu.
– Kiedy poznam odpowiedź?
– Za dwa lub trzy dni.
– Gdzie pana znajdę? – zapytałem głupio. No cóż, nie idzie mi ta konspiracja. Lopez miło się uśmiechnął. Jego pomarszczona twarz przybrała sympatyczny wygląd.
– Nigdzie... Dziś jest dwudziesty szósty. Dwudziestego ósmego pod wieczór niech pan przyjdzie tutaj i odszuka Lorenza.

Nieoczekiwanie wyciągnął do mnie rękę. Podejrzewałem, że nie ma o mnie najlepszego zdania: uważa mnie za tajnego agenta, najemnego mordercę, w najlepszym przypadku za nieco bardziej kulturalnego snajpera. Dlatego też doceniłem ten gest. Pod koniec dwudziestego wieku niektórzy ludzie przywiązywali do niego dużą wagę.

*

Odjechaliśmy w stronę śródmieścia. Znowu prowadził Barax. Samochód gładko mknął po ruchliwej arterii. Na kartce, którą otrzymałem od Lorenza widniało jedynie tyle: *Florencja Baderos – dzielnica Algeciras 186.*
– Ta dzielnica leży na północnym skraju miasta, dość daleko od centrum – oświadczył Barax spoglądając na kartkę i zapytał: – Co robimy teraz?
Właśnie przejeżdżaliśmy przed kościołem Nuestra Señora. Zacząłem się już orientować bez planu.
– Musimy jeszcze raz porozmawiać z pewnym naszym znajomym – mój towarzysz zrozumiał i pokręcił głową.
– To niebezpieczna sprawa, Roy.
– Wiem, ale potrzebne nam są informacje. Pułkownik Negades jest jednym z tych, którzy wszystko wiedzą, a co więcej podejmują decyzje w sprawach Boliwarii.
– Sam widziałeś wczoraj, że nie można się z nim dogadać.
– Być może od tamtego czasu przemyślał kilka spraw i będzie bardziej skłonny do rozmów – stwierdziłem. Barax bez słowa wyjął pistolet i podał mi go. Potem zatrzymał samochód przed budką telefoniczną. Nakręciłem numer.
– Poproszę pułkownika Negadesa.
– Kto prosi?
– Medina.
Znowu ta sama pełna zdumienia cisza, po niej znajomy głos:
– Negades, słucham.
– Mówi Medina. Jak się pan miewa, pułkowniku?

Negades milczał, być może nie spodziewał się, że znowu do niego zadzwonię.
– No, pułkowniku?... Sądzę, że odsapnął pan już po wczorajszym spotkaniu. W naszym fachu czasami spotyka człowieka niepowodzenie. Jednakże nie dokończyliśmy ważnych pertraktacji, nie sądzi pan? Nie cofnąłem swojej propozycji, pułkowniku.
– Ale... ale...

Szef ponurym spojrzeniem skarcił niezręcznego podwładnego, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do Baraxa. Powietrze w kawiarni „Calvados" niemal zamarzło...

W sali na parterze siedzieli już tylko tajni policjanci i Barax.

Nie dosłyszałem co powiedział pułkownik. Barax wskazał na piętro. Mężczyzna wzruszył ramionami i skierował się ku schodom. Jego ludzie, którzy siedzieli gotowi do skoku na krawędziach krzeseł, odprężyli się. Oni też nie pili swoich kaw. Pułkownik wszedł na piętro.
– Niech pan usiądzie, pułkowniku – uśmiechnąłem się serdecznie i wskazałem mu krzesło.
– Pan... Medina?
– Po dwóch rozmowach telefonicznych mógłby pan rozpoznać mój głos, pułkowniku. W naszym zawodzie to rzecz elementarna.
– W naszym zawodzie? Pan też jest... policjantem?
– Tak, panie Negades. A nawet, żeby być dokładnym, pracuję w tajnej policji. Tylko, że nie w Boliwarii.
– Skąd pan przybył?
– To nie jest teraz ważne. Obiecałem, że zatroszczę się o pańską karierę. Oczywiście nie za darmo...

Negades rozparł się na krześle. Kelnerka nie pojawiała się, zapewne zatrzymali ją ludzie pułkownika, żeby nie przeszkadzała w rozmowie.
– Poznaliśmy się w nieco dziwnych okolicznościach – zaczął pułkownik. – Nie wiem czy mogę panu ufać.
– Nie chce pan być prezydentem tego kraju? To jest pański prawdziwy cel, Negades.
Zdziwił się:
– Prezydentem?... – wyszeptał. W jego oczach pojawił się jakiś błysk. Najpierw... strach. Ugodziłem go w najczulsze miejsce: to było jego największe pragnienie. Łatwo mogłem tak twierdzić – znałem przecież przyszłość. Nawet jeżeli nie dokładnie, a tylko w ogólnym zarysie – to jednak znałem rolę, jaką odegrał w niej Negades. Szybko ciągnąłem dalej.
– Wiem, że wiele osób ubiega się o to stanowisko: generałowie, politycy i inni... No i z pewnością pan Ramirez także nie chce stracić prezydenckiego stołka, na którym właśnie usiadł... Ale nim niech się pan nie przejmuje, Negades. Ramirezem ja się zajmę.
– Jak to pan rozumie? – zapytał.
– Powtarzam, jeżeli dojdę z panem do porozumienia, nie będzie pan mieć kłopotów z Ramirezem. Co więcej, być może wspólnymi siłami uda się nam odsunąć także innych konkurentów.
Negades wziął głęboki oddech.
– Jaki jest pański plan, Medina? Proszę mówić. Chce pan udziału we władzy?
– Nie. Nie zostanę w tym kraju. Aby mówić o szczegółach jest jeszcze za wcześnie. Ale niech mi pan wierzy: nie mam wiele czasu, tę sprawę muszę załatwić szybko. Mogę na to poświęcić najwyżej trzy-cztery dni.

Widziałem po wyrazie jego twarzy, że wcale mi nie wierzy. Zrobił rzecz zaskakującą. Wprawnym, błyskawicznym ruchem wyjął z kieszeni marynarki rewolwer i wycelował we mnie.
– Dosyć, Medina. Wybiję panu z głowy głupie pomysły. Jeden nieostrożny ruch i rozwalę panu głowę...

Na twarzy zamarł mi zuchwały uśmiech. W pierwszej – ciągnącej się w nieskończoność – sekundzie nie mogłem wprost uwierzyć, że przegrałem.
– Niech pan idzie przodem i powie swojemu towarzyszowi, żeby nie robił głupstw, bo zastrzelę pana jak wściekłego psa.
To także był rzadki zwrot językowy, lecz w tym momencie nie potrafiłem go należycie docenić. Wsta-

łem. Negades wycofał się na bezpieczną odległość i jak jastrząb obserwował każdy mój ruch. Błyskawicznie oceniłem sytuację: kontratak nie wróżył powodzenia. Byłem bezbronny, wszak moją bronią był Barax...

Tak więc doszliśmy do podnóża schodów. Baraxowi powiedziałem:

– Na razie ustępujemy. Sądzę, że pułkownik chce przedyskutować moją propozycję w spokojniejszym otoczeniu.

Mój towarzysz powoli wstał. Siedzący przy sąsiednich stolikach policjanci podbiegli do nas i skuli nas kajdankami. Barax z nieruchomą twarzą przyłączył się do dziwnego pochodu. Gdy wyszedłem na ulicę, na chwilę oślepił mnie blask słońca. Wepchnięto mnie do pierwszego czarnego samochodu, Barax znalazł się w drugim.

Byłem spokojny. W końcu sprawy przybrały taki obrót, jak planowaliśmy. Nawiązałem kontakt z człowiekiem, który w nadchodzących dniach stanie się ważny z punktu widzenia zbliżających się wydarzeń. Powiedziałem mu, co należało. Jedno jest pewne: dopóki nie dowiemy się jakie są rzeczywiste zamysły pułkownika Negadesa, nie warto przerywać rozgrywki. Błędem byłoby piętrzyć kolejne złamania czasu. Na razie musimy wystrzegać się czynów, z powodu których dwudziestowieczne władze mogły przypisać nam „pozaziemską", „nadprzyrodzoną" siłę.

Tu nie będziemy mieć łatwego zadania – pomyślałem w chwili gdy samochody zwalniały przed ponurym, szarym budynkiem. Wejścia strzegli umundurowani policjanci. Uniósł się masywny, metalowy szlaban i samochody zatrzymały się na mrocznym, pustym, betonowym podwórku. W mgnieniu oka zaczęły się koło nas mrowić przynajmniej dwa tuziny cywilnych i umundurowanych policjantów. Pomiędzy żebrami poczułem dwie lufy pistoletów. Było to bardzo dziwne uczucie... Przez chwilę niemal już żałowałem, że swego czasu – w mojej dalekiej przyszłości-przeszłości – wstąpiłem do GALPOL-u. Zacisnąłem zęby i wzrokiem poszukałem Baraxa. Serce biło mi szybko.

Barax był niczym pomnik, który odrobinę ożył. Poruszał się miarowo, powoli. Tajniacy szarpali go za skute kajdankami ręce, ale nie mogli zniszczyć jego spokoju, który i mnie zaczął się udzielać. W tym świecie nikt poza mną nie mógł wiedzieć, że Barax nie boi się śmierci. Jest idealnym towarzyszem, przyjacielem, strażnikiem – potrafi znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Miałem nadzieję, że i tym razem tak będzie.

Negades wydawał polecenia. Rozkazy odbijały się echem od nagich ścian. Dostrzegłem wiele zakratowanych okien i przypomniawszy sobie swe historyczne studia nie miałem już wątpliwości, gdzie trafiliśmy.

Po pięciu minutach wepchnięto mnie do biurowego pokoju o spartańskim wyposażeniu i posadzono na krześle. Nie zdjęto mi kajdanek. Dookoła stało pięciu mężczyzn i Negades. Baraxa zaprowadzono do innego pomieszczenia.

– No – pułkownik wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Teraz możemy porozmawiać bez przeszkód, Medina!...

– Wątpię, pułkowniku. Jest nas za dużo.

Jeden z nich przysunął się, podnosząc na mnie rękę:

– Co ty sobie wyobrażasz, ty!...

– Stój – zatrzymał go pułkownik. – Później... Jeżeli nasz przyjaciel nie zechce rozmawiać po dobremu...

Powiedział „przyjaciel", lecz w jego głosie próżno było szukać przyjacielskiego zabarwienia. Negades groził mi i zaczynałem rozumieć, że sprawa przybiera poważny obrót. Znowu musiałem postawić wszystko na jedną kartę.

– Pułkowniku, także w pańskim interesie... – zacząłem.

– Milcz! – wrzasnął i przez jego twarz przeleciał grymas gniewu. – Niech pan odpowie, Medina, kto pana tutaj przysłał? Przyjechał pan z zachodu czy ze wschodu? A może wynajął pana Ramirez? Czym chciał mnie pan przekupić?

★

Przed południem w wąskich uliczkach portowej dzielnicy było niewielu przechodniów. Samochód znaleźliśmy pod kawiarnią „Calvados", w tym samym miejscu, w którym go zostawiliśmy. W okolicy nie kręcił się nikt podejrzany. Nikt też nas nie śledził – tak więc bez żadnych przygód dotarliśmy na portowy placyk. Gdy się zatrzymaliśmy, samochód otoczyło kilkoro odzianych w łachmany dzieci:

– Señor, niech pan da trochę pieniędzy! – krzyczały.

Barax zdziwił się.

– Roy, czego one chcą?

– Żebrzą, stary.

– Żebrzą? Co to znaczy?

Z rozpaczą spojrzałem w niebo.

– Powiem ci przy okazji. Zaczekaj. – Rozpędzając dzieci wszedłem do karczmy. Tym razem sala była stosunkowo pusta. Gdy tylko rosły bufeciarz spostrzegł mnie, ścierka w jego ręku znieruchomiała. Utkwił we mnie spojrzenie swoich dużych, wilgotnych, cielęcych oczu:

– Czekają na pana na górze – powiedział cicho i wskazał w stronę wąskich schodków prowadzących na piętro, które znajdowały się obok drzwi zaplecza. Przez sekundę wahałem się: a jeżeli to pułapka?... Jednakże Barax był dość blisko. W razie kłopotów mogłem go zaalarmować w mgnieniu oka.

Na górze czekał znacznie starszy ode mnie, siwowłosy człowiek.

– Przysyła mnie Lorenzo – powiedział. – Przyjmijmy, że nazywam się Lopez.

– Jestem Roy Medina i przyjmijmy, że jest to moje prawdziwe nazwisko – odpowiedziałem, bacznie obserwując jego twarz. Mógł mieć 55–60 lat, lecz jego twarz pokrywała sieć niezliczonych zmarszczek. – A więc i pan jest w konspiracji.

– Dyktatura zmusza mnie do tego – odpowiedział wymijająco, lecz nie wrogo.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jest pan donosicielem? – zadałem mu pytanie i zaraz przyszedł mi do głowy pomysł rozwiązania tego problemu:

– Jeżeli zna pan Lorenza, to w takim razie musi pan też wiedzieć jak się nazywa jego narzeczona.

– Estrella Juarez i mieszka w Lorii – odrzekł natychmiast, a później się poprawił. – To znaczy mieszkała. Teraz jest tutaj razem z Lorenzem.

– A więc i ona się ukrywa – wyjrzałem przez okno. Dostrzegłem plac i nasz samochód. Żebrzące dzieci już odeszły. Barax czekał w samochodzie.

– W pewnym sensie wszyscy się ukrywamy. Niektórzy ukrywają swoje ciała, inni – swoje myśli – ciągnął Lopez. – Nawiasem mówiąc tu jest odpowiedź na pański wczorajszy list.

Wcisnął mi do ręki kartkę. Rzuciłem na nią jedynie okiem i wsunąłem do kieszeni. Teraz bardziej interesował mnie ten mężczyzna.

– Nie wygląda pan na chłopa czy robotnika, panie Lopez.

– Wykładałem na uniwersytecie w Boliwar. Jestem profesorem literatury latynoamerykańskiej. To znaczy, byłem... i być może znowu będę.

– Jeżeli Front zwycięży.

– Tak, jeżeli zwyciężymy – odpowiedział z troską w głosie. – Ale do tego jeszcze daleko.

– Możliwe, że bliżej, niż się pan spodziewa... – niemal ugryzłem się w język: tego nie wolno mi powiedzieć! Żadnych aluzji do zwycięstwa Frontu! To, co już wiem, dla tych ludzi musi pozostać mglistą przyszłością. Jednocześnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Panie profesorze, czy dużo ludzi macie w mieście?

– Rozumie pan chyba, że na to pytanie nie mogę odpowiedzieć?

– Oczywiście, jestem przecież obcy... Mimo to sądzę, że dużą pomocą byłoby dla was, gdyby ktoś... hm... odsunął prezydenta Ramireza?

– Sugeruje pan zamach?

– Nie całkiem, ale i tak możemy to nazwać.

– Oczywiście, moglibyśmy wykorzystać powstałe zamieszanie, ale tylko wtedy, gdybyśmy z góry znali termin akcji...



Marek Załejski

Wyglądało na to, że na próżno mówiłem mu o przejęciu władzy. Czyżby nie wierzył, że mogę mu w tym pomóc? A może bał się wierzyć? Tylko jednego byłem pewien: nie porzucił swych zamiarów. Czytałem w pracach historycznych, że później znalazł się jednak u władzy... Wiedziałem już, że będę potrzebował Baraxa.

„Działaj" – skoncentrowałem się na tym rozkazie. Barax nie mógł być daleko. Jeszcze nie. Mój rozkaz dotrze do niego.

– No, milczymy? A może pan zaprzecza, że w kawiarni próbował mnie pan wciągnąć do antypaństwowego spisku?

Musiałem zyskać na czasie. „Działaj, Barax! Barax!..." wziąłem głęboki oddech:
– Nie zaprzeczam, pułkowniku.

Negades rzucił swym towarzyszom pełne ulgi spojrzenie. Czuł się już w siodle, jak wtedy mawiano w takich okolicznościach. Znowu odwrócił się do mnie, chciał o coś zapytać...

Gdzieś z bliska dobiegł nas straszliwy wrzask. Początkowo nie mogłem uwierzyć, że człowiek może tak wrzeszczeć. Krew we mnie zastygła. Głos wydobywał się z głębi krtani, pełen bólu, zrezygnowany, beznadziejny. Obserwowałem twarz Negadesa. Pojawiła się na niej złośliwa radość:

– Słyszy pan, Medina. Pański przyjaciel niedługo powie wszystko! Mamy środki, żeby zmusić do mówienia nawet niemych.

Ale ja wiedziałem, że to nie Barax krzyczał. On nie jest do tego zdolny i nie można mu sprawić bólu!

Na korytarzu rozległy się kroki biegnącego człowieka. Jednocześnie stojąca na biurku pułkownika lampa dwukrotnie mrugnęła, po czym zaczęła świecić coraz słabiej. Zauważyłem, że stojący w pokoju mężczyźni spojrzeli na siebie. W tej chwili poczułem, jak bardzo jestem bezradny z kajdankami na rękach.

Przez drzwi wpadł rozczochrany mężczyzna w mundurze: – Panie pułkowniku... ten drugi...ten drugi – jąkał się przerażony i dygotał na całym ciele.
– Co się stało? Umarł? Mów! – huknął nań Negades.

– Chcieliśmy go potraktować prądem, tak jak pan pułkownik rozkazał. Ale... nie uwierzyłbym, gdybym nie widział na własne oczy. Położyliśmy go na żelaznym łóżku, Gonzales podszedł do kontaktu i tam pozostał.
– To on krzyczał?

– Tak, panie pułkowniku. Później stracił przytomność.
W tym momencie lampa zgasła ostatecznie. „Jestem tu" – zawibrowała w mym mózgu wiadomość przesłana przez Baraxa. Błyskawicznie skoczyłem do kąta, w pobliże zasłoniętego żaluzją okna.

Rozległ się potężny huk, drzwi wpadły do środka. W napływającym z korytarza mrocznym świetle sylwetka Baraxa wydawała się olbrzymia. Już dawno zerwał z siebie kajdanki.
– Barax, drugi stopień! – krzyknąłem.

Na mój rozkaz jego ruchy natychmiast uległy przyspieszeniu. Głucho zadudniły ciosy. Ludzie Negadesa nie zdążyli nawet krzyknąć – z jękiem padali na podłogę. Pułkownik próbował uciekać, lecz podstawiłem mu nogę. Padając wyciągnął pistolet. W ostatniej chwili Barax skoczył przede mnie. Pocisk utkwił w nim.
– Dzięki – powiedziałem i ciosem karate obezwładniłem Negadesa.

– Twoja broń – Barax wcisnął mi do ręki miotacz promieni, rozrywając jednocześnie obręcze moich kajdanek. Jeden z policjantów właśnie się podnosił – chciał zaatakować Baraxa od tyłu. Uderzyłem go w czoło kolbą pistoletu. Wybiegliśmy na korytarz.

W budynku brzęczały alarmowe dzwonki. Na parterze ktoś wydawał przez megafon rozkazy.
– Wszyscy polują na nas – powiedział Barax zupełnie niepotrzebnie. Sam widziałem, co się dzieje.
– Wyłącz dzwonki.

Wyrwał ze ściany lampę i chwycił wystające nagie druty. Z ręki trysnęły mu niebieskawe iskry. Przez okno dostrzegłem, że na okolicznych ulicach gasną światła.

– Puściłem w sieć przynajmniej 10 tysięcy woltów – zakomunikował Barax flegmatycznie. – Przepaliły się przewody.

Zamilkły dzwonki alarmowe i megafony. Słyszeliśmy jednak zbliżających się ludzi – od strony schodów pojawiły się uzbrojone sylwetki. Przeciwko takiemu tłumowi musieliśmy działać szybko i skutecznie. Strzeliłem z pistoletu – dawka niewidzialnych promieni natychmiast ich obezwładniła. Padli, straciwszy przytomność.

– Na dach – rozkazałem. Ledwie skończyłem zdanie, Barax pomknął korytarzem niczym wyścigowy samochód. – Hej chłopie, włącz z powrotem trzeci stopień, bo nigdy cię nie dogonię. Zawsze zapominasz, że ja jestem tylko zwykłym człowiekiem – zbeształem go, gdy wbiegliśmy na następne piętro. Później dostaliśmy się na płaski dach. Musiało tam być lądowisko helikopterów, bo dostrzegłem wymalowane znaki. Nie było jednak ani śladu powietrznych pojazdów.

– Idą – spokojnie powiedział Barax. Policjanci wyskoczyli z dwóch drzwi naraz. Jednocześnie strzeliliśmy z miotaczy – umundurowani mężczyźni runęli na siebie.

– Biegiem! – odezwał się Barax. Wyglądało na to, że przejął kierowanie akcją, lecz wówczas nie myślałem o tym. Wiedziałem natomiast, że dzięki swym możliwościom tylko on może nas uratować. Przebiegliśmy dach. Przy jednym z narożników zza rynny wystawała barierka drabiny przeciwpożarowej.

– Idź, będę cię osłaniał! – krzyknął mój towarzysz. Drabinka przeciwpożarowa prowadziła na dach sąsiedniego, znacznie niższego domu. „Spiesz się" – zadudniło mi w mózgu.

Z dachu drugiego budynku przedostałem się na strych. „Chodź" – zasygnalizowałem Baraxowi. Gdy spojrzałem za siebie, już leciał... Skoczył po prostu z dachu więzienia, z wysokości około trzydziestu pięciu metrów. Na sekundę wstrzymałem oddech. No cóż, Barax taki już jest. Nie przypadkiem wziąłem ze sobą właśnie jego...

Niemal zabłądziliśmy na olbrzymim strychu obcego domu. Wreszcie znaleźliśmy zejście. Zbiegliśmy po wąskich schodach... Z dołu słyszeliśmy stłumione okrzyki.

– Na pewno obstawili wyjście – zauważył Barax ze zwykłym spokojem.

– Chodźmy – powiedziałem zdecydowanie. Na wysokości pierwszego piętra znalazłem korytarz, który prowadził na podwórko. Nikogo tam nie zauważyliśmy. Barax na wszelki wypadek omiótł okolicę wiązką promieni. Przez ciemną bramę wymknęliśmy się na ulicę. Zapadał zmierzch. Z daleka dostrzegliśmy umundurowanych mężczyzn czekających przy drugim wyjściu. Zza rogu wyjechał samochód. Zbliżał się powoli w naszą stronę – siedząc w nim mężczyźni sprawdzali bramy.

– W samą porę. Potrzebujemy jakiegoś pojazdu – powiedziałem. Gdy jadące wolno auto zbliżyło się, wysunąłem zza załomu ściany rękę, w której trzymałem miotacz promieni i nacisnąłem guzik. Samochód powoli toczył się dalej, po czym stanął.

Barax otworzył drzwi i wyrzucił na jezdnię cztery bezwładne ciała w mundurach. Wsiedliśmy. Nacisnąłem pedał gazu.

– Niemal zabiłeś człowieka – powiedziałem chwilę później. Pędziliśmy przez rzęsiście oświetlone ulice. Zrobił się już wieczór. Nad jednym z placów pod niebo wzbijała się kopuła fontanny, przez okna kolorowych autobusów wychylały się ładne dziewczęta. Na małym podium przed domem towarowym grała orkiestra. Żółto błyszczał saksofon.

– Ale tylko niemal – powiedział Barax bez najmniejszego zakłopotania. – Chcieli mnie torturować za pomocą prądu elektrycznego, żebym zdradził, skąd jesteśmy i kto nas tu przysłał... No to dałem im parę tysięcy woltów. Ten człowiek najwyraźniej miał pecha...

Milczałem. Cóż mogłem powiedzieć? Chyba nie popełniliśmy złamania czasu – policjanci będą podejrzewać spięcie w sieci elektrycznej. Nie przyjdzie im nawet do głowy, że to co się przydarzyło temu nieszczęsnemu policjantowi, było dziełem jednego z aresztowanych.

– Do jasnej cholery, co za epoka! – wściekał się dalej Barax. – Najpierw mnie uderzyli, ale ja ich tylko wyśmiałem. Zobaczyli, że w ten sposób niczego nie osiągnęli, więc chcieli zastosować prąd... Roy, dlaczego to zrobili?

– To trudne pytanie, Barax. W tej epoce był to powszechny zwyczaj.

– Po to są tajni policjanci, żeby tak traktować ludzi?

– Tak. Po to istnieje ta instytucja, po to opłaca się jej członków. Rzecz jasna, dostają wyższe płace, niż najlepsi specjaliści.

Barax z powątpiewaniem kręcił głową:

– Mówisz, że rząd po tp płaci się tym ludziom, żeby występowali jako przeciwnicy znacznej części społeczeństwa?

– Właśnie tak.

– Czy oni jeszcze nie wiedzą, że człowiek nie może panować nad innymi? Że nad świadomością nie da się panować przez dłuższy czas?

– Nie chcą przyjąć do wiadomości tej prostej i podstawowej prawdy – wyjaśniłem.

– No to są beznadziejnie głupi! – kiwnął głową Barax. Sądziłem, że na tym zakończył swe rozważania, lecz nie, zaczął od nowa:

– Tak więc doprowadzili do tego, że wszyscy żyją w strachu.

– Słusznie mówisz.

– W takim razie byłoby szkoda tego policjanta, gdyby zabił go prąd – nieoczekiwanie stwierdził Barax.

Wcale nie zaskoczyła mnie jego logika, choć nie oczekiwałem tego po nim.

– Szkoda każdego życia, Barax.

– Roy, ty patrzysz na to społeczeństwo przez pryzmat logiki XXXI wieku – zganił mnie.

Zaskoczył mnie jego głos. Mówił jakoś inaczej niż zwykle... Na próżno go obserwowałem, twarz miał nieruchomą jak zawsze.

Zostawiliśmy samochód na obszernym parkingu jakiejś restauracji i pieszo poszliśmy do domu. Zjadłem coś i położyłem się. Barax obszedł mieszkanie, sprawdził drzwi i okna, i wszedł do mojego pokoju.

– Wiesz, Roy, pomyślałem sobie, że gdyby wszyscy naraz zbuntowali się przeciwko rządowi i policji, to można by ich wygnać.

– Wymyśliłeś rewolucję, Barax – mruknąłem sennie. – Chłopie, daj mi spać.

Zasnąłem, zaś on nieruchomo stał na straży przez całą noc.

Rozdział 5

– ... A gdyby we wszystkich miastach i wsiach ludzie w tej samej minucie zaatakowali na posterunki policji, – kontynuował Barax tym samym tonem o wpół do ósmej rano, gdy się obudziłem. Uświadomiłem sobie, że dla niego noc nie istnieje, tak że rozpoczął rozmowę dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją przerwał poprzedniego dnia.

– W ten sposób wymyśliłeś spisek – mruknąłem niechętnie i poszedłem się umyć. Nie lubiłem rozmawiać rano o polityce. Ale Barax wszedł oczywiście za mną do łazienki i natrętnie, choć z zapałem ciągnął dalej:

– Gdyby tak zrobili, to byłby koniec, nie, Roy?

– Nie byłby koniec, kochany przyjacielu, drogi Baraxie! – wycharczałem myjąc zęby i plując pianą. – Nie byłby koniec, bo zrealizowanie takiego spisku jest niemożliwe!

– Czy w takim razie nie ma z tej sytuacji wyjścia, Roy? – spytał Barax.

– Wręcz przeciwnie, Barax. Przecież to co teraz widzisz to zamierzchła przeszłość. Ludzkość wydobyła się z tego, podobnie jak z innych opresji. Przeczytaj książki historyczne.

Wreszcie zostawił mnie samego i mogłem dokończyć skomplikowaną czynność mycia.

ZAGLĄDAJĄCY PRZEZ SZPARY

Dariusz Filar

U progu lata, po półroczu wytężonej pracy, rozprawa Privatdozenta Wilhelma A. Schreibera o malarskich wyobrażeniach Sądu Ostatecznego właściwie mogła być uznana za gotową. Profesor (bo i tak, nieco na wyrost, tytułowali go właściciele księgarenek i antykwariatów gęsto rozsianych w otaczających uniwersytet uliczkach) skupił się w niej na rozważaniu tego, jak motyw finalnego oddzielenia zbawionych od potępionych ujmowali mistrzowie u schyłku XV i w początkach XVI wieku. Do jego sieci badacza - starannie rozpiętej w czasie i w przestrzeni; nad wieloma dziesięcioleciami z obu stron przylegającymi do owego przełomu wieków i nad całą Europą - wpadło wszystko, co wpaść powinno. Zmieścił się w niej tryptyk Hansa Memlinga, którym na północy kontynentu zaowocowała jesień Średniowiecza. Zmieścił się też fresk Luki Signorellego, ten ze ściany katedry w Orvieto, który wiosna Renesansu przyniosła na południu. Zmieścili się razem ze swymi dziełami van der Weyden i van der Goes, Bouts i Bruegel, i jeszcze wielu innych, nie aż tak sławnych twórców...

Rozprawa zdawała się jej autorowi przedsięwzięciem najzupełniej udanym. Uważał, że zdołał uniknąć drewnianego, belferskiego stylu, że znalazł tytuł - „Alle Farben des Jüngsten Gerichts" - który będzie wzbudzać zaciekawienie czytelników i że do sukcesu przyczyni się graficzna oprawa dzieła, bo od grozy płynącej ze scen sądnego dnia trudno oderwać oczy. Poważny wydawca z samej Getyngi zapewniał, że reprodukcje malowideł omawianych w tekście sięgną doskonałości oryginałów.

A przecież znalazło się coś, co wstrzymywało pióro uczonego od postawienia ostatniej kropki. Coś, co niemalże od samego początku pracy uwierało go niczym gwóźdź w bucie, a pod koniec pisania doprowadzało już do najprawdziwszego szału. Owym dokuczliwym drobiazgiem (Privatdozent Schreiber nieustannie przekonywał samego siebie, że to tylko drobiazg) był obraz nazywany tradycyjnie „Niedokończonym Sądem Ostatecznym z Wurzheimu". Wyszedł on spod pędzla Hansa Walddorfera, malarza współczesnego Memlingowi, Signorellemu i innym mistrzom, ale - co do tego Privatdozent nie miał najmniejszych wątpliwości - obdarzonego talentem bez porównania pośledniejszym. Jeden rzut oka porównujący prace wurzheimskiego pacykarza z osiągnięciami prawdziwych koryfeuszy malarskiego rzemiosła wystarczył, by bez najmniejszych osłonek wychodziły na jaw jego potknięcia, błędy, a nawet oczywiste fuszerki. Na tle wyrafinowanej symetrii bezkresnych przestrzeni Memlinga raził u Walddorfera brak kompozycji, nieporadność w odnajdywaniu rytmu i harmonii prowadząca aż po granice zupełnego bałaganu. Na tle skłębionego tłumu wspaniałych, pysznie nagich ciał Signorellego musiała niecierpliwić niezdarność ludzkich sylwetek, które w przypadkach skrajnych popadały po prostu w śmieszność. „Prowincjonalne, biedne beztalencie" - mruczał pod nosem Privatdozent Schreiber. I miał rację.

Cóż jednak w takim razie sprawiło, że nadeszła chwila, od której „Niedokończony Sąd Ostateczny z Wurzheimu" stał się jedyną rzeczą, o jakiej Privatdozent Schreiber mógł myśleć? Jakaż zła moc tkwiąca w obrazie zrodziła rozdrażnienie, gniew, a wreszcie wściekłość naukowca? Czym promieniowały i przyciągały dwie deski podług wszystkich znaków przeznaczone na skrzydła ołtarza, którego kwatera centralna z nieznanych przyczyn nigdy nie została namalowana? Odpowiedź na wszystkie pytania zawierała dziwaczna wyjątkowość zaświatów Walddorfera, fakt, że nie przypominały one wyobrażeń raju i piekła stworzonych przez jakiegokolwiek innego malarza i nie pasowały do żadnego znanego wzorca. A przede wszystkim nie pasowały do fundamentalnej tezy, na której opierała się cała rozprawa zatytułowana „Alle Farben des Jüngsten Gerichts".

Privatdozent Schreiber starał się bowiem dowieść, że wszystkie bez wyjątku malarskie prezentacje Sądu Ostatecznego wywodziły się z jednego źródła, że sprowadzały się w gruncie rzeczy do powieleń ujęć znacznie od nich starszych. Malarze nie musieli trudzić własnej wyobraźni. Wystarczyło lepiej lub gorzej skopiować to, co już dwa albo trzy stulecia wcześniej wykute zostało w kamieniu - na płaskorzeźbach zdobiących tympanony romańskich i gotyckich katedr. To właśnie z katedr w Moissac i Autum do katedr w Chartres, Amiens i Bambergu, a dopiero stamtąd na obrazy wędrowały wciąż te same rozwiązania kompozycyjne i detale: górujący nad wszystkim tron sprawującego sąd Chrystusa, dwa szeregi orędujących Świętych, Archanioł Michał na wielkiej wadze starannie odmierzający zebrane przez podsądnych grzechy i zasługi, otwierające się mogiły i pękające sarkofagi, zmartwychwstające, jakby ze snu budzące się ciała, stada aniołów - polatujących nad światem i dmących w trąby zdolne poderwać na nogi nawet najgłębiej śpiących, szerokie - kryształowe lub marmurowe - stopnie wiodące ku Bramie Niebios i pochód uduchowionych golasów, którzy ze złożonymi karnie rękoma pną się ku najwyższemu podestowi, by otrzymać długie, fałdziste szaty i sztywno sterczące na prostych łodygach kwiaty lilii, tyleż przerażające, co groteskowe postacie szatanów - owe karykaturalne skrzyżowania czarnoskórych niedorozwiniętych karłów z nietoperzami i kozłami, ich szponiaste łapy ściskające pejcze z łańcuchów i widły do czerwoności rozpalone w piekielnym ogniu, zniekształcone przez wściekłość i strach oblicza grzeszników, wytrzeszczone oczy, skrzywione grymasem usta i zęby zaciśnięte tak mocno, że nieomal słyszy się ich zgrzytanie, dłonie kurczowo zaciskające się na krawędzi pełnej ognia jamy albo we włosach stojących choćby odrobinę wyżej współtowarzyszy niedoli i nawet ten mały czarcik o motylich skrzydłach lekko niosący ku płomieniom kobietę i mężczyznę, których cudzołożne uściski utrwalił potrójną pętlą z grubego sznura. Wszystko to - podkreślał raz po raz w swej rozprawie Privatdozent Schreiber - powtarzało się z rzeźby na rzeźbę i z obrazu na obraz; koniec końcem cała Europa miała przed oczyma jedną i tę samą wizję. I tylko Hans Walddorfer namalował swój Sąd Ostateczny inaczej.

Przede wszystkim nie było widać na jego obrazie ani jednego otwartego grobu, tak ważne z religijnego punktu widzenia zmartwychwstanie ciał - w ogóle nie miało miejsca! Przypuszczenie zaś, że brak ów jest wynikiem czystego przypadku, bo wezwane do życia cmentarze mogłyby się znaleźć w środkowej, nie istniejącej części ołtarzowego tryptyku, upadło w obliczu innych niezwykłości występujących zarówno po infernalnej, jak i po edeńskiej stronie dzieła.

Całymi godzinami, w bezradnym zdumieniu, Privatdozent Schreiber wpatrywał się w szereg szatanów, którzy w swych kształtach zewnętrznych byli stuprocentowo ludzcy. I nie pastwili się nad potępionymi, nie dźgali ich widłami (ten atrybut diabelstwa był na obrazie zupełnie nieobecny), nie wlekli ich pojedynczo w głąb piekielnej czeluści. Między nagimi ciałami potępionych a szatanami zachowany był pewien dystans; ci ostatni

trwali bez ruchu, stojąc z założonymi do tyłu rękoma obojętnie patrzyli na dokonywanie się nieodwracalnych wyroków. Wiał od nich nie tyle żar piekielnej wściekłości, co może jeszcze straszniejszy chłód manekinów, beznadziejna ponurość zmokniętych strachów na wróble.

Także odchodzący w piekło różnili się od tych ukazywanych na wszystkich innych obrazach – nie próbowali się przeciwstawiać Bożym decyzjom, nie stawiali oporu czartom, nie podejmowali rozpaczliwej obrony. Byli martwi! Ciała kaskadą spadające w otchłań, wokół której rozstawiły się złe duchy, nosiły wyraźne piętno trupiego bezwładu; za widome znaki śmierci przychodziło też uznać wyostrzone rysy twarzy, bladość skór i sine na nich cienie. Wobec wyniosłej bierności przyglądających się tylko lub nadzór sprawujących szatanów, niezliczone zwłoki strącał w dół stwór tak fantastyczny, że bez reszty musiał zostać poczęty w wyobraźni artysty. Przypominał trochę monstrualnych rozmiarów żabę czy też może raczej żółwia, smoka o garbatym, ciemnozielonym, połyskliwym pancerzu i płonących białym blaskiem ślepiach. W pochmurny, wilgotny poranek, pod chłodnym okiem szatanów – bestia toczyła przed sobą zwały trupów, pchała je potężnymi łapami, grzebała na wieczność... Tak wyglądało piekło Walddorfera.

Nie mniej zdziwień budziło jego niebo. Nader nieliczni aniołowie (na całym obrazie zmieściło się czterech) zdawali się nie poświęcać zbyt wielkiej uwagi zbawionym; nie latali wokół nich (zresztą patrząc na wątłe niby-skrzydełka, jakimi zostali obdarzeni przez swego stwórcę, nie sposób było uwierzyć, by w ogóle mogły unieść ich w górę) ani nie dęli w trąby. Stojąc w dość niedbałych pozach na wysokim przedprożu Edenu trzej z nich grali na lutniach, czwarty zaś bił w wielki kocioł. Fakt, że zwykła orkiestra muzyki anielskiej – a więc trąby, piszczałki, skrzypce, harfy i cymbały – zastąpiona została samymi tylko lutniami nosił dla Privatdozenta Schreibera znamiona niepojętej, bluźnierczej pikanterii, bo przecież to właśnie lutnia była w Średniowieczu najpopularniejszym obok kobzy symbolem grzesznych uciech zmysłowych.

W Bramie Niebios, którą mieli za plecami czterej grajkowie, tylko przy wielkim nakładzie dobrej woli można było dopatrzeć się typowego w tej roli motywu, a więc zawieszonego w przestworzach portalu gotyckiej katedry. To, co widniało na obrazie z Wurzheimu nie potrafiło zasugerować kamiennej masywności murów, nie kojarzyło się z prawdziwą budowlą, lecz raczej z nieudolną dekoracją teatralną. U innych malarzy identyczny motyw mógł narzucić widzowi rozważania o rozległych, cudownych obszarach, jakich wolno oczekiwać za wysokim progiem. U Walddorfera nie podsuwał niczego poza myślą o ukrytym po drugiej stronie stelażu z drewnianych listew i zapomnianych, walających się w kurzu rupieciach.

Ale najbardziej zaskakiwali ci, którzy dostąpili zbawienia – ani pogrążeni w modlitwie, ani podążający po szerokich stopniach ku krainie wiecznej szczęśliwości, ani nadzy... Siedzieli oni lub leżeli – nieliczni także tańczyli – na trawie porastającej rozległą przestrzeń, która amfiteatralnie nachylonym łukiem otaczała strefę największej jasności: strefę Bramy Niebios i muzykujących przed nią aniołów. Od zieleni trawy stroje zbawionych odcinały się niezwykle różnorodnymi i bardzo intensywnymi barwami. Od razu rzucał się także w oczy ich krój – równie daleki od typowych średniowiecznych wyobrażeń o szatach niebiańskich, jak i od tego, co podówczas rzeczywiście noszono. Trudno było oprzeć się myśli, że obraz przedstawia zebrany na wolnym powietrzu tłum rozbawionych przebierańców. Akt wniebowstąpienia przeradzał się u Walddorfera w jakiś szalony, zdumienie budzący karnawał...

Privatdozent Wilhelm A. Schreiber nigdy nie zdołał sobie poradzić z wurzheimskim obrazem. Zbyt był rzetelny, by – wzorem tylu innych autorów najróżniejszych teorii – po prostu pominąć niewygodny fakt. Z drugiej strony naprawdę nie potrafił wyjaśnić, dlaczego drugorzędny malarz odważył się wystąpić przeciwko kanonom, które bez zastrzeżeń respektowali wszyscy najwybitniejsi twórcy. Po długim zwlekaniu uległ jednak wreszcie naciskom wydawcy i przekazał mu rękopis. Sprawę Walddorfera pozostawił otwartą; zasłonił się w odniesieniu do niego jedynie dość mglistymi rozważaniami o nieobliczalności artysty i o niezbadanych źródłach jego natchnienia.

Ostatecznie rozprawa pod tytułem „Alle Farben des Jüngsten Gerichts" wyszła spod pras drukarskch w czerwcu 1914 roku. Poza wąskim kręgiem specjalistów nie wzbudziła zainteresowania – świat był zaprzątnięty innymi sprawami. Kapitan rezerwy W.A. Schreiber został uznany za zaginionego na froncie pod Amiens wiosną 1918 roku. W niespełna trzydzieści lat później, w czasie nalotu dywanowego na zlokalizowaną pod Wurzheimem fabrykę amunicji, całkowitemu zniszczeniu uległo również muzeum miejskie, w którym przechowywano obraz Walddorfera.

II

Płomienie podniosły się wyżej i dobiegające spoza ich ściany krzyki przeszły w wysoki, przeciągły skowyt. Trwał minutę lub dwie a potem urwał się raptownie i słychać już tylko było, jak huczy rozgrzane powietrze i trzeszczą w ogniu żywiczne dyle. Gawiedź nie rozchodziła się jeszcze; powszechne, kamienne, grozę i fascynację wyrażające milczenie ustępowało miejsca szemrzącym głosom niewczesnych komentarzy. Mistrz Hans nie chciał w tym uczestniczyć. Przeżegnał się machinalnie, odwrócił na pięcie i jako pierwszy ruszył ku miastu.

Stos wzniesiono poza murami Wurzheimu i wracać wypadało wąską ścieżką wzdłuż fosy, bacząc, by stopy nie poślizgnęły się pośród błocka, w jakie przemienił ziemię topniejący, ostatni pewnie tej zimy śnieg. Zwodzony most był opuszczony. Strażnicy wsparci na broni spoglądali ku pnącemu się w niebo słupowi szarego dymu, żaden z nich nawet nie odwrócił głowy ku mijającemu bramę malarzowi. Wąską uliczkę, w którą po chwili wkroczył, także wypełniała gęsta maź; nieruchoma z brzegów – na samym środku sunęła leniwie niosąc ze sobą fekalia i śmiecie, pęki gnijącej słomy i rzeźne odpadki. Z pootwieranych piwnicznych okienek wionął ciężki, kwaśny odór.

Pchnął drzwi pracowni. Otoczył go i oddzielił od przykrych woni miasta zapach drewna, kleju i farb, wchłonęła go bezpieczna cisza. Usiadł na stojącej pod ścianą ławie, głowę odchylił do tyłu i oparł o chłodny mur, przymknął oczy... Już druga w tym roku czarownica spłonęła u bram Wurzheimu: stara Małgorzata, służąca od kupca Justusa. Ta pierwsza, wcześniej oddana płomieniom, była za to zupełnie młoda. Prawie dziewczynka. Lud chętnie słuchał ustępów z pisma, co zatytułowane było „Malleus maleficarum", z owej groźnej odezwy, którą przynieśli do miasta zakapturzeni mnisi. W umysłach i w sercach tężał prawdziwy młot, prawdziwy żelazny i ciężar gotowy spaść na każdą, choćby tylko odrobinę o czarnoksięskie zamysły podejrzewaną głowę.

Mistrz Hans w żadne czary nie wierzył. Kobiety żywcem płonące na stosach takie same miały konszachty z diabłem, jak każdy inny mieszkaniec Wurzheimu. Ale ich niezawiniona męka nie budziła w Mistrzu poczucia winy czy woli sprzeciwu; czyż winni byli ci, co nie przetrwali zarazy? I ci, których zaraz potem zabrał głód? Albo ci, których wyrżnęły zbrojne kupy zbuntowanych chłopów? Śmierć grasowała na całego. Stos był równie dobrym miejscem, jak cuchnący barłóg albo pole bitwy... Myśląc tak – nie robił wyjątku dla siebie. Jak dotąd wskazujący palec losu wciąż go omijał, ale przecież nieuchronnie nadejść musiał dzień, w którym i na niego zapadnie jakiś wyrok. Nie uważał, by należało mu się więcej niż któremukolwiek z tych, którzy tworzyli szarą, ludzką masę, jaka go otaczała. I w której z wolna tonął. Dzielił ich egzystencję bez zastrzeżeń i domagania się ulg.

A przecież nie był całkiem wolny od wewnętrznego buntu, od gniewnej pasji i namiętnego pragnienia. Dawno minęły lata, kiedy pełen młodzieńczych sił i zuchwałej nadziei wędrował na północ – do Louvain, Haarlemu i Brugii, a stamtąd, przez zieloną Szampanię i słoneczną Burgundię ku południowi, za ośnieżone Alpy – do Ferrary i Florencji... Kiedy odwiedzał warsztaty najsłynniejszych mistrzów, próbował przeniknąć ich tajemnice i ufał, że z czasem zdoła im dorównać. Teraz osiągnął już wiek, w którym artysta winien dawać światu swoje największe dzieła, te zaś, co wychodziły spod jego pędzla, wciąż dalekie były od wymarzonej doskonałości. Na próżno pracował od każdego świtu: po wielekroć przygotowywał szkice, zamazywał i przerabiał namalowane fragmenty, w nieskończoność poprawiał obrazy na pozór gotowe. Wiedział, że wszystko, co tworzy, nie może równać się z oglądanymi niegdyś pracami Flamandów i Italczyków. Ze sprawiającą ból jasnością dostrzegał, że nie może sięgnąć nawet tego, co rodziło się dziś i całkiem niedaleko – w pracowniach Norymbergi, Regensburga, Kolonii... Innych czekały uznanie i

Dariusz FILAR

Ur. w 1950 r. w Gdyni – ekonomista, pracownik naukowy Uniwersytetu Gdańskiego, pisarz SF. Debiutował w latach sześćdziesiątych na łamach „Radaru" recenzjami i miniaturami literackimi. W latach siedemdziesiątych opublikował wiele opowiadań SF w „Młodym Techniku", współpracując jednocześnie jako dziennikarz z krakowskim dwutygodnikiem „Student". Ukazały się następujące zbiory opowiadań D. Filara: „Czaszka olbrzyma" (Nasza Księgarnia-76), „We własnej skórze" (NK-82), „Nieostrość" (NK-85). Jako jeden z nielicznych polskich fantastów uprawia Filar również prozę współczesną (powieść „Pies wyścigowy", Czytelnik-84), a i w jego ostatnich opowiadaniach fantastycznych widoczne jest zdecydowane odchodzenie od stereotypowych rozwiązań SF ku prozie filozoficznej, mistycznej.

Fragment „Nieostrości" i obszerną notę biograficzną Dariusza Filara zamieściliśmy w numerze 10/83.

(mp)

rozgłos; dla niego pozostawał mizerny zaszczyt zajmowania pierwszego miejsca wśród artystów zapadłego kąta, jakim był Wurzheim.

Niekiedy ogarniała go wściekłość. Kipiącą falą wybuchała w nim nienawiść do siebie, do nieudanych malowideł, do samego Boga. Z zaciśniętymi pięściami na przemian bluźnił i rzucał w niebo gorzkie pytania: „Dlaczego dałeś mi umiejętność odróżnienia ziarna od plew? Czy tylko po to, by tak ostro biło w moje oczy bogactwo dzieł cudzych i nędza moich własnych? Cóż przyjdzie z tego, że potrafię w lot rozpoznać arcydzieła, jeśli nie obdarzyłeś moich oczu i rąk zdolnością ich tworzenia? Dlaczego obudziłeś we mnie pragnienie dotarcia na najwyższe szczyty, chociaż wiedziałeś, że nie na moje siły ta droga? Dlaczego tak okrutnie ze mnie drwisz?"

Kiedy indziej korzył się. Ślubował nigdy więcej nie narzekać na los i w zamian błagał o jeden jedyny rozbłysk prawdziwego natchnienia, o to tylko, by raz w życiu dana mu była moc stworzenia majstersztyku. Wzniósłszy oczy ku drewnianemu Zbawicielowi rozpiętemu na krzyżu pod sklepieniem wurzheimskiej katedry szeptał: „Raz jeden dopomóż mi przekroczyć moją własną miarę. Pozwól, by wypełniły mnie harmonia i lekkość. Będę pracował bez pożywienia i snu, ale spraw, bym w radosnym uniesieniu dojrzał wreszcie, jak pod dotknięciem mego pędzla wyłania się z niebytu doskonałość. Przecież możesz to uczynić..."

Mistrz Hans otworzył oczy. Przeniesiona pod powiekami wizja płonącego stosu szybko się rozpłynęła. Przed nim, oparte o przeciwległą ścianę, stały dwie wysokie i wąskie, biało zagruntowane tablice. Trzecia, tak samo wysoka, lecz znacznie szersza, leżała na podłodze i nie była jeszcze przygotowana do malowania. Te puste, kształtów i barw czekające płaszczyzny, miały stać się ołtarzem. Wypełnić je miało wyobrażenie Sądu Ostatecznego, jakim swą cechową kaplicę zapragnęli ozdobić kowale i płatnerze Wurzheimu. Chcieli patrzeć na piekło, co będzie ich przerażać. Na niebo, co obiecywać będzie radosne wyzwolenie od ziemskiego cierpienia. I na wagę, której szale będą ciężko opadać pod chwalebnym balastem zasług i cnót ludzi sprawiedliwych, a lekko unosić beznadziejną nieważkość grzeszników.

Starsi cechu, którzy na samym początku Wielkiego Postu zjawili się u Mistrza Hansa, zdawali się doskonale wiedzieć, jakich malowideł oczekują. Bez trudu odgadł, co obejrzeli, nim postanowili udać się do niego i kogo powinien naśladować, by zadowolić ich gusty. Wszystko układało się typowo i prosto. A przecież teraz zwlekał z rozpoczęciem pracy. Scalały się w nim okruchy po raz setny odżywającej nadziei, powoli dojrzewał nastrój, w którym ołtarzowe zamówienie jawić mu się mogło jako wyzwanie i jeszcze jedna, ostatnia już może, szansa. Znowu zaczynał wierzyć, że uchroni się przed stworzeniem czegoś, co będzie tylko krzywym, bladym odbiciem o wiele doskonalszych wzorów. Że nareszcie uda mu się wyrazić więcej, wzbić się wyżej.

Wstał i postąpił dwa kroki w kierunku prawej tablicy. Tak samo jak poprzedniego dnia, jak przed tygodniem i przed miesiącem, wbił wzrok w nietkniętą biel. Gdybyż mógł poprzez nią dostrzec choćby zarys upragnionej kompozycji! Jak właściwie znajdowali ją ci najwięksi? W jaki sposób odciskali piętno swego talentu w starych, znanych motywach? Nie pokazywali niczego nowego, bo przecież nawet oni nigdy nie widzieli wylotu piekielnej otchłani. Ani Bramy Niebios. Czyż jednak mistrzem największym z największych nie stałby się ten, który by je ujrzał naprawdę?

Mijały minuty i kwadranse, a on nie zmieniał pozycji. Nie dawał wytchnienia oczom. Krótki zimowy dzień dobiegł końca i pracownię wypełnił szybko gęstniejący i wszystko pochłaniający mrok; tylko biała płaszczyzna przyszłego obrazu wciąż ostro odcinała się od otoczenia. Zdawała się świecić.

I oto nagle Mistrz Hans pojął, że jasny prostokąt staje się bramą, przejściem do rozległych, w bezkresną dal sięgających obszarów. Przestrzeń wzywała go ku sobie, przyciągała go z niezwykłą mocą. Zafascynowany zbliżył się, stanął na jej progu. Zrazu nie dostrzegł niczego; druga strona ziała ciemną pustką. Potem zatańczyły w tej pustce wielobarwne światła, a jednocześnie w niewiadomy sposób objawiło się Mistrzowi, że punkt, w którym się znajduje, bardzo odległy jest od fundamentów czy też od dna owego świata. I nie stoi w miejscu, lecz ze straszliwą szybkością dokądś się przesuwa. Nie potwierdzało tego żadne doznanie zmysłów (roztańczone światła cały czas utrzymywały się na poziomie jego oczu i ani nie zbliżały się, ani też nie oddalały od niego; nie czuł również najlżejszego powiewu), a jednak dwóch rzeczy był całkowicie pewien – wysokości i pędu. Tego, że u stóp ma przepaść i tego, że jak strzała nad nią przelatuje.

Nie uchwycił momentu, w którym szybkość lotu zmalała, a on sam opadł w dół. Stało się teraz tak, jakby przybył na wurzheimski zamek i ze szczytu najwyższej wieży patrzył na lasy otaczające miasto. Dostrzegł wśród nich rozległą polanę. Trwał tam jakiś ruch, więc wytężył wzrok, a wtedy – z oddalenia i wysokości, w słabym świetle pochmurnego poranka – zobaczył to, czego nigdy nie miał już zapomnieć: wielką, wygrzebaną w ziemi jamę, stojący nad nią szereg wyniosłych sylwetek, sterty nagich albo prawie nagich ciał i zielonego smoka, bestię o połyskliwym pancerzu i płonących białym światłem ślepiach, która wśród ryku, zgrzytów i sapania spychała w dół doczesne ludzkie powłoki. Mistrz Hans nabrał przekonania, że ma przed sobą piekło.

Tylko przez kilka chwil dane mu było patrzeć na okrutny pejzaż. Zaraz potem osunął się w gęstą czerń, w głęboką noc bez snów. Ocknął się na podłodze pracowni. Leżąc skulony pod białą deską wciąż nie namalowanego ołtarzowego skrzydła przyglądał się smugom porannego blasku, które wciskały się przez szpary w okiennicach i drzwiach. W jego głowie kłębiły się strzępy obrazów. Nurtowały go chaotyczne, niespokojne pytania: „Dlaczego diabły nie miały rogów i ogonów? Jak tam właściwie dotarłem? Czy potępieni są na wieki martwi? Czy tak wyglądał smok, z którym walczy Święty Jerzy? Czy w dole płonął ogień? Jak stamtąd wróciłem?"

Odpowiedzi nie nadchodziły i zdał sobie nagle sprawę, że wcale ich nie potrzebuje. Wystarczył mu widok, który z każdą chwilą pełniejszy i wyraźniejszy wyłaniał się z jego pamięci. Własna wizja! Skoczył na równe nogi, porwał za kawałek węgla i gorączkowo począł szkicować na desce ujrzaną wcześniej scenę. Własna wizja! Nie troszczył się już o to, co malowali inni i nie próbował naśladować ich dzieł. Nareszcie swobodny i uspokojony szedł jemu jednemu znaną drogą, tak jak umiał odtwarzał piekielny krąg. A przeczucie mówiło mu, że nim ukończy pracę przy pierwszym skrzydle ołtarza, zdąży jeszcze zerknąć na niebo.

III

Od prawie dwóch tygodni Dieter Sorge nie potrafił opanować miotającego nim podekscytowania. Pokój, w którym zwykł pracować zaczął mu się wydawać za mały, obrotowy fotel przy biurku przestał nagle być wygodny, klawisze na desce komputera nabrały podejrzanej śliskości, a za oknem bez przerwy działy się jakieś hałaśliwe, rozpraszające uwagę głupstwa. Dieter tłukł się od ściany do ściany, nabijał tytoniem kolejne fajki, wypijał niezliczone filiżanki mocnej herbaty. Z przerażeniem spostrzegał, że marnuje czas, że godziny i dnie przeciekają mu między palcami jak woda. Myśląc o tym czuł się winny. Winny bardziej niż kiedykolwiek, bo sprawę, która wywołała jego obecny stan uważał za coś naprawdę niezwykłego i doniosłego, za coś, co wręcz domagało się pilnego opracowania, wyjaśnienia, zamknięcia w jasnych słowach. Ale na razie w żaden sposób nie udawało mu się podołać zadaniu.

Wszystko zaczęło się właściwie o wiele wcześniej. Przed kilkoma miesiącami. W małym antykwariacie kupił wtedy staloryt wykonany przed prawie wiekiem podług obrazu starszego o dalszych czterysta lat. „H. WALDDORFER pinxit" – głosił rząd drobnych literek w lewym dolnym rogu pożółkłego arkusza kartonu. „A. H. PAYNE sc." – uzupełniały go literki po stronie prawej. Powyżej odbito równolegle dwa podłużne sztychy: jeden wyobrażający apokaliptyczną bestię zagrzebującą w ziemi setki nagich ciał i drugi, na którym czterech skrzydlatych muzyków przygrywało tłumom zgromadzonym w rozległym amfiteatrze. Z objaśnień na odwrocie kartonu wynikało, że treścią tych wizji są piekło i raj.

Dieter pinezką przypiął obrazek do ściany nad biurkiem. Właściwie nie wiedział, czemu wciąż chce go mieć przed oczyma. Może pociągał go staroświecki urok stalorytu? Może fascynował smok – monstrualnych rozmiarów żaba czy też raczej żółw – dominujący nad piekielnymi czeluściami? A może podobała mu się myśl o niebie, w którym zbawieni będą słuchać muzyki i tańczyć? Nie był znawcą malarstwa; nie zdawał sobie jeszcze wówczas sprawy ze szczególnych cech dzieła Walddorfera. I niewiele umiałby powiedzieć o samym artyście. Właściwie nic poza tym, że mieszkał on kiedyś w mieście, które było również jego miastem – w Wurzheimie.

Przed dwoma tygodniami stary obraz ukazał się w zupełnie nowym oświetleniu. Dieter przygotowywał się właśnie do napisania szkicu, w którym zamierzał dokonać porównań między zbrodnią, jakiej dopuszcza się jednostka godząc na życie innej jednostki i zmasowanym – rzec by można: uprzemysłowionym – mordem, w jakiego niezliczone przypadki brzemienne było XX stulecie. Z myślą o drugim wątku przynosił z biblioteki, a później godzinami kartkował albumy prezentujące zbiory amatorskich fotografii, na których zostały utrwalone przerażające, dantejskie sceny jednoczesnej śmierci setek, a niekiedy i tysięcy ludzi. Albumy pochodziły z całego świata i z różnych lat. A sterty trupów

wszędzie wyglądały podobnie: zgładzeni gazem, zgładzeni kulami, zgładzeni trotylem i fosforem... Żadnego znaczenia nie miała już sprawa, dla której zginęli i nikt nie pamiętał mętnych racji zabójców; mord był tylko mordem, a śmierć tylko śmiercią. Dlaczego nad tak wieloma jamami masowych grobów pojawiał się ktoś uzbrojony w aparat? O czym myślał naciskając spust migawki?
Wśród innych była też kolekcja zdjęć, które zrobiono w pierwszych dniach po zbombardowaniu Wurzheimu. Raz jeszcze przed oczyma Dietera monotonnie przesuwały się prawie jednakowe, dobrze już mu znane widoki. A przecież nagle coś sprawiło, że zaprzestał kartkowania i szybko zaczął odkładać z powrotem przepuszczone już pod opuszką kciuka arkusze. Był pewien, że przed chwilą zamajaczyła mu wizja szczególna, że scena dopiero co widziana przez mgnienie, wydała mu się znajoma nie przez swoje podobieństwo do innych, lecz dlatego, że kiedyś musiał ją – właśnie ją! – oglądać dłużej.

Odnalazł wkrótce zdjęcie, które nadało delikatny sygnał: czołg użyty w roli spychacza zgarniał do wykopu setki zwłok, a kilkunastu ludzi przyglądało się operacji bez ruchu stojąc na usypiskach. Gdzie to już widział? Moment ustalenia źródła skojarzeń okazał się dlań prawdziwym wstrząsem: Dieter pojął, że ma przed sobą obraz Walddorfera. Nie sposób było dłużej nie dostrzegać, że masowy grób to piekielna czeluść, ludzie na usypiskach – diabły, a czołg z zapalonymi reflektorami – smok. I jedynie góry nagich ciał były tylko górami ciał.

Sporządził kserograficzną odbitkę zdjęcia. Wzmocnienie kontrastów, wyostrzenie granic między bielą i czernią – upodobniło je do sztychu. Prawie nie wyglądało już na wynik pracy kamery, lecz na dzieło grafika. A gdy odbitka spoczęła na biurku obok zdjętego ze ściany stalorytu, musiały się rozwiać ostatnie wątpliwości. To nie było złudzenie. I nie mógł to być efekt czystego przypadku.

Właśnie od tej chwili opanowało Dietera nie dające się kontrolować podniecenie. Pojął, że przez zbieg okoliczności odkryte pokrewieństwo między liczącym blisko pół tysiąca lat malowidłem i fotografią sprzed lat kilkudziesięciu ofiarowuje mu punkt wyjścia do dociekań, wobec których wszystkie jego dotychczasowe intelektualne dokonania okażą się czczą paplaniną. Jedno po drugim eksplodowały w jego głowie pytania, z których każde mogło stać się początkiem oddzielnego eseju: czy to możliwe, by dzieło Walddorfera natchnęło jakiś obłąkany umysł do piekielnej inscenizacji? Czy ktoś podjął próbę skopiowania go w postaci żywego obrazu, który następnie utrwalono na kliszy? Ale właściwie dlaczego pod czaszkami pewnych ludzi, pod czaszkami artystów takich jak Walddorfer, lęgną się wizje, które – przynajmniej na pozór – nie mogą być odbiciem ich realnego doświadczenia? Więc może jednak to, co w pierwszej chwili może zdać się przyczyną – w rzeczywistości jest następstwem? Może należy zgodzić się na odwrotną kolejność wydarzeń i przyjąć, że obdarzony proroczym zmysłem Walddorfer po prostu ujrzał scenę, która miała się rozegrać w setki lat po jego zgonie? Czy to nie naturalne, że wszyscy, którzy posiadają moc zaglądania w przyszłość zawsze skazani są na wypaczone jej pojmowanie, na nieudolne interpretacje, dzięki którym, po zobaczeniu rzeczy zupełnie obcych, chociaż trochę przybliżają je do spraw znanych – dzięki którym niewyobrażalny czołg przemienia się w wyobrażalnego jeszcze smoka? I w końcu czym jest przeszłość, teraźniejszość i przyszłość? Czy chwila miniona roztapia się w nicości, a chwila przyszła jeszcze się z nicości nie wyłoniła? Czy może raczej pierwsza z nich, nie tracąc swego pełnego kształtu, przesuwa się tylko w jakiś inny wymiar, a druga w gotowym, pełnym kształcie w jakimś innym wymiarze czeka? Bo może czas to ciemny, biegnący przez nieskończoność i wiecznie trwający tunel, a teraźniejszość to jedynie jego maleńki odcinek przejściowo wyrwany z mroku przez szaleńczo pędzące światełko? Czyż więc nie może się niekiedy zdarzyć, że błędny, ostry promień wybiegnie nagle naprzód, a oczy wybrańców podążą jego śladem?

Wiedział, że jak najrychlej winien wziąć się do pisania, że jego spostrzeżenia i skojarzenia tak wyraźne dzisiaj – z upływem czasu przyblakną, rozproszą się i dokądś odpłyną. Nic przecież nie dorówna najpierwszym, jak błyskawica przeszywającym mózg myślom. Przegapiać je i zarzucać to wyrzekać się jedynej szansy na powiedzenie światu czegoś naprawdę nowego i interesującego. A jednak, sam siebie nie pojmując, zwlekał z rozpoczęciem pracy. I aby przed samym sobą jakoś tę opieszałość usprawiedliwić, wypełniał dni gromadzeniem materiałów o malarstwie sprzed wieków, o losach poszczególnych dzieł i ich twórców. Tak trafił na starą książkę, która w 1914 roku wyszła spod pras jednej z getyńskich drukarń. Napisana była wyjątkowo drewnianym, belferskim stylem, a jej tytuł – „Wszystkie barwy Sądu Ostatecznego" – odstręczał pretensjonalnością, ale za to autor, niejaki Privatdozent Wilhelm A. Schreiber, wyrażał przekonanie o niezwykłości obrazu z Wurzheimu równie silnie jak jego własne. Widząc całą rzecz w odmiennej nieco perspektywie – wypełniony był identycznym przeczuciem bliskości nieprzeniknionej granicy, taką samą bezradnością w obliczu zagadki wyrastającej ponad zwykłe myślowe nawyki.

Odkrywszy podobieństwo wątpliwości Schreibera do swoich własnych niepokojów i wahań, Dieter Sorge zapragnął dowiedzieć się czegoś bliższego o uczonym poprzedniku. Bez trudu odnalazł jego nazwisko w „Meyers Biographisches Wörterbuch". Ale lektura krótkiej notatki zawierającej datę urodzenia, tytuły najważniejszych dzieł, stanowiska piastowane w paru zakładach naukowych i domniemane okoliczności śmierci jedynie pomnożyła liczbę pytań. Bo może zdarzyło się tak: Privatdozent i Reservehauptmann Schreiber nie poległ nad brzegiem Sommy, lecz w wyniku kontuzji utracił pamięć. Zagubił się, umknął sanitarnym patrolom, błędnie zaszeregowano go w wojskowych ewidencjach. Wiedziony jakimś dziwnym, nadnaturalnym zmysłem przebył setki kilometrów i zawędrował do Wurzheimu. Żył potem tutaj z ludzkiej łaski, a przynajmniej raz dziennie chodził do miejskiego muzeum i wbijał ciężkie spojrzenie kamiennych źrenic w nie ukończony obraz Walddorfera. Może jeszcze dzisiaj dałoby się odnaleźć jakiś ślad starego dziwaka, którego przeszłości nikt nie znał? Zakończył życie wraz z setkami innych tuż przed końcem kolejnej wielkiej wojny – w noc nalotu. Pochowany został w masowym grobie, którego kopanie utrwalono na zdjęciu. Bo czyż nie było możliwe, że ku namalowanemu przed wiekami piekłu od samego początku – od dnia, w którym pierwszy raz wpadł na kilka godzin do Wurzheimu, by w naturze obejrzeć obraz, który nie pasował do tez jego rozprawy – przyciągała Schreibera siła, z której działania nie zawsze zdajemy sobie sprawę, ale która drzemie w każdym z nas: pragnienie poznania zawczasu okoliczności własnego końca?

Dieter nie wiedział już czy tkwi w chaosie zbiegów okoliczności, w samym środku czystej gry przypadków, czy też z wolna staje się ogniwem pełnego znaczeń łańcucha. Nie był pewien, czy rzeczywiście odkrył nić łączącą Walddorfera ze Schreiberem, czy wmówił w siebie jej istnienie. Momentami zaciekle tropił naciągnięcia i luki swego rozumowania, w zniechęceniu rozbijał misterną konstrukcję hipotez. Ale kiedy indziej poddawał się nieprzetartemu wrażeniu, że wszystko, na co ostatnio natrafił, dopasowuje się i spaja: przenikliwy wzrok malarza z przykutymi do jego obrazu oczyma uczonego, ulotna wizja artysty z surową tkanką rzeczywistości, to, co miało nadejść z tym, co dawno minione... Czas i przestrzeń oplatały się wtedy wokół niego, zamykały go w swoich zawęźleniach i supłach.

W dzień, który miał mu przynieść największy wstrząs i najpełniej ukazać jego własne miejsce wśród przetasowanych pejzaży i chwil, Dieter wciąż pozostawał w punkcie wyjścia. Nie zdołał napisać ani słowa. I coraz mocniej czuł, że dusi się w pracowni. Zapragnął wreszcie uciec z tej celi, w której sam siebie uwięził. Znaleźć się na otwartym, rozległym obszarze. Pod gołym niebem. Pośród ludzi...

Wywołał odpowiednie połączenie i na monitorze komputera ukazał się lokalny program imprez i spektakli. Znalazł w nim informację o wielkim koncercie organizowanym na głównym stadionie Wurzheimu. Nie mógł wyobrazić sobie niczego lepszego! Spojrzał na zegarek – był już trochę spóźniony, ale to nie mogło zmienić jego wyboru; coś pchało go w tamtą stronę, mówiło mu, że musi tam pójść. Bez przeszkód dotarł na miejsce. Kupił bilet, a potem stanął w najwyższym punkcie rozległych trybun. Na kocach i śpiworach siedziały i leżały tysiące młodych, kolorowo ubranych ludzi. Okrzykami i klaskaniem zachęcano do żywszej gry muzyków: trzech gitarzystów i perkusistę, którzy wystroili się w atłasowe, powłóczyste szaty, jakie zwykły nosić anioły ze świętych obrazów. Na samym dole, już na murawie boiska, zebrało się kilka grupek, które próbowały tańczyć.

Estradę ustawiono pośrodku stadionu. Z jednej strony zamykał ją ogromny ekran, na którym wyświetlano towarzyszące muzyce obrazy. Gdy pojawił się na nim kamienny portal gotyckiej katedry, Dieterowi wydało się nagle, że wszystko to, co ma przed oczyma, widział już kiedyś wcześniej, że cała ta scena... „Walddorfer!" – szepnął. I w tej samej chwili poczuł na plecach jego zachłanny wzrok.

Dariusz Filar



MÓWI GRAFIK

NAJPIERW NAOLIWIĆ ZAMEK

Problem, który zarysował skrótowo (mp) jest bardziej złożony niż się mu wydaje. Nie tylko stawki i niechęć do czytania maszynopisów stanowią o jakości pracy grafika. Owszem – istnieją w wydawnictwach Komisje Artystyczne, czasem artystyczne nie tylko z nazwy, czasem rzeczywiście pani redaktor powie: „O, znowu na fioletowo, przecież mnie w fioletowym nie do twarzy".

Spójrzmy na „sprawę" okładek nieco szerzej. Przede wszystkim – okładkę istotnie podpisuje jej autor, zatem od jego osobowości i umiejętności zależy wiele, ale nie wszystko. Większą czcionką wydrukowano nazwę oficyny. I na propozycję grafika wydawca mówi „tak" lub „nie". Grafik nie jest z żelaza i – choć czasem szkoda – idzie wydawnictwu na rękę. Nie jest to opis modelowy, lecz proszę mi wierzyć: tak to en bloc wygląda.

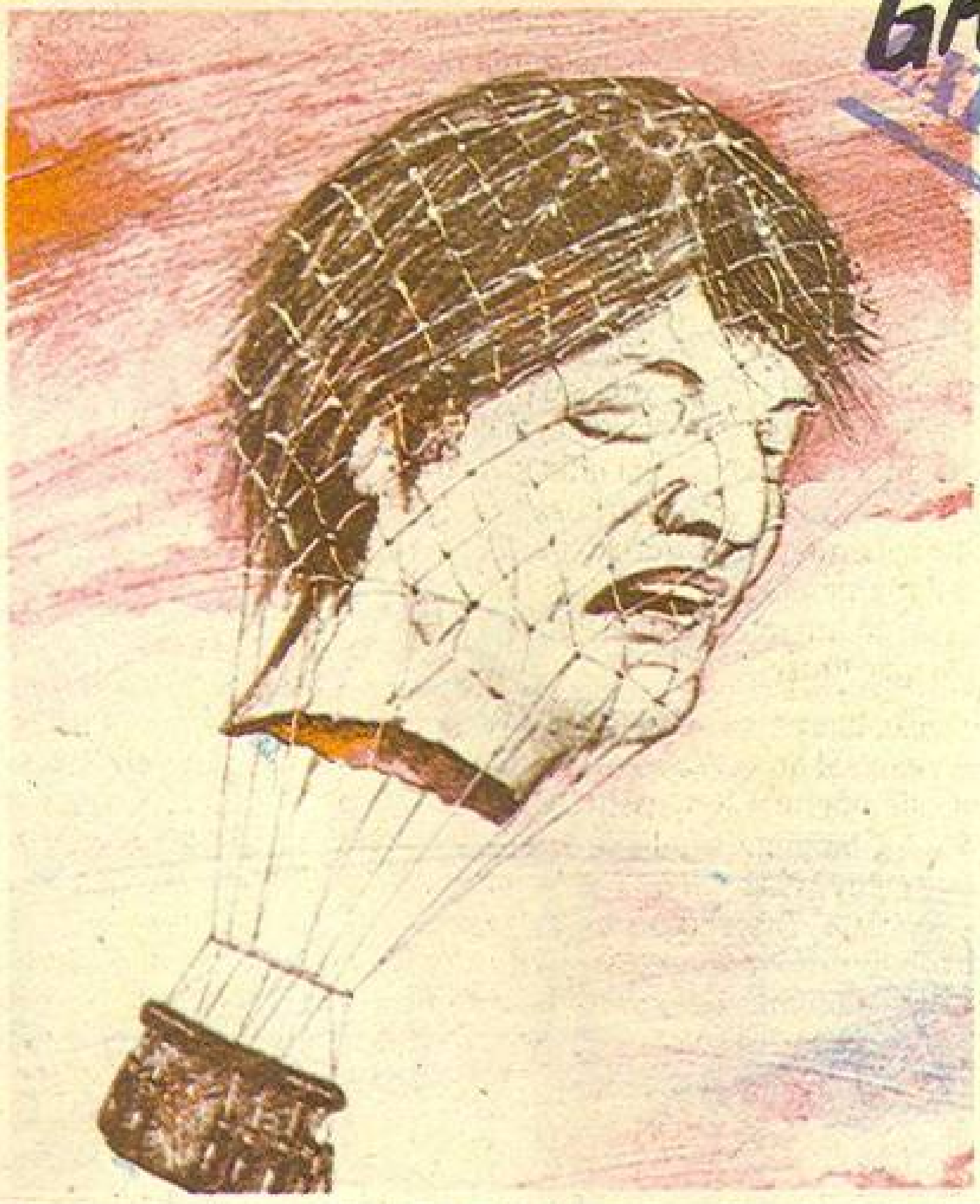
Czytelnik żąda ilustracji realistycznej. Grafik takiej nie dostarcza. Czy tylko dlatego, że wydawca nie lubi Matejki?

Otóż w Polsce nie istnieje moim zdaniem rzetelna, realistyczna szkoła grafiki. Widzę dwie zasadnicze przyczyny. Pierwsza – to prymat pomysłu literackiego nad plastycznym. Szkoły sztuk pięknych są opanowane przez kadrę, która swą świetność osiągnęła w czasie tzw. polskiej szkoły plakatu. Nie odbierając ani ludziom, ani ich wybitnym przecież dziełom wartości, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że poszukiwania coraz to nowych pomysłów literackich na dzieło sztuki wizualnej musi odbić się właśnie na umiejętnościach warsztatowych; na przykład czemu zlikwidowano na ASP w Warszawie ćwiczenia z anatomii.?

To sprawa pierwsza. A druga to zwykły niedostatek. Rynek wydawniczy ciągle jeszcze nie istnieje. Wydawnictwa produkują książki jak rury czy pralki – przecież i tak się sprzeda. I nie ma chyba wydawnictwa, które nie zarabia na siebie, a przy okazji i na innych. Wydawcy i autorzy zachodni, którym na przykład KAW proponuje stutysięczne nakłady spadają z wrażenia z krzeseł. Ileż oni muszą się nabiedzić, by sprzedać swoją książkę w nakładzie pięciotysięcznym! Potrójny lakier, złote i srebrne wpraski, wypukłe logotypy, niedługo pojawią się supercienkie hologramy. I ilustracja, która ma „zaskoczyć" wśród tysięcy podobnych do siebie książek.

Opis ten dotyczy nie tylko gatunku SF, choć może jest to gatunek bardziej niż inne zdany na wizualną oprawę swych produktów. Czuję, że i nasi wydawcy zaczną niezadługo walczyć o czytelnika i zawartość jego kieszeni. Brzydko i źle wydana książka nie sprzeda się łatwo...

(zalley)



Andrzej Pągowski



Na IV stronie okładki proponujemy Państwu – jako antidotum na „Dune" z „Iskier" – zatwierdzoną przez wydawnictwo „ALMA-PRESS" ilustrację do serii książek fantastycznych. Jest to propozycja grafika, który u nas debiutował – Ryszarda Wojtyńskiego. Prócz niej (na str. II i 18) – zrobiona dla przyjemności, raz tylko wystawiona w 1981 r. – seria okładek wykonanych przez Wojciecha Nowaczyka z Wieruszowa – prac wyrafinowanych plastycznie, inteligentnie nawiązujących do tekstów, pracochłonnych.

Jak widać można, kiedy się chce. Wystarczy chcieć.

MIĘSO

Andrzej Urbańczyk

Pracuję w wielkim supermarkecie. Dział mięsny. Mam 35 lat. Jestem kierownikiem – ale jak widzicie nie rżnę ważniaka... Nazywam się Harry i muszę wam powiedzieć, że lubiłem zawsze moją prace.

Zawsze, to znaczy od kiedy zacząłem pracować w miesie, byłem wtedy cholernym szczeniakiem i mieszkałem na połnocy kraju. Miałem nie wiecej jak 23 lata, kiedy zdarzyła sie ta cała historia z nerkami. Kupa czasu. Zapomniałem już o niej... Wyjaśnię dalej jak mogę pamiętać ją skoro zapomniałem. Nie daje mi jakoś spokoju, muszę ją wam opowiedzieć. Skoro pamiętam, w jaki sposób mogłem zapomnieć? Kochani, co tu dużo gadac, po prostu musiałem.

Byłem wiec jeszcze cholernym smarkaczem zatrudnionym przy finalnym rozbieraniu mięsa. Tak sie to, dosyc zawile, nazywało. Co robiłem? No, po prostu kroiłem przywożone z rzeźni do supermarketu kawały mięsa na takie kawałeczki, jakie przypadają do gustu domowym gosposiom, nie mogącym już inaczej przeżyć przedpołudnia niż wędrując po sklepach i szukając okazji do wydania zarobionych przez ich facetów pieniędzy.

Lubiłem moją pracę. Mięso jest niezwykłym budulcem. Można godzinami patrzeć, jak zostało ukształtowane, jakie ma niezwykłości i cudowności. Mówię mięso, ale na myśli mam wszystko: kości, ściegna, żyły, wnętrzności...

Architektura życia jest, bez wątpienia, najwspanialszą z architektur. Po prostu żywe cuda... Jak mówiłem – można godzinami oglądać nawet mały kawałek mięsa i nie móc się nadziwić jak wspaniale został stworzony.

Czasem trafia się coś niezwykłego, kuriozalnego po prostu. Szczególnie gruba czy wyjątkowo sprofilowana kość. Odwrócone serce, czy takie cielę z dwoma ogonami. Mogę podziwiać takie rzeczy godzinami. Nic dziwnego, że nauczyłem się anatomii. Nie, skądże! Nie myślę o medycynie. Nie interesuje mnie leczenie. Rad jestem, że sam jestem zdrów. W dzisiejszych czasach! Rak, zawały czy po prostu depresje psychiczne... Te ostatnie zwłaszcza cholernie koszą. Zasępi się facet raz, drugi, trzeci – no i już gotowe. Sznurek, proszek czy zwyczajnie – kurek...

Nie, nie myślę o medycynie. Interesuje mnie sama mechanika budowy organizmu. Nic więcej, słowo daję.

– Patrz, Harry – mówi do mnie kolega z sekcji wyrobów. – Widziałeś kiedyś coś takiego? – Podsuwa mi pod same oczy dwie nerki. Nerki! Wspaniała rzecz takie nerki. Porżnięte na dzwony w sosie curry albo jeszcze prościej z rusztu! Marzenie...

Patrzę więc na te dwie nerki. Baranie, ale takich w życiu nie widziałem. Wy zresztą też – mam nadzieję. Więc słuchajcie.

Obejrzałem je starannie. Przekroiłem jedną, popatrzyłem, powąchałem. Zajęło mi to z godzinkę – przerwy obiadowej oczywiście – bo w supermarkecie trzymali nas ostro. Baranie nie baranie. Nie byłem pewien. Na pewno nie wieprzowe – bez dwu zdań. Dziwna, bardzo dziwna sprawa. Kolor, krój – jakieś inne. Kupiłem więc te dwie nerki – w supermarkecie bowiem trzymali nas ostro. Zdaje się już mówiłem – ale zawsze warto przypomnieć – i położyłem na lodzie.

Po pracy, robiliśmy do piątej wtedy, wziąłem te niby-baranie i pojechałem do pobliskiego weterynarza. Wiecie, taki facet, u którego w poczekalni siadują babcie od kapryszących kotów i zachrypłych kanarków...

Facet długo wypytywał się – skąd ja to mam, komu zginęło itp., itd. Potem jak już się udobruchał – wlazł w te nerki prawie cały. Babcie z pieskami poszły do domów nie załatwione, a my wciąż siedzieliśmy nad tymi nerkami. Ludzie! Pierwszy raz zobaczyłem co to znaczy mieso. Weterynarz pokazywał mi pod mikroskopem tkanki, pojedyncze komórki. Ciął cieniuteńkie plasterki, że nawet żyletką „Meskość" byście czegoś takiego nie spreparowali, barwił je różnymi odczynnikami – najbardziej to mi się podobał taki błękit molowy – i pakował pod obiektyw. Zrozumiałem wtedy, że wszystko, co wiedziałem o mięsie, to tyle ile wie facet o koniu poklepując go po karku...

Mój nowy znajomy im dłużej badał, tym bardziej się dziwił, nie zapominając co jakiś czas zagadywać mnie – wciąż w kółko jak na śledztwie – co mną naprawdę kieruje. Zabawny facet. W końcu zaproponował, żeby wysłać jedną z tych niby-baranich (śmiał się) nerek do stolicy do instytutu – zapisałem to sobie – fizjopatologii.

– Czemu nie – powiedziałem. Cóż, tam będą coś wiedzieli! – Może i to trochę niegrzeczne, ale do diabła – myślę, że taki człowiek, który od staruszki z bezzębnym jamnikiem bierze piątkę nie mrużąc oka, winien w końcu wiedzieć z jakiego zwierzaka co pochodzi...

Na drugi dzień, zaraz po wejściu do supermarketu, z tym kolegą co mi te nerki przyniósł, zaczęliśmy szukać po wszystkich ladach czy nie znajdzie się jeszcze jakiś dziwny kawałek. Oczywiście zrobiłem głupstwo, że nie zacząłem szukać zaraz, kiedy się z tymi nerkami zgłosił. Teraz było już za późno, bo wczoraj był dzień wypłaty i z racji tego poszła góra sprzedaży.

Pytaliśmy też chłopaków, czy nie pamiętają czegoś. Od steków, od łapek – do podrobów. Jeden z nich, dosyć podejrzany palant, motał, że widział wczoraj dwie nogi do żadnych innych nie podobne. Ponoć wyglądały tak dziwacznie, że, choć to była strata – pchnęli mięso w maszynę do mielonego, na hamburgery, a kości na rębarkę. Machnąłem ręką. Wiadomo rębarka tylko zawyje, a z drugiej strony wyskoczy kupka wiórów. Cześć...

Potem ktoś tam opowiadał o dziwnym łbie, niby-barani, niby-prosięcy. Znowu ta sama historyjka. Na galaretę go przerobili, bo nikt i tak jako całość by nie kupił. Chyba by dzieci straszyć. – Tak powiedział.

No tak, ludzie wszystko zjedzą. Zwłaszcza jako mielone lub galaretę. Czy była to jednak prawda? Któż tam wie! Wiara znając moje mięsne dziwactwa podpuszczała mnie nieraz jak jasny gwint.

Tak na marginesie. Nie wierzcie w to, co mówią, że w supermarkecie idzie często jakiś kotek czy piesek zabłąkany. Nieprawda. Zdarzy się, czasem, ale żeby często – jak ludzie mówią – to zwykłe kłamstwo i obmowa. Manager i kontrola czuwa. Możecie być całkiem spokojni.

W tym instytucie fizjopatologii nie spieszyli się wcale. Weterynarz nawet zadzwonił parę razy, ale w końcu powiedzieli mu, że takich weterynarzy z prowincji i ich naukowych rewelacji to oni mają na kopy i gdzieś. Więc daliśmy spokój – bo najgorzej to się wychylać. Wiadomo.

Raz tylko poszedłem do niego i popatrzyłem sobie na tę pozostawioną nerkę – zamrożona w lodówie, obok różnych powycinanych tym kanarkom i psom bebechów. Skąd miałem wiedzieć, że widzę je po raz ostatni? Jasnowidzem nie jestem...

Po tygodniu, z nudów, akurat przyszło mi to na myśl. Podskoczyłem do rzeźni. Niedaleko było. Autostrada nowo zrobiona, samochód trzymał mi setkę całą drogę.

Nic nie wiedzieli. Nie dziwię się. Masowy ubój. Stada bydła przez nich przechodzą. Kto by się tam z jakimś niby-baranem pieprzył. Masówka!

Kazali mi się wynosić – bo sprawa była nietypowa, a więc mocno podejrzana. Na koniec jeden facet nawet zamierzył się na mnie elektrodami do bicia byków. 12 tysięcy woltów. Ja dziękuję. Niby żartem, ale kto go może wiedzieć!

Nie były to jednak ostatnie dranie, bo na odczepnego dali mi

adres farmy skąd najprawdopodobniej te barany mogły nadejść. Nie za darmo, oczywiście! Nie za darmo mi dali. „Na ucho" – to się wie.

Miałem akurat trzy dni nadgodzin pod rząd, a potem był weekend, więc wiadomo. Tak że pojechaliśmy z tym, który znalazł pierwszy te nerki, na wiochę.

Niełatwa sprawa! Gadaj tu z wsiowymi. A po co, a dla kogo? A na co? A za co? Niech ich grad z powodzią zniszczy. Oczywiście mieliśmy ze sobą co trzeba. Nie w najlepszym gatunku – wiadomo, bo by nas za łapsów czy tajniaków wzięli. Jak już wypiliśmy wszystko, dziadyga, którego ścięło najlepiej puścił parę: „Jak my gonili te stado z gór dwie sztuki były zupełnie inne. Całkiem inne". Dlaczego inne? Farmerzyna nie potrafił powiedzieć. Ot ile wart jest ten „zdrowy wiejski rozum". Niech go nosacizna...

W każdym bądź razie te dwie inne sztuki nie chciały trzymać się ze stadem. Szły inaczej, beczały chyba (ale tak naprawdę to nie był pewien) inaczej. „Chyba się gdzieś urwały" – paplał. Dlaczego? Nie wiedział. Dopiero jak ryknąłem na niego, bo mi się już krew zaczynała burzyć – puścił parę: „Jakieś druty czy kable ciągnęły za sobą..."

Zrozumiałem wszystko i wytrzeźwiałem natychmiast. Zacząłem tłuc chłopa o ścianę, że chałupa chodziła na fundamencie. – Mów – obie poszły na ubój, czy tylko jedna? Mów – bo zatłukę na miejscu.

Myślę, że nie wiedział naprawdę. Zresztą zamieszanie się zrobiło. Wsiowi w takich wypadkach stają bardzo solidarnie, ale udało się nam prysnąć. Awantura, sam słyszałem w radiu jak wzywali szeryfa na ultrakrótkich.

– Większa afera – mówi koleś. – Wiesz, ja z tego wysiadam. Nie widziałem żadnych nerek. Nigdzie z tobą nie jeździłem – mówi. Ja za twoje wariactwa pały podkładać nie będę. – Wcale mnie nie zdziwił.

Afera, ale jak wielka to jeszcze wcale nie wiedziałem – chociaż powinienem – za dużo tych długich chevroletów kręciło się po miasteczku. Za dużo. Powinienem już czuć pisemko nosem.

Jak tylko znalazłem się w domu – miałem niebrzydki, dwupokojowy, apartament na Kwiatowej, grosze płaciłem, chyba pięćdziesiątkę – nie więcej, zaraz dzwonię do weterynarza. Ten już zupełnie zmieniony. – Człowieku – woła – wielkie odkrycie. Te nerki są na prawoskrętnych białkach. Zupełnie odmienne od wszystkiego, co dotąd na Ziemi się urodziło. Bardzo proszę zaraz... Tu rozmowa cyt-klik i już po rozmowie. Chłopcy z długich chevroletów kabelki przecięli.

Biegam po tym moim apartamencie jak królik w klatce, kiedy mu coś wstrzykną i staram się znaleźć jakieś wyjście. Biegam a tu fiuuu – chevrolecik już pod dom podjeżdża. A jakże!

Z pierwszego piętra niewysoko. Skoczyłem do ogrodu, gdzie jest pływalnia, na której nieraz ładną cizię zobaczyć można. Potem płotek – normalny, nie za duży – jeden, drugi. Już idę spokojnie ulicą. Mogą mnie teraz szukać...

No i właśnie teraz zrobiłem drugi błąd. Podskoczyłem pod supermarket i wziąłem służbowy samochód – wszyscy mieliśmy do niego klucze. Tym samochodem pruję prostu w góry, gdzie wypasano stada jeszcze za czasów pierwszych pionierów. To właśnie był błąd. Do weterynarza trzeba było jechać. Do weterynarza po nerkę!

Ale jak mówiła moja matka: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło". „Pan Bóg radzi o swojej czeladzi". Nakręciłem się jak głupi po tych dróżkach i spaliłem dwa baki paliwa. Dokręciłem się jednak. „Kto pracuje – swego dopnie" – to też z repertuaru mamusi. Żarty żartami, ale tym razem szczęście mi dopisało i znalazłem niegłupiego pasterza, który wiedział więcej niż my wszyscy razem, włączając w to instytut. A już na pewno sto razy więcej niż ci głowacze z długich chevroletów.

Dałem chłopakowi dziesiątkę podając się za reportera „Wiadomości" kooperującego z supermarketem – służbowy wóz dał mi nieważkie alibi. Młodziak zapodawał jak z książki:

„Oczywiście widziałem i byłem przy tym. Pewno, że to nie był jakiś statek kosmiczny czy te, jak im tam, Ufosy. Takie rzeczy dobre dla ciemniaków. My tu oświeceni, nawet telewizję mamy – kolorową ma się wiedzieć. Nie dla mnie te baje. Z pewnością to był projekt wojskowy, bo wojsko zabrało ten pojazd. Kiedy? A chyba wczoraj – rozgarnięty był ten mój oświecony nie ma co mówić! – Na ciężarówkę dźwigiem załadowali, nakryli płachtą z napisem „Materiały budowlane" – innej widocznie nie mieli – zaśmiał się oświecony – i powieźli. W środku? W środku też widziałem, przecież stał tam, gdzie zawsze wypasam. Wyglądało to jak samolot – ale przecież to nie był samolot, bo nie miał śmigła. Fotele były jak w pośpiesznym autobusie – głębokie i wygodne choć trochę przymałe na takiego jak ja – wyprężył się pasterz. – Jakieś kierownice, trochę niczym od wyścigówy, zegary – jak to [illegible] mnóstwo. Dwoje drzwi po jednych z każdego boku, były otwarte, tak że nawet widziałem kaski załogi położone na te fotele. Takie z maskami. Pewno gazowymi – co potwierdza, że to było wojskowe...".

Jak szalony popędziłem w dół. Zatrzymałem się tylko raz – po paliwo. Wiedziałem, że mam czas policzony. Najważniejszy był teraz weterynarz i jego lodówka. Telefon oczywiście nie odzywał się – próbowałem, gdy mi tankowano paliwo, ale stary mógł przecież siedzieć w chałupie – trzymany jako pułapka na mnie.

Wiedziałem, że mam czas policzony i nie żałowałem samochodu – zresztą co tam służbowy rupieć. Grzałem więc myśląc czasem, że może to już moja ostatnia jazda w życiu. – Cholernie lubię samochody...

Wpadłem do miasteczka i walę prosto do weterynarza. Czas policzony. Patrzę – weterynarz otwarty. Babcie z kotami siedzą i głaszczą pupilów. Pelargonie i nasturcje różowią się przed budyneczkiem w letnim słoneczku.

Odkręciłem łapkę z lewarka od skrzyni biegów – dureń jakiś zaprojektował ją jako rączkę pistoletu. Czas policzony. Sprintem przez poczekalnię. Wszystko przygotowane, wszystko na sekundy. Kopa w drzwi – odeszły. Skok przez poczekalnię, babcie i koty. Kopa – drugie drzwi odeszły. Stary stał właśnie, znieruchomiały z przerażenia. – Gdzie nerka? – pytam, jednocześnie przystawiając mu rączkę lewarka do czoła. – Zabrali – jęknął. Spodziewałem się tego i miałem w scenariuszu gotowy na to wariant: „Na krzyk" – jak się to mówiło wtedy.

– Słuchaj – wrzasnąłem. – Wiesz jak sprawy się mają. Pójdę na krzesło elektryczne, więc nie mam nic do stracenia – jeśli zełgasz – zastrzelę w sekundzie. Mów trupie, czy to była para nerek?

Stary zatrząsł się i oczy wywróciły się mu niemal na drugą stronę. Wziął głęboki oddech, potem drugi – jeszcze głębszy, wreszcie trzeci. – To były dwie prawe nerki. Przysięgam na... Nie skończył – gruchnąwszy na podłogę zemdlał.

Wiedziałem już wszystko i wszystko też było dla mnie skończone. Rzuciłem za okno „pistolet" i usiadłem na krześle. O zemdlonego nie musiałem się troszczyć. Tamci już wbiegali z dwu stron.

Możecie nie uwierzyć – nie dbam o to – ale faceci z chevroletów, wolę nie wymieniać ich „pracodawcy" – że tak zażartuję – zachowali się wobec mnie bardzo korekt. Żadnego łamania żeber, zakładania folii (choćby z supermarketu) na twarz, co się nazywa „podwodna łódka" – jak mi potem mówił pewien facet, co taką łódką pływał. Żadnego bicia w kark czy wkręcania genitaliów w magiel.

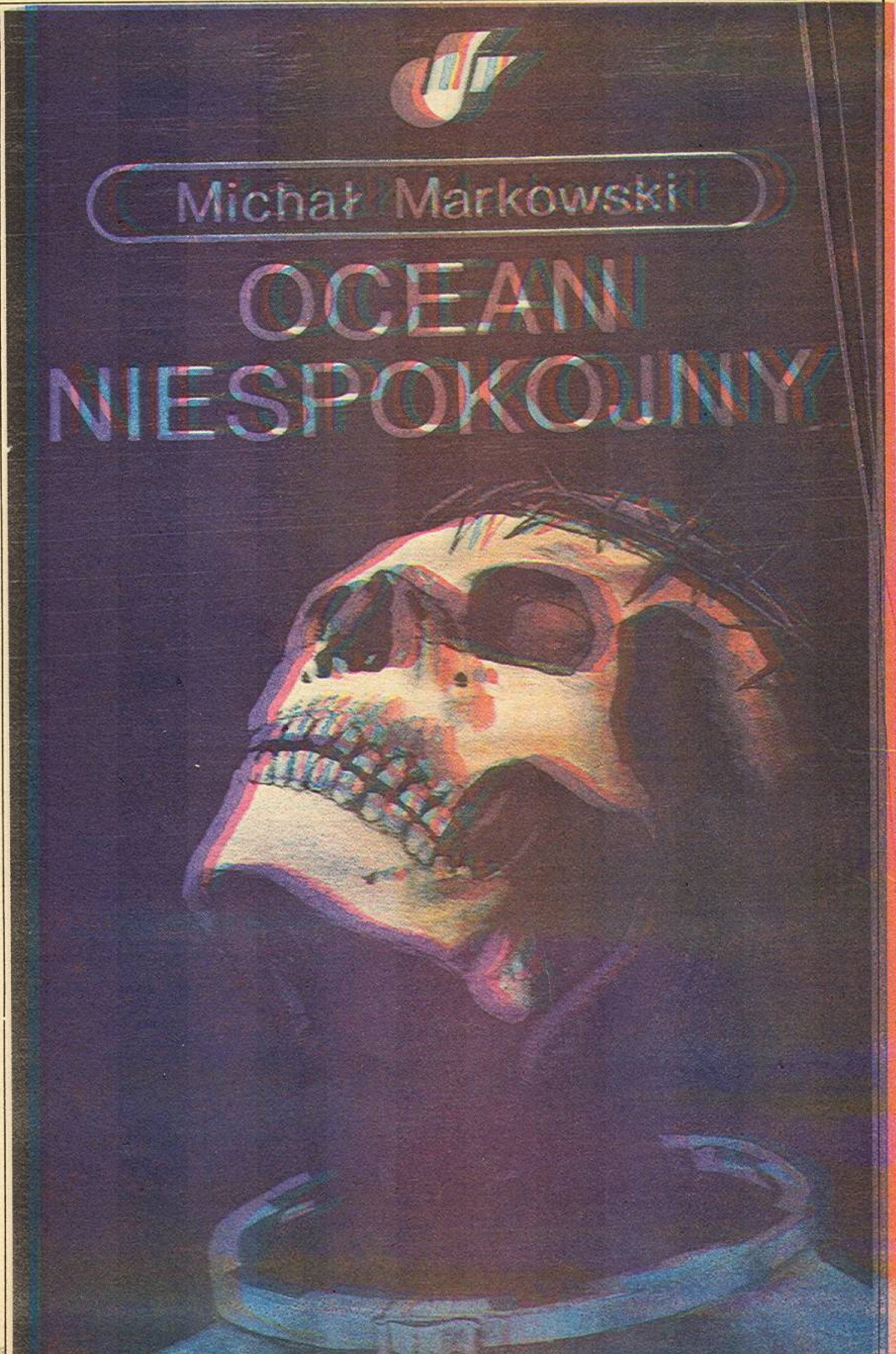
Zabrali mnie do swego biura, które – któż by się tego spodziewał – mieściło się, nie rzucając się nikomu w oczy, w budyneczku z zakratowanymi oknami i szyldem: „Centrum Projektów Regionalnych i Leśnych". Posadzili w fotelu, dali do łapy szklankę whisky i powiedzieli: – Harry, wiemy wszystko. Jesteś bardzo zmęczony. Musisz wyjechać stąd – zmienimy ci pracę – nie stracisz na tym. Zostaniesz bossem na południu i jeszcze będziesz się uśmiechał. Oczywiście musisz, Harry – tak do mnie grzecznie przemawiali – zapomnieć o tym wszystkim, co się ci przywidziało. Dobrze? Jeśli byś nie mógł zapomnieć o tym, co się ci przywidziało, to niedobrze. To znaczy, że jesteś niebezpieczny dla społeczeństwa i niestety będziemy musieli się tobą zająć...

Wtedy wyświetlili mi bardzo ładny i barwny film na wymalowanym na ścianie ekranie. W czasie projekcji, która była bardzo pouczająca, zrozumiałem, że „łódka podwodna", łamanie żeber i numery z genitaliami są rzeczami tak łagodnymi, że wprost zabawnymi w porównaniu z daniami naprawdę niemiłymi.

Mam więc, jak już wspomniałem na wstępie, dobrą pracę w supermarkecie na południu. Życie moje płynie pogodnie jak przecinająca nasze miasto rzeka. Jestem kierownikiem działu mięsnego. Wspaniała rzecz – architektura życia, żywe cuda, niezwykłość mamy-natury. Jako kierownik nie muszę już grzebać się w kawałkach ciętych dla znudzonych gospodyń domowych. Nie robię tego już od ponad dziesięciu lat. Straciłem zresztą moje zainteresowanie mięsem. Sądzę, że nikt z was nie dziwi się tym specjalnie. W ogóle prawie że nie jadam mięsa – zwłaszcza mielonego... Pewnie, że to dziwactwo. No cóż...

Tak żyję sobie więc nieźle. Można nawet powiedzieć szczęśliwie. Na pewno spokojnie. W ciągu 35 lat żywota nie przydarzyło się mi nic niezwykłego, co chwalę sobie. Nic bowiem gorszego jak niezwykłe zdarzenia.

Nawet jak trafią się one czasem w życiu – należy o nich zapomnieć. Wy także pamiętajcie o tym! Nic się nie stało, nic nie zdarzyło. Nic nie słyszeliście. Dajcie sobie z tym spokój. Nikt wam nie uwierzy w powtarzane historyjki. Tych zaś, którzy by nimi się zainteresowali – na miłość boską wystrzegajcie się i omijajcie na wiele, wiele mil



Roman Kirilenko

POSTĘP GEOMETRYCZNY

Andrzej Urbańczyk

Co tu dużo gadać!

Każdy wie, że historia naszej planety to jeden ciąg swarów i waśni, krwawych najazdów, morderczych wojen...

Ktoś tam kiedyś obliczył, że w całych dziejach wspaniałego rodu ludzkiego było zaledwie 200 lat pokoju. I to jakiego... Boże się pożal...

Co tu dużo gadać!

Każdy wie, że działo się na naszej Ziemi coraz gorzej... Co innego dawniej...

W czasach, gdy rodowi naszemu daleko było jeszcze do cywilizacji, jeśli dwa plemiona brały się za skóry, to kobiety, dzieci i emeryci siedzieli na trawie i patrzyli. No niech by ktoś spróbował ich dotknąć. Dziś atomówka czy laser nie wybiera. Z tym, że im delikatniejszy organizm tym dla niego gorzej.

Tak samo z ekonomią. Neandertalczyk brał kamień, czasem go obciosał drugim. Ile to kosztowało? Ile zabierało czasu? No, niewiele. Dzieciarnia dostawała swoje jadło, samki swoje koraliki. Takie to były ówczesne koszty zbrojeń...

Ba, w czasach tych trudno było rozgraniczyć myślistwo od obronności. W gruncie rzeczy i jedno i drugie było łowami. Tyle że obiekt się zmieniał. Więc armia w jakiś sposób była związana z produkcją. Nie zaś odwrotnie! A ubitego najeźdźcę też można było skonsumować. Na surowo, jako przystawkę czy, jeśli było tego więcej, jako pełne danie. „Agresor de volaille" – powiedzmy.

No tak... Wojny punickie, jakaś tam 30-letnia, wojna francusko-pruska, wojna angielsko-burska, wojny światowe – pierwsza, druga, trzecia... Ot tak, z pamięci – bo nie jestem przecież historykiem. Jaka więc moja rola w tej materii? Niebagatelna, drogi Czytelniku. Niebagatelna. Ja jestem tym, który sprowadził ostateczny pokój w historii człowieka. Ja!

No, można by powiedzieć, że dokonałem tego do spółki z Wawrzonem Smithem – ale wiecie przecież dobrze, co to za harpagon. Co ja tam będą go wynosił...

Ta wojowniczość człowieka doprowadziła niemal do tego, żebyśmy się wytłukli bez reszty. Wszystko przez tę drugą stronę. A to to, a to tamto. Próbowaliśmy się z nimi dogadać – strata czasu i pieniędzy.

Już lepiej wydawać forsę na dobre środki obronne. Ale oni – niech przepadną, wydawali na agresywne. Strasznie pożarliśmy się z nimi. Doszło do tego, że nasz budżet zbrojeniowy wynosił 99% dochodu narodowego. U tamtych też chyba prawie tyle – widzicie sami jakie dranie.

W roku 2005 doszło do takiego napięcia, że rakiety były już w drodze...

Całe szczęście, że się zjawił taki człowiek jak Eduardo Perez (Nagroda Pokojowa Nobla w 2006 i 2007). Ten miał głowę. Chwała mu!

No, wiecie jak zrobiono. No cóż, dla uratowania naszego plemienia trzeba było to zrobić – jeśli groziła zagłada.

Przecięło się tę wielką ziemską futbolówkę na pół. Czym kto miał, od pił atomowych do laubzeg, bo ludziom te wydatki zbrojeniowe i rakiety nad głowami dojadły do ostatniego.

Wsiowi, z jednej i drugiej strony, odepchnęli połówki widłami i cześć! Po kłopocie. Zupełnie jak w tej starej piosence o przecinaniu chałupy. Przy okazji zobaczyło się wreszcie, co ta Ziemia ma w środku...

Ach, jak dobrze i spokojnie zaczęło się nam żyć. Samemu! Żadnych zbrojeń, żadnego zagrożenia. Sami sami...

Stopa życiowa poszła pod chmury. Co bogatsi zaczęli nawet sputniki z demobilu kupować. Rakiety na spacerówki przerabiać.

Oczywiście były też mankamenty. Ta nasza połówka podczas obrotu kiwała się fatalnie na boki. Ale udało się wytrzymać.

I żyłaby ludzkość w szczęśliwości i spokoju, gdyby nie te dranie sekciarze. Właściwie co to kogo obchodzi jaki jest dogmat chrztu powszechnego w aspekcie mormońskim? Kogo? Ale tak się mówi, dopóki ludzie nie zaczną iść w nerwy. Poszli. Zleciało parę lat i już spacerówki konfiskują i tam, gdzie wycieczkowicze trzymali prowiant, wstawiają głowice.

Myślałem, już, że ta nasza połówka pójdzie z ogniem. Tamci – niech będą przeklęci, zdążyli pobudować superlasery i miotacze antymaterii. Straszne napalenie. Atomówka w każdym domu. Ciężka sprawa...

No, ale dał Bóg na szczęście kogoś z taką głową jak Joseph Dove (Pokojowa Nagroda Nobla w 2012). Chwała mu! No i ludzkość raz jeszcze uratowana. Ciachnęło się, te dwie ćwiartki wsiowi odepchnęli skomputeryzowanymi widłami i spokój na wieki...

Spokój na wieki. To się tak tylko mówi. Okazało się, że tego spokoju, czort sam wie czemu, nie można utrzymać. A robiliśmy co się tylko dało. Tak na przykład na początku te obie ćwiartki (kolebanie niemożebnie dokuczliwe) łączyły kable telefoniczne, przewody teleksów, złącza telewizyjne. Ale z tego nic dobrego nie wychodziło. Więcej wyzwisk i pogróżek niż pożytku. Zresztą rwało się to wszystko, gdy na jednej ćwiartce było trzęsienie ziemi, a na drugiej nie. Ciachnęło się więc te druciska. Dla świętego spokoju (Nobel w 2020) i po ptokach.

Nic nie pomogło! Kiedy tamta ćwiartka poszybowała sobie bez przeszkód w błękit, kołysząc się na boki jak korek na wodzie, i nie było z kim się kłócić, zaczęliśmy się żreć sami. Minął rok i wojna już na progu. Bowiem wszyscy, jak się okazało, przy rozbrojeniu pochowali atomówki po stodołach. Na wszelki wypadek...

Ale mądrość człowieka raz jeszcze zatriumfowała. Hartley było mu na imię (Nobel pokojowy w 2022). Chwała! Ciach, wszyscy pchnęli – nie było takiego, kto by nie pomógł! Żadnych kabli czy innego świństwa i znów błogi spokój.

No, niestety, nie na długo...

Ale każdego razu jednak dobro brało górę nad żądzą niszczenia. Mądrość nad głupotą. Wielkości ludzka triumfuj. Cięliśmy! Tyle że pił już dawno nikt nie używał, bo lasery poszły w masy i można je było kupić w każdym sklepiku dla majsterkowiczów.

Z Wawrzonem Smithem pożarłem się tak potwornie, że powiedziałem: twój trup albo mój. Tak mnie dojadł, że zatłukłbym gada gołymi pięściami. Cymbał bez zrozumienia dla ideologii programowania liniowego. Odszczepieniec, kret i rewizjonista.

On albo ja! Anihilacja nie wchodzi w grę, choć każdy miał parę garści antymaterii. Staliśmy niestety za blisko, by jej użyć.

No i raz jeszcze geniusz człowieka zatriumfował majestatycznie. Raz jeszcze pokazało się, kim naprawdę są Dzieci Ziemi, choć tej wprawdzie już nie ma.

Ostrze mojego nierdzewnego scyzoryka. Lupa, którą Wawrzon Smith (sami widzicie co to za kanalia) zawsze w kieszeni nosił. Trochę wielkiego skupienia i...

I bach! Podzieliliśmy to ostatnie nasze ziarno piasku na pół. I spokój.

Nawet dosyć równo nam to poszło.

San Francisco, 1985



Andrzej Urbańczyk – ur. 1 marca 1936 r. w Warszawie. Mgr inż. chemii (Politechnika Gdańska). Pracownik naukowy, pisarz, żeglarz, wspinacz, eks-judoka. Pacyfista, przyjaciel ludzi i zwierząt. Miłośnik pięknych kobiet, muzyki, kotów. Mówi o sobie: *„wyrosłem na opowieściach SF czytanych zamiast bajek".*

Fantastykę uprawia jako jedną z kilku dyscyplin literackich (opowiadania, reportaż, małe formy poetyckie). Autor 15 książek tłumaczonych na 12 języków. Pisze w języku polskim i angielskim.

Debiutował w roku 1955 opowiadaniem „D-N-18" („Młody Technik"). Większość prozy SF opublikował w „Młodym Techniku" („P. P. M. – Nowa gospodarka lokalowa", „Świerszcz", „Wiatr", „Złodzieje Słońc"). Swoje teksty zamieszczał w kilku antologiach SF. W roku 1968 wydał zbiór „Opowiadania fantastyczne" (nakładem „Prasy-Książki-Ruchu").

Od roku 1970 w Stanach Zjednoczonych. Współbudowniczy próbników VIKING I i VIKING II. W latach 1978/1979 samotny rejs San Francisko-Yokohama – San Francisko na 7,5-metrowym jachcie NORD III – pierwsze polskie przejście Północnego Pacyfiku; 1983/1984 samotny rejs wokółziemski na 9,5-metrowym NORD IV w rekordowym czasie. „Żeglarz Roku 1984".

W 1981 roku – kierownik polsko-amerykańskiej wyprawy na wulkany Meksyku (Popokatepetl, Yxkacichuatel, Orizaba). Wymieniony w „Who is Who in the West. International Author's and Writers".

„Wszystko, co osiągnąłem oddałbym za jeden lot suborbitalny. (...) Wierzę w twórczy geniusz człowieka, w pankosmiczną cywilizację, superinteligencję".

Nie ma rzeczy niemożliwych

z Andrzejem Urbańczykiem rozmawia Andrzej Niewiadowski

Andrzej Niewiadowski: – *Andrzeju, jesteś znanym żeglarzem, ulubieńcem publiczności. Nagrody, wywiady, artykuły... Jak się czuje człowiek, który osiągnął cel swojego życia?*

Andrzej Urbańczyk: – Ludzie mówią, że Urbańczyk osiągnął cel swojego życia. Nieprawda, ja go nigdy nie osiągnąłem, ja tylko szedłem ku pewnym celom. Nie jestem człowiekiem sukcesu. Jestem człowiekiem, który przegrał. Przegrałem, ale przegrałem w walce.

– *Przegrałeś? Ależ...*

– Chciałem być astronautą, podróżnikiem międzygwiezdnym, wtedy, kiedy jeszcze nie było Gagarina, Glenna, Titowa, Tiereszkowej. Wyjeżdżając przed laty do Stanów marzyłem, że może kiedyś tym astronautą zostanę. To była szansa 0,0001^{-3}, ale próbowałem i nie wstydzę się tego. A dziś, teraz? Pewnie, że między tym, co robię, a kim chciałbym być jest jakaś analogia. Jacht musi wyjść z Golden Gate, z zatoki San Francisko wtedy, kiedy jest wysoka woda i tym rządzi Księżyc. Jacht musi wyruszyć o określonej porze roku – tak jak sonda międzygwiezdna, nie można takiej sondy wystrzelić codziennie. Ja wciąż czuję się astronautą. Bo mam baterie słoneczne, system nawigacyjny oparty na nawigacji satelitarnej, ale... wciąż małpuję, pozuję, zgrywam się na astronautę, którym nie zostałem.

– *Nie, to nie tak. Przecież uczestniczyłeś w amerykańskich programach kosmicznych projektując sondy VIKING I i VIKING II...*

– Owszem to była moja „science fiction za życia". Pojazdy VIKING I i VIKING II, które poleciały na Marsa i tam osiadły. Robiłem do nich diody wysokiej częstotliwości. Diody, które dotykałem własnymi dłońmi, oczywiście przez gumowe rękawiczki. Kiedy po latach te diody czy inne elementy przestały działać, to w Houston ludzie płakali jak po śmierci kogoś bliskiego.

– *Więc jednak... Andrzeju, czy zastanawiałeś się kiedyś nad sobą, jaki jesteś naprawdę, na co cię stać, ku czemu zmierzasz?*

– To samo pytanie zadała mi kiedyś moja żona – Krystyna. Siedzieliśmy, pamiętam, w naszym kalifornijskim domku, patrzyliśmy na ogień płonący w kominku, piliśmy nie najgorsze wino, po czym ona – mając lat 40 spojrzała na mnie, dobiegającego pięćdziesiątki i spytała: „Andrzeju, co byś chciał w życiu, co by cię naprawdę uszczęśliwiło, co by cię sprowadziło do jakiegoś spokoju?" Wiesz, co jej powiedziałem? „Krystyno, spełnieniem moich marzeń byłaby taka historia. Amerykanie robią program kosmiczny: 25 lat w kapsule, lot do najdalszych zakątków naszego Układu Słonecznego, szansa na powodzenie 0,1. Ponieważ jest to mocna sprawa i kapsuła jest ciasna, trzeba temu astronaucie amputować obie nogi – nogi są niepotrzebne, ile tlenu trzeba, żeby utrzymać to przy życiu, ile żywności – więc propozycja: utnijmy obie nogi, honorarium jest 100 milionów dolarów, szansa powodzenia 0,1. Ja podpisuję. Jestem gotów, czekam na swoją kolejność. Pierwszy siada Amerykanin i tylko dym poszedł z rakiety, przeładowanej, przeciążonej, zrobionej na siłę, na żyłę, ale inaczej nie można. Dwóch następnych Amerykanów przestraszyło się, wycofali się, moje szanse idą w górę. Wsiadam – los mi dopisał, poleciałem! 25 lat samotności w przestrzeni. Gwiazdy, tęsknota, obłęd, szaleństwo. Wracam. Po 25 latach wywożą mnie na wózku. »Urbańczyk? Program EX-37? A było coś takiego...« Nikt mnie nie wita. Wypłacają mi pieniądze, kupuję sobie mały domek nad jeziorem i w tym domku dożywam ostatnich chwil na wózku rozpatrując całą tę historię. Zostaje prawie 100 milionów dolarów. I wtedy mogę realizować własne plany kosmiczne, naukowe, społeczne. Nie chodzi o to, żeby zjeść 250 befsztyków na śniadanie, ale suchą bułkę z dobrą kawą, a potem te pieniądze zainwestować w coś rozsądnego. Może ustanowić stypendium dla genialnych maturzystów, którzy przepadli, bo po prostu nauczyciele ich nie pojęli? To jest to, co ja uważałbym za mój sukces". Tak, że jeśli się pomyśli o tych stu milionach, o 25 latach samotności, o amputowanych nogach, o dziewczynie, która w tym czasie odeszła ze świata, to mój rejs wokół Ziemi jest czymś śmiesznym i nie mówcie, że osiągnąłem sukces...

– *Andrzeju, jesteś wciąż wychylony w przyszłość, stwarzasz siebie na nowo dorastając do pewnego ideału, ale przecież musisz z tym jakoś żyć na co dzień... Co Cię cieszy? W czym znajdujesz uspokojenie, jeśli nie pływasz, nie pracujesz, nie sprawdzasz się w trudnych, ekstremalnych sytuacjach?*

– Co mnie cieszy? Na pewno nie to, że mogę sobie jeździć Cadillackiem, ja nie lubię dużych wozów, nie lubię luksusów. Cieszy mnie, jeśli mogę się dorwać do samolotu... latam taką małą „Cewssna 150", bo to jest najtańszy latawiec, kosztuje 25 dolarów za godzinę i jak tę „Cewssnę" podniosę w górę koło Scarper Peake, koło Montary i widzę jak mi się ocean zza gór wynurza – to jest dla mnie coś niezwykłego. Cieszy mnie to, co nazwałem kiedyś „science fiction za życia". Na przykład pastylki antykoncepcyjne. Dawniej topiono dzieci, duszono, pozbywano się ich kiedy były słabe, dziś załatwia się te rzeczy hormonalnie. Zamiana seksu na coś, co jest rozkoszą, poszanowaniem drugiej osoby, wzlotem intelektualnym, erotycznym, seksualnym ponad ten lęk, że może ona zaszła w ciążę – to jest dla mnie coś niesłychanie ważnego. SF za życia to także 40 lat względnego spokoju. To, że mimo różnic ustrojowych, pomyłek, te narody jakoś wytrzymały, mimo kłótni, wylewania na siebie pomyj w gruncie rzeczy przeżyły bez wojny tyle lat. Dla mnie jest to coś niezwykłego. Bo dawniej wojna wciąż przychodziła, bowiem „oni" mieli zły rząd, złą religię, złego cesarza, czy kobiety ich śmierdziały, więc trzeba było na nich napaść. Dziś nie jesteśmy już tacy skłonni kogoś zabić, dlatego że ma inną ideologię.

– *Czekaj, dotarliśmy do nader ważnych tematów. Mówisz: „SF za życia". Jeśli tak, to czym jest dla Ciebie możliwość oceny świata w zwierciadle fantastyki. Fantastyki, a nie realizmu, zwykłego, codziennego realizmu faktów, spostrzeżeń, zapisów?*

– Dla mnie fantastyka jest jakimś narzędziem, elementem działania. Einstein mówił, że wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy. I chyba właśnie w jego ustach nabiera to właściwego znaczenia. Kiedy inżynier projektuje jakieś połączenie zastanawia się czy to ma być złącze, spaw, nit, zatrzask i kombinuje, co by mu najlepiej odpowiadało, co ma zalety mimo wad: finansowe, ekonomiczne zaplecze. I właśnie jako inżynier chciałbym projektować życie na zasadzie możliwości wyboru. Możliwość wyboru w moim przypadku polega na tym, że jeśli odejdę, to nie spocznę na jakimś cmentarzyku z napisem „Prosi o Zdrowaś Maria"

– w czym nie ma nic złego – tylko połączę się z Pacyfikiem i w tym, co nazywamy fizyczną reinkarnacją, połączę się z oceanem, odrodzę się w postaci planktonu, potem w rybach, które ten plankton zjedzą, w trzepocie skrzydeł ptaków, które te ryby pochwycą, a może w uśmiechu dziewczyny, która te ryby zje na śniadanie.

– Ładnie to powiedziałeś. Wierzysz w ewolucję?

– Tak, wierzę w ewolucję, bo przecież wszystko odbywa się na zasadzie ewolucji. Każdą tyranię można obalić bez strzału, bez przelewu krwi, bez kiwnięcia palcem, mocą woli, mocą społeczeństwa – wierzę w siłę moralną społeczeństwa. Kiedyś jakiś podejrzany facet wyjął pistolet i przystawił mi do piersi mówiąc: „Dawaj portfel bo strzelam". „To strzelaj – powiedziałem – ja ci tego portfelu nie dam, tylko go wyjmiesz z mojego trupa". To jest opór bierny. Zabij mnie, proszę bardzo, ale ja nie ustąpię. I to jest moja droga życia. Droga wyboru. Normalnie człowiek idzie do biura, pracuje od 9 do 16, awansuje, wydaje potomstwo, przysługuje się społeczeństwu i... nie ma w tym nic złego. Moja droga jest inna. Jeśli ktoś pisze SF to wkracza na tereny nieskończonej możliwości, wielowymiarowe. Może przenikać przestrzenie, biec do przodu, do tyłu miliony lat, przenosić się do innych wymiarów czasowych, innych układów i ja tak robię w życiu, oczywiście w tym moim małym zakresie.

– SF inspiruje, tworzy pewne modele zachowań, a przecież mówi się także, że SF jest baśnią, ucieczką od rzeczywistości...

– Nie, to nie tak. Moja matka, która była prostą kobietą, robotnikiem rolnym, mówiła: „Nie czytajcie mu bajek, bajki oszukują, bajki są kłamstwem, bajki są częścią aparatu nadbudowy, oszustwa". Głupi Jasio nigdy nie poślubi królewny, ambitny szewczyk nigdy nie dostanie dowództwa wojsk króla Ćwieczka. I dlatego czytali mi science fiction. Wyrosłem na SF jak na bajkach, jeśli w ogóle można mówić o SF sprzed pięćdziesięciu laty.

– SF jako przygoda intelektualna, gra wyobraźni, refleksja nad tym, co jest możliwe?

– Nie ma rzeczy niemożliwych, wszystko jest możliwe! Są tylko rzeczy bardziej lub mniej prawdopodobne. Piszę SF dlatego, że jest to jakaś szansa umownego pozbycia się pewnych elementów, realnego balastu. Nie mogę zaprojektować pojazdu, który porusza się z prędkością nadświetlną, ale w SF mogę to zrobić. Nie mogę nakreślić w konwencji literatury faktu człowieka, który został sam na świecie, na jachcie, w morzu, bo cały świat zaginął w holocaust nuklearnym, ale w SF wolno mi to zrobić. Jest to jakaś licentia poetica – w fantazji wszystko jest prawdą. A w życiu? Prawdą jest kawał chleba. Prawdą jest wschód słońca. Prawdą są kawałki granitu. Prawdą jest miłość, zwłaszcza fizyczna, gdzie się nie oszukuje. Natomiast oszustwem są doktryny. Nieprawdą są słowa. „Papier wszystko przyjmie" – powiedział mi taksówkarz, który wiózł mnie do hotelu i w tym prostym stwierdzeniu jest kupa prawdy.

– Mówiłeś o pierwszych lekturach, swojej drodze do SF. Co sądzisz o historii SF, jej dniu dzisiejszym – zwłaszcza w Stanach, kraju Ci dobrze znanym?

– Ja właściwie nie znam historii SF. Nie wiem, czy można powiedzieć, że Ameryka była krajem, który stworzył SF, że tam jest jej ojczyzna, ten matecznik SF od Hugo Gernsbacka, Rice Burroughsa, „Flash Gordon" – Raymonda, czy istotnie Ameryka była tym głównym pniem? Bo przecie mamy Anglię, Francję, tysiące innych źródeł. W każdym razie w Stanach SF idzie wciąż ostro. SF jest wciąż w modzie. SF jest czytana i spośród książek, które dostałem od przyjaciół był również ostatni tom Asimova, który jest swoistą instytucją, fabryką SF...

– A polska SF w Stanach? Jak ją przyjmują?

– Polska SF w Stanach? Chyba będzie uczciwie powiedzieć, że polska SF, podobnie jak literatura innych krajów była do niedawna zupełnie nieznana. Podobnie jak polska kinematografia. W świecie biznesu, jeśli mamy okazję sprzedać film, to po diabła mamy wyświetlać film polski, zrobimy go w Hollywood; jeśli możemy zamieścić opowiadanie fantastyczne, to po co zamieszczać polskie, czeskie, radzieckie – dajmy amerykańskie! W telewizji też idzie 99 procent filmów amerykańskich. Ale to już się zmienia. Sam widziałem w „Newsweeku" i „Timesie" entuzjastyczne recenzje z Lema i autor „Solaris" jest dziś w Stanach ceniony i honorowany. Mówię to z satysfakcją, bo na Lemie, na jego „Astronautach" sam wyrosłem, podobnie jak całe pokolenie naszych autorów. Tutaj nie zaszkodzi przypomnieć, że Lem miał zawsze negatywny stosunek do Ameryki. Pisał o Ameryce upadającej – w „Obłoku Magellana", na przykład, przedstawił ginący sputnik amerykański. I oto – ironia losu – Lem jest dziś wysoce cenionym pisarzem polskim, ambasadorem naszej literatury w Stanach!

– No, a ty, próbowałeś publikować na własny rachunek? Jak to zostało przyjęte?

– Kilka opowiadań, np. „Very Special Radio", które przedstawia wizję świata po wojnie nuklearnej. Wszyscy zginęli, zostało tylko radio i to radio odbiera sygnały od pojazdu kosmicznego, który przyleciał nas odwiedzić. Kosmici próbują nawiązać dialog, ale nas już nie ma, nie ma z kim gadać... Tak to pokrótce wygląda...

– Andrzeju! Przecież to jest nader pesymistyczna wizja przyszłości! Czyżbyś przeczył temu co powiedziałeś?

– Nie, jest to raczej ostrzeżenie przed możliwą przyszłością. Jak u Bradbury'ego czy Asimova. Nie znaczy to wcale, abym nie wierzył w przetrwanie gatunku ludzkiego. Wyrosłem na styku tego, czego uczono mnie w młodości – że przyszłość będzie świetlana i wspaniała i tego, o czym pisze dzisiejsza prasa – że Amerykanie zniszczyli swój kraj, jego strukturę biologiczną. Tymczasem sukcesem Stanów Zjednoczonych jest właśnie to, że ten kraj nie zniszczył środowiska naturalnego! Wierzę w geniusz rozumu ludzkiego, wierzę w to, że po prostu potknęliśmy się tak jak samolot prowadzony przez pilota robi jakiś przypadkowy skręt w lewo, potem musi nastąpić korekta i już jest na kursie. Tak samo z nami. Ludzie zachwaścili środowisko nie tylko w Polsce, ale i w wielu krajach, ale my się z tego wyrobimy. Technika nie jest receptą na szczęście, tak jak receptą na szczęście nie są pieniądze, ale zarówno technika, jak i pieniądze potrafią wyprowadzić nas z wielu kłopotów. Zatrujemy jeszcze wiele rejonów, zniszczymy jeszcze wiele rzeczy, ale jakoś się z tego wygrzebiemy. A wracając do twojego pytania – ja wierzę w wielkość cywilizacji naukowo-technicznej, nie wierzę w to, co przedstawiają Amerykanie: wygasłe planety, potężne miasta, wymarłe, zasypane dworce komunikacji lotniczej, bowiem ludzie wyginęli, nie sprostali, popełnili zbiorowe samobójstwo. Wierzę może nie w świetlaną przyszłość, ale w mądry rozkwit naszej cywilizacji podparty humanizmem.

– Jaka jest zatem rola literatury we współczesnym świecie? Myślę o literaturze w ogóle, nie tylko SF. Czy powinna ostrzegać, czy wybaczać? Inspirować, proponować pewne wzorce zachowania, czy po prostu przedstawiać? Oceniać czy rejestrować?

– Mnie wychowano na niechlubnych wzorcach sztuki jako kultury służebnej, owej nadbudowy w procesie społecznym. Osobiście wierzę, że literatura pełni dwie, może trzy funkcje. Przede wszystkim – kronikarską. Dalej – pionierską, inspirującą, zachęcającą ludzi do życia, mówiącą o wspaniałości życia. Nigdy nie zostałbym podróżnikiem, gdybym nie czytał Centkiewiczów, Amundsena, Heyerdahla – ich książki agitowały, ale to była agitacja w najlepszym wydaniu. Jest jeszcze trzecia funkcja literatury – artystyczna. To, czego nie znosił realizm socjalistyczny: swoista „sztuka dla sztuki". Może podam przykład z innego podwórka: czym jest muzyka Chopina, Brahmsa, czym jest menuet Paderewskiego, albo balet Różyckiego – „Pan Twardowski"? To jest satysfakcja dla serca melomana, ta trzecia funkcja, o której mówimy... Wciąż wracam do lektur, melodii mojej młodości. Poszukuję „Nieszczęśliwego lotu" Ossendowskiego, pierwszej książki, którą przeczytałem w życiu. Wciąż pamiętam o Lucjanie Rydlu, recytuję jego poezję. Czytam „Zwycięzców Pacyfiku", „Do bieguna" – Amundsena i ... sprawdzam siebie. Z książek podróżniczych za odkrywczą uważam „Kon-Tiki" Heyerdahla, dalej „Doktora Żivago", „Egipcjanina Sinuhe" – książkę, którą czytam niemalże jak „Biblię" do poduszki. Są rzeczy, do których człowiek wraca. I to nie tylko rzeczy literackie. Lubię słuchać marsza weselnego ze „Snu nocy letniej" –



Mendhelssona, poloneza As-dur Chopina. Przepadam za niektórymi obrazami i chciałbym je mieć u siebie, na ścianie, nawet w postaci reprodukcji. To są obrazy Gauguina z jego okresu pobytu w Polinezji Francuskiej i na Tahiti; obrazy Brueghla, Boscha, ale także malarstwo Mikulskiego, rzeźby Moore'a. I kiedyś, gdy będę stary, chciałbym siedzieć w domu otoczony kopiami czy reprodukcjami tych dzieł.

– A więc jednak kominek, cisza, spokój... Jest w Tobie zadziwiający splot sprzeczności: pragnienie ryzyka i rozsądku, racjonalizmu i romantyzmu, bycia w zespole i samotności...

– Ja kocham zespół, lubię tańczyć i to nie z jakąś partnerką przytuloną do policzka w kącie sali, ale tak jak się tańczy zorbę czy żydowskie korowody. Przepadam za ludźmi. Lubię być na wielkiej sali, ale lubię też być samotny i jedno nie wyklucza drugiego, tylko zaostrza, tak jak ktoś lubi słodkie rzeczy i pikantne. Ja z samotności wpadam w tłum ludzi i doznaję oszołomienia, tą masą informacji jaka napływa zewsząd, tą masą ciał, tym klepaniem mnie po ramionach, błyskiem fleszów... I odwrotnie, kiedy odpływam, kiedy telewizja robi 25-minutowy program, mówię: „Chłopcy, przecież wy tego nie puścicie na ekran w całości". „Tak, ale jeśli by pan zginął, to pójdzie wszystko, całe 25 minut..." Moja samotność wywodzi się jeszcze z lat okupacji, kiedy rodzice zamykali mnie w domu na kilka dni... Moja samotność zaczęła się wtedy, kiedy moją matkę po aresztowaniu wepchnięto do więzienia, a ja zostałem sam na ulicy, bo mieszkanie też zostało zlikwidowane. To był początek mojego samotnego rejsu...

– Samotnego rejsu, który będzie trwał dalej? Planujesz dalsze wyprawy, będziesz pisał, czy zostajesz przy zawodzie inżyniera?

– Moim planem na przyszłość jest praca. Czy będę pracował parę lat jako inżynier w dziale dyfuzji i mikroelektronice, czy będę pisał książki, biegał czy żeglował będzie to kupa pracy, dużo zaangażowania. Czy nowy rejs? Będę chciał zrobić nowy rejs wokół Hornu, bardzo ostry dookoła świata, non stop z Nowej Zelandii do Nowej Zelandii, na żyłę, na sukces, na rekord. W takim rejsie wyrzuca się radiostację, aby poprawić rekord, aby odciążyć jacht – tak, jak pojazd kosmiczny odstrzela niepotrzebne człony. Nowe książki? Chyba będę wciąż pisał. Mam w tej chwili w druku cztery książki i jestem z tego dumny. O ile jednak jestem sprawny w pisaniu reportaży żeglarskich, bo potrafię napisać 25 stron dziennie, to SF piszę powoli. Nie napisałem w życiu więcej jak 30 opowiadań. Napiszę jeszcze kilka, może wyjdzie z tego jeden zbiorek.

– Andrzeju, jesteś dla wielu ludzi jakimś wzorem człowieka silnego, romantyka, nieustraszonego żeglarza, twardego faceta, który potrafi wybrnąć z najtrudniejszych sytuacji. Czy ty masz... jakiś sposób na życie?

– Nie, ja nie mam sposobu na życie. Ja nie daję żadnych rad, ja naprawdę uważam, że mnie nie wyszło życie. Ale nie czuję porażki. Wydaje mi się, że receptą na życie jest praca, inteligentne wyczucie sytuacji – jak śpiewa Młynarski: „I w końcu łeb da pod nóż ten/ kto ciągle pcha na oślep łbem". Spróbujmy, może problem da się obejść, może da się przeskoczyć, może trzeba znaleźć jakąś dźwignię, żeby go ruszyć z miejsca. Próbować. Jak najwięcej próbować. Przy tym potrzebna jest ogromna ilość uporu, silnej woli. A tak, inteligentna praca. Czytelnikom „Fantastyki" mogę zaoferować tylko to, co mówił Edison, że wynalazek to 1 procent natchnienia i 99 procent potu.

– Dziękuje za rozmowę.

Rozmawiał
Andrzej Niewiadowski

1970 (ciąg dalszy)

Utopia (U):

DERECKI F.: *Sprawy...* – zob. AF.
719. ŁASZOWSKI Alfred: *Sprzedaż zdarzeń.* Warszawa. Pax. 16° ss. 207, nlb. 1. 20 000 egz. – U/ASF.
720. PARNICKI Teodor: *Muza dalekich podróży.* Warszawa. Pax. 8° ss. 650, nlb. 2. 10 000 egz.
721. PARNICKI Teodor: *Tożsamość.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 393, nlb. 3. 8000 egz.
722. SCHNABEL Ernst: *Pieśń szósta.* Tłum. [z niem.] Gabriela Mycielska. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. ss. 151, nlb. 5. 20 000 egz. – Współczesna Proza Światowa.
723. SUAREZ Gonzalo: *Zamek Fontynbrasa* [oraz] *Rocarbuno i Ditirambo.* Tłum. [z hiszp.] Kalina Wojciechowska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 268 nlb. 3. 10 000 egz. – Elementy fantast.
724. SWIFT Jonathan: *Podróże Guliwera.* Wg. ...oprac. Jacek Bocheński i Marian Brandys.* Wyd. III w tym oprac. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 250, nlb. 2. 30 000 egz. – U/CJSF.
725. VERNE [Jules]: *Tajemnicza wyspa.* T. I/II. Tłum. [z franc.] Janina Karczmarewicz-Fedorowska. Wstęp i koment. Zdzisław Ryłko. Wyd. IX. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I. ss. 317, nlb. 12; T. II ss. 302, nlb. 2. 50 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.

Fantazja dla dorosłych (AF):

726. ARAGON Louis: *Przygody Telemacha.* Tłum. [z franc.] Irena Wachlowska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 152, nlb. 4. 10 000 egz.
727. ASTURIAS Miguel Angel: *Zwierciadło Lidy Sal.* Tłum. [z hiszp.] i posłowie Aleksandra Olęcka-Frybesowa. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 135, nlb. 5. 10 000 egz. – Jednorożec.
728. BARANOWICZ Jan: *Hobby pułkownika Kościeja.* Katowice. Wyd. „Śląsk", 16° ss. 240. 10 000 egz.
729. [BULGAKOV Michail]: *Mistrz i Małgorzata.* Tłum. [z ros.] Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 601, nlb. 2. 20 000 egz. – Nike. – Na k. tyt. aut.: Michał Bułhakow.
730. DERECKI Feliks: *Sprawy zwierząt i ludzi.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 117, nlb. 3. 7 000 egz. – Biblioteka Stańczyka. – Większość opowiadań fantast. – AF/U.
731. FUKS Ladislav: *Wariacje na najniższej strunie.* Tłum. [z czesk.] Maria Erhardtowa. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 389, nlb. 3. 15 000 egz. – Współczesna Proza Światowa – Elementy fantast.
732. MALEWSKA Hanna: *Labirynt.* [AF] – *LLW, czyli co się może wydarzyć jutro.* [ASF] Kraków. Znak. 16° ss. 347, nlb. 1. 5 000 egz.
733. RAMUZ Charles Ferdinand: *Radość w niebiosach.* W: *Wielka trwoga w górach.* Tłum. [z franc.] Wiera Bieńkowska. Warszawa. Pax. 16° ss. 112–176. 5 000 egz.
734. SAINT-EXUPÉRY Antoine de: *Mały Książę.* Tłum. [z franc.] Jan Szwykowski. Wyd. VI [w metryczce mylnie V] Warszawa. Pax. 8° ss. 81, nlb. 3, 20 000 egz. – AF/CJF.
735. Toż samo, Wyd. VII [w metryczce mylnie VI]. 30 000 egz.
736. (?) STAWIŃSKI Jerzy Stefan: *Nie zawijając do portów.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 227, nlb. 1. 10 000 egz. – Elementy fantast.
STRUGACCY A. i B.: *Poniedziałek...* – zob. ASF.
737. ŻAKIEWICZ Zbigniew: *Biały karzeł.* Powieść. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 222, nlb. 2. 8 000 egz.
738. ZWOŹNIAKOWA Renata: *Romans z ludożercą. Opowieści niezwykłe.* Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 179, nlb. 1. 5 000 egz. – Większoć opow. fantast.

Horror (W):

739. HOFFMANN E[rnst] T[heodor] A[madeus]: *Panna de Scudéry. Opowiadanie z czasów Ludwika XIV.* Tłum. [z niem.] Stanisław Sierosławski. Wyd. I osobne. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 105, nlb. 6. 5 000 egz. – Koliber.
740. OSSOLIŃSKI Józef Maksymilian: *Wieczory badeńskie, czyli Powieści o strachach i upiorach Józefa Maksymiliana, hrabi z Tenczyna Ossolińskiego.* Przedmowa Aleksander Małachowski. Wyd. I powoj., oparte na pierwodruku z r. 1852. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 144. 15 000 egz.
741. POE Edgar Allan: *Tajemnica Marii Roget* [oraz *Zagłada domu Usherów].* Opowiadania. Tłum. [z ang.] S[tanisław] Wyrzykowski. Wyd. I w tym zest. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 108, nlb. 4. 66 000 egz. – Koliber.

Krytyka, biografia, film (R):

742. KOŁODYŃSKI Andrzej: *Film grozy.* Warszawa. Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe. 16° ss. 126, nlb.4, tabl. 16. 4 000 egz. – Biblioteka „X muza".
743. LEM Stanisław: *Fantastyka i futurologia.* T.I/II. Kraków. Wyd. Literackie. 8° T. I ss. 292, nlb. 4; T. II ss. 458, nlb. 2. 5 000 egz.
744. SADKOWSKI Wacław: *Parnicki. Wprowadzenie w twórczość powieściopisarską.* Warszawa. Agencja Autorska „Domu Książki". 16° ss. 59, bibliogr. 5 000 egz. – Sylwetki Współczesnych Pisarzy.
745. VOISÉ Waldemar: *Myśl społeczna siedemnastego wieku.* Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 477, nlb. 2. 1000 egz. – Dotyczy m.in. utopii.
746. WOŁOSZYŃSKI Roman: *Ignacy Krasicki, utopia i rzeczywistość.* Wrocław. Ossolineum. 8° ss. VII, nlb. I, 405, tabl. 7, portr. Res. 1300 egz. – Studia z Okresu Oświecenia, t.II.

„Zagadki nauki" (MS):

747. de CAMP L[yon] Sprague, de CAMP Catherine C.: *Duchy, gwiazdy i czary.* Tłum. z ang. Wacław Niepokólczycki. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 514, nlb. I. 5 000 egz. – Biblioteka Problemów, t.150.
FAKTY, hipotezy, zagadki. W: *KROKI w nieznane.* – zob. ASF.
748. MARKS Andrzej: *Księżyc. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 607, nlb. I, mapy.* 7000 egz. – Biblioteka Problemów, t. 155. – Str. 212–424 dotyczą głównie „zagadek nauki", związanych z Księżycem.
749. [VASIL'EV Léonid]: *Tajemnicze zjawiska psychiki człowieka.* Tłum. ros. Jerzy i Leszek Stobińscy. Warszawa. Iskry. 16° ss. 186, nlb. 6. 3 000 egz. – Człowiek poznaje świat.– Na k. tyt. aut.: Leonid Wasiljew.
750. ZONN Włodzimierz: *Kwazary – nowe formacje kosmiczne.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 113, nlb.3. 6 000 egz. – Omega.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

Maciej Parowski: Twarzą ku ziemi

Neologizmy Macieja Parowskiego są bardzo specyficzne, co nadaje indywidualne piętno jego powieści „Twarzą ku ziemi". Można znaleźć dosłownie kilka formacji słowotwórczych typowych, utworzonych wedle aktualnie produktywnych modeli. Dotyczą one w zasadzie wyłącznie języka potocznego. Takim wyrazem jest: *kranówa* – woda z kranu z dodatkiem pewnych substancji oszałamiających utworzona na wzór potocznych formacji augmentatywnych (zgrubiających) i ekspresywnych – *sodówa, czyściocha*.

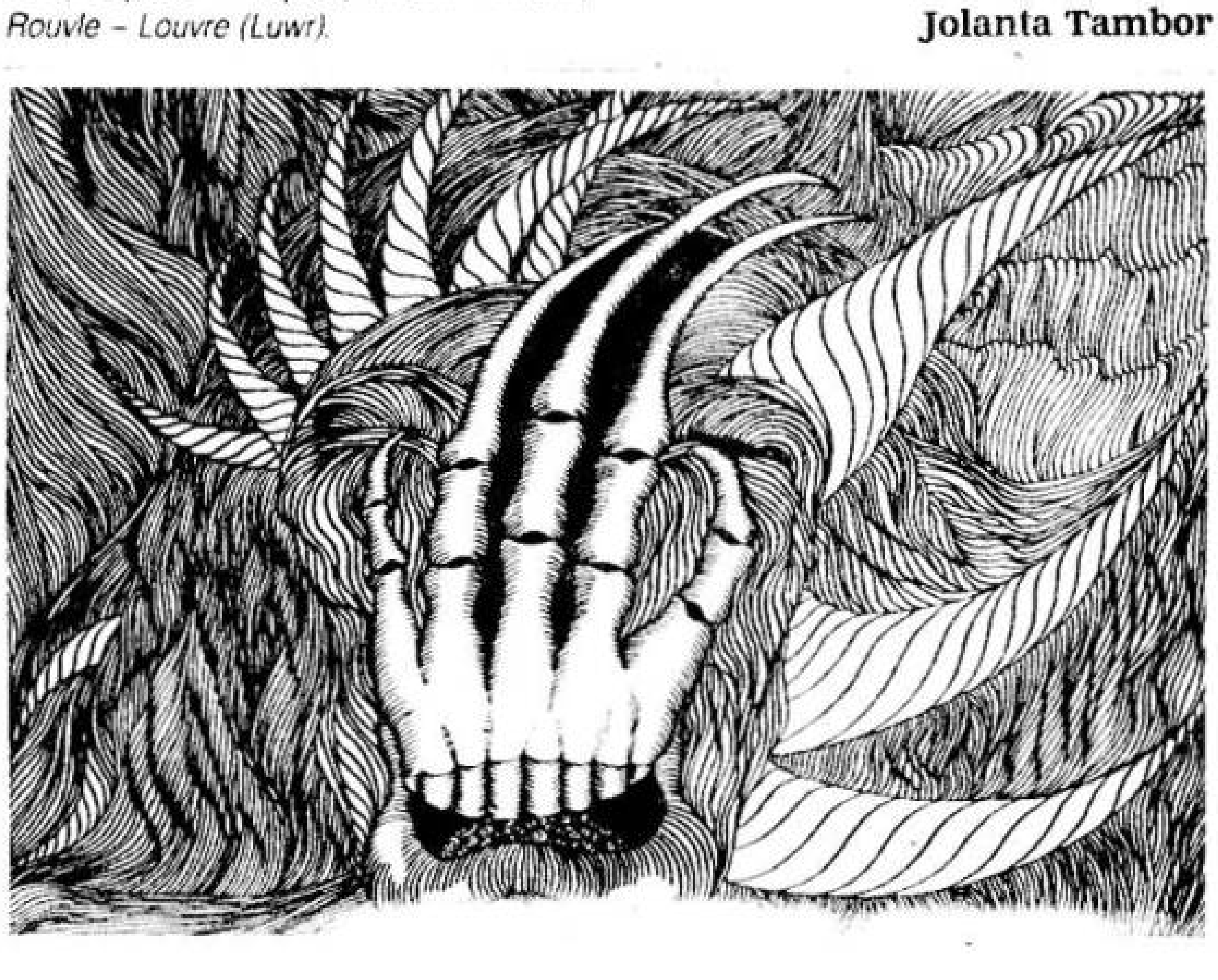
Wykorzystuje też Parowski procesy semantyczne. Zmiana znaczenia dokonuje się po przesunięciu wyrazu z serii rzeczowników pospolitych do klasy nazw własnych: SUBWAY – *subway* to wyraz amer.-ang. (z łac. *sub*-pod + ang. *way*-droga), oznacza istniejącą w Ameryce kolej podziemną. W powieści jest to nazwa kompleksu zabytków całego świata zgromadzonych na ograniczonym obszarze pod ziemią. Dojeżdża się do tego miejsca metrem (więc koleją podziemną) nie wysiadając na oficjalnym, końcowym przystanku. Nazwa jest więc pewnym typem przenośni wskazującym na sposób dotarcia do miejsca przeznaczenia. Poza tym punkty usytuowania konkretnych zabytków są kolejnymi stacjami metra. Ciekawe są same nazwy zabytków, które dla bohatera „brzmiały dziwnie obco". Do ich utworzenia wykorzystał autor metodę przestawiania liter, co powoduje efekty komiczne. Przestawienie takie ma swoje uzasadnienie w świecie przedstawionym utworu. Akcja rozgrywa się w XXI wieku, lecz przedstawione społeczeństwo nie ma pojęcia o sztuce minionych epok. To wszystko zostało zastrzeżone dla wybranych i zgromadzonych w SUBWAY-*u*. Dlatego autentyczne brzmienie tych nazw mogło tak szybko (w ciągu stu lat) ulec zapomnieniu. Przykładowo: *Rowet* – to *Tower, Lalew – Wawel, Doleto – Toledo, Dotre-Name – Notre Dame, Seimr – Reims, Okropal – Akropol, Cazyliba – Bazylika, Rorum Fomanum – Forum Romanum, Lapitoc – Kapitol, Mrekl – Kreml, Rouvle – Louvre (Luwr)*.

Najwięcej jednak można spotkać u Parowskiego złożeń, które fonicznie ani słowotwórczo nie różnią się zbyt znacznie od funkcjonujących w polszczyźnie (mają typowe wrostki *-o-* lub *-i-*), są tylko bardziej nasycone elementami obcymi, natomiast graficznie odbiegają od współczesnej normy polskiej. Otóż w języku polskim w złożeniach będących nazwami pospolitymi oba człony piszemy małą literą. Parowski tworzy nową zasadę ortograficzną języka przyszłości (jako jeden z nielicznych odważył się na naruszenie innego niż słowotwórczy poziomu języka) – mianowicie dużą litera pisze nie tylko pierwszy, ale i drugi człon złożenia, bez względu na to, czy człony rozdzielone są myślnikiem, czy też nie:

AgroMeteoFlora (ośrodek zwany też skrótowo AMF) – nazwa pochodzi od rodzaju oficjalnej działalności instytucji. Człon *agro-* w wyrazach złożonych wskazuje na związek z rolnictwem, człon *meteo-* to skrót przymiotnika meteorologiczny i wreszcie *flora* to roślinność. Wyraz wskazuje więc swą budową na typ działalności ośrodka – badania związków (i zapewne manipulowanie nimi) między warunkami atmosferycznymi a roślinnością dziką i uprawną. Skrót AMF sugeruje też, iż rodzaj działalności wynikający z nazwy jest tylko przykrywką dla działań właściwych. Cząstka *amf-* występuje bowiem w polskich złożeniach i ma znaczenie: obustronnie, obu rodzajów (z gr. *amphó* – 'oba').

AfroAlbino – najmodniejsza fryzura damska. Nazwę tę można uznać za oksymoron (zderzenie dwu treści przeciwstawnych). Oznacza fryzurę odmienną od *afro* znanej z naszych czasów. Są to włosy skręcone w drobne loczki na podobieństwo włosów Murzynek *(afro)*, przy tym odbarwione *(albino)* przez tlenienie (*albinizm* – brak barwnika w skórze, włosach). Na takie odczytanie wskazuje dodatkowo kontekst: „tlenione włosy ułożone w ostatni krzyk mody damskiej *AfroAlbino*.

Jolanta Tambor



Tłumaczenia i obyczaje

Z tłumaczeniami różnie bywa, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z utworami literackimi. W naszych czasopismach kulturalno-społecznych nieustannie toczą się spory o jakość i adekwatność przekładów. Niedawno czytałem, jak to Boyowi Żeleńskiemu wytyka się, że źle przełożył tytuł słynnego dzieła Prousta. Trwają spory o wartości najnowszych przekładów Szekspira. „Więź" krytykuje przekłady utworów słynnego radzieckiego poety i pieśniarza Włodzimierza Wysockiego zamieszczone w numerze 10/84 „Literatury na Świecie". Właściwie to trzeba by napisać tasiemcowy felieton, aby problemy tego rodzaju choćby pokrótce przedstawić.

Myślę, że trudności z przekładami mają wszystkie wydawnictwa i czasopisma pragnące popularyzować literaturę zagraniczną. Zagadnienie to zresztą występuje – jak mówili mi wydawcy zagraniczni – z dużą ostrością we wszystkich krajach. Dobrzy tłumacze na kamieniu się nie rodzą. Naszej „Fantastyce" także nieobce są te sprawy. I nieraz biadamy, że można by lepiej przetłumaczyć jakiś utwór, niż to zostało już zrobione. Było nam więc bardzo przykro, gdy w numerze jedenastym „Literatury na Świecie", znakomicie redagowanego czasopisma poświęconego przekładom, jego redaktor naczelny, pan Wacław Sadkowski, wytknął nam rozmijanie się z dobrymi obyczajami, ponieważ nie odnotowaliśmy, że nowela Iana McEwana, w przekładzie pana Bohdana Zadury, zatytułowana „Stereometria", ukazała się w „Literaturze na Świecie" znacznie wcześniej niż u nas, w przekładzie pani Zofii Uhrynowskiej-Hanasz (nr 3 ub. roku), o którym pisze naczelny redaktor „Literatury na Świecie", że: „*nosi wszelkie znamiona dobrego rzemiosła tłumackiego i pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami o – delikatnie mówiąc – zależność od przekładu wcześniej w Polsce opublikowanego, choćby dlatego, że przy dokładniejszej wierności wobec oryginału (wyróżnienie A.H.), nie próbuje uchwycić owych eterycznych nastrojów prozy McEwana, które zafascynowały Zadurę*".

To prawda, że nie odnotowaliśmy wcześniejszego ukazania się tłumaczenia pana Bohdana Zadury na łamach „Literatury na Świecie", gdyż wtedy musielibyśmy byli powiedzieć czemu jeszcze raz publikujemy „Stereometrię", a opublikowaliśmy ją, bo po prostu tłumaczenie Zofii Uhrynowskiej-Hanasz wydawało nam się lepsze, grubo lepsze. Dlatego więc, żeby jakoś sprawy nie zadrażniać i nie narażać się na polemikę o przekładach ze świetną „Literaturą na Świecie" nie było u nas notatki o pierwodruku polskim. Niniejszym to prostujemy i przepraszamy. Po prostu źle postąpiliśmy, nie wyrażając otwarcie naszego stanowiska i powodów naszej decyzji. Ot co. Nihil adeo malum est quin boni mixturam habeat.

Adam Hollanek

Krüger Edmund

(1881–1935)

Pseudonimy:

E. Jezierski, J. Kruk

Literat, publicysta

Urodził się w listopadzie 1881 r. w rodzinie warszawskiego drukarza Józefa Krügera i Ludwiki z Jezierskich. Po ukończeniu gimnazjum pracował jako pomocnik drukarski. Mając 17 lat debiutował w „Bluszczu", redagowanym przez Mariana Gawalewicza, zamieszczając nowele i opowiadania. W latach 1904–1905 współpracował z „Kurierem Porannym" i „Przyjacielem Dzieci", później był urzędnikiem. Przyjaźnił się z Mariuszem Zaruskim, Józefem Mehofferem, Wincentym Rzymowskim, Edmundem Bartłomiejczykiem, Lucyną Kotarbińską. W latach 1922–1935 pracował w Wydziale Prasowym Komisariatu Rządu dla m.st. Warszawy. Był autorem kilkudziesięciu powieści historycznych (m.in. „Przygody młodego ułana", 1911; „Przez krwawe boje", 1911; „W wąwozach Somosierry", 1912; „Odnowiciel", 1915) oraz powieści współczesnych o tematyce wojennej („W otmęcie wojny", 1915; „Dla ciebie Polsko", 1922).

Zmarł 11 lipca 1935 r. w Warszawie.

W dwudziestoleciu międzywojennym należał Krüger do najpoczytniejszych autorów książek dla młodzieży, zwłaszcza o tematyce fantastyczno-naukowej **„Władca przestworzy"**, Wyd. M. Arct, dodatek do „Naszego Świata", 1911, wyd. 2 – w serii „Biblioteka Książek Błękitnych", E. Wende, 1930; **„Zwycięzcy bieguna"**, Wyd. M. Arct i „Nasz Świat", dodatek do „Naszego Świata", 1912; **„Cuda wyspy tajemniczej"**, Wyd. M. Arct, „Nasz Świat" i dodatek do „Naszego Świata", 1912, wyd. 2 – M. Arct, 1913; **„Wyspa elektryczna"**, E. Wende, seria „Biblioteka Książek Błękitnych", 1925; **„Ludzie elektryczni"**, Wyd. Świat, 1912, wyd. 2 – Druk. Polska Zjednoczona, 1931). Powieści Edmunda Krügera nawiązywały do popularnonaukowej prozy Juliusza Verne'a; twórczości Władysława Umińskiego, Erazma Majewskiego. Opowiadały o losach niezwykłych wynalazków i perypetiach uczonych, którzy zaprojektowali owe wynalazki – świadectwa panowania człowieka nad światem i nieokiełznanym żywiołem przyrody. Specyfiką fantastycznych utworów Krügera jest ich typowo polski charakter dostrzegalny zarówno w kreacjach bohaterów, jak i w realiach historycznych. Genialni wynalazcy kierują się idealnym, nieco rycerskim, romantycznym kodeksem honorowym poświęcając życie w obronie swego narodu. Wychowawcze założenia powieści Jezierskiego nie sprowadzają się nigdy do uniwersalnych, popularyzacyjnych opisów przyrody, osiągnięć wiedzy i techniki – przeciwnie, ukazują emocje, uczucia bohaterów działających w określonych warunkach społeczno-politycznych. Cudowny wynalazek jest symbolem potężnej siły, efektem wiedzy i pomysłowości inżyniera walczącego o niepodległość Polski, dźwigającego kraj z ruiny i zgliszcz wojennych. Postać inżyniera pełni istotne funkcje dydaktyczne: staje się wzorem bohatera przyszłości, ideałem dla młodego pokolenia.

Edmund Kruger jest także autorem kilku antyutopii przyszłościowych, w których plemizuje z ówczesnymi programami społeczno-politycznymi przedstawiając udramatyzowaną i tendencyjnie przejaskrawioną wizję rewolucji proletariackiej. W książkach **„Andrzej Żarycz. Powieść – niestety fantazja"** (Wyd. S. Cukrowski, 1930) oraz **„Precz z kryzysem. Powieść. Niestety – utopia"** (Wyd. S. Cukrowski, 1934) podważa Krüger istotę gospodarczych, politycznych i ekonomicznych posunięć sanacji, proponując reformę ustroju II Rzeczypospolitej opartą na przesłankach systemu spółdzielczego. Utopie Edmunda Krügera stanowią – niezwykle rzadką w warunkach polskich – odmianę traktatu opartą na realizacji stopniowego postępu społecznego i są wyrazem nie spełnionych marzeń autora, który zdawał sobie sprawę z konsekwencji swoich zamierzeń (zob. podtytuły ostatnich powieści).

Bibliografia

– (...) „Książka" 1922/5; 6/7.
– S. Studnicka (w:) „Kurier Literacki" 1913/285.

■

Krzepkowski Andrzej

(ur. 1953)

Autor SF, dziennikarz

Urodził się w Warszawie 6 stycznia 1953 r. W 1971 r. ukończył liceum ogólnokształcące, później rozpoczął naukę w Policealnym Studium Elektroniki. Był pracownikiem fizycznym. Zajmował się wyborem tekstów do fantastyczno-naukowych komiksów „Alfa". W latach 1981–1982 był rzeźbiarzem. Od 1982 do 1985 r.– kierownikiem działu reportażu i informacji w miesięczniku „Fantastyka". Obecnie pracuje w Redakcji Fantastyki Naukowej Krajowej Agencji Wydawniczej.

Jako autor SF debiutował w 1970 r. opowiadaniami: „Mózg", „Człowiek z garbatym mózgiem" zamieszczonymi na łamach „Perspektyw". Swoje utwory drukował w „Młodym Techniku", „Perspektywach", „Fantastyce", „ITD". W 1978 r. ukazał się jego pierwszy zbiór opowiadań: **„Obojętne planety"** (KAW); w rok później powieść **„Obszar nieciągłości"** (KAW; współautor Andrzej Wójcik). W 1982 r. Wydawnictwo Lubelskie publikuje powieść **„Śpiew kryształu"**, a w Krajowej Agencji Wydawniczej ukazuje się książka **„Kreks"**.

Andrzej Krzepkowski jest członkiem WSF. Powieść „Obszar nieciągłości" została przetłumaczona na język niemiecki (Heyne Verlag 1984).

Autor „Obojętnych planet" debiutował w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy w polskiej fantastyce naukowej dochodziła do głosu kolejna generacja autorów związana z prozą o tematyce socjologicznej, stawiająca w konwencji SF aktualne pytania o kształt współczesnego świata. Stąd też w jego twórczości można odnaleźć inspiracje wspólnego przeżycia pokoleniowego i to zarówno w opowiadaniach drukowanych na łamach prasy (zebranych w tomiku „Obojętne planety"), jak i w powieści „Obszar nieciągłości", wpisującej się w nurt prozy socjologicznej (Wnuk-Lipiński, Zajdel, Parowski, Oramus). Zdzieranie masek z wieloznacznej rzeczywistości, próba dotarcia do prawdziwych znaczeń świata, obserwacja postawy człowieka zagubionego w dżungli bezdusznych praw i systemów społecznych to najbardziej ogólne wyznaczniki prozy Andrzeja Krzepkowskiego. Można też mówić o świadomej polemice z wcześniejszymi utworami SF, o deheroizacji zawodu kosmonauty, ukazaniu eksploracji Kosmosu jako codziennej żmudnej pracy pozbawionej wzniosłości, patosu, romantycznych uniesień – a zatem o kontynuacji literackich rozliczeń, które zapoczątkowała w Polsce twórczość Stanisława Lema.

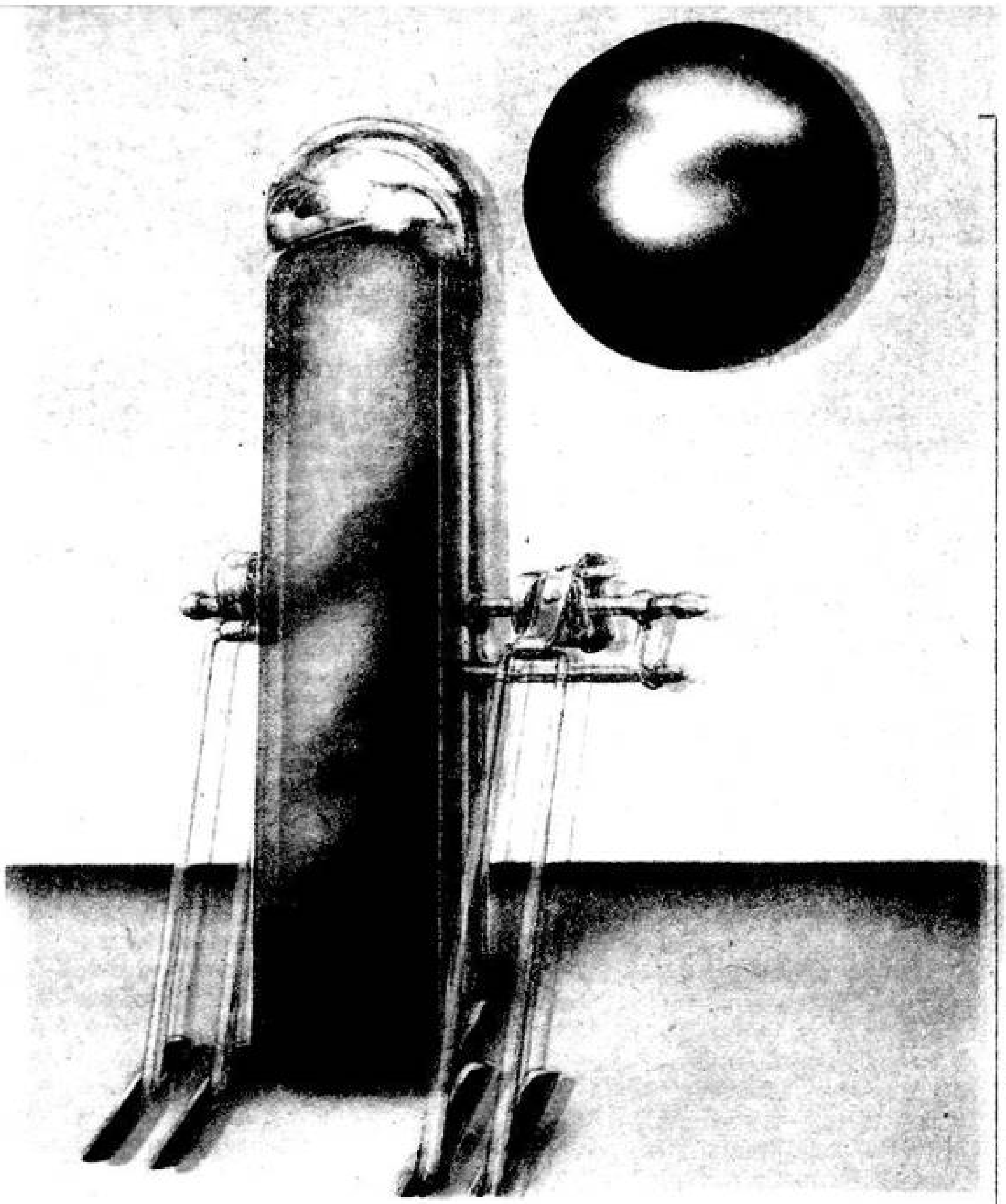
W pisarstwie Krzepkowskiego odnajdujemy jednak kilka cech o bardziej indywidualnym charakterze. Jest to, po pierwsze, pewnego rodzaju malarskość, plastyka wizji podyktowana sporą dozą wyobraźni. Dalej – próba eksperymentu formalnego i to nie tylko przez sprawdzone (a jednak wciąż niepopulane w SF) ustalenia powieści psychologicznej (symultanizm narracji, dechronologizacja fabuły), ale i przez konstrukcje obejmujące całość materiału literackiego (kontrowersyjnie przyjęty „Kreks" – interesujący jako przykład niekonwencjonalnego podejścia do zagadnień SF: względności czasu, przemijania, ingerencji w psychikę człowieka, którym powinny towarzyszyć przeobrażenia literackich form opisu świata). Krzepkowski łączy różne konwencje literackie, co sprawia, że jego proza stawia nie tylko zagadki poznawcze („Śpiew kryształu"), ale także podejmuje obserwację typowo ludzkich spraw, zagrożeń, problemów.

I wreszcie kwestia najważniejsza. Bohater Krzepkowskiego, w odróżnieniu od innych postaci literackich lat osiemdziesiątych, wobec zła otaczającego świata przyjmuje postawę romantyczno-heroiczną, szuka ocalenia w przyjaźni, miłości, zaufaniu drugiego człowieka. Autor nie unika emocji, wzruszeń, jego sposób obserwacji świata – pozornie brutalny i ostry – bliski jest liryzmowi i pewnego rodzaju poetyckości, oddanej delikatnym, miękkim stylem.

Bibliografia

– W. Jurasz (w:) „Nowy Wyraz" 1978/9.
– Z. Dolecki (w:) „Tygodnik Kulturalny" 1982/II.
– A. Niewiadowski (w:) „Fantastyka" 1982/2.

■


Andrzej Brzezicki

pożółkłe kartki

Edmund Krüger

Ludzie elektryczni

Kazimierz Halicz, stojąc na wzniesieniu przy wejściu do wieży, kończył swą przemowę...

– Wszystko, co ujrzycie tu, panowie – mówił – zawdzięcza swój ruch, swe życie tej tajemniczej a niepoznanej dotychczas dostatecznie i niewyzyskanej sile, jaką jest elektryczność. Miasto to służyć ma za dowód jej potęgi i mocy, i dlatego też nazwanym jest Elektropolis – gród elektryczny...

Tu mowę jego przerwały pełne entuzjazmu i zapału okrzyki zebranych:

– Vivat Elektropolis!... Vivat gród elektryczny! Niech żyje Kazimierz Halicz!...

Ukłonem podziękował za te owacje, i gdy okrzyki umilkły, ciągnął dalej:

– Miasto to jest to pierwsza placówka do posuwania się w głąb Sahary, do zawojowania tych bezpłodnych przestrzeni i zmuszenia ich do służenia człowiekowi... Daj Bóg, ażeby w krótkim czasie powstało ich więcej, by nadmiar ludzi cierpiących nędzę w starej Europie znalazł tu teren do pracy i chleb, i dostatek...

Skończył swe przemówienie i schodząc ze wzniesienia, rzekł:

– A teraz, pozwólcie panowie, że przedstawię wam wyniki naszej pracy...

I prowadząc ich do otwartych podwoi wieżycy, rzekł:

– Ta wieża, jak panowie widzicie, służy za główny zbiornik elektryczności... Specjalne przyrządy, przy pomocy długich, strzelających wzwyż, ku niebu, drutów, chwytają ją z chmur, z obłoków, z fal powietrznych, ściągają na ziemię i wiążą w specjalnych akumulatorach. Siła, jaką rozporządzam w tej wieży, zdolną by była szalonym orkanem zmieść połowę ludzkości z powierzchni ziemi... Lecz nie w celach wojowniczych i zabójczych więzioną jest ona przeze mnie, przeciwnie zadaniem jej jest budować, budzić nowe życie... Z niej to rozchodzą się prądy, poruszające wszystkie maszyny licznych zakładów przemysłowych miasta, ona to dostarcza siły dla kolei, tramwajów, ona ogrzewa i oświetla wszystkie domy w mieście. Z niej to wysyłam owe prądy powietrzne, wzruszające powierzchnią ziemi i czyniące ją urodzajną... Prądy te poruszają pługi i maszyny służące do uprawy ziemi, poruszają pompy, zraszające wodą ze studzien systematycznie wszystkie pola... W Elektropolis wszystkie funkcje spełnia elektryczność, ta przepotężna siła – człowieka zadaniem jest tylko pilnować, by funkcje swoje wypełniała należycie, regulować je...

Z podziwem patrzyli zebrani na potężne, stojące w głębi olbrzymiej hali wieżowej akumulatory... na będące w ciągłym ruchu maszyny... bez szmeru i hałasu obracające potężne koła...

Kazimierz Halicz w trakcie tego podszedł do jednego z akumulatorów, przekręcił guziczek i w jednej chwili pogasły wszystkie jasno płonące we wnętrzu wieżycy lampy i mrok je ogarnął...

Wszyscy ze zdumieniem patrzyli na to, gdy naraz potężne światło błysnęło i olbrzymią wstęgą przemknęło od jednej ściany do drugiej...

Za tą błyskawicą ukazała się druga i trzecia...

To Kazimierz Halicz puszczał prądy elektryczne o tak silnym napięciu, że zwykłe iskry zamieniły się w potężne błyskawice.

(...) Wychodzić już mieli wszyscy z pracowni, gdy do Halicza podszedł nieznajomy i rzekł:

– Czy mógłbym prosić pana o parę słów na osobności...

– Proszę bardzo! – odrzekł sucho Halicz – Czym mogę panu służyć?

Chwilę trwało milczenie.

Wreszcie gość ostrożnie mówić zaczął, zadając Haliczowi pytanie:

– Czy pan zawarł kontrakt z towarzystwem kolonizacji Sahary?

– Nie – odrzekł zdziwiony tym zapytaniem Halicz – lecz jestem związany z nim czymś więcej niż kontrakt, gdyż słowem uczciwego człowieka...

Gość skrzywił się nieznacznie i dalej mówić zaczął:

– A gdyby znalazł się ktoś, co by panu ofiarował korzystniejsze warunki?...

Zdziwienie odbiło się na twarzy Halicza i bez chwili namysłu odrzekł:

– To bym je odrzucił...

– A to dlaczego?... Przecież posiadane przez pana tajemnice, oraz wynalazki dokonane przez niego, opłacane być winny na wagę złota! Toż one mogą przynieść tym, co je umiejętnie eksploatować będą, kolosalne zyski... A pan dla jakichś tam mrzonek, idei, wyrzekasz się ich dobrowolnie... Stawiam teraz kwestię jasno: istnieje konsorcjum kapitalistów, rozporządzających olbrzymimi kapitałami, które chce kupić wszystkie wynalazki pańskie, całą jego wiedzę... Konsorcjum to zaofiarowywa panu olbrzymie warunki, byleś tylko porzucił towarzystwo kolonizacji Sahary, zerwał z nim kontrakt i cały niepodzielnie oddał się na jego usługi...

Kazimierz Halicz wysłuchał nęcących propozycji w milczeniu, przez chwilę jakby namyślał się nad odpowiedzią, wreszcie rzekł:

– Przychodząc do mnie z propozycją swoją, zapomniałeś panie, że będziesz miał z Polakiem do czynienia... A ci Polacy, to dziwny doprawdy naród... Naród ideologów; naród, który ma jeden zwyczaj, iż zawsze lubi dotrzymywać słowa honoru. Z towarzystwem kolonizacji Sahary związany jestem nie tyle względami materialnymi, ile ideą, która mi przyświeca, do której dążę, oraz słowem honoru... Z tych względów panie, twych nęcących propozycji przyjąć nie mogę i muszę ci na nie odpowiedzieć odmownie...

Te ostatnie słowa wyrzekł stojąc, jakby dając tym do poznania gościowi, że dalszej rozmowy z nimi prowadzić nie może i że próżnymi by były dalsze przekonywania.

Zrozumiał to gość i zwracając się do niego, rzekł z naciskiem:

– A więc odrzuca pan nasze propozycje? Stanowczo i nieodwołalnie? Trudno!... przekonywać pana nie będę, lecz ręczę panu iż przyjdzie chwila, że będzie pan gorzko żałował swojej odmowy...

Edmund Krüger, Ludzie elektryczni (powieść fantastyczna) Warszawa 1912, Druk. Tow. Akc. Orgelbranda i Synów, wybór ze stron 127–148.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Jack – tak nazywali go przyjaciele: Owen Barfield, Charles Williams, John Ronald Reuel Tolkien. Pod tym imieniem był znany w całym angielskim środowisku akademickim. Studiując na uniwersytecie oksfordzkim (którego później został wykładowcą) w latach 1917–1923, ukończył z najwyższym odznaczeniem (First Class) aż trzy specjalności, mimo udziału w I wojnie światowej (był ranny pod Arras). W 1954 r. wybrano go profesorem na uniwersytecie w Cambridge. Odszedł na emeryturę w 1963 r. Zmarł 22 listopada 1963 r., mając 64 lata.

Jack

Jego błyskotliwą karierę naukową uzupełniła długa lista publikacji: od prac poświęconych poezji średniowiecznej („Allegory of Love: A Study of Medieval Tradition", 1936), przez studia nad Miltonem („A Preface to Paradise Lost", 1942), do tekstów krytycznych dotyczących współczesnej literatury angielskiej.

Już to wystarczyłoby do zapewnienia C. S. Lewisowi poczesnego miejsca w panteonie współczesnych uczonych-humanistów. Lecz to nie teksty naukowe i krytyczne stały się podstawą jego popularności. Jack znany był za życia przede wszystkim jako pisarz religijny, jako apologeta chrześcijaństwa. Książki takie jak „The Pilgrim Regress: An Alegorical Apology for Christianity, Reason and Romanticism" (1933), a przede wszystkim znakomite „The Screwtape Letters" (1942) są tym w jego dorobku, czym były dla Tolkiena „Hobbit" i „Władca Pierścieni" – fundamentem sławy. Pozostają do dziś dnia najpopularniejszymi z jego utworów.

Wymienianie łącznie nazwisk Tolkiena i Lewisa nie jest ani błędem, ani przypadkiem. Poznali się w 1926 r. jako młodzi wykładowcy na Oksfordzie, wspólnie zaplanowali i dokonali reformy programu studiów na wydziale anglistyki (English Faculty), brali czynny udział w intrygach, w które obfitowało akademickie życie. Przy tej okazji Tolkien otrzymał, zresztą od Jacka, przydomek „Lord of the Strings" (przez analogię do tytułu „Władcy Pierścieni" – „Lord of the Rings") – „mistrz sznurków", za które umiał pociągać wystarczająco zręcznie, by uzyskać pożądane efekty. Tolkien wprowadził Lewisa w działalność naukowo-dyskusyjno-literackiej grupy Coalbiters, polegającą na czytaniu, tłumaczeniu i komentowaniu fascynującej ich obu literatury staronorweskiej, przede wszystkim Volsungasaga i Edd. Obaj uczestniczyli w dyskusjach grupy literackiej „The Inklings", która dzięki nim właśnie stała się sławna w historii literatury angielskiej. Powodzenie „Władcy Pierścieni" było oparte na solidnym fundamencie krytyk Lewisa, który praktycznie wprowadził tę książkę na rynek. Pozostaje zagadką, jak przy takim dorobku, wzbogaconym jeszcze o pozycje fantastyczno-naukowe (bardziej zresztą fantastyczne niż naukowo-techniczne) i literaturę uchodzącą (niezbyt słusznie) za dziecięcą, może on pozostawać w Polsce nieznany.

Kilkakrotnie pojawiła się szansa, by zmienić tę niewesołą sytuację. Kilka książek Lewisa ukazało się u nas i zniknęło bez większego rozgłosu. Ten sam los grozi teraz dwóm częściom siedmioodcinkowego cyklu znanego jako „Kroniki Narnii" („Lew, czarownica i stara szafa", „Książę Kaspian"), opublikowanym przez PAX. Byłoby to szczególnie przykre nieporozumienie, cykl ten bowiem jest niezwykle interesujący i wbrew pozorom, wcale nie łatwy w lekturze.

Według świadectwa samego autora, bezpośrednim bodźcem do napisania „Lwa, czarownicy i starej szafy" była seria nawiedzających go nocnych koszmarów, w których główną rolę grał wielki lew. W opowieść tę można wierzyć lub nie, być może koszmary senne wywołała lektura powieści trzeciego spośród słynnych Inklingsów, Charlesa Williamsa „The Place of the Lion" (Miejsce Lwa). Opisuje ona perturbacje związane z pojawieniem się na Ziemi platońskich archetypów, między innymi archetypu potężnego lwa. Książka ta wywarła na Lewisie ogromne wrażenie, zaprzyjaźnił się z jej autorem, któremu – zgodnie ze swym zwyczajem – kilkakrotnie później pomagał, m.in. ofiarowując mu miejsce wśród Inklingsów i umożliwiając prowadzenie wykładów w Oksfordzie w czasie II wojny światowej.

W ten sposób można określić bezpośrednie bodźce działające na niezwykle ruchliwą, choć równie „chaotyczną" wyobraźnię Lewisa. Najważniejsza jednak wydaje się oryginalna idea, przyświecająca Jackowi podczas pisania całości „Kronik". Są one próbą odpowiedzi na pytanie: jak może wyglądać religia chrześcijańska w innym niż nasz, baśniowym świecie? Próbą niezwykle interesującą, podjętą w kreacji i opisie historii tego świata, od jego stworzenia poprzez „Sąd Ostateczny". Jednak wyraźnie chrześcijański rodowód tego cyklu rzuca się w oczy dopiero po przeczytaniu całości. Trudno w ogóle nazwać go apologią, nawet „apologią dziecięcą". Bowiem, wbrew powszechnemu przekonaniu, nie tylko dzieci są jego adresatami. „Kroniki Narnii" nie trącą katechizmem, nie mają w sobie nic z dewocji. Przy całym swym dyskretnym (może z wyjątkiem „Ostatniej bitwy") dydaktyzmie nie tylko uczą, lecz i bawią. Z pewnością mogą być doskonałą lekturą także dla ateistów. „Czytają się" znacznie lepiej, niż wyżej od nich ceniona „trylogia Ransomowska" (opis kosmicznych przygód filologa Ransoma), z której „Perelandra" wydana została w języku polskim w 1971 r. Wydaje mi się, że nie ma przesady w twierdzeniu krytyków głoszących, że „Kroniki Narnii" jako całość są porównywalne z „Hobbitem" (a może nawet „Władcą Pierścieni") Tolkiena.

On sam jednak zdecydowanie „Kronik" nie lubił. Łatwo jest zrozumieć przyczyny tej niechęci. Wynikała ona głównie z diametralnej różnicy pomiędzy technikami pisarskimi obu autorów. Tolkien nie umiał poprawiać własnych tekstów. Przyjaciele z kręgu Inklingsów szybko zorientowali się, że zazwyczaj nie uwzględnia on ich krytyk, a jeśli już na nie reaguje, pisze całą partię tekstu od nowa. Lewis postępował odwrotnie. Pisał bardzo szybko, na ogół nie zaglądał do tekstu przed odesłaniem go wydawcy, zmiany wprowadzał niechętnie, bardzo rzadko, z reguły tylko w późniejszych wydaniach. Efektem tego typu zabiegów jest swego rodzaju „niechlujstwo wyobraźni" widoczne w pierwszych częściach „Kronik" (właśnie we „Lwie..." i „Księciu Kaspianie"), całkowita heterogeniczność elementów składowych mitologii. Oczywiście zniechęcało to do lektury pedantycznego, do przesady dokładnego Tolkiena i spowodowało, że po przeczytaniu „Lwa, czarownicy i starej szafy" odmawiał dalszej lektury cyklu.

Spór o wartość „Kronik Narnii" zachwiał przyjaźnią Tolkiena i Lewisa. Ich autor nie mógł jednak zignorować kompetentnej krytyki o niepodważalnej słuszności. Potraktował więc pierwsze książki w sposób analogiczny do tego, w jaki wykorzystywał Tolkien „Silmarilliona" przy pisaniu „Władcy Pierścieni": jako swego rodzaju „podstawę do budowy mitologii". Korzystając z tego fundamentu p r z e m i e s z a ł cykl, dopisując do Narnii akt kreacji (nawiasem mówiąc bardzo podobny do stworzenia świata w „Silmarillionie"). Pojawili się przodkowie niektórych zamieszkujących ją ras (między innymi dumnych centaurów). Do pewnego stopnia zatarta została rażąca do tej pory różnica między baśniową krainą mówiących zwierząt a światem ludzi, z których pochodzą jej władcy. Całość „Kronik" stała się w ten sposób znacznie bardziej spójna, znacznie lepsza i ciekawsza i od pewnego czasu wszędzie wydaje się je w k o l e j n o ś c i l e k t u r y.

Wszędzie, ale nie w Polsce. PAX, mający już nieco dwuznaczne zasługi w publikacji fantastyki naukowej (wydał między innymi słynne „Spotkanie z Ramą" A.C. Clarke'a w najgorszym z możliwych tłumaczeniu) i Lewisa (wspomniana „Perelandra" jest środkową częścią trylogii opowiadającej o podróżach Ransoma) zdecydował się mimo wszystko zachować kolejność publikacji z pierwszego wydania. Mniejsza o to, że jest to sprzeczne z najprostszą logiką „Kronik" (trafiamy do Narnii n i m z o s t a ł a s t w o r z o n a) – gorzej, że czytamy książki w kolejności od najgorszych do najlepszych! Reakcję czytelników łatwo było przewidzieć: „Książę Kaspian" dziś jeszcze zalega księgarnie i ma szanse „awansować" do roli kolejnej „cegły". Lada chwila pojawi się jako nagroda pocieszenia na loterii! Niewyobrażalne? A jednak się zdarzyło.

Pozostaje tylko liczyć na niezwykły instynkt czytelników, którzy sięgną do obu książek Lewisa. Tym, którzy do tej pory nie dali się zniechęcić podaję w ł a ś c i w ą kolejność „Kronik Narnii": „Siostrzeniec czarodzieja", „Lew, czarownica i stara szafa", „Koń i jego chłopiec", „Książę Kaspian", „Podróż Wędrowca do Świtu", „Srebrne Krzesło" i „Ostatnia Bitwa". Teraz tylko trzeba będzie poczekać parę lat, skompletować całość cyklu i... Przyjemnej lektury!

Krzysztof Sokołowski

Clive Staples Lewis: *Lew, czarownica i stara szafa*. PAX, Warszawa 1985. Cena 160 zł.
Clive Staples Lewis: *Książę Kaspian*. PAX, Warszawa 1985. Cena 180 zł.



Jerzy Hudyma

Czy każdy musi?

Roland Topor jest postacią doskonale znaną w Polsce: dzięki „Przekrojowi", dzięki albumowi z jego rysunkami wydanemu dziesięć lat temu, również dzięki filmowi Polańskiego i książce „Chimeryczny lokator", według, której został nakręcony. Był nawet czas, kiedy istniała swoista moda na czarny humor à la Topor, kiedy się opowiadało jego pomysły znajomym, kiedy polscy rysownicy próbowali iść w tym kierunku, co ich francuski mistrz (mistrz, choć przecież jeszcze młody wiekiem). Niektóre rysunki Topora – co nieuniknione przy tak dużej ilościowo twórczości – były kiepskie, ale w niektórych odkrywał odbiorca wspaniałe poetyckie wizje, pełne dwuznaczności i filozoficznych podtekstów. Topor umiejętnie operował w nich symbolem, skrótem myślowym, zaskakiwał znaczeniami itd., itd. Stworzył własną szkołę rysunku, która miała wiernych admiratorów (i wrogów również), lecz ostatnio odnosiło się wrażenie, jakby Topor już się „wystrzelał", jakby nie miał tylu świeżych pomysłów, co dawniej.

To jednak tylko bardziej spektakularna strona działalności Topora. Od wielu lat jest on również znany jako prozaik. O powieści „Chimeryczny lokator" już wspomniałem – było to studium utożsamiania się młodego człowieka z poprzednią lokatorką mieszkania, które wynajął. Nieco niesamowite, chyba nieprawdopodobne z psychologicznego punktu widzenia, ale posługujące się chwytami stosowanymi i spopularyzowanymi przez powieść grozy. Czytelnikowi sugeruje się bowiem, że nowy lokator mieszkania (noszący zresztą polskie nazwisko) nie może uniknąć fatum, jakie nad nim zaciążyło, że musi powtórzyć wszystkie figury, jakie wykonała przed nim kobieta i zakończyć życie dokładnie w taki sam sposób, co ona.

Toporowi udało się tą powieścią przerzucić swego rodzaju most pomiędzy literaturą trywialną i artystyczną, to znaczy napisał utwór, który w trakcie lektury z poziomu trywialnego odbiorcy musiał porażać intelektualną i psychologiczną głębią oraz przenikliwością, a w trakcie lektury z poziomu literatury artystycznej – mógł się stać niezłą rozrywką i nie wzbudzał podejrzeń o grafomanię.

Teraz otrzymaliśmy tom prezentujący nam Topora jako autora opowiadań, które zresztą sporadycznie pojawiały się i na łamach polskich czasopism. Efekt ich lektury: rozczarowanie, niekiedy niesmak, rzadko cień uśmiechu. Topor stara się tu być pisarzem-satyrykiem, stara się tworzyć opowiadania groteskowe, opowiadania-zagadki intelektualne czy wyrafinowane żarty operujące tzw. czarnym humorem. W czasopismach jego teksty sprawdzały się, stanowiły przyjemny przerywnik pomiędzy innymi materiałami, tonęły wśród nich. Zebrane w jednym tomie zyskują nową siłę oddziaływania, nabierają świeżej mocy... Właśnie, powinny zyskać nową siłę oddziaływania, a tymczasem obnażają się, pokazują, jak jednostronne są pomysły, na których się wspierają, jak uboga jest wyobraźnia ich autora zamienionego w pisarza. Wyparowują gdzieś filozofia i poezja, które zachwycały w wielu rysunkach Topora – pozostaje sprawność pióra na poziomie literatury rozrywkowej i niekiedy interesująco rozegrana puenta opowiadania, niekiedy dobry pomysł wyjściowy. Częściej jednak po prostu nuda, nijakość – sam zastanawiałem się co chwilę, po co Topor pisze? No, ale nieprzeniknione są ludzkie ambicje i wyobrażenia o sobie samym.

Proszę mnie przekonać (to do miłośników tej twórczości), że taka prozatorska miniaturka jak „Od czasu do czasu, czas" ma jakiś głębszy sens poza tym, że tak się akurat autorowi banalnie pomyślało, gdy obserwował zegar. Oto jej treść: *„Zawsze był skrupulatny. Wymyślił zegar, którego wskazówki starannie zdrapywały czas, tak by nie zostawić z tyłu ani odrobiny".* Pomysł polega na wprowadzeniu rzeczownika „czas" w miejsce np. „cyfry" czy „godziny", jednak nic z tego nie wynika poza tym, że „panta rhei", ale to ludzie wiedzą od dawna. Potrafię sobie za to wyobrazić rysunek w stylu Topora niosący tę samą treść, co przytoczona miniatura prozatorska, ale sugerujący, że są tam jakieś głębsze myśli. Kiedy indziej przynudza Topor przez dziesięć stron druku po to, by zilustrować dosłownie potraktowane powiedzenie: *„dałbym sobie rękę uciąć, żeby..."* itd., itd.

Najbardziej podobało mi się w tomie „Cztery róże..." krótkie opowiadanie o tym, jak Chrystus idący po falach *„nie zauważył skórki od banana. W czasie krótszym, niż można to sobie wyobrazić, pośliznął się i roztrzaskał czaszkę o grzbiet fali".* Koniec. Tu najlepiej widać, jak Topor miesza to, co uczeni nazywają sferami heterogenicznymi i jak potrafi z tego wydobywać humor (czarny). Może więc za dużo tych opowiadań napisał? Może za bardzo chce być pisarzem? A może nie powinienem go traktować jak pisarza, ale po prostu jako producenta literackiej konfekcji? W końcu nie każdy i nie zawsze może i musi być artystą.

Leszek Bugajski

Roland Topor: *Cztery róże dla Lucienne.* Przełożył Tomasz Matkowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1985. Cena 130 zł.

Szkic do panoramy

Sytuacja miłośników kina SF wygląda u nas lepiej niż sytuacja miłośników komiksu. Stało się tak dzięki temu, że względy tu (bo mogły wziąć) sprawę w swe ręce osoby prywatne bądź małe prężne kluby i że mimo początkowych oporów dziarsko wkroczyła na nasz teren technika wideo.

Jak Polska długa i szeroka odbywają się teraz przeglądy i spotkania z filmem SF, wyświetlanym na ekranach telewizorów. W 1985 roku odbywały się większe takie spotkania w Świnoujściu (już drugi raz, a w styczniu 1986 - trzeci), w Gdańsku, Katowicach, Poznaniu, Krakowie, Olsztynie, Warszawie, Chełmie – niezależnie bądź jako dopełnienie innych imprez. Kasety nie znają granic, nie podlegają twardym regułom zaciskania pasa i ograniczenia zakupów w czasie kryzysu, a że w dodatku wzbogacają takie spotkania wypożyczenia z OPRF, ambasad i Filmoteki, to w sumie stan rozeznania w kinie fantastycznym mamy przyzwoity. Niemała widownia zdążyła już obejrzeć większość znaczących ekranizacji SF, mimo że nie było ich w kinach, a to: „Blade Runner" (1981) Ridleya Scotta, „Tron" (1982) Stevena Lisbergera, „The Thing" (1982) Johna Carpentera, „Mad Max" (1982) George'a Millera, „Conan" (1984) Johna Milliusa, „Inwazja porywaczy ciał" (1978) Philipa Kaufmanna, „Rollerball" (1975) Normana Jewisona, „Mechaniczna pomarańcza" (1971) Stanleya Kubricka, „Dune" (1985) Davida Lyncha, „The Neverending Story" (1984) Wolfganga Petersena i wiele innych. Ma to duże znaczenie dla naszej kultury filmowej i kultury w ogóle, bowiem to kino fantastyczne niesie ostatnio ważkie treści, nowatorskie rozwiązania warsztatowe i artystyczne, to ono ma wielki wpływ na wyobraźnię masową. To na fantastycznych ekranach najlepiej artykułują się lęki, nadzieje, fobie i śmiesznostki (np. zdziecinnienie) naszego świata.

Naprzeciw temu zjawisku, jako rodzaj podsumowania i przewodnika po filmowym magicznym świecie, wychodzi książeczka Bolesława Hołdysa, przygotowana na spotkanie z filmem SF, które odbyło się jesienią-85 w Krakowie. Rzecz jest ewenementem nawet w prężnym ruchu klubowym: 9,5-arkuszowa książeczka (nakład 5000 egz.), wydrukowana w dwa miesiące, zawierająca 16 stron kolorowych wkładek, wiele zdjęć czarno-białych włamanych w tekst, indeksy nazwisk i trzystu bez mała filmów, wybraną filmografię 45 najciekawszych ekranizacji – doprowadzona jest do początków roku 1985. W pracy wydanej we wrześniu-85 powołuje się autor na tekst opublikowany w „Fantastyce" majowej tego samego roku. Chyba rekord – oto do czego są zdolni pasjonaci, jeśli im nie przeszkadzać.

Jest książka oryginalnym, choć oczywiście pobieżnym przedstawieniem ewolucji kina fantastycznego od Mélièsa do naszych dni. W porównaniu z obszerniejszą i znacznie bardziej wnikliwą pracą Andrzeja Kołodyńskiego („Filmy fantastyczno-naukowe", WAiF-72) obejmuje Hołdys za to okres o 15 lat dłuższy, to znaczy czas największego rozkwitu kina fantastycznego kształtowanego przez Spielberga, Lucasa, Scotta, Millera, okres, w którym potwierdzili klasę mistrzowie kina fantastycznego poprzedniej dekady, jak Kubrick czy Tarkowski. Kino fantastyczne ustaliło w minionym piętnastoleciu swoją pozycję zjawiska modnego i znaczącego. Hołdys oprowadza nas po motywach tego kina, cytując krytyków i realizatorów ukazuje stan świadomości kina fantastycznego, jego związki z epoką, przemienność jego nastrojów, różnorodność inspiracji (mamy tu m.in. rozdzialik o oddziaływaniu komiksu na kino). Poświęca też autor trochę uwagi zależności kina SF od otaczającej go techniki, od jej poziomu – jako tematu i także jako narzędzia realizacji. Jedne kinematografie skazuje to niejako na uprawianie skromniejszego technicznie „kina filozoficznej refleksji", inne, bogatsze, lepiej wyposażone doprowadzają do wykształcenia się nowej dramaturgii naszych czasów – tzw. dramaturgii elektronicznej, w której organizowaniu biorą udział komputery i różne wymyślne urządzenia. Znajdziemy też u Hołdysa parę stron o filmach polskich w tym także o nie dokończonej adaptacji „Na srebrnym globie".

Chwilami jest Hołdys prezenterem kina SF, dobrowolnie a niepotrzebnie się ograniczającym; raczej gromadzi i porządkuje, dość konsekwentnie unikając hierarchizowania i ocen. Czasem tego szkoda. Odnotowując na przykład zjawisko „skubania złotej gęsi", tzn. wydłużania w cykle motywów, które przyniosły powodzenie, nie zdradza autor estetycznego i artystycznego zaniepokojenia. Wspominając w ważkich przesłaniach filmów takich jak „Blade Runner" czy „Odyseja kosmiczna", zamyka się w getcie i nie robi wycieczek na tereny kina teoretycznie niefantastycznego, posiłkującego się jednak elementami SF (np. „Cały ten zgiełk" Boba Fosse'a, „Zelig" Woody'ego Allena, „Szpital Britannia" Lindsaya Andersona).

Dość dowolnie przyjęta definicja kina fantastycznego, jako zajmującego się wyłącznie bliżej nieokreśloną przyszłością zatrzasnęła książeczkę Hołdysa przed filmami takimi jak „Poszukiwacze zaginionej arki", „Indiana Jones" czy „Walka o ogień", traktującymi o przeszłości, czy przed reżyserami zajmującymi się horrorem w rodzaju Briana De Palmy. Szkoda, że tak się stało, ale i tak jest w książeczce materiału do przemyśleń aż nadto. Zwłaszcza że Hołdys unika wielkich syntez; głównie gromadzi wiadomości, wyciąganie wniosków pozostawiając czytelnikowi i autorom obszerniejszych opracowań, którzy przyjdą po nim.

Maciej Parowski

Bolesław Hołdys: *Gwiezdne imperia X muzy – ewolucja filmowej fantastyki naukowej.* Dyskusyjne Kluby Filmowe „Kinematograf" i „Studentów", Kraków 1985. Cena 250 zł.

Cza fantastyka naukowa jest literaturą?
Tak.
Czy można o niej wyrokować używając tradycyjnych kryteriów literaturoznawczych?
Nie.
Taka teza wymaga nie tylko uzasadnienia, ale i dłuższego wywodu. Pisana fantastyka naukowa jest oczywiście literaturą, choć fantastykę naukową prezentowaną w innych mediach (film, teatr, a być może nawet malarstwo i rzeźba) trzeba oceniać według innych standardów aniżeli te, które odnoszą się do słowa pisanego[1]. W niniejszym artykule zajmiemy się fantastyką naukową rozumianą jako literatura, przede wszystkim zaś jako proza fabularna; spróbujemy w nim dotknąć niektórych barier, na jakie natrafia krytyka usiłująca odnosić tradycyjne kryteria literaturoznawcze do fantastyki naukowej. (...)

Ku estetyce fantastyki naukowej

Joanna Russ

Dobry początek na drodze ku typologii SF uczynił Darko Suvin[2] z Uniwersytetu McGill, szczegółowo opracowując parametry tego gatunku podyktowane swego czasu przez polskiego pisarza i krytyka Stanisława Lema.[3] Tymi samymi kwestiami zajmuje się Samuel Delany, również pisarz i teoretyk fantastyki naukowej w swym artykule poświęconym głównie zagadnieniom definicji gatunku.[4]

Wszyscy trzej wymienieni krytycy uważają za bardzo ważny postulat, aby standardy wiarygodności stosujące się do SF pochodziły nie tylko z obserwacji życia, teraźniejszego lub dawnego, ale i z nauki w ścisłym i systemowym rozumieniu. W tym kontekście „nauka" musiałaby obejmować szeroką gamę dyscyplin, począwszy od matematyki (która jest pusta formalnie), przez nauki „konkretne" (fizyka, astronomia, chemia) i „abstrakcyjne" (etologia, psychologia, socjologia), aż po dyscypliny funkcjonujące jedynie na poziomie opisowym czy spekulatywnym (np. historia lub teoria polityczna).

Fantastyka naukowa (science fiction) tak naprawdę wcale nie jest fantastyką, albowiem standardy wiarygodności fantazji nie wywodzą się z nauki, tylko z obserwowania życia takiego jakim jest, w tym wypadku raczej życia wewnętrznego. Błędny szacunek możliwości stojących przed nauką nie zamienia fantastyki naukowej w fantazję. Błąd pozostaje błędem. Nawet przeobrażenia, jakim podlegają teorie naukowe w miarę upływu czasu nie są zdolne nadać dawniejszej fantastyce naukowej znamion fantazji.[5](...)

Przyczynkiem do estetyki SF mogłaby być, jak sądzę, pewna nader inspirująca uwaga prof. Suvina, rzucona przy okazji jednego z dorocznych spotkań Modern Language Association, w roku 1968. Fantastyka naukowa – powiedział wtedy Suvin – ma charakter „quasi-mediewalny". Myśli tej prof. Suvin dalej nie rozwijał, ponieważ, jak na razie, absorbuje go raczej natura epistemologicznego stosunku SF wobec tego, co sam nazywa *„zerowym światem empirycznie sprawdzalnych cech otoczenia autora"*.[6]

Dla mnie termin „quasi-mediewalny" sugerowałby konieczność poważnego zastanowienia się, dlaczego aparat krytyczny wypracowany na użytek całkiem odmiennej literatury tak często zawodzi w odniesieniu do fantastyki naukowej. Chciałabym zaproponować następujące tezy:

– fantastyka naukowa, tak jak duża część literatury średniowiecznej ma charakter dydaktyczny,

– wbrew zewnętrznym podobieństwom do naturalistycznej (lub jakiejkolwiek innej współczesnej) prozy fabularnej, protagonistami fantastyki naukowej są zawsze zbiorowości, a nigdy pojedyncze osoby (chociaż jednostki występują tu często jako okazy lub przedstawiciele zbiorowisk),

– akcent w fantastyce naukowej spoczywa zawsze na opisie zjawisk – tak dalece, iż recenzenci i krytycy mogą sobie swobodnie pozwalać na sformułowania w rodzaju „idea-jako-bohater",

– fantastyka naukowa ma nie tylko charakter dydaktyczny, ale jest również zabarwiona klimatem bogobojności i religijności. Sławne stało się określenie, którego użył tu Damon Knight – „zmysł cudu" (the sense of wonder)[7]. By wesprzeć tę ostatnią tezę starczy policzyć Mesjaszy w nowszych utworach SF, a także przypomnieć nagłe zmiany realiów (przestrzennych lub czasowych), służące wydobyciu kosmicznej grozy w takich utworach jak „Last and First Men" („Pierwsi i ostatni ludzie") Olafa Stapledona, „Surface Tension" („Napięcie powierzchniowe") Jamesa Blisha, w opowiadaniach Isaaca Asimova „Nastanie nocy",„Nightfall" oraz „The Last Question" („Ostatnie pytanie"), czy u Arthura C. Clarke'a w noweli „Dziewięć miliardów imion boga", „Nine Billion Names of God". Wspomnijmy również zmianę tonacji w zakończeniu „Koniec dzieciństwa", „Childhood's End" („Koniec dzieciństwa") Clarke'a i opowiadanie Philipóa José Farmera „Sail On! Sail On!" („Żegluj! Żegluj!"). (Jeszcze jeden przykład mógłby stanowić film „Odyseja kosmiczna 2001").

Akcentowanie zjawisk, często kosztem zupełnego lekceważenia postaci ludzkich nie wymaga egzemplifikacji. Rzuca się to w oczy każdemu, kto choć trochę bliżej zetknął się z tą dziedziną. Nawet w pośledniejszej SF, gdzie aż roi się od niezłomnych bohaterów, protagonistą ludzkim okazuje się jeśli nawet nie Zwykły Człowiek (Everyman), to wyidealizowany wariant Zwykłego Nadczłowieka (Supereveryman). Nie warto chyba również jakoś szczególnie dowodzić, że fantastyka naukowa ma charakter dydaktyczny. Przyjemność, jaką jej autorzy znajdują tłumacząc czytelnikom reguły fizyki i prawodawstwa trzydziestego wieku, mechaniki zdalnego przenoszenia przedmiotów, prawa patentowego, geometrii czterowymiarowej lub czegokolwiek innego, co im akurat wpadnie do głowy – bije z każdej książki, która nie pozwala się sprowadzić do jałowej opowiastki przyozdobionej elementami SF.[8] Fantastyka naukowa ma nawet swoją własną teologię. Tak jak współcześni autorzy psychoanalityczni najwyraźniej nie potrafią napisać czegokolwiek nie tłumacząc choćby raz jeden kompleksu Edypa, tak i autorzy SF upodobali sobie rozciągliwość czasu przy ruchu zbliżonym do prędkości światła. Nauka jest dla SF (na zasadzie analogii) tym, czym średniowieczne chrześcijaństwo było dla rozmyślnie dydaktycznej beletrystyki medievalnej.

Chciałabym podkreślić, że współczesna krytyka literacka (właśnie dlatego, że nie rozwinęła się po to, by analizować taki materiał), nie stanowi idealnego narzędzia do rozbioru beletrystyki o wyraźnie, rozmyślnie i ostentacyjnie dydaktycznym charakterze. (Współczesna krytyka natrafia na te same trudności w obliczu osiemnastowiecznych contes philosophiques, w których prof. Suvin upatruje pierwociny fantastyki naukowej). Każdy kto pragnie analizować literaturę dydaktyczną musi najpierw dobrze wiedzieć, jaki system wierzeń lub idei składa się na ten dydaktyzm. Krytyk współczesny, który próbuje zrozumieć fantastykę naukową nie pojąwszy wprzód nowoczesnej nauki znajduje się w położeniu takim jak mediewista, który usiłuje czytać „Piers Plowman" mając ledwie mętny obraz średniowiecznego chrześcijaństwa (lub może tak jak współczesny krytyk, który próbuje zrozumieć Bertolta Brechta nie wiedząc niczego o marksistowskiej analizie ekonomicznej). (...)

Naturalnie, fantastyka naukowa nie musi ludziom zawsze przynosić nowych wiadomości; mówi im ona zazwyczaj to, co już i tak wiedzą, ale ponowne obwieszczanie rzeczy wiadomych nabiera cech obrzędu, drogiego wszystkim jego uczestnikom. Ma więc fantastyka naukowa i ten swój aspekt, aczkolwiek wielu czytelników (w odróżnieniu od sytuacji, jaka istniała w średniowiecznym chrześcijaństwie) nie uważa go ani za potrzebny ani za pożądany. Istnieje wszak SF, która skupia swoją uwagę na samych tylko obrzeżach tego, co wiadome. Istnieje SF, która całkowicie ignoruje to, co wiadome. Ta ostatnia jest złą fantastyką naukową.[9](...)

Fantastyka naukowa pobrzmiewa odległym echem postaw i zainteresowań kultury przedindustrialnej, przedrenesansowej, jeszcze nie zeświecczonej i jeszcze nie indywidualistycznej. Z doświadczenia wiem, że studenci mediewiści łatwo i chętnie akceptują SF, że często ich ona pociąga, że jej dydaktyzm nie stanowi dla nich żadnego problemu i że w literaturze tej znajdują oni więcej satysfakcji niż studenci zgłębiający późniejsze okresy literackie.[10] Zresztą podobnie odbierają SF urbaniści, architekci, archeolodzy, inżynierowie, muzycy rockowi, antropologowie i w ogóle prawie wszyscy prócz większości profesorów anglistyki.

Jak więc wygląda ta krytyka, która bez orientacji w nauce i bez należytego respektu dla owej „teologii" SF próbuje analizować poszczególne utwory fantastyczno-naukowe?

Bywa niejednokrotnie, że dobra znajomość powszechnie przyjętych i ważnych wątków kultury zachodniej prowadzi krytyka ku błędnej ocenie rzeczywistej treści jakiegoś utworu SF.(...) Podobnie symboliczna ranga jakiegoś materiału krytycznego może zostać błędnie wytłumaczona, ponieważ znaczenie tego materiału w tradycji kulturalnej, z której wywodzi się fantastyka naukowa (a jest to głównie tradycja nauki, nie literatury) po prostu nie jest krytykowi znane. Czasami materiał może zostać zignorowany, gdyż nie wchodzi do uniwersum poznawczego krytyka.

I tak na przykład, we wspaniałej noweli H.G. Wellsa „Wehikuł czasu" („The Time Machine") podróż do roku 802701 zderza nas ze światem bezpośrednio przypominającym Raj – „ogród nie zarosły chwastami", pełen ciepłego słonecznego blasku i kwiatów cudnych choć niepielęgnowanych, przybytek radosnej bezczynności. Nawet Wellsowski Podróżnik do Krainy Czasu nazywa

szczęśliwych mieszkańców tego ogrodu Elojami (z hebrajskiego *Elohim)*. Pozorne koneksje wszystkich tych detali zdają się być oczywiste. Trudno też byłoby nie rozpoznać przeciwświata, jaki Podróżnik w tym czasie odkrywa pod ziemią; jest to pełen nieprzeniknionych ciemności, piekielny, zurbanizowany świat zasiedlony przez białe potworne istoty. Ale krytyk mógłby łatwo przecenić te odkrycia. Na przykład Bernard Bergonzi (a boję się, że takie podejście jest dość typowe) przywiązuje zbyt dużą wagę do Wellsowskiej antynomii obrazów niebiańsko/demonicznych.[11] Sielankowa przyszłość odmalowana w „Wehikule czasu" niewątpliwie mieści się w obrębie zachodniej tradycji literackiej, ale błędem jest uważać, że te (bardzo sugestywne) ciągi rajskosielankowych i piekielnych obrazów „skrycie" odzwierciedlają Wellsowski darwinizm społeczny. Wręcz przeciwnie, światy Elojów i Morloków zostały tu j a w n i e postawione w służbie darwinizmu społecznego, a ten nie jest niczym innym jak tylko pewną koncepcją bezrozumnej ewolucji, okrutnego materialistycznego determinizmu i tragicznej ślepoty wszelkich procesów fizycznych (...). Wizję Wellsa łatwo odgadnąć bynajmniej nie dzięki temu, że została przedstawiona dyskretnie, okrężnie albo że ją ukryto, tylko dlatego, że jest ona bezpośrednio obecna we wszystkich refleksjach, które Podróżnik do Krainy Czasu snuje na temat ewolucji, zwłaszcza w rozdziale pod ostentacyjnym tytułem „The Farther Vision" („Dalsza wizja"; w polskim przekładzie „Wehikułu czasu" nie uwzględniono tytułów rozdziałów – chodzi o rozdz. XI; w: H. G. Wells, *Opowieści fantastyczne*, t.1, Wyd. Lit. Kraków 1976). Eric Bentley zauważył kiedyś, że *„jasność jest pierwszym warunkiem dydaktyzmu"*.[12] Sens sztuki dydaktycznej musi być widoczny jak na dłoni. „Wehikuł czasu" nie mówi o Raju utraconym tylko – z pasją i tragicznie – o trzech prawach termodynamiki, a zwłaszcza o drugim. Powolne wystyganie słońca w „Dalszej wizji" zapowiada termiczną śmierć wszechświata. Nowela Wellsa ukazuje właściwie cały ciąg śmierci: śmierć indywidualna, zilustrowana przykładem prawdopodobnej śmierci Weeny oraz groźbą śmierci samego Podróżnika z rąk Morloków wydaje się dość brzydka; „ciemna otchłań butwiejącego papieru" w Pałacu z Zielonej Porcelany, opuszczonym muzeum, jest chyba nawet gorsza; całkowity zanik umysłu u dalekich ludzkich potomków (zwierzę przypominające kangura) jest przerażający; ale śmierć absolutnie wszystkiego, fizyczna degradacja całego świata – jest to Gotterdämmerung, o jakim w dawniejszych poglądach na naturę wszechświata ledwie można było pomyśleć, a cóż dopiero u d o w o d n i ć. (...)

Krytyk, który chce analizować „Wehikuł czasu" musi mieć nie tylko znajomość stanu wiedzy, na jakim utwór ten zbudowano; musi on też święcie wierzyć, że wiedza ta jest wiedzą prawdziwą i przydatną, w przeciwnym wypadku nie ma czego szukać w fantastyce naukowej. Jeżeli ktoś uważa, że wynalazki i zdobycze nauki to tylko dziwactwa i twory fantazji, mało ważne w codziennym życiu, to odcina się zarówno od SF, jak i od kontaktu z nauką – choć może sobie doskonale radzić z beletrystyką, która ignoruje naukę i naukowe widzenie świata. (...)

Fantastyka naukowa na podobieństwo średniowiecznego malarstwa zwraca się do rozumu, a nie do oka. Nie mamy tu do czynienia z tym, o czym wiemy, że jest prawdziwe na podstawie bezpośredniego doświadczenia; dane nam jest raczej to, co uznajemy za prawdę na podstawie innych przesłanek – albo, w przypadku fantastyki naukowej, to, o czym wiemy, że jest przynajmniej prawdopodobne. I tak autor SF może równie łatwo opisywać Jowisza, jak średniowieczny malarz malował Niebiosa – żaden z nich nie był tam we własnej osobie, ale to nie jest ważne. Przejście od jakiejkowiek odmiany współczesnej beletrystyki do fantastyki naukowej wydaje się być tak samo zaskakujące jak przejście od malarstwa renesansowego z jego cielesną zmysłowością i perspektywą do jasności i przejrzystej klarowności malarzy portretujących idee. Dlatego też fantastyka naukowa na wzór sztuki średniowiecznej potrafi operować zdarzeniami transcendentalnymi. Stąd wzięło się również owo zamiłowanie SF do cudów, bogobojności oraz religijna bądź quasi–religijna postawa wobec świata.(...)

Jeżeli krytyk wierzy, że prawda naukowa jest nierealna albo też dla jego pracy nieistotna, to w oczach takiego krytyka fantastyka naukowa staje się tylko ciągiem bardzo dziwnych metaforycznych przedstawień „kondycji ludzkiej" (rozpatrywanej jako coś wyłączonego spod wszystkich naukowych praw o wszechświecie lub innego niż te prawdy). Ale dlaczegóżby to artysta miał poszukiwać metafor w tak niezwykłych, zgoła pozaliterackich źródłach? Zwłaszcza że przecież nie brakuje mu bardziej błyskotliwych (i bardziej czytelnych) sądów o kondycji człowieka, zakorzenionych w nowszej (niefantastycznej) tradycji literatury?

Czyżby więc autorzy SF byli klubem dziwaków, odmieńców i uparciuchów? Wyobraźmy sobie tylko, co o takim zderzeniu dwóch kultur miałby do powiedzenia C.P.Snow.

A powiedziałby z pewnością jedno: że fantastyka naukowa przerzuca most między tymi dwiema kulturami. Swoje wierzenia, swoje tworzywo, silnie zagęszczoną metaforykę swoich utworów, swoje poglądy wreszcie, fantastyka naukowa wyprowadza z kultury, która nie mogła istnieć przed rewolucją przemysłową, zanim jeszcze nauka stała się i autonomiczną sferą ludzkiego działania i sposobem patrzenia na świat. Krótko mówiąc, fantastyka naukowa n i e w y w o d z i s i ę z tradycyjnej kultury literackiej Zachodu, toteż znawcy tradycyjnej literatury zachodniej mają wszelkie powody, by uważać SF za podrzutka.

Być może fantastyka naukowa stanowi pewien symptom zmian w naszej wrażliwości (i kulturze) zmian równie głębokich jak te z epoki Renesansu. Pomimo swej ultraamerykańskiej, indywidualistycznej żywotności, fantastyka naukowa posiada bowiem oblicze kolektywistyczne, dydaktyczne i – rzecz paradoksalna – częstokroć mocno religijne lub mistyczne.[13] Nie jest pewnie przypadkiem, że obszerną prezentację estetycznych założeń d y d a k t y k i znaleźć można w takich tekstach jak Brechtowskie „Małe Organon dla teatru".[14] Oczywiście, sztuka dydaktyczna nie musi zaraz oznaczać propagandy ani lewicowości. Istnieje jednak duża zbieżność między konsekwentnym twierdzeniem Samuela Delany'ego, iż współczesna literatura nie powinna zajmować się ludzkimi namiętnościami tylko ludzkimi spostrzeżeniami[15], stawianą przez D. Suvina definicją SF jako literatury „poznawczo wyobcowanej"[16], wytrwałym podkreślaniem dydaktycznego aspektu sztuki G.B. Shawa, Brechtowskim jej rozumieniem jako swoistego eksperymentu oraz opisami fantastyki naukowej w kategoriach „prób myślowych"[17]. Jest to tak, jak gdybyśmy od sztuki literackiej i dramatycznej żądali, by analizowała i uczyła, widząc w niej narzędzie jakiejś radykalnej poprawy warunków ludzkiego życia. (...)

Podobnie jak duża część literatury „postmodernistycznej" (Nabokov, Borghes), fantastyka naukowa konsekwentnie i wytrwale w sposób dla siebie typowy zajmuje się epistemologią.

Nie wydaje się prawdopodobne, by fantastyka naukowa stała się kiedykolwiek głównym nurtem literatury. Życie-jakie-jest (choćby nie wiem jak upiększone albo powykrzywiane) jest dla większości ludzi ciekawsze aniżeli fantastyczno-naukowe życie-jakim-mogłoby-być. A poza tym, to drugie zależy od stopnia zrozumienia i docenienia tego pierwszego. W pewnym sensie fantastyka naukowa podłączona jest do beletrystyki nie naukowej (albo też pasożytuje na niej – zależnie od punktu widzenia).

Istnieje jednak sfera, w której fantastyka naukowa zachowa swój absolutny prymat. Jest ona mianowicie jedyną odmianą literatury współczesnej usiłującą zasymilować naukową wiedzę o rzeczywistości i naukowe metody jako coś osobnego, wyłączonego ze zwykłych praktycznych zmian wnoszonych do naszego życia przez naukę.(...)

Krytyka fantastyki naukowej musi wyglądać zupełnie inaczej niż krytyka, do której przywykliśmy. Siłą rzeczy posługiwać się ona będzie estetyką, w której ogromną wagę mają elegancja, ścisłość i systematyczna zwartość uzewnętrznianych idei.[18] Stąd wrażenie, że SF weksluje ku najrozmaitszym dziedzinom pozaliterackim, ku metafizyce, polityce, filozofii, fizyce, biologii, psycho-



logii, topologii, matematyce, historii itp. Relacja między planem głównym i tłem, do której tak bardzo przyzwyczaiło nas półtora wieku realizmu, tu w ogóle nie zachodzi. Czasami bywa wręcz odwrócona. (...) Tematy uważane zwykle za obojętne emocjonalnie są tu naładowane emocjami. Brak jest tradycyjnych „ludzkich" odniesień; protagoniści mogą przybierać najrozmaitsze kształty, byle tylko byli rozpoznawalni. To, co w innej beletrystyce byłoby zjawiskiem nadprzyrodzonym, w SF jest tylko prawdziwe albo oczywiste; to, co gdzie indziej byłoby zwyczajne i ziemskie, tutaj jest niesamowite, skomplikowane, cudowne. (...)

Zadania stojące przed współczesną krytyką SF można porównać do trudności, jakie nastręcza badanie dzieł Szekspira jedynie w świetle wielkiej i pstrokatej masy sztuk teatralnych z epoki elżbietańskiej, paru zapisków Ben Jonsona, kilku rozproszonych apologii u Richarda Burbage'a, komentarzy Rowe'a do „Otella" oraz opartego wyłącznie na klasykach greckich i rzymskich kanonu standardów literackich – co, trzeba przyznać, nie daje pola do popisu.

Pewne początki jeśli chodzi o nakreślenie ram fantastyki naukowej zostały uczynione zwłaszcza

Joanna RUSS

Profesor anglistyki na Uniwersytecie im. Waszyngtona w Seattle, USA. Jedna z najwybitniejszych pisarek SF, należy do klasycznej już dziś generacji lat sześćdziesiątych. Wiele dyskusji w swoim czasie wzbudziła jej powieść „The Female Man" („Zniewieściały mężczyzna"), według słów D. Suvina „doskonały przykład inteligentnej i zajadle feministycznej prozy agitacyjnej". Szkic, którego obszerne fragmenty drukujemy pochodzi z tomu „Science Fiction Studies": Selected Articles on SF 1973-1975, Boston 1976, eds. R.D. Mullen and D. Suvin. Przekład według tekstu serbsko--chorwackiego za miesięcznikiem „Književna smotra", 46/1982, s.13–18.

(J.Ch.)

przez Lema i Suvina, ale wciąż pozostaje wiele do zrobienia. Najważniejszym zadaniem jest, jak się wydaje, ustalić, że chodzi o rzeczywiście nową i całkiem odmienną literaturę. Stosowanie utartych wzorców i metod wobec SF może mieć trojaki skutek: o d r z u c e n i e całej fantastyki naukowej jako-nie-literatury, w y s e l e k c j o n o w a n i e z SF pewnych wąskich podtypów (ponieważ dadzą się one przynajmniej częściowo rozumieć na dotychczasowy sposób) i wreszcie – b ł ę d n y o d b i ó r oraz mylne postrzeganie samych tekstów, ilekroć ktoś usiłowałby je zrozumieć. Pierwsza reakcja jest, jak się wydaje, najbardziej powszechna. Drugiej moglibyśmy przypisać dziwne zjawisko, że krytycy nieobyci z fantastyką naukową stwierdzają, iż łatwo im idzie z dwoma rodzajami fantastyki: z opisami lotów na księżyc (literatura XVII w.) oraz współczesną dystopią. W ten sposób „Nowy wspaniały świat" oraz „Rok 1984" wzbudziły u krytyki więcej zainteresowania niż, dajmy na to, ostatnie sztuki Shawa albo utwory Stapledona. Trzecia kategoria skutków występuje na razie rzadko, albowiem do rzadkości należą akademickie badania nad SF. Może ona jednak stać się zjawiskiem częstszym, jeżeli coraz większa popularność uniwersyteckich seminariów SF nie zaowocuje godną tego przedmiotu krytyką(...)

Przełożył
Jerzy Chmielewski

Przypisy

1. Jak się wydaje, ruch *Environments* oraz inne podobne kierunki sztuki współczesnej są dłużnikami SF. Wyobraźmy sobie „archeologiczną" wystawę cywilizacji Lthurosów w jakimś naszym muzeum prowincjonalnym. Ściśle biorąc, wystawa taka będzie zawsze tworem fantazji, nie zaś fantastyki naukowej, ponieważ jej autor, prof. Norman Daly z Uniwersytetu Cornell, owej wymyślonej planety nie umiejscawia w żadnej historii, ani znanej, ani przyszłej, ani pozaziemskiej.
2. Zobacz zwłaszcza: *On the Poetics of the Science Fiction Genre*, „College English", 34 (1972): 372-82.
3. Na przykład: *On the Structural Analysis of Science Fiction*, SFS, 1(1973): 26–33.
4. *About Five Thousand One Hundred and Seventy-Five Words* (O pięciu tysiącach stu siedemdziesięciu pięciu słowach), „Extrapolation" 10 (1969): 52-66.
5. Przynajmniej nie bezpośrednio. Większe zmiany w teorii naukowej mogą prowadzić do znaczniejszych rewizji w ocenie SF, ale przeważająca część fantastyki naukowej jest jeszcze na to zbyt młoda. Zgadzam się z G.B. Shawem, że literatura dydaktyczna (częściowo przynajmniej) zużywa się pod wpływem czasu, ale większość SF wciąż jeszcze może powoływać się na szkockie prawo „not proven".
6. Suvin, vide przypis 2, str. 377.
7. Damon Knight, *In Search of Wonder* (Szukając cudu), II wyd. 1967. Wyrażenie to przewija się w całej książce.
8. Od czasu do czasu pojawia się coś, co można by nazwać quasi-eseistyką, na przykład: Larry Niven, *The Theory and Practice of Teleportation*, „Galaxy", marzec 1969.
9. Powiedzonko przypisywane pisarzowi SF Theodorowi Strugeonowi głosi, że 90% czegokolwiek jest do luftu.
10. W związku w tym SUNY Binghamton oferuje letni kurs fantastyki naukowej prowadzony przez absolwenta mediewalistyki.
11. Bernard Bergonzi, *The Early H.G.Wells*, 1961, str. 52 i dalej.
12. Eric Bentley, *The Playright as Thinker*, New York, 1967, str. 224.
13. Kingsley Amis podkreśla, że fantastyka naukowa XX wieku jest głównie fenomenem amerykańskim: *New Maps of Hell*, New York, 1962, str. 179-205.
14. Vide: *Brecht on Theatre*, tłum. John Willet, New York, 1962, str. 179–205.
15. W referacie wygłoszonym podczas seminarium MLA na temat SF, grudzień 1968, Nowy Jork.
16. Vide: Suvin, op.cit. str. 372.
17. Wyrażenie to jest tak często używane, że trudno ustalić jego autorstwo.
18. Suvin, op. cit. str. 391, pisze następująco: „*Konsekwencja w ekstrapolacji, wierność analogii oraz rozległość referencji przekształcają się w takiej poznawczej dyskusji w czynniki estetyczne (...) element p o z n a w c z y – w większości wypadków ściśle naukowy – staje się miarą jakości estetycznej*".

W samo południe jednego z upalnych dni lata 1965 r. w niewielkim brazylijskim mieście Rio Branco wybuchła panika. Ludzie wybiegali z domów i uciekali w popłochu ulicami, na których leżały trupy psów i biegały oszalałe konie. Przerażenie doszło do szczytu, kiedy na głowy ludzi poczęły spadać martwe ptaki. Zatory na ulicach, spowodowane zderzeniami samochodów wzmogły ogólny chaos; nikt już nie próbował gasić pożarów ani ratować rannych w rozbitych pojazdach. Strach opanował Rio Branco.

Z tamtej strony lustra

Zabójca pszczół

Maciej Iłowiecki

20 lat temu głośno było w brazylijskiej prasie o „wydarzeniach w Rio Branco", nazwa tego miasteczka trafiła też na łamy prasy światowej. Ale informacja o panice w Rio Branco utonęła w rzece innych sensacji i wkrótce o niej zapomniano. Zresztą dzienniki jak zazwyczaj przesadziły w opisie okropności, choć tym razem może nie tak bardzo – panika tłumu zawsze ma cechy lawiny, w pewnej chwili podsyca się już sama, narasta, jej źródło staje się obojętne.

Cytat na początku pochodzi z mego własnego felietonu, w którym opisałem wtedy tę historię. Czasem można się powołać na samego siebie, zwłaszcza gdy przez tyle lat rejestruje się różne niezwykłości... W tym wypadku nie chodzi o samą panikę, która przecież ogarnia czasem najodważniejszych ludzi. Chodzi o jej źródło. Otóż źródłem przeraźliwej paniki tłumu w Rio Branco był atak chmary pszczół, które nie szczędziły nikogo i goniły każdą żywą istotę, nie dając się niczym odstraszyć. Jadowite ukłucia tych owadów były niezwykle bolesne; większość mieszkańców miasta nie wiedziała jeszcze wtedy, iż były naprawdę groźne. Wszystkich zdumiewała z a j a d ł o ś ć pszczół. Zwykle przecież – wbrew różnym przekonaniom – niełatwo jest wyprowadzić z równowagi spokojne zbieraczki miodu, zdawałoby się także, iż w mieście nietrudno się przed nimi ukryć. Tym razem oszalałe owady wciskały się przez najmniejsze szparki – wszędzie tam, gdzie próbowali ukrywać się ludzie.

Sytuację opanowała dopiero wezwana przez burmistrza gwardia narodowa, używszy gazów łzawiących i armatek wodnych. Rio Branco wróciło szybko do normy, mieszkańcy niechętnie wspominali tę historię, jakby wstydząc się swego nieopanowanego strachu. Ale sprawa nie skończyła się na tym – po 20 latach warto do niej wrócić, tym bardziej że nabrała nowych znaczeń i kto wie jak jeszcze się skończy.

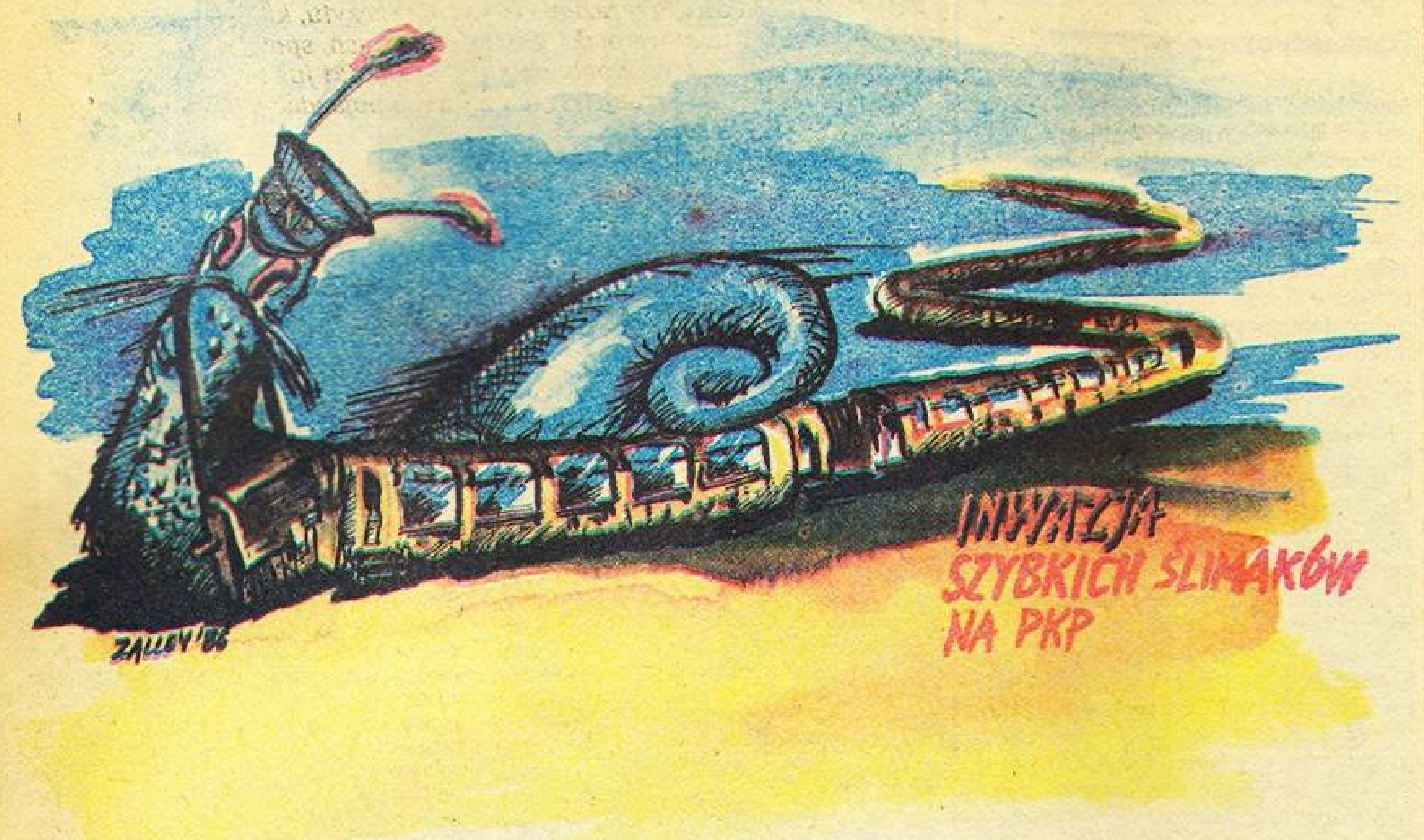
Ciekawy i mało pewnie znany jest fakt, że na kontynencie amerykańskim kiedyś w ogóle pszczoły miodnej *(Apis mellifera)* nie było. Te pożyteczne i miłe owady wywodzą się z Afryki, do Europy i Azji dotarły zapewne same – przed tysiącami lat. Do Nowego Świata przywieźli je Europejczycy – oczywiście przywieźli kolonie udomowione, założyli pasieki i wkrótce mieli miód. Ale pszczoły z klimatu europejskiego hodowały się najlepiej we wschodnich rejonach Stanów Zjednoczonych. Na południu, zwłaszcza w tropikach Ameryki Południowej, zbiory miodu były niewielkie.

Trudno się dziwić, że pszczelarze zwrócili się o pomoc do uczonych; właśnie na Uniwersytecie w Sao Paulo prowadził wtedy badania znakomity znawca owadów, genetyk Warwick Kerr i on też rozpoczął próby z krzyżówkami pszczół. Krzyżowanie różnych odmian zwierząt i roślin jest, jak wiadomo, najstarszą i dobrze wypróbowaną metodą uzyskania organizmów o cechach korzystnych dla hodowcy. Otóż pewna odmiana pszczoły miodnej mieszkającej w Afryce *(Apis mellifera adansonii)* żyje właśnie w tropikach, wilgoć i upały nie przeszkadzają pszczołom afrykańskim wytwarzać dużych ilości miodu – dwa razy więcej, niż w takich warunkach może wyprodukować pszczoła z klimatu umiarkowanego. Odmiana afrykańska jest tak podobna do europejskiej, że tylko znawcy mogą je odróżnić. Wszakże pszczoły z Afryki mają, rzec można, okropne zwyczaje – byle co wyprowadza je z równowagi i wtedy natychmiast atakują całym rojem wszystkie żywe istoty, które zdołają dopaść. Pszczoły europejskie są łagodne, nie tak łatwo je podraźnić, a już bardzo rzadko atakują gromadnie (choć i to się zdarza w wyjątkowych okolicznościach). Zatem profesor Kerr rozumował poprawnie: trzeba doprowadzić do tego, by wynik krzyżówki pszczoły z Afryki z pszczołą z Europy odznaczał się zarówno łagodnością i spokojem, jak i zdolnością do dużej produkcji miodu w klimacie tropikalnym.

Uniwersytet Sao Paulo sprowadził w 1956 r. 35 matek pszczelich z Afryki i Kerr rozpoczął krzyżówki. Naturalnie, zachował wielką ostrożność. Ule owinięto siatkami o oczkach takich rozmiarów, żeby mogły przez nie przechodzić tylko bezpłodne robotnice. Było to konieczne, bo one przecież dostarczają kolonii pożywienie. Większe od robotnic królowe i trutnie musiały siedzieć w ulach. W 1957 r. w doświadczalnej pasiece ktoś zdjął siatki z uli, nie wiadomo już, czy dla żartu, czy z lekkomyślności – 26 królowych uciekło na wolność. Nie zdołano ich złapać i zaczęły krzyżować się z samcami miejscowych, łagodnych rojów. Wynik tego samorzutnego eksperymentu przekroczył najgorsze oczekiwania: nowe pokolenie pszczół było jeszcze agresywniejsze niż odmiana afrykańska, jeszcze bardziej ruchliwe i lubiące podróże. Nowe roje łatwo przenosiły się z miejsca na miejsce i wypierały dobrotliwe pszczoły europejskie. Po prostu je zabijały, zabierając przy okazji zapasy miodu. Wystarczyło też, by cokolwiek podrażniło jedną pszczołę nowego pokolenia – natychmiast wysyłała chemiczny sygnał „pomocy!" (czy może strachu albo agresji – na jedno wychodzi). Sygnał był odbierany przez resztę roju zadziwiająco szybko i z dużej odległości – i zaraz cała chmara rozwścieczonych owadów atakowała wspólnie wszystkie żywe istoty w pobliżu pszczoły wzywającej pomocy.

Sygnały zagrożenia są wysyłane przez wszystkie gatunki pszczół, zaś ich głównym składnikiem jest związek chemiczny, zwany octanem izoamylu (nb. alkohol amylowy ma dla człowieka zapach bardzo miły). „Normalne" pszczoły rzadko korzystają z tego pszczelego S.O.S.; nowa krzyżówka brazylijska działa jak zbyt czule nastawiony autoalarm.

Nowe pszczoły tak ostro atakowały ludzi, że pasiecznictwo stawało się niemożliwe, a Kerr przeklinał swój pomysł. Wielu pszczelarzy w pobliżu Sao Paulo musiało zrezygnować z zawodu, straszliwe pszczoły uciekły gdzieś do dżungli i chwilowo zapanował spokój. Trwał on jednak niedługo. Wkrótce zaczęły dochodzić wieści o ginięciu bydła na pastwiskach, coraz częściej też ofiarą pszczół padali ludzie. Najpierw byli to rolnicy, atakowani przez owady podczas uprawy swych pól. W 1965 r. zdarzyła się pierwsza poważna historia w mieście – we wspomnianym Rio Branco (jak ustalono potem, atak pszczół wywołał pewien człowiek, próbując wykurzyć dymem rój, osiedlony w jego domku). Potem ataki gigantycznych rojów powtórzyły się w różnych nadmor-



Marek Zalejski

skich miasteczkach brazylijskich – w Recife, Fortaleza, Aracaju, Goianinha, Aracati... i to już było ponad 2 i pół tysiąca kilometrów w linii powietrznej od Sao Paulo.

W mieście Suore strzał na wiwat podczas świątecznej procesji zmobilizował kilka potężnych rojów do ataku, w panice stratowano wtedy sporo osób. Gdzie indziej pszczoły przerwały mecz piłki nożnej, atakując stadion wypełniony widzami. Nie były to przelewki – do roku 1975 od żądeł pszczół zginęło ponad półtorej setki Brazylijczyków, miasteczko Fortaleza w ogóle się wyludniło, bo osiedlone w jego pobliżu owady atakowały ludzi na ulicach i w domach po kilkadziesiąt razy dziennie!

W tym czasie „wściekłe" roje dawno już przekroczyły granice Brazylii. Przeniknęły przez Andy i pokazały się w Chile, z drugiej strony opanowały Gujanę, Wenezuelę, Kolumbię, Ekwador, kraje Ameryki Środkowej. W lecie 1985 r. dotarły do Meksyku. Ponieważ posuwają się w tempie 600 km rocznie, obliczono, że w 1988 r. przekroczą granicę Stanów Zjednoczonych (wygląda jednak na to, że pojawią się tam wcześniej – szybkość przesuwania się „wściekłych pszczół" ostatnio zaczęła rosnąć). W USA opanują Kalifornię, stany południowe, Florydę – potem zatrzyma je klimat. Ściślej mówiąc, to eksperci twierdzą, że pszczoły zatrzymają się na granicy klimatu umiarkowanego (uprzednio eksperci twierdzili, że owady afrykańskie odziedziczą po europejskich łagodność...).

W krajach Ameryki Środkowej od ataków „wściekłych pszczół" zginęło już kilkaset osób, ponadto giną pszczoły hodowane w ulach. Nie jest całkowicie jasne, dlaczego pszczoła afrykańska tak zaciekle tępi swą najbliższą krewniaczkę z Europy. W każdym razie dzikie roje niszczą wszystkie pszczoły domowe w zasięgu wielu kilometrów od swych siedzib; Amerykanie nazwali tę nową, groźną odmianę pszczoły „bee-killer" – zabójcą pszczół. Wedle oceny hodowców, w Brazylii pszczelarstwo zostało zniszczone na dobrych 20 lat (zakładając, że uda się „coś zrobić" z „zabójcami pszczół" i odbudować hodowlę). W Wenezueli produkcja miodu spadła o 80%. Nie każdy wie – ale Meksyk jest największym producentem miodu na świecie i zniszczenie pszczelarstwa odbije się bardzo niekorzystnie na gospodarce tego kraju. Dlatego Meksykanie opracowali wielki plan rozprawy z „zabójcami pszczół". Wysiłki Meksyku wspomaga USA – cała akcja ma kosztować 100 mln dolarów. Ale znawcy oceniają sceptycznie możliwości tej akcji: nie ma dobrej metody zwalczania agresywnych owadów ani też nie mają one wrogów naturalnych. Zauważono natomiast, że „wściekłe pszczoły" są coraz większe i że stale rośnie ich agresywność. Bywa, iż rój atakuje ludzi i zwierzęta bez żadnej przyczyny – wyłącznie dlatego, że pszczoła-zwiadowca dostrzegła żywą istotę.

No cóż, nie pierwszy to raz ludzie przez głupotę naruszyli równowagę w przyrodzie. Dziwnym zrządzeniem losu, właśnie Brazylia, dziś odpowiedzialna na najazd „wściekłych pszczół", padła już raz ofiarą owada z Afryki. W 1929 r. przywleczony z Afryki komar malaryczny wywołał epidemię malarii. Ponieważ Brazylijczycy po raz pierwszy wtedy zetknęli się z tą chorobą, epidemia zebrała tragiczne żniwo...

Kilka lat temu wielki niepokój wzbudziło nagłe uaktywnienie się dziwnego stwora morskiego, 16-ramiennej rozgwiazdy, zwanej „cierniową koroną" (naukowo: *Acanthaster planci*). Zwierzę to, niepodobne do żadnego innego zwierzęcia, bo mające kształt gwiazdy, zaczęło się nagle gwałtownie mnożyć. „Cierniowa korona" pożywia się koralowcami. Drapieżca zaczął szybko niszczyć wspaniałe rafy koralowe mórz południowych. Zagroziło to Australii – w 1970 r. zniknęło na przykład około 100 mil kwadratowych gigantycznej, ochronnej dla kontynentu bariery koralowej. Zaczęły ginąć koralowce wokół wysp Guam, Saipan, Fidżi, Wysp Salomona i wielu setek atoli południowego Pacyfiku. Gdyby rafy koralowe znikły – zmieniłyby się warunki środowiska, niektóre wyspy zostałyby w ogóle zniszczone przez ocean, wielu ludzi utraciłoby źródła żywności. Klęska zdawała się nieunikniona – i raptem w początku lat siedemdziesiątych rozgwiazda wstrzymała swój złowrogi pochód, tak samo nagle, jak go rozpoczęła. Nie wiadomo dotąd, jakie były przyczyny tej ekspansji i co ją zatrzymało.

W 1972 r. Florydę zaatakowały ogromne ślimaki, pożerające różne uprawy. Do dziś trudno się z mięczakami uporać. Niedawno w jednej z ruchliwych dzielnic Saint Louis (stan Missouri, USA), poczęły na ulice opadać z nieba „brudne ścierki", oślepiając kierowców, powodując zatory, katastrofy i ogólną panikę. Okazało się potem, iż były to wielkie płachty pajęczyn, tkane przez miliony pająków, odbywających z wiatrem podróże godowe. Zjawisko nigdy dotąd nie występowało w takim nasileniu i zupełnie nie wiadomo, jakie były tego przyczyny.

Wreszcie w 1984 r. niektóre rejony Australii nawiedziła plaga wyjątkowo agresywnych myszy. (Australia ma do takich inwazji wyjątkowe szczęście – swego czasu plaga sprowadzonych z Europy królików zagroziła gospodarce australijskiej, bo króliki zamieniały w pustynię pastwiska dla owiec). Teraz myszy – zwierzątka o przysłowiowej strachliwości, które zwykle uciekają przed wszystkim, co się rusza – otóż teraz myszy australijskie atakują nawet ludzi. Niektóre szosy stały się nieprzejezdne – lawiny, nieprzeliczone rzesze myszy uniemożliwiały przejazd samochodów, ślizgających się na ich martwych ciałkach. Co dziwne – koty zachowują się wobec tych „odważnych myszy" raczej obojętnie. W ogóle nie chcą polować na gryzonie, które od początku istnienia kotów były ich ulubioną zwierzyną łowną!

Rzecznik rządu australijskiego oświadczył wtedy: stoimy wobec zjawiska, którego nie możemy opanować... Ale w 1985 r. pochód niszczących zbiory myszy się zatrzymał.

Nagłe inwazje niszczycieli i szkodników zdarzały się zawsze. Wszakże w naszych czasach rozmiary tych inwazji zmuszają do zastanowienia. Rzeczywistość zaczyna wyprzedzać fantazję: starsi z nas pamiętają znakomity, niezwykły film Hitchcocka – „Ptaki" (stada ptaków atakują ludzi), niedawno zaś mogliśmy oglądać amerykański „dreszczowiec" „Rój". W tym filmie ludzi atakują... oszalałe pszczoły. „Rój" nakręcony był przedtem, zanim pszczoły afrykańskie stały się prawdziwą groźbą dla obu Ameryk.

Pszczoły czy myszy są jednak niczym, prawie niczym – wobec inwazji niosącego śmierć wirusa HTLV-3 (tak, to on właśnie wywołuje nieuleczalną chorobę AIDS, rozszerzającą się w postępie geometrycznym). Wirus ten miał przez wieki swoje siedlisko w trudno dostępnych rejonach Afryki. Dlaczego zaatakował właśnie TERAZ i od razu tak gwałtownie? Jakie jeszcze mutanty czają się na Ziemi i czekają na swój czas? Jakie n o w e mutanty pojawią się pod wpływem wywołanych przez ludzi zakłóceń w biosferze?

Co zaś do pszczół, możemy się pocieszać, że na przykład byłoby jeszcze gorzej, gdyby inwazję rozpoczęły niedawno odkryte pszczoły indyjskie, mierzące sobie 4,5 cm długości. Są to jadowite owady wielkości myszy; gatunek ten *(Chalicodoma pluto)* uważano za wymarły.

Swoją drogą, ileż to nowych pomysłów dla naukowej fantastyki! Wystarczy uważnie obserwować przyrodę.

Trzeci Ogólnopolski Przegląd Filmów Fantastycznych

Stało się już tradycją, że pierwszym spotkaniem fanów w nowym roku jest cykliczna impreza organizowana w Świnoujściu przez tamtejszy klub PSMF „Wąż Morski".

Trzeci już, Ogólnopolski Przegląd Filmów Fantastycznych zaczął się 20 stycznia 1986 r. jako impreza otwarta dla mieszkańców miasta, natomiast połączone z przeglądem spotkanie fanów trwało od 23 do 26 stycznia. W tym czasie pokazano kilkanaście filmów w technice wideo i kilka na szerokim ekranie.

Niestety, poziom artystyczny pokazywanych obrazów był przeważnie nie najlepszy i osiągnął w przypadku filmu „Sam przeciwko Imperium" samo dno. Zabrakło też tak zwanego przeboju, który by na długo pozostał w pamięci uczestników spotkania. Można się spierać, czy winę za taki, a nie inny repertuar ponoszą organizatorzy, czy po prostu brak jest już dobrych filmów tego gatunku, ale wydaje się, że gospodarze przeliczyli się trochę z siłami, bazując prawie wyłącznie na swojej filmotece i rezygnując z pomocy innych klubów. Wiem na przykład, że część klubów samorzutnie przywiozła do Świnoujścia sporo filmów, z których większość była na pewno lepsza niż wspomniany już „Sam przeciwko Imperium". Do najlepszych pozycji przeglądu należy bezsprzecznie nieczęsto pokazywany „Eksperyment filadelfijski" oraz wyświetlane już na wielu innych pokazach filmy „Diuna" i „Terminator".

Na taśmie 35 mm zaprezentowano m.in. „Obcego – ósmego pasażera Nostromo" i „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" – filmy wybitne, ale już bardzo wyeksploatowane, stanowiące w zasadzie jedynie „powtórkę z rozrywki".

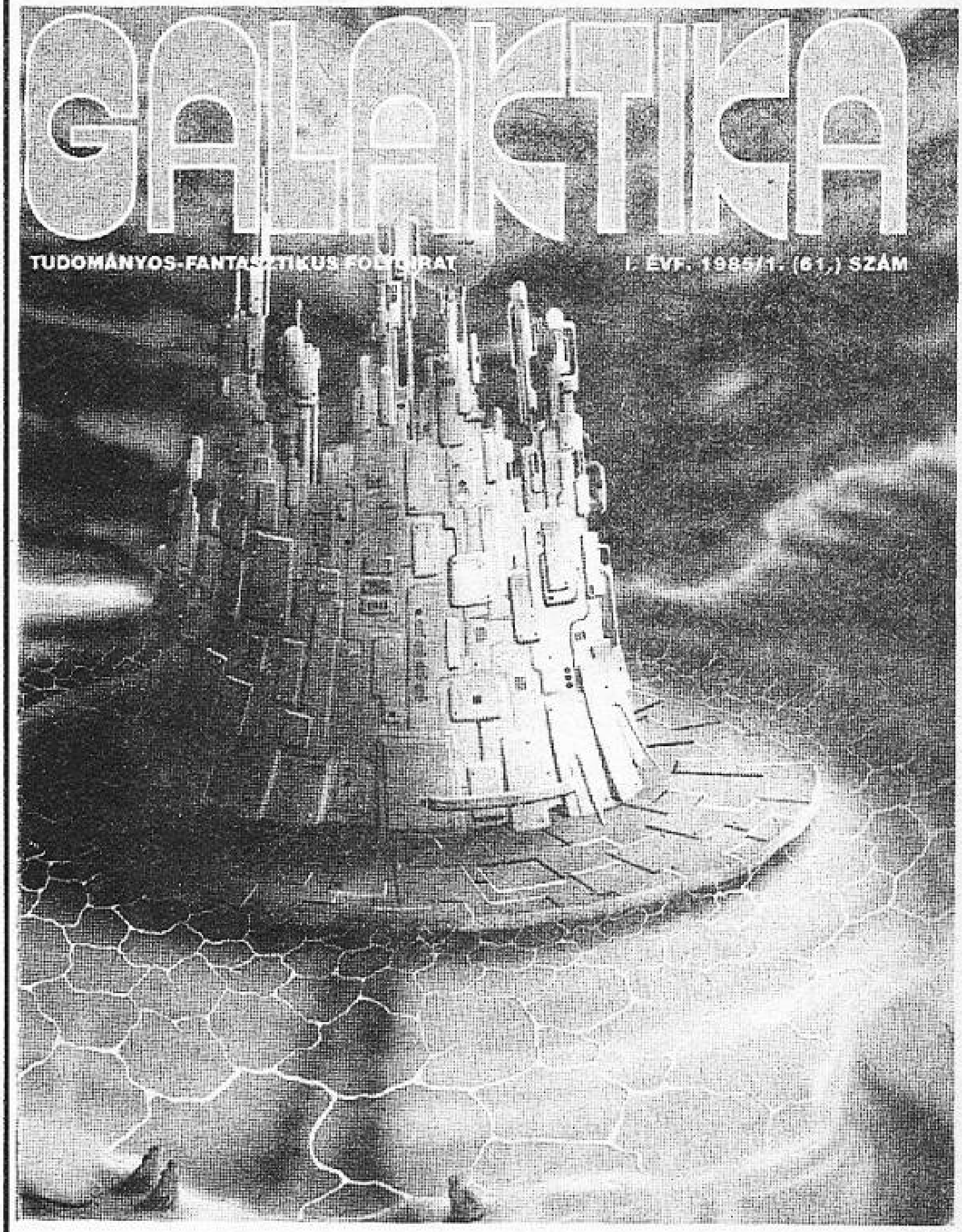
Nie zabrakło w Świnoujściu imprez towarzyszących. Tym razem były to spotkania z Markiem Oramusem i z przedstawicielami naszej redakcji (Maciej Parowski, Jacek Rodek i Maciej Makowski) oraz pokaz gier komputerowych prowadzony przez Jacka Rodka.

Techniczna strona impezy, jak zwykle w Świnoujściu, stała na dobrym poziomie. Każdy z uczestników otrzymał znaczek oraz starannie opracowany i wydany program połączony z informatorem. Trudno też coś zarzucić zakwaterowaniu, a za słabsze niż w zeszłym roku wyżywienie nie można winić gospodarzy.

Echa Polconu 85

W Świnoujściu odbyło się ostatnie już chyba posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Polconu 85. Poświęcone było ono wyłącznie rozliczeniom finansowym. Mimo poważnych niedoborów wynikłych z różnic między preliminarzem a wysokością otrzymanych rachunków udało się klubom osiągnąć porozumienie, które – pod warunkiem pełnej realizacji – może położyć wreszcie kres wszystkim niejasnościom związanym z tą imprezą.

Mak



„Galaktika"

Nowe koncepcje PÉTERA KUCZKI

Jesienią 1985 roku ukazał się kolejny 61 numer węgierskiego almanachu SF „Galaktika", po raz pierwszy w nowym opracowaniu redakcyjnym, zmienionym formacie i układzie graficznym. Z antologii tekstów SF „Galaktika" została przekształcona w magazyn fantastyczno-naukowy o bogatym profilu tematycznym przypominającym w dużej mierze zawartość naszego miesięcznika. Węgierski magazyn prezentuje nadal beletrystykę SF (w numerze 61/1 znalazły się teksty Istvána D. Németha, Beli Rigó, Márii Szepes, Zsuzsy V. Nagy oraz przekłady opowiadań anglosaskich: Clifforda D. Simaka i Isaaca Asimova). Nowa, rozszerzona formuła pisma wprowadza jednak wiele dodatkowych informacji o krytyce, malarstwie, filmie i paranauce SF. Nader ciekawą propozycją staje się dział „Film, telewizja, wideo" ukazujący sylwetki wybitnych reżyserów (w numerze 61/1 – postać Stevena Spielberga), popularnych obrazów ostatnich miesięcy (m.in. „Starman", „The Philadelphia Experiment" – Johna Carpentera; „Odyseja 2010" – Petera Hyamsa). W dziale nauki o kosmicznej egzobiologii piszą: Rudolf Weinbrenner i Tibor Várkonyi podejmując jeden z ważniejszych tematów science fiction. Interesująco rozwiązany jest dział krytyki, który obok stałych „warsztatów literackich" zamieszcza recenzje z prozy SF (S. Sniegow – „Ludzie jak bogowie", Carl Amery – „Der Untergang der Stadt Passau") oraz omówienia teorii SF (klasyczne pozycje Tzvietana Todorova – „Introduction á la littérature fantastique" i Frederika Hetmanna – „Die Freuden der Fantasy. Von Tolkien bis Ende"). Przeglądowi współczesnych czasopism SF poświęcony jest szkic Zoltána Csöndera – opublikowany w dziale informacji (znaleźć tu można również opis tak znaczących wydarzeń, jak historię „The International SF Association of Professionals" i amerykańskich nagród Nebula). Miłym akcentem jest informacja o polskiej SF ostatnich miesięcy. Całą kolumnę pisma zajmuje prezentacja naszej „Fantastyki" (István Nemere – jeden z czołowych tłumaczy, autorów i krytyków węgierskiej SF pisze o historii miesięcznika i jego profilu edytorskim). Nieco dalej zamieszczona jest informacja o wydawnictwach utrzymujących stałe serie SF oraz twórczości takich autorów jak Stanisław Lem, Konrad Fiałkowski, Krzysztof Boruń, Adam Hollanek, Adam Wiśniewski-Snerg, Janusz Zajdel, Andrzej Krzepkowski, M. Łukasiewicz i Maciej Parowski.

Węgierskie czasopismo jest ilustrowane techniką czarno-białą (kolorowa, kredowa okładka) i podobnie jak miesięcznik polski proponuje swoim czytelnikom przegląd malarstwa SF w formie wewnętrznej „Galerii Galaktiki".

„Galaktikę" w nakładzie ok. 80 tysięcy egzemplarzy wydaje Móra Ferenc Ifjúsági Könyvkiadó w Budapeszcie. Naczelnym redaktorem magazynu jest długoletni edytor, krytyk, pisarz, działacz WSF – Péter Kuczka.

SF na świecie

Sympozjum na temat twórczości Stanisława Lema

W dniach 30 września i 1 października 1985 r. w Austriackim Towarzystwie Literaturoznawczym w Wiedniu odbyło się międzynarodowe sympozjum poświęcone twórczości Stanisława Lema. Wzięło w nim udział około 100 zaproszonych osób z różnych krajów Europy. Odczytano następujące referaty:

– Peter Haffner (Zurych) – „Asocjacja i analiza w pisarstwie Stanisława Lema",

– Helmut Kohlenberger (Wiedeń) – „Stanisław Lem – filozof",

– Wolfgang Kraus (Wiedeń) – „Osobliwości austriackie u Stanisława Lema",

– Manfred Mixner (Wiedeń) – „Język Stanisława Lema",

– Jens Reuter (Monachium) – „Polityczne komponenty w twórczości Stanisława Lema",

– Rupert Riedl (Wiedeń) – „Funkcja utopii w pisarstwie Stanisława Lema",

– Franz Rottensteiner (Wiedeń) – „Paradoksy Stanisława Lema",

– Peter Schattschneider (Wiedeń) – „Problematyka nauk przyrodniczych na przykładzie Stanisława Lema",

– Janina Wieczerska-Zabłocka (Gdańsk) – „Testy dla demiurgów, czyli Stanisław Lem jako teolog".

Wśród uczestników imprezy byli obecni filozofowie, przyrodnicy, krytycy literaccy, dziennikarze oraz tłumacze utworów Lema.

SF w RFN

W Republice Federalnej Niemiec można zaobserwować redukcję wydawanych pozycji SF. Przede wszystkim „Moewig/Pabel" wstrzymał edycję wielu serii książek, również w formie zeszytowej, z tych ostatnich „Terra Astra", „Mythor" i „Zauberkreis-SF", serię kieszonkową „Terra Taschenbuch" oraz „E.C. Tubb". W marcu 1986 r. ukazały się po raz ostatni serie kieszonkowe „Clark Darlton" (tomik nr 24) oraz „Utopia Classics" (tomik nr 87). Tym samym plan wydawniczy tego edytora, jeden z najobszerniejszych w niemieckim obszarze językowym, skurczył się do trzech wydań powieści kosmicznych o Perry Rhodanie oraz serii „Terra Fantasy", „Andre Norton", „Moewig SF", „Playboy SF" i „Phantastica", przy czym „Moewig SF" zostaje zredukowane z czterech do jednego tytułu miesięcznie. Słyszy się też o zamiarze wstrzymania edycji serii „Phantastica" i „Playboy SF".

Również inne wydawnictwa w RFN redukują plany edytorskie książek kieszonkowych, np. „Knaur" z 10 tytułów w półroczu do sześciu. Z podobnym zamiarem nosi się „Bastei-Lübbe", a „Ullstein" zaprzestaje wydawania science fiction jako odrębnej serii, włączając ją do planu ogólnego; zmianie ma ulec także szata graficzna w celu zwiększenia sprzedaży, jako że w ostatnim czasie popyt na science fiction wydawaną przez „Ullstein Verlag" drastycznie zmalał. Jedynie wydawnictwo „Goldmann" zamierza zwiększyć podaż science fiction i fantasy z dotychczasowych pięciu do sześciu książek kieszonkowych miesięcznie (w przyszłości ukazywałyby się co miesiąc trzy pozycje z gatunku fantasy, zamiast dwóch, jak dotychczas).

Nowe powieści SF

Nowa powieść Roberta A. Heinleina „The Cat Who Walks Through Walls: A Comedy of Manners" została zakupiona przez wydawnictwo „Putnam/Berkley" za sumę około 1 000 000 dolarów. Książka ukaże się już w październiku, z piękną obwolutą Whelana. Powieść nawiązuje do „The Moon Is A Harsh Mistress", występują w niej postaci i sytuacje znane również z innych, wcześniejszych powieści Heinleina.

Isaac Asimov dostarczył wydawnictwu Doubleday kolejną powieść z serii o robotach „Robots Toward Empire". Akcja utworu rozgrywa się w 200 lat po wydarzeniach opisanych w „Robots of Dawn" i wiąże serię o robotach z serią „Foundation". Książka ukaże się we wrześniu. Asimov zawarł również z wydawnictwem Doubleday umowy na dwie inne powieści, które zamierza dostarczyć w grudniu 1985 r. i w grudniu 1986 r. Pierwsza z nich stanowi kontynuację „Foundation's Edge", druga wyprzedza serię w czasie, ukazując Hari Seldona już w średnim wieku.

Nowy magazyn SF w USA

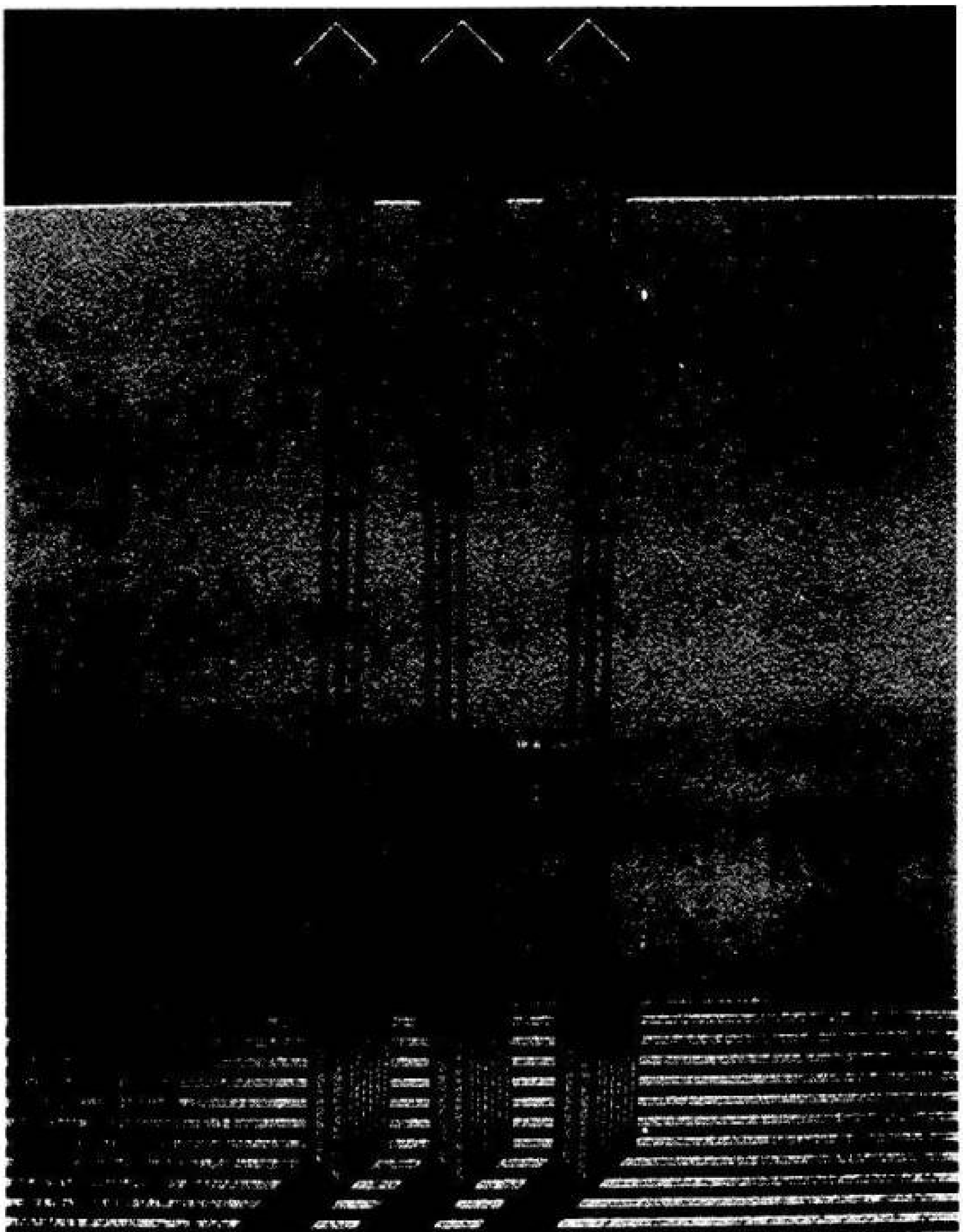
Dave Bischoff jest wydawcą, a Ted White redaktorem naczelnym dwumiesięcznika SF „Stardate", który powstał z inicjatywy miłośników fantastyki naukowej z Delaware. „Stardate" będzie ukazywał się w dużym formacie, na dobrym papierze, a na jego łamach będą zamieszczane przede wszystkim utwory SF i fantasy obfitujące w wartką akcję; liczne komiksy i grafiki oraz informacje o grach SF.

Nagrody Hugo-1985:

Laureatami w poszczególnych kategoriach zostali:

- najlepsza powieść: William Gibson – „Neuromancer",
- najlepsza nowela: John Varley – „Press Enter",
- najlepsza nowelka: Octavia Butler – „Bloodchild",
- najlepsze krótkie opowiadanie: David Brin – „The Crystal Spheres",
- najlepsza książka non-fiction: Jack Williamson – „Wonder's Child: My Life in Science-Fiction",
- najlepszy spektakl dramatyczny: „2010",
- najlepszy wydawca profesjonalny: Terry Carr,
- najlepszy grafik profesjonalny: Michael Whelan,
- najlepszy fanzin – „File 770" – wydawany przez Mike'a Glyera,
- najlepszy autor nieprofesjonalny: David Langford,
- najlepszy grafik nieprofesjonalny: Alexis Gilliland,
- nagroda Johna W. Campbella: Lucius Shepard.

Franz Rottensteiner



Jan Kubasiewicz

Ilustrowana historia SF

Dr Dietel Wuckel, docent Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Klary Zetkin w Lipsku, przedstawił na 264 stronach z 207 ilustracjami historię fantastyki naukowej od renesansu do czasów współczesnych. Ogromna popularność literatury SF wywołuje rosnące zainteresowanie opracowaniami przeglądowymi na jej temat. Najnowsza pozycja przedstawia nie tylko zasadnicze wątki SF, ale także stanowi przegląd różnych narodowych literatur fantastyczno-naukowych wraz z prześledzeniem ich trendów rozwojowych. Autor poddał krytycznej analizie utwory Juliusza Verne'a, Herberta G. Wellsa, Aldousa Huxleya, Isaaca Asimowa, Raya Bradbury'ego, Stanisława Lema, braci Strugackich i wielu innych, mniej znanych pisarzy SF.

T. Zbigniew Dworak